

CZARNA SERIA

.. ALEXANDER
SODERBERG

DOBRY WILK

**.. ALEXANDER
SÖDERBERG**
DOBRY WILK

Przekład Irena Muszalska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

Strona tytułowa

[Strona redakcyjna](#)

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Część druga

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

28

30

31

32

33

34

35

36

37

Część trzecia

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

61

63

64

65

66

Tytuł oryginału:
DEN GODE VARGEN

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska
Projekt okładki: Magda Kuc
Zdjęcie na okładce: Aaron Amat / Shutterstock
Korekta: Maciej Korbański
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © Alexander Söderberg, 2017
Published by agreement with Salomonsson Agency
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN: 978-83-8015-697-5

Wydanie I

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Część pierwsza

1

Valle del Cauca

PACHNIAŁO smażoną wieprzowiną. Ernst Lundwall żegnał się z życiem.

Stał, sztywny i skołowany. Ze spodni wystawała mu poła pomiętej białej koszuli. Na stołku kilka metrów za nim siedział Kevin Gorman. Drapał się po wysokim czole końcówką połyskującego na srebrno pistoletu. Wyglądał jak kompletny debil. I rzeczywiście nim był.

Jens i Lothar otrzymali najlepsze miejsca, ustawiono ich tak, żeby nie przegapili ani odrobiny z całego przedstawienia.

Na kamiennym tarasie nad nimi, między kolumnami i białymi posągami, siedział Don Ignacio Ramirez. Zajadał grillowanego prosiaka. Na nosie miał ciemne okulary, a za kołnierzyk koszuli wetknął sobie róg lnianej serwety. Boss narkotykowy w wersji de luxe. Aby uczcić ten dzień, był u fryzjera. Jego włosy miały teraz dziwnie czarny kolor, mocno kontrastujący z bledością skóry. W tle stał jego niewydarzony narkotykowy zamek. Pozbawione smaku połączenie Disneylandu z Wersalem. Perwersyjne różowe ciasteczko ukryte w sercu kolumbijskiej dżungli. Zbytkowny ogród, wybiegi dla egzotycznych zwierząt. Żyraf, samotnego nosorożca, dwóch zebr, lwa i kilku hipopotamów. Wszystkie one były apatyczne, stały i gapiły się przed siebie.

Tę scenę wyreżyserował sam Ignacio. Ernst miał być ofiarą, Gorman – sprawcą, a Jens i Lothar – publicznością.

– Jens? – zawołał Ernst nieco podniesionym głosem.

– Ernst – odpowiedział Jens. – Nie martw się – dodał, jakby chciał pocieszyć zdenerwowane dziecko. Ale te słowa nie miały sensu. Potem zwrócił się do Don Ignacia Ramireza. – Możemy porozmawiać?

Don Ignacio nie zareagował. Siedział niedostępny w swoich ciemnych okularach, jadł tłustą wieprzowinę, a jego potężny brzuch rozpychał poliestrową koszulę.

O czym mieliby rozmawiać? Co Jens miał do powiedzenia? Chciał go błagać? Brakowało mu kart przetargowych. Miał tak samo przechłapano jak Ernst. W najbliższej przyszłości czekał go dokładnie taki sam los. Zabije go ta świnia, Kevin Gorman, kat Don Ignacia, strażnik Jensa i Lothara... wartownik, dręczyciel... Siedział teraz z pistoletem w dłoni. Naćpany jak zawsze. Ani młody, ani stary. Ze skołtunionymi włosami, zepsutymi zębami. Facet z Karoliny Południowej, który prowadził spis wszystkich zamordowanych przez siebie osób.

Ignacio napił się ze swojego kieliszka i podniósł go w geście toastu. To był znak dla Gormana. Kevin wstał i ruszył do przodu z rozłożonymi ramionami, pokazując, jaki to on niby jest potężny. Stał przed Ernstem.

– Jens? – powtórzył Ernst. Tym razem jeszcze wyższym, pytającym tonem.

Kevin Gorman wyciągnął wyprostowaną rękę, w której trzymał pistolet. Ernst Lundwall posikał się i zaczął panicznie krzyczeć, błagał ich, mówił, że zrobi, co tylko będą chcieli...

– Zamknij oczy – szepnął Jens do Lothara, ale chłopak go nie posłuchał.

Huk wystrzału odbił się echem po okolicy. Zwierzęta w klatkach drgnęły, siedzące na drzewach stada ptaków poderwały się do lotu. Ernst osunął się na wyschniętą ziemię z dziurą w głowie i zasikanyimi spodniami.

Jens złapał Lothara, pod którym ugięły się nogi.

Gorman odwrócił się w ich stronę. Uśmiechał się? Tak, na jego wargach błędził delikatny uśmiech. Jens poczuł w ustach smak pogardy i musiał

splunąć.

Lothar cały się trząsał, patrzył w ziemię, a nogi miał jak z waty. Jens go podtrzymywał. Chłopak był na to wszystko za młody, miał dopiero siedemnaście lat...

– Jens! Lothar! – zawołał Don Ignacio swoim niskim głosem.

Stał oparty o kamienną poręcz tarasu. Z lnianą serwetą zatknietą za kołnierzyk koszuli i ustami błyszczącymi od świńskiego tłuszczu.

– Mieszkacie pod moim dachem już prawie pół roku. Dobrze was tu traktowaliśmy – zaczął i zrobił sztuczną pauzę.

Było duszno, dobiegały ich odgłosy z dżungli. Jens spojrzał w stronę Ernsta. Leżał skulony na wyschniętej ziemi. Muchy już się do niego dobrały.

– Pora wyruszyć w drogę – oznajmił Don Ignacio. – Będą takie chwile, Jens, że przyjdą ci do głowy różne pomysły.

Dwóch mężczyzn złapało nogi Ernsta i zaczęło go wlec. Jego rozłożone ramiona wzniecały nad powierzchnią ziemi kurz, delikatną czerwonobrazową mgiełkę.

– Lothar pojedzie z tobą. Ale tylko do Miami. Zostanie tam jako zabezpieczenie. Jeżeli w Europie coś ci wpadnie do głowy, Lothara spotka to co Ernsta.

Ignacio jednym ruchem zerwał serwetę, a potem wytarł usta, rzucił serwetę na stół i opuścił taras.

Jens mocno obejmował Lothara, tak jak ojciec obejmuje syna, gdy go chce chronić. Ale Lothar nie był jego synem. Był dzieckiem Hectora Guzmana.

2

Praga

OPADŁA pod powierzchnię.

Świat nad nią był rozmyty i niewyraźny. Sophie leżała nieruchomo w wannie. Serce zaczęło jej szybciej bić. Walczyła z odruchem, który kazał się jej zerwać. Cały organizm sygnalizował, że brakuje mu tlenu. Czuła ogromny ucisk w gardle i klatce piersiowej. Rwący ból we wszystkich członkach i narządach. Wszystko w niej krzychało, że powinna się wynurzyć. Ale Sophie Brinkmann leżała i walczyła z odruchem. Wymierzała sobie karę. Trudną do zdefiniowania. A pod szarosrebrnym strachem i bólem kryło się coś jeszcze. Niemal niewidocznego. Promyk czerwonego światła. Rozkosz. Słodko-gorzka rozkosz. Nienawiść do samej siebie... dręczenie samej siebie. Chwilowa przyjemność w cierpieniu, zwłoka...

Zaczęła drętwieć. Straciła czucie w wargach... Ciśnienie w gałkach ocznych jeszcze wzrosło. Pojawił się lęk przed śmiercią. Ręce i nogi zaczęły jej drżeć, a twarz dygotać. Całe jej wnętrze wiło się, skręcało.

Jeszcze tylko moment..., pomyślała.

Serce waliło jak szalone, ciało zaczęło wpadać w próżnię. Wszystkie sygnały alarmowe wyły jak szalone. Myśli zaczęły się jej mącić, przez kilka krótkich sekund znajdowała się na granicy świadomości. I nagle wszystko zrobiło się czarne. Wtedy włączył się odruch oddychania, Sophie zachłysnęła się wodą, odzyskała przytomność i gwałtownie usiadła. Złapała ręcznik, który

leżał na wannie, schowała w niego twarz, kaszląc i wymiotując wodą. Udało jej się wziąć mały oddech i zaczerpnąć odrobinę powietrza. Ból był nie do opisania. Krzyczała, przyciskając ręcznik do ust. Na tyle, na ile się dało, tłumiła jęk cierpienia. Próbowwała odzyskać oddech, robiąc małe, płytkie wdechy, nabierając po odrobinie powietrza. W gardle i w płucach czuła pieczenie.

Odchyliła głowę do tyłu, a ramiona położyła na bokach wanny. Oddychała już spokojniej. Wypełniała płuca powietrzem, pozwalając, żeby tlen powoli docierał do wszystkich organów, do całego organizmu. Ogarnęło ją uczucie nieopisanej przyjemności. Delikatnie ją otuliło. Rozkoszowała się, wsłuchiwała w odgłos kapiącego kranu. Każde kapnięcie odbijało się długim echem, bez żadnego wzoru, żadnego taktu... Widziała niewielkie pęknięcia na suficie, łuszczącą się farbę. Odwróciła głowę i spojrzała na wieszak z sukienką, który wisiał na drzwiach do łazienki. Kreacja od Sonii Rykiel...

Puk, puk, puk. Pukanie odbiło się echem od ścian małej łazienki. Usłyszała głos Alberta:

– Mamo? Musisz się pośpieszyć, zaraz jedziecie.

Szum rozmów. Drinki. Czteroosobowa orkiestra w smokingach grająca bossa novę. Dyplomaci, biznesmeni, bizneswomen, ten i ów polityk, w sumie mniej więcej setka gości, stłoczona w sali bankietowej szwedzkiej ambasady w stolicy Czech.

Sophie stała pod ścianą z kieliszkiem szampana w dłoni. Nie odrywała wzroku od Sanny Renberg. Miles Ingmarsson po drugiej stronie sali też podążał za nią spojrzeniem.

Sanna, krótkowłosa krągła blondynka w eleganckiej sukni, poruszała się wśród gości. Miała cel, Carla Hagmana. Hagman stał na środku sali i rozmawiał z kolegami z pracy.

Sanna podeszła do niego, nachyliła się i coś mu szepnęła do ucha.

Uśmiechnął się. Zlustrował ją szybko wzrokiem z góry na dół i wyglądał, jakby go zatkało.

Dobrze..., pomyślała Sophie i zerknęła na zegarek.

Musieli go stąd wyprowadzić we właściwym momencie. Narkotyk, który znajdował się w jego szampanie, zacznie działać po trzydziestu minutach. Wtedy Hagman straci przytomność.

Dwóch jego podwładnych, mężczyzna i kobieta, nie odstępowało go na krok. Sophie i Miles mieli za zadanie odwrócić ich uwagę.

Sophie miała się zająć mężczyzną, Miles – kobietą.

Równocześnie ruszyli w ich stronę.

– Cześć – powiedziała Sophie. Mężczyzna odwrócił się i rozjaśnił w uśmiechu.

W sali bankietowej było ciasno, wszyscy stali blisko siebie. Rozmawiając ze współpracownikami Hagmana, zaczęli się nieznacznie obracać, tak, że w końcu mężczyzna i kobieta stali plecami do szefa. Sophie zobaczyła, że Sanna prowadzi Hagmana do wyjścia.

Trzy minuty później spotkali się przy schodach do sali bankietowej. Miles zaczął sprowadzać Carla po schodach. Hagman coś mamrotał i się śmiał. Sophie i Sanna ruszyły za nimi.

Zamiast wyjść z ambasady przez główne wejście, skęcili w prawo, wstukali kod i otworzyli drzwi, minęli niewielkie biura i podeszli do kolejnych drzwi. Następny czterocyfrowy kod. Sophie przytrzymała drzwi, a potem wymknęła się za resztą.

Kolejnymi schodami dotarli do piwnic ambasady. Narkotyk zaczął działać mocniej. Szybko pokonali korytarz, wspólnymi siłami ciągnąc i wlokąc Hagmana.

– Proszę poczekać!

Odwrócili się. W ich stronę szedł ochroniarz. Podwójny podbródek,

ciemny garnitur, w ręce krótkofalówka.

– Co tu robicie?

– Ten facet zaczynał z siebie robić pośmiewisko – wyjaśnił Miles i się uśmiechnął.

Ochroniarz uważnie mu się przyjrzał.

– Jesteś tym specem od komputerów, prawda? – zapytał.

– Tak. Chcemy go zabrać do mojego biura, żeby się przespał i trochę wytrzeźwiał...

– Byle nie za długo. Za trzy godziny ambasada ma być pusta. Takie są zasady – odparł ochroniarz i przyjrzał się Sophie i Sannie. – Was nie poznaję.

– Przyjechałyśmy z delegacją ze Szwecji – powiedziała Sophie. – To nasz szef.

– Nie możesz łązić po ambasadzie z postronnymi osobami – burknął ochroniarz. – Goście mają się trzymać wyznaczonych miejsc.

Miles pokiwał głową.

– Jasne, ale tam na górze o mało co nie doszło do sceny. Spójrz na to jak na akcję ratunkową.

– Scena, nie scena, mam to gdzieś – odparł ochroniarz. Był nieugięty.

– Słucham? – zapytał Miles.

W oczach ochroniarza mignęła niepewność.

– No... nie możesz łązić tu sobie z gośćmi.

– A co wcześniej powiedziałaś? – zapytał Miles.

– To nie ma znaczenia – spróbował ochroniarz.

– Jesteś częścią tej ambasady – odparł Miles. – Tak jak my wszyscy masz dbać o to, żeby to, co reprezentujemy, wyglądało jak trzeba. To też masz gdzieś?

Ochroniarz pokręcił głową.

– Bo jeżeli tak, to powinieneś zająć się czymś innym. Jeśli chcesz, mogę

porozmawiać z szefem ochrony – dodał.

Czekali.

– Chcesz tego?

Czas płynął nieubłaganie. Ochroniarz się zawahał. Potem mruknął „nie” i odszedł.

Zbiegli po niewielkich schodach. Carl czuł się coraz gorzej. Nogi mu się plątały, zahaczały jedna o drugą. W końcu dotarli do solidnych metalowych drzwi. Miles rzucił Sophie klucz.

Otworzyła drzwi i znalazła się w małym zaułku. Dała znak. Ktoś odpalił silnik samochodu i po chwili rozległ się chrzęst żwiru. Podjechał do nich szary volkswagen passat.

Sophie otworzyła tylne drzwi, Miles i Sanna wpełzali Carla do środka, a Sophie obesza samochód i wskoczyła na przednie siedzenie.

Za kierownicą siedział potężny Michaił Asmarow, Rosjanin. Spojrzał na Sophie.

– Udało się – odpowiedziała na pytanie, którego nie zadał.

Michaił wyjechał na drogę. Ich mieszkanie leżało bardzo blisko, koło rynku na zachód od mostu Karola.

Z ust Carla Hagmana ciekła strużka śliny. Czubki jego butów szorowały po parkiecie, kiedy Michaił i Miles wlekli go w głąb mieszkania.

Albert czekał na swoim wózku przed pokojem gościnnym.

– Albercie, przywitaj się z Carlem – powiedział Miles.

– Cześć, Carl. Znów się upiłeś? Rozczarowujesz mnie – rzucił Albert.

– Przestań – upomniała go Sophie.

Albert wybuchnął śmiechem. Miles poszedł w jego ślady.

Rzucili Hagmana na łóżko w pokoju gościnnym. Rozebrali go.

Sophie przygotowała trzy strzykawki i trzy szklane ampułki.

– Gdzie Sanna? – zapytała, napełniając pierwszą strzykawkę.

– Przebiera się – wyjaśnił Miles i rozłożył statyw z przymocowanym do niego aparatem.

Carl Hagman miał już na sobie same majtki. Sophie usiadła obok niego, wzięła jego ramię i znalazła żyłę. Wbiła igłę. Mężczyzna nie zareagował.

Dokładnie go sprawdzili. Na przyjęciu w ambasadzie reprezentował niewielką firmę, swoją własną, która specjalizowała się w łączeniu międzynarodowych baz danych, tak żeby mogły z nich korzystać urzędy i instytucje współpracujące ze sobą ponad granicami. Carl stworzył inteligentny program, Links, będący, jak sama nazwa wskazywała, łączem między różnymi językami programowania. Niedawno opracował aplikację, która zestawiała urzędy skarbowe różnych państw ze światowymi transakcjami bankowymi. To do niej chcieli się dostać...

Sophie podniosła powiekę Carla i sprawdziła źrenicę. Zobaczyła, że drży.

– Zaraz się obudzi – stwierdziła.

Miles nasunął czarną kominiarkę.

Sophie wciągnęła do strzykawki zawartość drugiej ampułki i wstrzyknęła ciecz w żyłę Hagmana.

Carl Hagman wybił się dzięki swojemu programowi. Na horyzoncie majaczyły mu liczne kontrakty. Nowa willa na północ od miasta. Żona, zbyt atrakcyjna, jeśli wziąć pod uwagę to, jak sam wyglądał. Dzieci w prywatnej szkole. Zaczęto go wybierać do różnych zarządów... Jednym słowem, wiodło mu się. Miał dużo do stracenia.

Sophie wyciągnęła igłę.

– Dzięki temu będzie mógł się ruszać, ale nie będzie wiedział, co się dzieje – wyjaśniła.

Miles pokiwał głową.

Carl mamrotał coraz głośniejsze, jakby coś mu się śniło.

Sophie wstała i pokazała trzecią strzykawkę.

– A to mu dasz, jak skończycie. Wtedy dojdzie do siebie – powiedziała.

Sanna weszła do pokoju. Poza majtkami, podwiązkami i kabaretkami nie miała na sobie zupełnie nic.

Sophie szybko ją przytuliła, musnęła policzkiem jej policzek.

– Powodzenia – szepnęła i wyszła.

Sanna usiadła na brzegu łóżka i poprawiła podwiązkę.

– Kocham cię – powiedział Miles przez kominiarkę.

Sanna pochyliła się nad Carlem.

– Ja ciebie też – odparła, wpychając jednocześnie pierś w usta Hagmana.

Carl wytrzeszczał wzrok.

Miles robił zdjęcia.

3

Rzym

SONYA ALIZADEH siedziała za kierownicą alfa romeo. Przez otwarte okno wlatywało brzęczenie cykad i zapachy. Jaśminu, lawendy, bazylii i drzew cytrusowych.

Willę na wzgórzu otaczały pinie i sosny alepskie. Budynek był praktycznie niewidoczny. Jedyne przez żelazną bramę można było dostrzec fragment asfaltowego i słabo oświetlonego podjazdu prowadzącego do willi. Resztę ogrodu zasłaniał dwumetrowy mur.

Rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Obserwacja, prowadzona przez ostatnie dni, pozwalała przypuszczać, że mężczyzna wyjdzie z domu ze śmieciami między wpół do dziesiątej a wpół do jedenastej. Potem zapali cygaro, zadzwoni do kogoś, prawdopodobnie do kochanki, z którą będzie rozmawiał przyciszonym głosem, spacerując po ogrodzie.

Leszek był już za murem. Przeskoczył go kawałek dalej, a teraz czekał ukryty w ciemnym ogrodzie.

Sonya opuściła klapkę przeciwsłoneczną i przejrzała się w lusterku. Zaczęło jej to wchodzić w nawyk. Oliwkową skórę wokół jej niebieskozielonych oczu pokrywały drobne zmarszczki. Założyła za ucho swoje kruczoczarne włosy i podniosła klapkę. Spojrzała na czarną drogę, obramowaną żółtymi pasami odblaskowymi. Między okazałymi willami rozciągały się cudowne, dobrze utrzymane ogrody. Wszystko było tu piękne,

luksusowe i zaciszne.

Tęskniła za spokojem, bezpieczeństwem i ciepłem. Uciekali od tak dawna... Ona, Leszek, Aron i Hector... Uciekanie i ukrywanie się przypominało marznięcie – pochłaniało mnóstwo energii. Była już zmęczona.

Chcieli znaleźć Lothara, syna Hectora. Hectorowi tylko na tym zależało. Lothar był w niewoli u Don Ignacia. Wiedzieli o tym, ale mieli związane ręce. Brakowało im pieniędzy, a wszyscy, którzy ewentualnie mogliby im pomóc, wiedzieli, że Hector Guzman jest skończony. Gdyby udzielili mu pomocy, wystąpiliby otwarcie przeciwko Ralphowi Hankemu i Don Ignacio Ramirezowi. A tego nikt nie chciał.

Robili, co mogli. Zakładali podsłuchy i włamywali się do komputerów tych organizacji, które Hanke i Don Ignacio odebrali Hectorowi i nad którymi roztoczyli swój parasol ochronny. Na próżno. Nie udało im się uzyskać żadnych pożytecznych informacji.

Parę tygodni wcześniej trafili jednak na cień śladu. Aldo Moretti, gangster średniego kalibru, który działał w okolicach Florencji, szykował coś dużego. Moretti stał na czele jednej z tych nielicznych włoskich grup, którym brakowało bezpośrednich powiązań z dużymi znanymi rodzinami mafijnymi. Hector przez wiele lat robił z nim interesy. Wiedział, że „coś dużego” może oznaczać Don Ignacia Ramirezę...

Sonya rzuciła okiem w stronę bramy.

Zobaczyła mężczyznę, który wolnym krokiem szedł w stronę willi. W rękach nie miał worka ze śmieciami.

Dopiero teraz go zauważyła.

Zaczęła się śpieszyć. Złapała krótkofalówkę, która leżała na siedzeniu obok.

– Wraca do domu, wyrzucił śmieci – szepnęła do mikrofonu.

Serce biło jej jak szalone. Nie spuszczała mężczyzny z oka. Nadal

rozmawiał przez telefon. Na chwilę przystanął, włożył cygaro do ust i pstryknął zapalniczką sztormową. Wydmuchał chmurę niebieskiego dymu i się zaśmiał. Zachowywał się swobodnie i tak też był ubrany. Miał na sobie beżowe spodnie i błękitną koszulę.

Leszek wyłonił się z cienia. Przystawił mężczyźnie pistolet do głowy i ostrożnie wyjął mu z ręki telefon.

Sonya odpaliła silnik. Cofnęła na wysokich obrotach. Złapała drążek zmiany biegów i wrzuciła jedynekę. Wyważyła bramę...

Tylne drzwi się otworzyły. Leszek wepchnął mężczyznę do środka i wskoczył do samochodu.

– Gazu – rzucił.

Sonya zaczęła zjeżdżać ze wzgórza. Spojrzała w tylne lusterko. Mężczyzna miał nieco zbyt długie czarne włosy i błękitne oczy. Roztaczał mocny, korzenny zapach męskich perfum zmieszanych z wonią cygar.

– Czy to ty jesteś Giuseppe Russo, bankier? – zapytała.

– Tak...

Sprawiał wrażenie spokojnego.

– Czy jednym z twoich klientów jest Aldo Moretti?

– A bo co?

Leszek wbił mu w bok lufę pistoletu.

– Między innymi – odparł Russo.

Droga była pełna ostrych zakrętów. Russo złapał uchwyt pod sufitem.

– Co teraz robi Moretti?

– Nie rozumiem.

– Interesy. Z kim? Co szykuje? Mów wszystko, co wiesz.

Russo prychnął. Był stuprocentowym Włochem, zarozumiałym, zdystansowanym i pewnym siebie.

– Nie mam wglądu w to, co robi. Doradzam mu w pewnych ogólnych

kwestiach finansowych... Porwaliście niewłaściwą osobę...

Leszek uderzył go w bok głowy. Giuseppe zapomniał, co chciał powiedzieć. Podniósł dłoń, wyglądał, jakby chciał coś dodać. Leszek przyłożył mu po raz drugi. Jeszcze mocniej. Włoch opuścił głowę, włosy opadły mu na twarz. Wyglądał na lekko zamroczonego. Znow podniósł dłoń.

– Dajcie mi...

Ostatni cios został wymierzony w skroń. Giuseppe Russe uderzył głową w boczną szybę. Nieobecny wzrokiem patrzył na własne nogi.

Leszek położył mu na kolanach zdjęcie, na którym była dwójka dzieci. Syn i córka Russego, osiem i dziesięć lat. W szaro-niebieskich mundurkach wychodzili ze szkoły z kanciastymi plecakami.

To była brudna gra.

– Pierdolone świnię – powiedział Giuseppe zduszonym głosem.

– Daj nam to, czego chcemy – rzuciła Sonya.

Russo analizował sytuację. Zaczął się bać. Jego strach czuć było w całym samochodzie. I dokładnie o to im chodziło.

– A czego chcecie? – zapytał. Oddychał z trudem.

– Aldo Moretti. Wszystko, co wiesz – powtórzyła Sonya.

– Jakie mam gwarancje? – zapytał Russo.

– Żadnych – odparł Leszek. – Odpowiedz na nasze pytania, tu chodzi o twoje dzieci – dodał szeptem.

– Rozmawialiśmy o przepływie gotówki.

– Skąd?

– Procedura jest skomplikowana.

– To znaczy?

– Nie chodzi o wpływy, tylko o pieniądze, które Moretti ma wypłacić. Mają zostać kilka razy przelane, ukryte dzięki transakcjom między różnymi bankami i instytucjami...

– Gdzie mają trafić na końcu?

Russo spojrział na zdjęcie swoich dzieci.

– Na prywatne konto na Karaibach.

– Które należy do...?

– Do pewnej grupy, z którą Moretti robi interesy.

– Jakiej?

– Nie wiem...

– Moretti już robi z nimi interesy? – zapytała Sonya.

– Dopiero ma zacząć. Wszystko zostało już dograne.

– Kiedy?

– W przyszłym tygodniu ma się odbyć spotkanie. To będzie początek...

– Gdzie?

– Domyślam się, że tam, gdzie mieszka, we Florencji.

– Zorganizuje je u siebie w domu?

Russo pokręcił głową.

– Moretti nigdy nie robi takich spotkań u siebie... ani w swoim biurze.

– Więc gdzie?

– Nie wiem.

Bankier próbował odzyskać kontrolę, ale Sonya mu na to nie pozwoliła.

– Gdzie? – powtórzyła. – Gdzie się z nim zwykle spotykasz?

– Najczęściej w restauracjach, czasem w Galerii Uffizi, parę razy po prostu wybraliśmy się na spacer.

– Ile razy się widzieliście?

– Łącznie?

– Tak.

– Trudno powiedzieć. Korzysta z mojej pomocy od lat. Spotykaliśmy się wiele, bardzo wiele razy.

– A najczęściej gdzie?

– Tu, w Rzymie, w moim biurze.

– A we Florencji?

Giuseppe przez chwilę myślał.

– W restauracji.

– Gdzie ona leży?

– W samym środku turystycznego piekła, przy Piazza della Signoria.

Sonya zatrzymała auto przy skraju drogi. Podała mu notes i długopis.

– Napisz nam tutaj nazwę restauracji. I nazwę tego banku na Karaibach.

Giuseppe wziął od niej notes i zrobił, co kazała.

– Musicie mi obiecać, że...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Leszek otworzył drzwi po jego stronie, wyrwał mu notes i wypchnął go na drogę.

Sonya ruszyła w dół wzgórza. W oddali migotały światła Rzymu. Ale to nie tam zmierzali. Wyjechała na autostradę wiodącą na północ, do Toskanii. Sonya i Leszek jechali do klasztoru benedyktynów... do Hectora Guzmána.

4

Praga

SOPHIE SIEDZIAŁA w biurze i czekała na sygnał oznaczający, że skończyli. Wtedy miała włączyć monitor i śledzić rozwój wypadków.

Rozejrzała się dookoła. Przez ostatnie pół roku to biuro stanowiło ich miejsce pracy. Jego ściany były tego dowodem.

Trzy z nich pokrywały dokumenty, kartki, zdjęcia i notatki. Wszystkie elementy łączyły kolorowe nitki. Na jednej ścianie niebieskie, na drugiej czerwone. Na trzeciej nie było żadnych nitek. Wisiały na niej tylko dwa zdjęcia. Te trzy ściany to były trzy wydarzenia, które pozostawały ze sobą w bezpośrednim związku.

Na wprost siebie miała ścianę niebieską, Tommy'ego. Fakty o morderstwach, szantażu, pieniądzach, które były przelewane z konta na konto, a wszystko powiązane z Tommym Janssonem, komisarzem, byłym szefem Milesa. Tommy Jansson próbował go zabić, ale Miles cudem uniknął śmierci. W przeciwieństwie do swojej koleżanki Antonii Miller. Jedna kula trafiła do celu, prosto w głowę Antonii. Sophie przy tym była... Musieli uciekać. Zostawić za sobą wszystko i wszystkich... Miles, dzięki swojemu bratu, pod fałszywym nazwiskiem załatwił sobie pracę w szwedzkiej ambasadzie w Pradze.

Ale nie udało im się dotrzeć tak daleko, jak by chcieli. Informacje na ścianie były niekompletne. Teraz wszystko zależało od Carla Hagmana, który

znajdował się w sąsiednim pokoju.

Druga ściana, z czerwonymi nitkami...

Ściana Hectora.

Informacje o organizacji i działalności Hectora, które Sophie miała. Wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły. Tu również znajdowały się morderstwa, szantaż i nielegalne interesy w ilości wystarczającej, żeby załatwić Hectorowi i wszystkim jego najbliższym współpracownikom dożywocie.

Ściany... jak dwa policyjne śledztwa.

Sophie zerknęła na zdjęcie Hectora, które wisiało na środku. Jego oczy patrzyły prosto na nią. Potem znów spojrzała na ścianę Tommy'ego. Tommy też się na nią gapił.

Obydwaj ją poruszali, choć z różnych powodów.

Była jeszcze trzecia ściana, prawie pusta. Wisiały na niej tylko dwa zdjęcia. Jensa i Lothara. Żadnych nazwisk, żadnych kolorowych nitek. Powinna się nazywać ścianą Lothara, bo on był najważniejszy...

Te trzy ściany to były ich cele.

Uwolnić się od Tommy'ego.

Uwolnić się od Hectora.

Uratować Jensa i Lothara...

Choć to ostatnie nie było prawdą.

Znów spojrzała na zdjęcia Jensa i Lothara, ale przymknęła oczy i odwróciła wzrok.

Dla nich nie było ratunku. Ona to wiedziała. Sanna to wiedziała. Miles i Michaił też. Ale Albert nie...

Pukanie zza ściany wyrwało ją z zamyślenia. To był znak, że brudną robotę mieli za sobą. Sanna wyszła. Miles obudził Carla zastrzykiem numer trzy, pokazał mu zdjęcia, zagroził, że wyśle je do jego żony, przyjaciół,

współpracowników... Kazał mu się wziąć do roboty.

Sophie włączyła monitor, który miała przed sobą. Zobaczyła czarno-biały obraz rejestrowany przez kamerę umieszczoną pod sufitem pokoju, w którym byli Miles i Carl. Miles miał na sobie kominiarzkę. Carl siedział w spodniach i koszuli przy stole z trzema komputerami. Wszystko zdawało się iść zgodnie z planem.

Miles położył przed Hagmanem kartkę papieru.

– Chcemy prześledzić transakcje bankowe wykonane mniej więcej rok temu w Liechtensteinie. Jedna osoba przelała pieniądze drugiej, a ta próbowała to ukryć. Chcemy wiedzieć, co się stało z tymi pieniędzmi, i chcemy wiedzieć, z którego konta w szwedzkim banku została przelana cała suma albo jej część. Chcemy znać nazwisko właściciela tego konta.

Dźwięk był dobrej jakości, Sophie słyszała wyraźnie każde słowo. Nawet mamrotanie Carla.

– To może potrwać – mruknął.

– Nie mamy dużo czasu – odparł Miles.

Hagman pracował przy jednym z komputerów.

– A jeżeli okaże się, że to niemożliwe, że nie mogę wam pomóc? – zapytał.

– Wtedy będziesz mógł się pożegnać ze swoim dotychczasowym życiem, zdjęcia trafią do drogich bliskich, kolegów z pracy, klientów...

– Nawet jeśli okaże się, że nie jestem w stanie zrobić tego, o co prosicie?

– Tak – potwierdził Miles. – Nawet jeśli okaże się to niemożliwe. Nawet jeśli ktoś namierzy nasze komputery i jeśli komukolwiek o tym wspomnisz. Przestań może zadawać pytania i bierz się do roboty.

Carl siedział nieruchomo, wyglądał na przybitego. Potem pogodził się z losem i zaczął pracować. Wystukał coś na klawiaturze, ściągnął program i w oddzielnym oknie wpisał kod. Stopniowo zaczął się zmieniać, stał się bardziej skoncentrowany, szybszy, w cyberprzestrzeni poruszał się pewnie

i z wprawą. Działał energicznie i z pasją. Sophie pomyślała, że Carl Hagman znajduje się tam, gdzie powinien.

Poczuła ulgę, Carl nie stawiał oporu. Gdyby się opierał, posłałaby do niego Michaiła. I zrobiliby się bardzo nieprzyjemnie.

– Mamo?

Albert stał w drzwiach.

– Cześć, kochanie, wejdź – powiedziała.

Wjechał do środka i stanął obok niej. Spojrzał na monitor.

– Co się dzieje? – zapytał. Mówił już basem i wyglądało na to, że mutacja dobiegła końca.

Rzuciła na niego okiem i poprawiła mu włosy nad uchem. Górną część ciała miał świetnie wyćwiczoną. Mięśnie piersiowe były dobrze widoczne pod podkoszulkiem, bicepsy duże i z wyraźnymi żyłami. Ale nogi chude i słabe...

– Nie wiem... To wszystko wymaga czasu – odparła i zorientowała się, że mówi szeptem.

– Jak idzie Milesowi? – zapytał Albert, nie odrywając wzroku od monitora.

– Dobrze.

– A jeśli nam się nie uda?

Nie miała pojęcia, co wtedy zrobią.

– Będziemy kontynuować – odparła spokojnie.

– A potem pojedziemy po Lothara i Jensa... – powiedział jak zwykle.

– Jak tylko będziemy mogli – odparła... też jak zwykle.

Okłamywała własnego syna. Od początku to robiła. W mniejszym lub większym stopniu. Uznała, że on nie musi wiedzieć. Wmawiała sobie, że w ten sposób go chroni. Ale tak nie było. Coraz wyraźniej docierało do niej, że kłamała, by chronić siebie samą. Z każdym dniem coraz mniej lubiła Sophie Brinkmann.

Albert szybko pogłaskał ją po policzku wierzchem dłoni, jakby słyszał jej myśli i chciał ją pocieszyć. Potem wyjechał z pokoju.

Zmienił się. Jak wszyscy chłopcy w jego wieku. Ale Albert zmienił się całkowicie. Stał się jaśniejszy, prostszy... bardziej prawdziwy. Choć część niego bezpowrotnie zniknęła. Zniknęło to, co oczywiste, pewne, beztroskie. Taki był przed wypadkiem, zanim złamał kręgosłup. Wtedy po prostu płynął, pozwalał na to, żeby jego nastawienie, pewność siebie i pogląd na życie go formowały. Teraz wszystko się odwróciło. Zrozumiał, że musi się uformować na nowo, stworzyć sobie nową tożsamość, bo gdy człowiek porusza się na wózku, nie przychodzi ona samoistnie, niezależnie od tego, jak życzliwi są inni. Albert postawił na inteligencję... rozsądek, bystrość, lotność... i dorzucił poczucie humoru, które stanowiło potwierdzenie pozostałych cech. Stało się ważniejsze niż cokolwiek innego. Okazało się jego wybawieniem. Dzięki niemu był kimś. Ale brakowało jej dawnego Alberta. Z tego, co widziała, jemu też.

Po dwóch godzinach Carl przestał pracować.

– Skończyłem – powiedział. – Nie było łatwo. Ale mi się udało. Mój program sobie poradził...

Sophie słyszała dumę w jego głosie.

– Udało mi się namierzyć sumę, która zniknęła w Liechtensteinie – dodał. – Została przelana nieskończenie wiele razy między bankami na całym świecie. Ale na końcu wylądowała znów w Liechtensteinie, na innym koncie, bez nazwiska, z samym tylko numerem. Znaczna część tej sumy została potem przekazana na badania nad stwardnieniem zanikowym bocznym, prowadzone przez różne ośrodki na całym świecie... Ale znów trafiłem na schody.

– A konkretnie? – zapytał Miles.

– Pieniądze, które wypłacono z konta, wylądowały w banku w Afryce Zachodniej. Z tego banku wysyłano mniejsze kwoty, po kilkaset tysięcy, na

docelowe konto w Szwecji. Po drodze przesyłano je na inne fikcyjne konta, a potem przerzucano dalej. To zdaje egzamin, człowiek nie jest w stanie tego wszystkiego prześledzić, dostaje kręćka. To świetny sposób, żeby ukryć pochodzenie pieniędzy.

– Ale tobie się udało? – zapytał Miles.

Carl pokiwał głową. Zapisał na kartce jakiś numer i podał Milesowi. Potem pokazał ekran komputera.

– Napisz tu numer konta, a pokażą się dane osobowe, których szukacie, informacja o tym, w którym banku ta osoba ma konto i tak dalej. Jeżeli znów naciśniesz enter, zobaczysz dokładne zestawienie wszystkich transakcji powiązanych z tą osobą i z tym kontem. Nie chcę wiedzieć, o kogo chodzi – powiedział Carl i się odwrócił. Siedział teraz przodem do kamery. Wyglądał na wykończonego, niespokojnego... sympatycznego.

Miles wpisał numer konta. Nic się nie działo. Siedział jak skamieniały i wpatrywał się w ekran. Potem... pojawiły się informacje. Miles pochylił się i zaczął czytać... Wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, odwrócił się do kamery. Kiedy podnosił kciuk do góry, jego oczy promieniały.

5

Toskania

PINIE ROZTACZAŁY intensywny zapach, wieczorne powietrze było ciepłe i ciężkie.

Hector Guzman siedział na ławce przed murami klasztoru. Miał na sobie mnisi habit. Widział, jak z wioski wyjeżdża samochód i zaczyna piąć się pod górę, reflektorami oświetlając drogę. Sonyi i Leszkowi nie wolno było przebywać na terenie klasztoru. To był jeden z warunków, które postawił brat Roberto, kiedy zgodził się na to, żeby Hector ukrył się wśród mnichów.

Spędził wśród nich pięć miesięcy. Żył blisko nich, a jednocześnie w odosobnieniu. Uczestniczył w ich codziennej pracy, siedział razem z nimi podczas modlitw, choć tylko jako widz. Jadł z nimi i miał własną celę, w której mieszkał. Ale nie był jednym z nich. Jedynym, co go z nimi łączyło, był fakt, że nic nie posiadał i że wycofał się ze świata i całą dobę spędzał za murami klasztoru. Choć z zupełnie innego powodu niż mnisi.

Był poszukiwany... przez wszystkich. Przez policję, konkurencyjne gangi. Ralpa Hankego, niemieckiego przedsiębiorcę z Monachium stojącego na czele dużej kryminalnej siatki. Ignacia Ramireza, bossa narkotykowego z Kolumbii. Ralph i Don Ignacio połączyli siły, żeby się go pozbyć. Udało im się. Porwali Lothara, jego syna. Porwali Ernsta Lundwalla, jego doradcę, człowieka, który znał jego poczynania od podszewki. Dzięki temu bez problemu przejęli jego interesy i kontakty...

Światła błysnęły mocniej, samochód minął kolejne wzniesienie. Hector słyszał odległy warkot silnika.

Ralph Hanke... Mężczyzna, który zamordował mu brata i ojca, który najprawdopodobniej zabił mu ukochaną, Sophie Brinkmann, przez którego zapadł w śpiączkę, który porwał mu syna... Zabrał mu wszystko, co miał, upokorzył go tak, że bardziej się już nie da...

Co można było z kimś takim zrobić? Hector potrafił to sobie wyobrazić w nieskończoność. Marzenia o zemście nie dawały mu zasnąć. Tłumiły wszelkie światło. Nawet w miejscu takim jak to. Metaliczne pragnienie zemsty jątrzyło jego wnętrze. Chęć odwetu... Zabicia tego skurwiela... Zabicia wszystkich skurwieli, przez których miał kłopoty. Żądza krwi była prawdziwa. Miała smak żelaza, nienawiści i krzaku dzikiej róży.

Ale gdy udawało mu się odrzucić myśli o zemście i na moment odzyskiwał zdrowy rozsądek, mógł myśleć tylko o jednym – o Lotharze...

Opuścił wzrok. Zobaczył habit, sandały, żwir. „Niezależnie od tego, gdzie człowiek stanie, ziemia jest święta”, powtarzał brat Roberto.

Zanim tu przyjechał i ukrył się w klasztorze, niemal pół roku spędził w śpiączce. Kiedy otworzył oczy, zorientował się, że się zmienił. W nieskończoność roztrząsał niektóre pytania. Uznał to za problematyczne, a w każdym razie krótkowzroczne. Nie potrafił już podejmować decyzji tak szybko jak kiedyś. Może i było to dobre na dłuższą metę. Ale nigdy nie był zbyt przywiązany do dalekowzroczności. Zaczął się do niej przywiązywać dopiero tu, w klasztorze. Nie potrafił zdecydować, czy to dobrze, czy źle. Poza tym więcej czuł. Jak gdyby jego życie uczuciowe nabrało rozmachu i objęło całą gamę doznań. Wydawało mu się, że rozumie zależność między różnymi rzeczami w życiu. Fakt, że istnieje jedność, związek, jakby nad wszystkim czuwał jeden ojciec. A gdzieś w oddali, poza granicami wszystkiego, zawsze słyszał głos. Czasem tylko szepczący, czasem głośny i wyraźny. Mówił do

niego i do wszystkiego, co istniało. Nie mógł o nim wspomnieć bratu Roberto ani żadnemu innemu mnichowi. Nie chciał wiedzieć, do kogo mógł należeć... i co mógł z nim zrobić... Ponieważ miał wyrzuty sumienia. Połowa jego rodziny została zamordowana przez niego. Sophie Brinkmann została zamordowana przez niego... a życie wielu innych ludzi spieprzone... też przez niego.

Poczucie winy cały czas go gryzło, chciało dojść do głosu, rozwinąć skrzydła. Ale udawało mu się je tłumić, trzymać na dystans... Każdego dnia się z nim zmagał, bo gdyby dopuścił je do głosu, wszystko wzięłoby w łeb.

Światła alfa romeo na moment go oślepiły. Samochód skręcił i zatrzymał się przed nim. Drzwiczki trzasnęły.

Leszek i Sonya usiedli na ławce po jego obu bokach. Dał Leszkowi znak ręką. Leszek wyciągnął niewielkie cygaro i zapalniczkę. Hector przypalił cygaro i przez chwilę pykał z przyjemnością. Cała trójka siedziała w milczeniu.

– Aldo Moretti robi interesy z Ramirezem? – zapytał Hector ostrożnie, jak gdyby odpowiedź przecząca oznaczała koniec wszystkiego.

Sonya podała mu notes.

Przeczytał dwie linijki tekstu. W górnej widniała popularna nazwa dla jakiejś włoskiej pizzerii albo restauracji. A pod nią nazwa banku.

Banco Popular General S.A.

Przeczytał ją jeszcze raz. Znał ten bank. Należał do Don Ignacia. Offshore. Sam przez wiele lat wysyłał tam pieniądze.

– To bank Don Ignacia – powiedział z ulgą i wydmuchnął obłoczek dymu.

Leszek i Sonya się uśmiechnęli.

– Co robimy? – zapytał, zaciągając się dwa razy.

– Będziemy w restauracji, w której odbędzie się spotkanie. Jeżeli zjawi się na nim ktoś bliski Ramirezowi, to go zgarniemy – oznajmił Leszek.

– Bliski?

– Ktoś, kto coś znaczy i jest dla niego cenny. Ktoś, kogo będziemy mogli wymienić na Lothara.

– A jeżeli nikogo takiego nie będzie?

Zapadła cisza. W końcu Sonya powiedziała:

– To koniec. Wtedy po prostu wyjdziemy.

Hector spojrział na kartkę.

– Nie ma innego wyjścia? – zapytał.

Sonya i Leszek milczeli. Pytanie było zdecydowanie zbyt poważne. Chcieli spróbować szczęścia. Szanse na powodzenie nie były zbyt duże. Cała trójka dobrze wiedziała, w jak kiepskiej byli sytuacji. Żadnej władzy, żadnych środków. Jedynie nadzieja, że coś im będzie sprzyjać. Może szczęście.

Hector wstał. Zaciągnął się jeszcze kilka razy. Potem upuścił cygaro na ziemię, ale go nie zgasił. Naciągnął kaptur na głowę i spojrział na Leszka i Sonyę.

– Dziękuję wam – szepnął. Wsunął ręce w rękawy habitu i ruszył w stronę bramy klasztoru.

6

Miami

NA STOLE LEŻAŁA rozłożona mapa świata.

Jens pochylił się nad nią. Mieszkanie znajdowało się wysoko i rozciągał się z niego widok na Miami Beach. Było zbudowane na planie litery L i miało otwartą przestrzeń. Kuchnia, duży pokój, jadalnia – wszystko razem.

Kevin Gorman siedział na kanapie kawałek dalej. Wciągnął kokainę, złapał pistolet z tłumikiem, który leżał na stole, opadł na oparcie i odchylił głowę do tyłu. Może chciał powstrzymać krwotok z nosa, a może sądził, że dzięki temu szybciej dostanie kopa. Poszukał wzrokiem Jensa.

– Na co się gapisz? – zapytał.

Jens spojrzał na mapę.

– Cipeczko! Mówię do ciebie!

Jens nie zareagował.

– Cipeczko! Patrz na tatę, kiedy do ciebie mówi!

Jens podniósł wzrok. Gorman zachichotał.

– Tata! Od tej pory tak masz do mnie mówić – powiedział i wycelował w twarz Jensa.

Jens czuł się bardzo nieswojo.

Gorman trzy razy pyknął ustami. Dźwięk miał udawać odgłos wystrzału z pistoletu z tłumikiem. Musiał go długo ćwiczyć, co było przerażająco dziecinne.

– Dwa w klatkę piersiową i jeden w czoło. Żegnaj, cipeczko – rzekł Gorman. Pochylił się nad stołem i wciągnął jeszcze jedną kreskę.

Jens wziął się w garść i spojrzał na mapę.

Trasa wiła się jak wąż przez pół świata.

Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Lothar przyszedł, stanął obok niego i z uwagą przyjrzał się mapie.

– Cześć – szepnął Jens.

– Cześć – szepnął Lothar.

Wspólnie oglądali mapę, śledzili trasę przerzutu, która wiodła z Kolumbii na północ, między Kubą i Haiti, a potem skręcała na zachód w stronę Florydy. Na tym odcinku używano statku handlowego, który pokonywał tę drogę raz w miesiącu. To na nim przypłynęli do Port of Miami, gdzie towar został wyładowany, przepakowany i załadowany jako bagaż na niewielki statek pasażerski, który jeszcze tego samego wieczoru wypływał na Bermudy. Na Bermudach paczki miały zostać przeładowane na pokład samolotu linii British Airways i polecieć z lotniska Wade na lotnisko London Gatwick. Stamtąd miały zostać przewiezione samochodem osobowym do Folkestone, a potem przejechać pociągiem pod kanałem La Manche do Calais. Później czekała je nie lada podróż – maraton, ponieważ w ciągu dwunastu godzin miały zostać przetransportowane do Florencji. To był ich cel.

– Który moment jest kluczowy? – zapytał Jens.

Lothar prześledził wzrokiem czarną linię, wijącą się z Kolumbii do Włoch. Pokazał palcem Bermudy na Atlantyku.

– Tutaj – powiedział.

– Dlaczego nie Londyn? Gatwick? Samolot pasażerski, cło, zaostżona kontrola, Europa.

– Bo towar przejdzie już przez cło na Bermudach.

– Dlaczego?

– Bermudy są terytorium brytyjskim, tyle że tamtejszych celników mamy w kieszeni – wyjaśnił.

Lothar z zaangażowaniem zaczął omawiać problemy, proponować rozwiązania. Jens szybko zrozumiał, że włączenie go w ich pracę dla Don Ignacia może stanowić dla chłopca ratunek w niewoli, że dzięki temu będzie mógł coś robić i że pozwoli im to stworzyć coś na kształt stałego planu dnia. Wszystko, byle tylko zbudować namiastkę normalności w tej kompletnie nienormalnej sytuacji. Nigdy nie rozmawiali o tym, co przemycali, nie wspominali, że chodzi o setki kilogramów narkotyków.

– Wszystko sprowadza się do tego, żeby mieć właściwych ludzi we właściwym miejscu i we właściwym czasie – stwierdził Jens. – I do potężnych łapówek. No i gigantycznego szczęścia.

– To mamy, gigantyczne szczęście siedzi tam – powiedział Lothar, pokazując Kevina Gormana, który wciągnął kolejną kreskę, zapalił papierosa, kilka razy głęboko się zaciągnął i krzyknął coś obraźliwego do Doktora Phila w telewizji.

Lothar od czasu do czasu żartował sobie z Gormana, gdy ten go nie słyszał. Tylko tyle mógł zrobić. Jens wiedział, że Gorman nienawidzi Lothara, dawno to zauważył. Gorman czuł się od niego gorszy, i taki był. Pod każdym możliwym względem. Jensa to przerażało. Wszystko stawało się przez to jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Przynajmniej pozbędziesz się go na parę dni – powiedział Jens.

– Ale ciebie też nie będzie.

– Wrócę.

– On też.

Jens przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Kiedy nas nie będzie, dostaniesz innych strażników, ale nie martw się, nikt nie może być gorszy od niego.

Lothar miał tylko siedemnaście lat, lecz często sprawiał wrażenie starszego. Dojrzałego, prawie jakby był równolatkiem Jensa. Innym znów razem na chwilę znów stawał się chłopcem. Pół roku wcześniej widział, jak zamordowano jego mamę, został porwany, zamknięty w celi, przewieziony do Kolumbii... Tam koszmar tylko się nasilił. Cały czas towarzyszył mu cień, mimo że intensywnie walczył o to, by patrzeć na życie z taką samą lekkością jak wcześniej.

Jens słyszał, jak nocami rzuca się z boku na bok, jak go dręczą koszmary, albo jak wstaje i chodzi po pokoju, gdy demony nie dają za wygraną. Jak czasem, kiedy jest sam, siedzi z opuszczoną głową i cicho płacze. Lothar miał tylko jego. A teraz on miał wyjechać. Jens widział, że chłopak boi się rozstania i samotności.

Położył mu rękę na ramieniu i spojrzał w oczy.

– Nie wychylaj się za bardzo. Najważniejsze, żeby nas nie rozdzielili – powiedział cicho.

Lothar kiwnął głową i spróbował się uśmiechnąć. Ale jego życie wypełniała ciemność, mimo że ze wszystkich sił starał się tego nie pokazywać.

– Dasz sobie radę?

Lothar znów pokiwał głową. Był cholernie dzielny...

Walkie-talkie na stoliku zaszumiało. Gorman podniósł je, coś wymamrotał i zaczął nasłuchiwać. Potem położył urządzenie obok siebie na kanapie.

– Dwadzieścia minut, cipeczko! – zawołał do Jensa.

Jens miał przejechać całą trasę na próbę i dotrzeć na spotkanie we Florencji. To była część umowy. Pierwszy etap miał za sobą. Przepłynął statkiem handlowym z Kolumbii przez Morze Karaibskie aż do Miami. Razem z Lotharem leżeli na pokładzie, omawiali szczegóły logistyczne, grali w karty, relaksowali się i cieszyli, że choć na chwilę mogą odpocząć od Gormana, który przez całą drogę nie wychodził z kajuty, ćpając i oglądając pornosy.

Skórzana torba stała na zaścielonym łóżku. Leżały w niej ubrania na kilkudniową podróż. Jens przeszedł do łazienki i zaczął pakować kosmetyki.

Rzucił przy tym okiem w lustro. Blond włosy, wyraźna opalenizna, mocna budowa i zmarszczki, które zaczęły się pokazywać tu i tam. I ciemność, ta trudna do zdefiniowania ciemność. Częściowo musiała wynikać z nienawiści. W każdym razie tak obstawiał. Zawsze kiedy był sam, w głowie pojawiały się te same nachalne myśli. Zabić Gormana. Zabić Arona Geislera. Zabić Hectora Guzmana. To one dodawały mu sił i dzięki nim miał cel. Aron Geisler, najbliższy współpracownik Hectora, namierzył ich w Danii, wbił Sophie nóż w plecy i obrócił go, żeby ją zabić. Ale ona przeżyła. Jens znalazł ją na podłodze w kuchni. W karetce szepnęła mu na ucho imię napastnika. Wtedy obiecał sobie, że go zabije... jego i Hectora, który wysłał go, żeby skończył z Sophie.

Lothar stanął za jego plecami. Jens się odwrócił.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytał.

Hector... ojciec Lothara... To było problematyczne. Jens pomasaował sobie kark.

– Dziękuję, możesz to wszystko włożyć do kosmetyczki – powiedział.

Gorman wszedł do sypialni. Odwrócił torbę Jensa do góry dnem i wyrzucił na podłogę wszystkie starannie poskładane ubrania. Potem przeszukał wszystkie kieszenie torby i rzucił ją w kąt. Wpadł do łazienki, wyrwał Lotharowi kosmetyczkę, złapał chłopaka mocno za włosy, zaciągnął go do sypialni, spoliczkował i przewrócił na podłogę. Kompletnie bez powodu.

Nienawiść. Gorman był hieną. Jens chciał go zabić, zabić tę hienę, walnąć ją w kark...

Ale Lothar się podniósł tak szybko jak zawsze. W jego postawie było widać dumę, nie dawał się poniżyć. A Gorman nie wiedział, jak sobie z tym radzić. Próbował znaleźć równowagę. Padło na Jensa.

– Powiedz gówniarzowi, żeby przestał ze mnie żartować – szepnął Gorman. Stał teraz blisko niego. I ten jego oddech...

– On z ciebie nie żartuje – odparł Jens.

– Właśnie że tak, kiedy nie słyszę... Nie może.

Gorman dał krok w tył. Jens wyczuł w nim ogromną niepewność i desperację. Jak gdyby był dzieckiem, nad którym koledzy się znęcają, a gra toczy się o jego godność. Po chwili Gorman się opanował. Próbował ukryć moment słabości, zmienił temat.

– Wsadziłem Ernstowi kulkę w łeb, sam widziałeś. Ręka mi nie drgnęła. Zabicie go to dla mnie pryszcz. To samo zrobię z tobą i gówniarzem.

Uśmiechnął się, odsłaniając brzydkie, krzywe żółte zęby.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę – odparł Jens.

7

Paryż

SPOTKALI SIĘ na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Stanęli na środku zatłoczonej hali.

- Leevi – powiedział Aron.
- Aron – odparł Leevi głębokim jak otchłań głosem.

Zaczęli iść.

- Jest bardzo źle? – zapytał Leevi.
- Nic nam nie zostało.
- To znaczy, że jest źle – stwierdził.

Leevi Hannula. Był małomównym, melancholijnym Finem z wysokimi kośćmi policzkowymi. Kolegą Arona z Legi Cudzoziemskiej. W wielu potyczkach walczyli ramię w ramię i wyszli z nich cało, w każdym razie pod względem fizycznym. Ich drogi się rozeszły. Aron został gorylem Hectora Guzmana, Leevi – najemnikiem w prywatnych firmach ochroniarskich.

- Gdzie jest Hector?
 - Ukrywa się... Wszyscy się ukrywamy.
- Torowali sobie drogę wśród tłumu.
- A teraz chcecie z tym skończyć?
 - Taki jest plan.
 - Jak dokładnie wygląda?
 - Na razie jest bardzo niekonkretny.

– A w dużym zarysie?

– Opowiedz mi najpierw o tych facetach, z którymi mamy się spotkać.

Ludzie schodzili im z drogi.

– To dwaj bracia – wyjaśnił Leevi. – Peruwiańczycy, mieszkają w Limie, należeli do milicji, która w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych polowała na komunistów ze Świetlistego Szlaku. Potem pracowali jako najemnicy w różnych firmach ochroniarskich. Walczyłem razem z nimi w Iraku i Kongo-Kinszasie.

Aron rzucił na niego okiem.

– I co?

– Dobrzy w walce, ale prywatnie są trochę dziwni.

– Co masz na myśli?

– Są jak dzieci – wyjaśnił Leevi.

– Ile mają lat?

– Starsi od nas, dobrze po pięćdziesiątce. Ale idealni do twoich potrzeb.

– Czyli?

– Potrzebujesz dobrych ludzi, a nie przeciętnie dobrych.

– I?

– I takich, którzy nie budzą podejrzeń. Których nikt nie rozpozna i którzy nie są powiązani z żadną organizacją przestępczą.

– A wobec kogo są lojalni?

– Wobec nikogo... Siebie samych.

Podeszli do bramki. Tu i tam siedzieli podróżni.

Aron znalazł wolną, trzyosobową kanapę z widokiem na pas startowy. Leevi przyniósł dwie kawy i usiadł obok niego.

– Jaki jest plan, tak w ogólnym zarysie? – zapytał Fin, trzymając kubek z kawą w obu dłoniach, tak jak w terenie trzymał menażkę z zupą.

– Ma dwie części – wyjaśnił Aron i upił łyk kawy, parząc się w język.

- Pierwsza?
- Musimy kogoś przywieźć.
- Kogo?
- Syna Hectora.
- Hector ma syna?

Aron nie odrywał spojrzenia od boeinga 787 z logo Etihad Airways, który właśnie lądował.

– Tak – odparł po chwili. – Utrzymywał jego istnienie w tajemnicy. Wszystko zmieniło się pół roku temu.

- Jak ma na imię?
 - Lothar.
 - Gdzie przebywa?
 - Trzyma go u siebie Ignacio Ramirez.
- Leevi uniósł ze zdziwienia jedną brew.

– Ten boss narkotykowy?

Aron nie odpowiedział. Odruchowo przeciągnął ręką po swoich równo zaczesanych na bok włosach.

– Porwał go? – zapytał Leevi.

Aron pokiwał głową.

– Jak?

Boeing dotknął kołami pasa.

– Ralph Hanke i Don Ignacio się dogadali, żeby wysadzić Hectora z gry, przejąć nasze interesy, nasze kontakty, wszystko – wyjaśnił Aron. – Istnienie Lothara było przez lata trzymane w tajemnicy. Znaleźli go. Mieszkał z matką w Berlinie. Ją zabili, a jego porwali – dodał i wypił łyk kawy.

– W porządku – stwierdził Leevi. – Mamy odbić Lothara i oddać go ojcu. A potem?

– Potem weźmiemy to, co nasze. Plus jeszcze trochę. To druga część planu.

Przy wejściu zaroiło się od ludzi.

– Don Ignacio Ramirez? Ralph Hanke? – zapytał Leevi. – To potężni faceci, mają potężne grupy, dużo władzy, dużo pieniędzy... dobrą ochronę. Ja i jeszcze dwóch ludzi?

Aron patrzył w okno.

– Plus ja. Leszek, Sonya... I Hector.

– Nadal mało – stwierdził Leevi.

– Tak – szepnął Aron. – I tak zostanie.

– Dlaczego?

– Nie stać nas na to, żeby się odsłonić, jesteśmy na dnie. Ignacio i Ralph Hanke mają, niezależnie od siebie, czułki, którymi szukają Hectora. Wystarczy, że ktoś choćby szepnie, i po nas. Dlatego grupa musi być mała.

Pili kawę, przyglądając się samolotom, które przylatywały i odlatywały.

– Zmieniłeś się? – zapytał Leevi.

Aron spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Dziwne pytanie – stwierdził.

– Dziwna odpowiedź – odparł Fin.

– Postarzałem się.

– Ja też, tak jak cała reszta wszechświata. Ale chodzi o coś innego.

Cisza.

– Ostatnie pół roku dało mi w kość – powiedział Aron.

Leevi pokręcił głową.

– Przykro mi stary. To coś więcej. No już, gadaj.

Aron postawił pusty kubek na wolnym siedzeniu między nimi.

– Jedna kobieta straciła życie – powiedział po chwili.

– Piękna?

Aron się zastanowił.

– Możliwe, ale nie dla mnie.

– Wypadek? – zapytał Leevi.

„Wypadek” to było określenie tych, którzy przypadkowo znaleźli się na drodze kuli, niewinnych.

Aron pokręcił głową.

– Nie.

– A co się stało?

– Zabiłem ją – powiedział i rzucił okiem na Leeviego. – Nożem – dodał cicho, jakby pod wpływem impulsu, który kazał mu mówić.

Leevi zmrużył oczy.

– Dlaczego? – szepnął.

Aron poczekał, aż ucichnie ryk silnika samolotu.

– Miała na imię Sophie. Była kobietą Hectora. Kochał ją. Zdradziła nas, pracowała dla Hankego i Don Ignacia.

Leevi zauważył, że Aron się zawahał.

– Ale?

– Ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście tak było. Możliwe, że będę potrzebował twojej pomocy, jeżeli okaże się, że Hector albo ktoś inny dowie się, co zrobiłem.

– Nie powiedziałaś mu?

– Wie tylko, że ona nie żyje.

Leevi milczał.

– Sam podjąłem tę decyzję, musiałem – dodał Aron.

W jego głosie nie było już słyhać takiej pewności.

Głośnik zatrzeszczał. Kobieta z francuskim akcentem oznajmiła, że pasażerowie lotu numer czterysta osiemdziesiąt linii Air France do Limy za chwilę będą mogli wejść na pokład.

8

Praga/Sztokholm

SILNIKI ZAWYŁY, samolot przyśpieszył, pomknął przez pas startowy i wzbił się w powietrze. Koła wsunęły się w podwozie. Sophie zobaczyła, jak Praga pod nią znika. Przelatując przez chmury, samolot wpadł w turbulencje. Potem wzbił się wyżej i skierował na północny zachód.

Bała się latać. Nie cały czas, ale niepokój nigdy jej nie opuszczał. Ktoś powiedział jej, że to irracjonalny strach. Ale i tak go czuła.

Airbus wzbił się w błękitne, rozświetlone słońcem, spokojne niebo i wyrównał lot. Po chwili zgasła lampka nakazująca zapięcie pasów. Lecz Sophie ich nie odpięła. Podziękowała za napoje i przekąski. Dwie i pół godziny później wylądowała na skąpanym w słońcu lotnisku Arlanda.

Kolejka do odprawy sunęła wolno do przodu. Sophie przesuwiała w palcach swój czerwony paszport. Raz po raz otwierała go, żeby się upewnić, że wzięła właściwy.

Był wystawiony na nazwisko Sophie Brinkmann. Widniało w nim jej zdjęcie sprzed czterech lat. Znajdował się prawdziwy numer osobowy i podpis...

– Następny!

Celnik za szybą trzema palcami dał jej znak.

Przekroczyła białą linię, zrobiła cztery kroki i podała mu paszport.

Celnik zajrzał do niego, przyjrzał się jej, porównując ze zdjęciem, podsunął

paszport pod czytnik, a potem jej oddał.

– Witamy w domu – powiedział.

W chwili gdy wkraczała na teren Szwecji po raz pierwszy od pięciu miesięcy, informacja o niej popłynęła do serwerów policji i Urzędu Imigracyjnego, została przefiltrowana i zestawiona z jej nazwiskiem i numerem osobowym. Potem powędrowała w przestrzeń kosmiczną, obracała się w geostacjonarnym satelicie, żeby w końcu wrócić na Ziemię i trafić na serwer w Belgii. Tam została zaszyfrowana i przesłana do Interpolu w Lyonie i Europolu w Hadze.

Sophie wyszła do hali przylotów. Mężczyzna stał i czekał na nią tak, jak to było umówione. Miał zaczesane do tyłu szpakowate włosy, okulary w szylkretowych oprawkach i czujne spojrzenie. Zadbaną brodę, proste usta, garnitur i krawat, mimo że była połowa czerwca.

– To pan jest adwokatem – powiedziała.

– To pani jest Sophie Brinkmann – odparł.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Thomas Rosengren – przedstawił się mężczyzna.

Siedzieli w taksówce, która wiozła ich do Sztokholmu.

– Nic o pani nie wiem, znam tylko pani nazwisko – powiedział Rosengren.

– Nie wiem, jak mam panią reprezentować. Prawdopodobnie w ogóle, jeśli wziąć pod uwagę instrukcje, jakie otrzymałem.

Jego sztokholmski dialekt był tak wyraźny, że niemal beczelny. Ale Thomas Rosengren nie był beczelny. Był bezpośredni, wyrazisty i przystępny.

– Co pan o tym myśli? – zapytała Sophie.

– O tym, żeby nic nie robić?

– Chyba nie to znajdowało się w liście, prawda?

– Nie, w liście było napisane, żebym pani towarzyszył i nie odstępował

pani na krok aż do chwili, kiedy mi pani powie, że już nie jestem potrzebny.

– Zgadza się – odparła z delikatnym uśmiechem.

– Ale to wszystko jest postawione na głowie. Przecież nie wtajemniczając mnie, nic pani na tym nie zyskuje.

– Nie jest pan w stanie tego ocenić.

– Jasne, że tak, jeśli mam panią reprezentować jako adwokat.

– Może wcale mnie pan nie będzie reprezentować.

Adwokat mocno zmarszczył brwi.

– Pieniądze wpłynęły? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Dlaczego ja? – zapytał po chwili.

– Ponieważ jest pan znanym adwokatem.

– Bo jestem znany? Tylko dlatego? – zapytał i się roześmiał.

– Tak, tym razem tylko dlatego. Przykro mi – odparła.

Niemal się uśmiechnęła.

* * *

Dziwka klęczała na łóżku. Komisarz Tommy Jansson brał ją od tyłu. Poruszał się rytmicznie, podczas gdy kobieta jednostajnym i beznamietnym głosem powtarzała mu, że jest najlepszym i najsilniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała, i że ma dużego.

– Zamknij się! – wydyszał, koncentrując się na swoim orgazmie.

Zamknął oczy i próbował przywołać obrazy, które by mu pomogły dojść. Ale nie nadchodziły. Nie wiedział już nawet, co go jeszcze podnieca... Może nic... Domyślał się, że z dziwką musiało być podobnie. Ale chciał dojść, to był jego cel. Zwiększył tempo, zacisnął powieki, wyłączył myśli na tyle, na ile się dało. Teraz chodziło tylko o jedno...

W kieszeni spodni, które miał zawieszony wokół jednej kostki, zapiszczał

telefon.

– Noż kurwa... – syknął.

Przyśpieszył, dał sobie jeszcze kilka beznadziejnych sekund. Ale było po zawodach. Westchnął z niezadowoleniem, zszedł z dziewczyny, podciągnął spodnie, wygrzebał z kieszeni banknot pięciusetkoronowy i rzucił go na łóżko.

– Należy się tysiak – zaprotestowała.

– Dostaniesz następnym razem – mruknął.

Leżała na łóżku całkiem naga. Farbowane henną włosy, blada skóra, na ramionach blizny po nacięciach. Nazywała się Cassandra. Podczas jednego z pierwszych spotkań, parę miesięcy temu, powiedziała mu, że to znaczy „upadły anioł”.

Tommy zmrużył oczy, próbując odczytać maila w telefonie. Gdy patrzył z bliska, wszystko mu się rozmazywało. Przed dwoma miesiącami przestał z tym walczyć i sprawił sobie okulary do czytania. Zorientował się, że ma je na głowie. Opuścił je na nos i rzucił okiem na Cassandrę.

– I przestań tyle gadać, gdy się pieprzymy – powiedział. – Sto razy ci mówiłem, że na mnie to nie działa.

– Cholerny idiota – rzuciła, podniosła się z łóżka i zniknęła w łazience.

Wiadomość w telefonie Tommy’ego Janssona pochodziła z Europolu. To był automatycznie generowany mail z wysokim priorytetem. Tekst i informacja były związane. Tommy przeczytał, że numer paszportu i numer osobowy należące do poszukiwanej międzynarodowym listem gończym Sophie Brinkmann zarejestrowano niespełna godzinę wcześniej podczas kontroli paszportowej na lotnisku Arlanda.

Zwykle przejazd z przedmieścia do komisariatu w centrum Sztokholmu zajmował dwadzieścia pięć minut. Ale Tommy był w stanie pokonać trasę w piętnaście, jeśli włączył syrenę i korzystał z pasów dla autobusów.

Wybrał numer tego dupka, Eddiego Bomana. Eddie odebrał po dwóch

sygnałach.

– Czekaj na mnie przed komisariatem, będę tam za piętnaście minut – powiedział.

– Gdzie jedziemy? – wymamrotał Eddie.

– Nie twój interes – rzucił Tommy. Rozłączył się, zjechał na pas dla autobusów i dodał gazu.

Eddie Boman... Trzydziestoletni gliniarz, który pracował jako śledczy w zespole Tommy'ego. Wcześniej patrolował ulice, ale Tommy zwerbował go do Krajowej Policji Kryminalnej. Choć Eddie wcale nie znalazł się w jego zespole po to, żeby prowadzić śledztwa... Miał tylko robić to, co Tommy mu każe. Bo Tommy miał na niego cholernie dobrego haka.

Eddie stał i czekał przed skąpanym w słońcu komisariatem na Kungsholmen. Metr osiemdziesiąt wzrostu, barczysty, krótko obcięty. Otworzył drzwi i wsunął się na fotel obok kierowcy. Samochód wypełnił się wonią męskich perfum.

– Cholera, pachniesz jak jakaś francuska dziwka – powiedział Tommy. – Masz tego colta, którego ci dałem?

– Tak, w garażu podziemnym. Leży w schowku mojego samochodu – odparł Eddie cicho.

Colt, nielegalny pistolet, którego pochodzenia nie dało się ustalić. Tommy załatwił go od jednego Albańczyka, który w ubiegłym roku prowadził w centrum klub nocny. Dostał też paszport. Mógł się przydać, gdyby wszystko wzięło w łeb.

– Nabity?

– Tak... – wymamrotał Eddie.

Tommy zauważył w jego oczach błysk niechęci.

Transponder w wozie Tommy'ego otworzył kratę i zjechali na policyjny parking.

– Pojedziemy poszukać jednej osoby – oznajmił Tommy. – A gdy ją znajdziemy, zabierzemy na przejażdżkę po lesie. Wiesz, co mam na myśli?

Eddie pokiwał głową.

– *This is it, Eddie...* – dodał Tommy. – Potem będziemy kwita... a ty będziesz wolny.

Eddie nie patrzył na niego.

Odezwała się komórka Tommy'ego.

– Słucham – powiedział, odbierając.

– Czy rozmawiam z komisarzem Tommym Janssonem? – zapytała jakaś kobieta.

– Tak, ale jestem zajęty, będzie pani musiała...

– Nazywam się Sophie Brinkmann – przerwała mu kobieta.

Świat zamarł.

– Aha?

– Chcę się z panem spotkać.

Tommy odchrząknął.

– Razem z moim adwokatem czekam przy wejściu do komisariatu.

* * *

Sophie i Thomas Rosengren zostali zaprowadzeni do pokoju przesłuchań. Grube betonowe ściany. Drzwi zamknęły się z hukiem.

W środku stał kanciasty stolik i cztery przymocowane do podłogi krzesła. Usiedli obok siebie. W pomieszczeniu zapadła kompletna cisza.

– Kiedy przesłuchanie się zacznie, będę pana musiała prosić o opuszczenie pokoju – powiedziała Sophie.

– W jak duże tarapaty pani tak właściwie wpadła? – zapytał.

Przez chwilę myślała. No właśnie, w jak dużych tarapatach była? Znała odpowiedź. Przecholernie ogromnych.

– Dziękuję, że pan tu ze mną jest – powiedziała, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Dysponuję czasem. Może pani do mnie w każdej chwili dzwonić – oznajmił Thomas.

– Pewnie tak zrobię – odparła.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Tommy Jansson. Miał na sobie koszulę, sweter z dekoltem w serek, workowate dżinsy, a na czole okulary do czytania. Unikał wzroku Sophie. Witając się, uścisnął im ręce.

– Spotkaliśmy się już wcześniej – powiedział do Thomasa.

– Tak, widzieliśmy się parę razy na sali sądowej – odparł Thomas, gdy Tommy usiadł naprzeciwko nich. Potem odchrząknął. – Reprezentuję Sophie Brinkmann. Zanotowałem, że pan, Tommy Jansson, przeprowadzi teraz przesłuchanie mojej klientki, która poprosiła, żebym nie był przy nim obecny.

– Ach tak? – zdziwił się Tommy.

Thomas wstał i opuścił pokój przesłuchań.

Kiedy drzwi się zamknęły, zapanowała osobliwa cisza.

– Czyli adwokata nie będzie? – zapytał Tommy i się zaśmiał. – A to nowość.

Sophie nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego i na moment Tommy się speszył. Potem się opamiętał, spojrzał w papiery i odchrząknął.

– Sophie Brinkmann... Poszukiwana międzynarodowym listem gończym. Nie jesteś podejrzana o żadne konkretne przestępstwo, ale możesz być świadkiem wydarzeń, w sprawie których prowadzimy śledztwo. Większość z nich ma związek z Hectorem Guzmanem...

– Tommy? – przerwała mu.

– Tak?

Pokazała róg pokoju.

Spojrzał w stronę kamery, która się w nich wpatrywała.

– Nagrywa? – zapytała.

– A bo co?

Czekała na odpowiedź.

– Nie. Nie jest włączona.

Pokazała mikrofony, które wystawały ze stołu. Pokręcił głową.

– Też nie działają.

Sophie przyjrzała się mężczyźnie przed sobą. Czarne, nieco zbyt długie włosy, tu i ówdzie naznaczone siwizną, przedziałek na bok. Zadbane wąsy, których końce opadały na kąciaki ust. I oczy. Puste, niemal martwe.

– Opowiem ci pewną historię. Chciałam cię prosić, żebyś jej wysłuchał – powiedziała.

W Tommym zaczęło narastać szyderstwo, na jego usta wypełził pozbawiony radości uśmiech, a oczy pociemniały. Rozparł się na krześle.

Sophie odniosła wrażenie, że patrzy na prawdziwą twarz Tommy'ego Janssona. Tę, która odzwierciedla jego wnętrze – szyderczą i na wskroś zgorzkniałą. Wszystkie wariacje w jego sposobie bycia, które widziała w ciągu tej krótkiej chwili, były jedynie grą. Oficjalny, doświadczony, sympatyczny, przystępny... To były wyćwiczone do perfekcji pozy, po które sięgał, kiedy tego wymagała sytuacja. Bo Tommy Jansson wiedział, co robi. Był strategiem. Grał lepiej od najlepszego aktora. Inaczej nie przeżyłby aż tak długo...

Ale teraz na krótką chwilę dał sobie spokój z maską, która odrobinę zsunęła mu się z twarzy. Pełen pogardy i rozgoryczenia siedział tak otoczony bezgranicznym i zniekształcającym wszystko mrokiem, któremu na chwilę się poddała. To był koszmarny mrok, przekraczający wszelkie pojęcie.

– Ponad rok temu spotkałam Hectora Guzmana – zaczęła opowiadać. – Trafił do szpitala, w którym pracowałam jako pielęgniarka. Został potrącony przez samochód w centrum Sztokholmu.

Tommy słuchał. Pogarda ustąpiła miejsca zainteresowaniu.

– Został wypisany, zaczęliśmy się spotykać. Skontaktowała się ze mną twoja koleżanka, Gunilla Strandberg. Domagała się ode mnie informacji o Hectorze i jego grupie.

– I dostarczałaś ich? – zapytał.

Teraz zachowywał się jak zwykły policjant w czasie przesłuchania...

– Przekazywałam jej tylko nieistotne szczegóły o ludziach z jego otoczenia, bo nic nie wiedziałam i nie miałam jej co dać. Ale nie miało to najmniejszego znaczenia, bo Gunilla i jej brat, Erik, który też prowadził dochodzenie przeciwko Hectorowi, byli skorumpowani. Stworzyli grupę, która pracowała bez jakiegokolwiek nadzoru policji. Działali tak od bardzo dawna, podczas większości śledztw... Defraudowali ogromne sumy. Tym razem chcieli pieniędzy Hectora.

Uważnie przyglądała się twarzy Tommy'ego. Uniósł brew, wyglądał na zdziwionego. Udawał. Wiedział o wszystkim.

– Ludzie Gunilli potracili mojego syna, gdy próbowali go porwać, żeby móc mnie szantażować. Złamał kręgosłup i wylądował na wózku.

Tommy udawał poruszonego.

– Cholera... – szepnął.

– W tym samym czasie Gunilla i jej ludzie zmusili Hectora, żeby im zapłacił za ochronę. Dzięki tym pieniądzom miał mieć zielone światło na działanie w Sztokholmie. Przekazanie pieniędzy miało się odbyć w restauracji Trasten na Vasastan.

Twarz Tommy'ego się zachmurzyła.

– Ale nie doszło do przekazania pieniędzy. Wybuchła strzelanina i Hector uciekł.

Tommy zmrużył oczy.

– W grupie Gunilli był pewien człowiek – ciągnęła Sophie. – Nie

pozwolili mu w tym wszystkim uczestniczyć. Wprowadzili go w błąd. Zlecali mu różne rzeczy, a on myślał, że naprawdę rozpracowują Guzmana.

Zrobiła przerwę, spojrzała Tommy'emu w oczy.

– Nazywał się Lars Vinge – powiedziała.

Tommy patrzył na nią obojętnym wzrokiem.

– Wiesz, do czego zmierzam? – zapytała.

Gapił się na nią. Nieznacznie wzruszył ramionami, na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Pogarda wróciła.

– Lars Vinge z czasem zrozumiał, że coś się nie zgadza. W tajemnicy zaczął rozpracowywać swoją szefową, Gunillę. Gunilla chciała, żeby mnie obserwował i podsłuchiwał, ale on zaczął śledzić ją. Zaczął odkrywać prawdę. Gunilla i jej grupa kradli pieniądze. Skontaktował się z tobą. Byłeś szefem jego szefowej. Oddanym i prawym policjantem, ulepionym z właściwej gliny. Przekazał ci te dowody, które udało mu się zdobyć... Zaufał ci.

Tommy rzucił obojętnym wzrokiem na zegarek.

– Dał ci sportową torbę. Zgromadzone w niej materiały dowodziły, czym w ciągu minionych lat zajmowała się twoja stara przyjaciółka i koleżanka po fachu. Zdziwiłeś się, naprawdę nie miałeś o tym pojęcia, nic nie widziałeś, nic cię nawet nie zastanowiło... Może nawet poczułeś się trochę głupio, co, Tommy? Poczułeś się oszukany?

Jego oczy nagle pociemniały. Szybko i mocno podrapał się w policzek. Potem w brodę.

– Byłeś rozdarty. Twoja żona, Monica, chorowała na stwardnienie zanikowe boczne. Choroba postępowała szybko. Nagle pojawiły się pieniądze. Duże pieniądze. Mogłeś je mieć. Może mogły uratować jej życie?

Tommy skrzyżował ramiona na piersi.

– Dokonałeś wyboru. W tamtej chwili postanowiłeś pójść inną drogą.

Tommy odwrócił wzrok.

– Może ty i Gunilla pojechaliście razem do Larsa Vingego. Może ona zjawiała się tam, kiedy ty już tam byłeś, a może było na odwrót. Ale to ty zastrzeliłeś ich oboje w domu Larsa. Upozorowałeś wszystko tak, że wyglądało na porachunki. Jakby Lars zamordował swoją szefową, a potem odebrał sobie życie.

Ramiona Tommy'ego uniosły się odrobinę.

– Skończyłaś już? – zapytał.

– Zdobyłeś pieniądze, które Gunilla zdefraudowała w ciągu wielu lat, mnóstwo pieniędzy – ciągnęła Sophie ze spokojem. – Z zagranicznych, dość bezpiecznych kont część przelałeś sobie, ale całkiem sporo podarowałeś różnym instytutom i naukowcom na badania nad stwardnieniem zanikowym bocznym. Tyle że nic już nie mogło pomóc twojej żonie. Jednocześnie robiłeś wszystko, by chronić siebie samego. Każdy, kto mógł stanowić dla ciebie zagrożenie, ginął...

W pokoju przesłuchań zapadła cisza.

Tommy był wyprowadzony z równowagi. Widziała to, mimo że ze wszystkich sił starał się tego nie pokazywać. Oparł ręce na podłokietnikach. Wyglądało to dość nienaturalnie. Ale nie zmienił pozycji. Pokazał drzwi wejściowe.

– Moi ludzie tam są? I ostrzą sobie zęby na starego szefa, gotowi, by rozerwać mnie na strzępy?... – zapytał i spróbował się uśmiechnąć. Ale mu się nie udało.

– Nikogo tam nie ma. Jesteśmy tylko ty i ja – odparła.

Znowu skrzyżował ręce.

– Czego chcesz? – szepnął. W kącikach ust miał ślinę.

Sophie poczekała parę sekund i powiedziała:

– Chcę, żebyś znalazł Hectora Guzmana i Arona Geislera. Jako policjant,

użyj międzynarodowych, oficjalnych kanałów. Zrób to dobrze.

Tommy się jej przyglądał. Był zaskoczony.

– A kiedy ich znajde?

– Poślij ich do więzienia.

– Tak po prostu?

– Masz śledztwo. Zakończ je, wysłuchaj owacji i żyj sobie dalej.

– Nie mam żadnych dowodów przeciwko Guzmanowi, w każdym razie mam ich za mało.

– Jeśli o to chodzi, będę mogła ci pomóc – powiedziała.

Tommy przyglądał się jej badawczo.

– A wolno mi zapytać, dlaczego chcesz posłać Guzmana i Geislera za kratki?

– Nie – odrzekła głuchym głosem.

Na chwilę zapadła martwa cisza.

– A co, jeśli mi się nie uda? – zapytał w końcu Tommy.

Pochyliła się, wyjęła plik papierów, położyła je na stole i oparła na nich dłoń.

– Wszystko to, co przed chwilą opowiedziałam, jest tutaj. Czarno na białym. To solidny materiał dowodowy, Tommy. Zaczyna się od namierzania pieniędzy, potem są dowody na zamordowanie Gunilli Strandberg i Larsa Vingego...

Tommy siedział w bezruchu.

– Wygląda na to, że potem szedłeś już siłą rozpędu. Zaginięcia i morderstwa. Między innymi mam tu pisemne zeznanie mówiące o tym, jak próbowałeś utopić Milesa Ingmarssona, jak w Danii zabiłeś Antonię Miller... i tak dalej...

Przez chwilę milczeli.

– Miles... – powiedział Tommy niemal rozbawiony. – To on za tym stoi?

Nie odpowiedziała.

– Pomyliłem się co do niego. Udawał kogoś, kim nie był – stwierdził Tommy.

– Powinieneś coś o tym wiedzieć – odparła, podniosła się, wzięła torebkę i wyszła, w ogóle na niego nie patrząc.

Tommy zamknął oczy i ścisnął nasadę nosa. Od takiej ciszy każdy by oszalał. Ten pokój specjalnie został tak zaprojektowany. Był wyciszony, klaustrofobiczny. Tyle że na tej pielęgniarce nie zrobiło to najmniejszego wrażenia...

Sophie Brinkmann... Była spokojna, inteligentna, zdecydowana.

Wytarł usta. Nie przyszło mu do głowy, że to babsko potrafi samodzielnie myśleć.

A najwyraźniej potrafiło.

Działała ze spokojem i bezgraniczną pewnością siebie, jakby przejrzała go na wylot. Sprawiała takie wrażenie, jakby obca jej była wszelka gra i udawanie. Silna, twarda i bez pardonu. Tak niesamowicie inteligentna, że czuł się od niej gorszy pod każdym względem... A to jej spojrzenie... Jakby widziała już więcej, niż człowiek był w stanie znieść w ciągu całego życia.

I jak, do cholery, udało jej się zdobyć informacje na temat wszystkich jego przelewów między bankami na całym świecie?

Powiedziała, że jak pośle Hectora za kratki, będzie wolny. Czy to właśnie była ich umowa? Czy to było możliwe? Pozwolą mu się wywinąć? Raczej nie...

Coś go rozpiekało, jakaś siła, która mówiła mu: „Wstań, idź za nią, znajdź okazję, wsadź jej kulkę w głowę i zakop w lesie”. Ale inny głos mówił: „Zostań, uspokój się, poczekaj na lepszy moment”. Nie przyszłaby tu, gdyby nie czuła się zupełnie bezpieczna.

Spojrzał na stos papierów, które zostawiła. Podniósł leżącą na wierzchu

pusztą kartkę. Pod nią zobaczył wszystko to, o czym mu opowiedziała. Dowód na to, że był mordercą. Szczegółowe informacje na temat przyczyn śmierci Gunilli Strandberg i Larsa Vingego. Historię przelewów pieniędzy, które zabrał Gunilli.

Przerzucał kolejne kartki.

Materiał nabierał rumieńców. Zeznania Milesa Ingmarssona dotyczące zabójstwa jego koleżanki z pracy, Antonii Miller, i próby zabójstwa samego Milesa. Urzędowy język, wyważony, profesjonalny. Niemal dramatyczny. To była istna kopalnia złota dla prokuratora i prasy. Materiał wystarczyłby, żeby posłać go na stryczek. Co najmniej trzy razy. A o samej Sophie nie było ani jednego słowa.

Tommy Jansson odchylił się na oparciu i zapatrzył przed siebie pustym wzrokiem. Nieświadomie zaczął pukać knykciami o podłokietnik. Wypuścił powietrze. Kurwa, ale się pomylił co do tej baby. Zadzwoił do Eddiego.

– Jedź za nią – wychrypiał i się rozłączył.

* * *

Biała drewniana willa położona na wzgórzu dziesięć kilometrów na północ od komisariatu w Sztokholmie prezentowała się bardzo miło. Dom sprawiał wrażenie przyjaznego. Wszędzie panował zgrzebny ład. Jakby wszystko – dom, ogród, ziemia i niebo – żyło w symbiozie. Skończoność. Jej dom rodzinny.

Taksówka zaczęła zjeżdżać ze wzgórza. Sophie stała chwilę na drodze przed domem. Wszystko się zieleniło i kwitło. Czerwiec. Chyba najpiękniejszy miesiąc w roku. Kiedy szła w stronę drzwi wejściowych przez zacieniony i zaciszny ogród, czuła zapach czeremchy i słyszała śpiew ptaków.

Yvonne i Tom nigdy nie zamykali drzwi.

Weszła do korytarza.

– Halo? – zawołała bez przekonania.

Po schodach zbiegł Rat, kundlowaty terier, zły na wszystko i wszystkich. Szczekał, mimo że nikt nie zwracał na to uwagi. Umilkł, gdy usłyszał, że ktoś idzie ku nim od strony kuchni. Sophie zobaczyła matkę.

– Boże – szepnęła Yvonne.

– Cześć, mamó.

Yvonne stała nieruchomo.

– Albert? – zapytała.

– Albert ma się dobrze...

Nie przytuliła jej, nic nie zrobiła. Po chwili rozległ się stukot łap Rata, który zaczął wspinać się po schodach.

– Gdzie Tom? – zapytała Sophie.

– Pojechał odwiedzić swojego syna – wyjaśniła Yvonne. Potem potrząsnęła głową, jakby nie wiedziała, czemu w takiej sytuacji odpowiada na takie banalne pytania. – Co tu robisz? Gdzie ty byłaś? – zapytała.

W głosie swojej starej matki Sophie wyczuła rozpacz. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo Yvonne odwróciła się i ruszyła korytarzem.

W kuchni pachniało tymiankiem. Sophie usiadła na długiej ławie przy masywnym rustykalnym stole.

– Mamó?

– Tak?

– Powiedz coś.

– Co chcesz, żebym ci powiedziała?

– Cokolwiek.

Yvonne odwróciła się i wytarła ręce w ścierkę. Patrzyła na nią ze spokojem. Pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Położyła ścierkę na blacie. Była stara, więc poruszała się wolniej.

– Bo jestem zła. A nie chcę taka być.

– Bądź.

– Nie mam na to siły.

Okno za plecami Sophie było uchylone. Słyszała brzęczenie owadów i śpiew ptaków.

– Dlaczego tu przyjechałaś, Sophie?

– Nie wiem.

– To nie jest odpowiedź.

Nie tego się spodziewała. Może liczyła na otwarte i pocieszające ramiona matki? Ale w sumie dlaczego? Yvonne nigdy nie była taką matką. A Sophie nigdy nie była córką, której by na tym zależało.

– Albert został potrącony przez samochód. Zniknęłaś bez słowa, potem wróciłaś. Próbowалам do ciebie dotrzeć, ale trzymałaś się na dystans. Zrozumiałam, że masz kłopoty. Próbowалам cię pytać, dowiedzieć się, o co chodzi, pomóc ci. Nie pozwoliłaś mi, byłaś bezwzględna i chłodna. Dostosowałam się, przestałam pytać. Martwiłam się, czułam niewystarczająco dobra... Stałam jak idiotka, nic nie mówiłam. Udawałam, że nic się nie dzieje.

– Yvonne opuściła wzrok. – Cały czas udawałam, że nic się nie dzieje. Bóg mi świadkiem, że jestem w tym dobra. Od dziesięcioleci ta umiejętność była w mojej rodzinie udoskonalana. Przekazywana z pokolenia na pokolenie, przechodziła z rodziców na dzieci i nikt nigdy jej nie kwestionował. –

Spojrzała Sophie w oczy. – Nienawidzę tego... i wszystkiego, co się z tym wiąże...

– Myślałam, że rozumiesz – powiedziała Sophie.

– Jak mogłam rozumieć, skoro nic nie mówiłaś?

– Zrobiło się niebezpiecznie, stanowczo zbyt nagle...

– Tyle rozumiałam – dodała Yvonne. – I jednocześnie nie rozumiałam.

Mogłam się tylko domyślać i ustosunkowywać do moich domysłów. Nadal to robię.

Sophie nie odpowiedziała.

– Istnieją inne sposoby – ciągnęła Yvonne. – Rozmowa, znak. Choćby aluzja, że wszystko jest w porządku... A nie kompletne milczenie.

– To nie kwestia wyboru – odparła Sophie.

Yvonne rozchyliła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz zrezygnowała. Może coś zrozumiała, bo się zatrzymała i milczała. Cisza zadziałała jak hamulec. Wszystko zwolniło.

– Przepraszam, mamó – szepnęła Sophie.

– Przepraszam, Sophie – wyszeptała Yvonne.

Żadna z nich nie wiedziała, za co przepraszają, ale złapały świeży oddech i odzyskały równowagę.

Sophie patrzyła na matkę, gdy ta poddała się zmęczeniu i smutkowi, a potem otarła sobie policzki.

Kiedy Sophie dorastała, matka była uzależniona od opinii innych, próżna i zajęta sobą. Energię do życia czerpała głównie z uzalania się nad sobą, zwłaszcza po śmierci ojca Sophie. Ale teraz, od roku, po wypadku Alberta i po tym, jak nad Sophie zawisło nieokreślone zagrożenie, coś się w niej zmieniło. Produkty uboczne jej osobowości, narcystyczne śmieci, których od lat się trzymała – skoncentrowanie na sobie, ciągłe dowartościowywanie się, potrzeba bycia w centrum uwagi, widzenie tunelowe – wszystko to zniknęło. Pojawiła się nowa osoba. Bliższa ziemi. Ktoś, kogo Sophie pamiętała z dawnych lat i za kim tęskniła.

– Prawie dokładnie rok temu poznałam w szpitalu Hectora Guzmána – powiedziała. – Zjawił się na moim oddziale po tym, jak potracił go samochód... – Myślami cofnęła się w czasie. Patrzyła w stół niewidzącym wzrokiem. Yvonne słuchała. – Był uroczy... troskliwy – dodała. – Łatwo się

z nim przebywało, łatwo można było go polubić. Po dwóch dniach został wypisany, zaprosił mnie na lunch, zaczęliśmy się spotykać. – Podniosła wzrok i spojrzała na matkę. – Prawie natychmiast skontaktowała się ze mną policja, a dokładnie Gunilla Strandberg. Prowadziła śledztwo w sprawie Hectora. Chciała, żebym przekazywała jej informacje. Mówiłam to, co wiedziałam. Ale nie miało to najmniejszego znaczenia dla żadnej ze stron. W zasadzie chodziło o same nazwiska. Tyle że policja nie dawała za wygraną, chcieli więcej... Jednocześnie zbliżyłam się do Hectora, zaczął dla mnie coś znaczyć...

Do kuchni przyszedł Rat. Zatrzymał się przy drzwiach, powęszył w poszukiwaniu zagrożeń, a potem położył pod stołem, koło stóp Sophie.

– Do Sztokholmu przyjechało dwóch mężczyzn. Porwali Hectora, wywieźli go do lasu i mu grozili. W samym środku tego chaosu pojawił się Jens Vall. Pamiętasz go?

Yvonne wyglądała na zaskoczoną. Szukała w pamięci.

– Jens Vall? Tak, chyba tak... Jens Vall – powtórzyła. – Twój chłopak, prawda? Mieszkał na szkierach? Parę razy był u nas na obiedzie. Czasem u niego zostawałaś. Kiedy to było?

– Dawno temu. Mieliśmy po kilkanaście lat – dodała Sophie.

Yvonne chyba go pamiętała.

– I tak po prostu się pojawił?

– Tak, szukał najbliższego człowieka Hectora, ale chodziło o zupełnie inną sprawę. Jens pojechał z nami. Znaleźliśmy Hectora i go odbiliśmy. To wtedy wszystko się skomplikowało. Za dużo wiedziałam, za dużo widziałam. Nie było odwrotu.

– A co z policją? Opowiedziałaś im o wszystkim?

Sophie pokręciła głową.

– Nie.

– Dlaczego?

– Założyli mi podsłuch.

– Kto?

– Policja.

Yvonne nie rozumiała.

– W całym domu były pluskwy. Mikrofony i kamery śledziły każdy mój krok. Policja działała nielegalnie.

Rat cicho zawarczał. Yvonne go uciszyła.

– Mów dalej – poprosiła.

– Wypadek Alberta... Przejechało go dwóch policjantów z grupy Gunilli.

Paraliż, z którym ani ona, ani Albert nie potrafili sobie poradzić.

– Trasten, ta restauracja na Vasastan. Czytałaś o niej w gazetach?

Yvonne pokiwała głową.

– Tak – szepnęła.

– Byłam tam. Widziałam, jak giną ludzie... – Wspomnienia wirowały jej w głowie. – Razem z Hectorem uciekliśmy ze Szwecji. Poleciliśmy do Malagi i samochodem ruszyliśmy do Marbelli, do domu jego ojca. Na autostradzie zostaliśmy napadnięci. Ostrzelali samochód, którym jechaliśmy. Hector został ranny, zapadł w śpiączkę. W tym samym czasie jego ojciec został zabity w swoim własnym domu. Podjęto odpowiednie kroki. Hector został przewieziony w bezpieczne miejsce w górach, w którym miał zapewnioną opiekę. Zostałam przy nim. Nie mogłam wrócić do Szwecji. Policja by mnie zabiła.

Yvonne przesunęła palcami po obojczyku. Patrzyła w ziemię.

– Policyjna grupa się rozpadła. Kilka osób zginęło, kilka zniknęło. Nagle okazało się, że mogę wrócić do Szwecji i do Alberta. Rozumiałaś, że coś jest bardzo nie w porządku. Ale nic nie mówiłaś. Milczałaś i...

Yvonne się zakołysała, jakby uderzył w nią podmuch wiatru. Złapała się za skroń.

– Muszę usiąść – wyszeptała.

Sophie wstała i wzięła matkę pod rękę. Miała wrażenie, że Yvonne jest krucha i delikatna. Pomogła jej dojść do krzesła. Nalała wody do szklanki, postawiła ją przed matką i usiadła naprzeciwko niej.

– Nie opowiadać dalej?

Yvonne była blada. Wypiła łyk wody i pokręciła głową.

– Nie, kontynuuj – odparła. – Chcę wiedzieć.

* * *

Eddie Boman pojechał za Sophie do Djursholm. Widział, jak wchodzi do willi. Przeszedł się wokół domu i zobaczył, że Sophie i jakaś starsza kobieta, prawdopodobnie jej matka, siedzą w kuchni. Pod osłoną krzaków dotarł pod ścianę willi. Okno było uchylone. Usiadł na ziemi, opierając się plecami o mur, i próbował usłyszeć, o czym rozmawiają. Docierały do niego zaledwie pojedyncze słowa. Wypływały z kuchni i ginęły w szumie lekkiego wiatru, ale niektóre był w stanie wychwycić. Zapisywał je w telefonie.

Nie wiedział, kim była Sophie Brinkmann. Tommy nigdy nic mu nie mówił. Może i dobrze, ułatwiało mu to potem robotę. Ale jednego był pewien. Chodziło o Sophie Brinkmann i gra będzie brudna.

Zapisywał wszystko to, co słyszał. Zdania zyskiwały sens. Pojedyncze fragmenty zaczęły nabierać kształtu i nawet jeśli był niezbyt wyraźny, to Eddie i tak był pewien, że Sophie tkwiła po uszy w gównie... To była grubsza sprawa. Skojarzył nazwisko Hectora Guzmana, skojarzył Gunillę Strandberg, która rozpracowywała Guzmana i zginęła, zastrzelona przez Larsa Vingego. Skojarzył restaurację Trasten, w której miała miejsce krwawa łaźnia. Eddie czytał o tym wszystkim w gazetach... Ale o niej nic nie pisały... O tej całej Sophie Brinkmann...

* * *

Łokcie na stole, spojrzenie wbite w nieokreślony punkt.

– Kiedy Hector zapadł w śpiączkę, jego najbliższy człowiek, Aron, nie wiedział, jak mnie traktować – powiedziała Sophie. – Byłam zagrożeniem dla niego i dla całej organizacji, bo za dużo wiedziałam. Zabiłby mnie, gdyby nie to, że Hector mnie kochał. – Sophie spojrzała w przestrzeń przed siebie. –

Dlatego związał mnie z organizacją. Zmusił do tego, żebym dla nich pracowała, żebym we wszystkim uczestniczyła. Dzięki temu mógł mnie kontrolować. – Spojrzała matce w oczy. – Prowadziłam podwójne życie, jeździłam po świecie jako gwarancja dla interesów Hectora, kłamałam ich partnerom, mówiłam, że wszystko jest w porządku. Wszystko, żeby ocalić życie swoje i Alberta. Codziennie modliłam się o to, by Hector wyzdrowiał. Gdyby umarł, Aron od razu by nas zabił. Nasze życie wisiało na włosku, Hector był w kiepskim stanie.

Sophie zamilkła. Dobiegły ją odgłosy z dworu, które napływały przez otwarte okno. Kos śpiewał w koronie sosny. Inne ptaki też świergotały. Wcześniej potrafiła rozróżniać ich głosy, nauczył ją tego tata... Ale teraz już wszystko zapomniała.

– Powinno być łatwe – powiedziała.

– Co takiego? – zapytała Yvonne.

– Życie. Na początku wydawało się takie proste.

Rat znów zawarczał. Niski gardłowy dźwięk zaczął przybierać na sile i przechodzić w szczekanie. Yvonne znów udało się go uciszyć.

– Tak jest z większością ludzi – stwierdziła Yvonne. – A potem wszystko się zmienia.

„A potem wszystko się zmienia...”. Te słowa dźwięczały Sophie w głowie.

– Starzeję się – oznajmiła Yvonne i cicho odchrząknęła. – Z wiekiem rzeczy się zmieniają. Obrazy i wspomnienia zacierają się i jednocześnie nabierają ostrości... Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić. – Yvonne zmrużyła oczy

i spojrzała w okno za plecami Sophie. – W każdym z nas jest coś z ofiary.

Słowa matki ją zabolęły, chciała powiedzieć coś na swoją obronę, ale matka ją ubiegła:

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Sophie. Że tylko ja mam w sobie ofiarę... Tyle że to twój sposób radzenia sobie z tym, wmawianie sobie czegoś przeciwnego, zachowywanie się tak, jakbyś była od tego wolna, tylko dlatego że tak wyraźnie widziałas ofiarę we mnie... A nie do końca tak było...

Sophie czuła, że ma na oczach klapki, których nie potrafi odsunąć. Chciała spróbować zrozumieć.

– Byłaś kimś innym... wcześniej – ciągnęła Yvonne.

– Wcześniej, czyli kiedy?

– Zanim umarł tata.

Sophie czekała.

– Byłaś wesoła, otwarta, cały czas mówiłaś, zadawałaś pytania... nie bałaś się. Nie chciałaś się nauczyć wiązać butów... Nie miałaś czasu na takie rzeczy. Kipiałaś życiem, zawsze chodziłaś w spodniach. Nie odstępowałaś ojca na krok... A ja byłam zazdrosna.

Sophie podniosła wzrok i spojrzała na Yvonne.

– O mnie i tatę?

Yvonne pokręciła głową.

– Nie, o to, że byłaś wolna, że to potrafiłaś... Kiedy Georg odszedł, coś w sobie wyłączyłaś. Stworzyłaś skorupę, ochronę. Cena była wysoka. Wolność musiała zniknąć. – Yvonne chwyciła szklanę, przysunęła ją do siebie i zatopiła w niej spojrzenie. – A kiedy odszedł, nie pomogłam ci. Byłam zajęta własną rozpaczą i niezdolnością radzenia sobie w życiu... Bardzo wiele wtedy zniszczyłam... A ty zamknęłaś się jeszcze bardziej...

Yvonne do czegoś zmierzała. Sophie słuchała uważnie.

– Kiedy David zachorował... – powiedziała Yvonne.

David. Mój mąż, tata Alberta, pomyślała Sophie.

– Zamknęłaś się jeszcze bardziej, może z przyzwyczajenia. On cię potrzebował.

– Miał inną – odparła Sophie.

Yvonne pokiwała głową.

– Wiem... Domyślałam się, jak musiałaś cierpieć... Ale nie wtedy, już nie.

– Miał opiekę, jakiej potrzebował.

Yvonne uważnie się jej przyjrzała, pokręciła głową.

– Nie – szepnęła.

Sophie poczuła się nieswojo. Yvonne mówiła dalej:

– Karałaś go milczeniem, kiedy próbował prosić cię o wybaczenie, zbliżyć się do ciebie.

Sophie objęła się ramionami.

– Do czego zmierzasz, mamó? – zapytała.

– A potem David umarł. Po prostu poddał się chorobie i zniknął. Wydaje mi się, że nie byłaś na to przygotowana. Jakoś sobie z tym radziłaś, załatwiałaś sprawy, opiekowałaś się Albertem. Ale cały czas byłaś otoczona powłoką ochronną, nikogo do siebie nie dopuszczałaś, milczałaś, nie okazywałaś emocji. Odważnie walczyłaś o to, żeby na zewnątrz nie popełnić żadnego błędu. Załatwiałaś sobie rodzaj uczuciowego alibi. Lecz okropnie cierpiałaś, nikogo i niczego do siebie nie dopuszczałaś.

Sophie opuściła ramiona. Spojrzała na swoje dłonie, które wylądowały na kolanach, i zobaczyła, że je splotła.

– Wróciło szare życie – stwierdziła Yvonne. – To, co smutne i tragiczne, rozplynęło się i zostało zastąpione przez nieokreśloną nicość. Poczucie winy nie opuszczało cię ani na chwilę, nawet jeśli wydawało ci się, że go nie widać. Ja je widziałam. Nadal widzę.

Sophie cofnęła się w czasie. Ogarnęła ją fala mdłości.

– Nigdy go nie kochałam – powiedziała bez zastanowienia. – Chciałam tego życia, które mógł mi zaoferować, ale i tak odgrywałam ofiarę, gdy gdzie indziej poszukał sobie tego, czego nie mogłam mu dać... Okłamuję Alberta, podejmuję błędne decyzje, narażam innych, żeby chronić siebie samą. Jestem samolubna... Jestem zła...

Spojrzała na matkę.

– Jak każdy – odparła Yvonne. – Każdy ma w sobie trochę dobra i zła. Równocześnie.

W Sophie coś drgnęło.

– Może powinnaś im ulec – powiedziała Yvonne. – Twoim mrocznym stronom, tym, które nazywasz złymi. Niech twoje rany krwawią. Wykorzystaj to teraz, kiedy tego potrzebujesz najbardziej. – Spojrzała Sophie w oczy i mówiła dalej: – Przeszłości już nie ma. Odeszła, przyszłość nie istnieje. Jest tylko to, co teraz. Kocham cię, Sophie. Jestem z ciebie dumna. Nawet jeśli tego nie dostrzegasz, dojrzałaś dzięki temu wszystkiemu. Twoje życie stało się chyba dokładnie takie, jakiego się nie spodziewałaś. Ale w nim tkwisz... Albert też... Macie siebie, i wszystko będzie dobrze...

Sophie siedziała z głową opartą na ręce i gapiła się w stół. Sekundy mijały.

– Mamo... – szepnęła w końcu, tłumiąc płacz.

– Kochanie – westchnęła smutno Yvonne z czułością i cichą rozpaczą w głosie.

Usiadła obok Sophie i mocno ją przytuliła. Siedziały tak długą chwilę. Potem matka pocałowała Sophie w policzek, ostrożnie go pogłaskała, wstała i wyszła z kuchni.

Sophie słuchała, jak odgłos kroków zamiera gdzieś w domu. Czas płynął. W głowie wirowały jej myśli. Kiedy za oknem zapadła delikatna letnia noc, Sophie weszła po schodach do swojego panińskiego pokoiku. W małej łazience, dzięki której jako nastolatka czuła się niezależna, były te same tapety

od Laury Ashley.

Umyła zęby nad małym zlewem, rozebrała się przy łóżku i spojrzała w duże lustro w ramie z czereśniowego drewna. Odwróciła się o pół obrotu i spojrzała na bliznę, którą miała po lewej stronie pleców, na dole. To tam Aron wbił jej nóż, kiedy ubiegłej zimy próbował ją zabić na Jutlandii.

Wsunęła się w świeżą pościel, szorstką od krochmalu. Była chłodna i pachniała lawendą, dokładnie jak wtedy, kiedy była dzieckiem.

Długo leżała i wpatrywała się w półmrok, a sens słów Yvonne powoli do niej docierał.

* * *

Eddie Boman stał z zadartą głową w ciemnościach w ogrodzie Yvonne i wpatrywał się w okno sypialni, w którym Sophie przed chwilą zaciągnęła zasłony.

Zapisał w swoim telefonie tyle, ile mógł z rozmowy Sophie z matką. Beładnie i chaotycznie. Imiona, wydarzenia... Ważne fakty. Ale to był gąszcz. Nie potrafił stworzyć sobie jasnego obrazu sytuacji.

Powinien powiedzieć Tommy'emu? A może Tommy już o wszystkim wiedział? To dlatego chciał ją wykończyć?

Eddie powlókł się do samochodu z telefonem przy uchu.

Tommy odebrał po trzech sygnałach.

– Jest w willi w Djursholm. Zgasiła światło i poszła się kinać – wymamrotał Eddie.

– Z kim się spotkała?

– Chyba ze swoją starą.

– O czym rozmawiały?

Eddie się zawahał. Uznał, że to, co wie, jest niebezpieczne dla Tommy'ego. Nic mu nie powie. Będzie tylko robił, co Tommy mu każe... A potem żył dalej

swoim życiem. Tommy obiecał, że jedna robota i koniec... Jedna robota...

– Widziałem tylko, że siedzą w kuchni i rozmawiają – powiedział Eddie. – Nie mogłem podejść bliżej, więc nic nie słyszałem.

Wsiadł do samochodu. Wyłuskał colta z kabury pod pachą, otworzył schowek w samochodzie. Leżała w nim jego służbowa broń.

– I poszła teraz spać?

Eddie zamienił broń. Czarny pistolet automatyczny wsunął pod segregator z dokumentami wozu, a służbowy włożył na miejsce, do kabury. Zapiął rzep.

– Tak, na to wygląda.

– Jedź do domu, wróc jutro rano – polecił Tommy i się rozłączył.

Jadąc autostradą w stronę miasta, Eddie otworzył okno. Szum ciepłego wieczornego powietrza rozpędzał strzępy myśli i uczuć.

Wychowywał się w różnych rodzinach zastępczych, dostawał lanie i szybko został chuliganem. Mecze były długie i drogie, więc zjawiał się po końcowym gwizdku. Wtedy pozostawały już tylko ustawki. Czasem spotykał się w weekendy z chłopakami takimi jak on i w jakimś parku kopali ludzi po głowach. Uspokajało go to, przemoc działała na niego jak lekarstwo. Ale samo bicie przestało mu wystarczać. Wstąpił do wojska. Pojechał do Mazar-i Szarif i strzelał do talibów ze swojego AK5. Odpowiadali salwami z kałasznikowów i pociskami z ręcznych wyrzutni raketowych. Eddie się krył, a grudki wyschniętej gliny opadały mu na głowę. Uwielbiał to.

Na przepustce w socjaldemokratycznej Szwecji poznał dziewczynę, Annikę. Blondynkę z kręconymi włosami i oczami jak u sarny, która była spoza jego ligi. Eddie wymiękł, zwolnił się ze służby i z wojska, obiecał, że skończy z przemocą. Zaczął chodzić nocami po mieście w kolorowej kurtce, pilnował bezpieczeństwa i udawał zaangażowanie społeczne.

Annika dała mu do zrozumienia, że chciałyby wyjść za mąż i mieć dzieci. Zaczęli ze sobą sypiać w wyznaczonych porach. Podsuwała mu propozycje

pracy i różnych kursów doszkalać. Stało na szkole ochroniarskiej, w której znalazł się w towarzystwie zakompleksionych grubasów. Wyróżniał się na tle grupy, zwłaszcza gdy chodziło o usuwanie z miejsc publicznych agresywnych jednostek. Jeden z nauczycieli był gliniarzem i powiedział mu, że powinien się zgłosić do szkoły policyjnej. Eddie go posłuchał, dostał się i dobrze sobie radził.

Pamiętał pierwszy dzień ze spluwą przy pasku. Cały czas ważył ją w dłoni. Czarna, błyszcząca, cudownie ciężka. Ależ mu brakowało noszenia broni... Jeździł radiowozem i czyścił się z rzygowin. Dobrze sobie radził, gdy sytuacja wymykała się spod kontroli. Bił się, kiedy tylko mógł. Koledzy lubili go mieć za partnera.

Nie wyszło im, Annika nie zaszła w ciążę. Urolog powiedział, że Eddie ma beznadziejne plemniki. Annika go zostawiła, chłodno i nieładnie. „Mam nadzieję, że będziemy mogli pozostać przyjaciółmi”, powiedziała z udawanym smutkiem i uściśliła go na pożegnanie. „Uważaj na siebie, skarbie...”, dodała.

Po rozpadzie związku Eddie znalazł się na emocjonalnym rollercoasterze. Było tylko jedno lekarstwo. Przemoc... wyjść i się bić. I tak robił. W jednym z parków zabił jakiegoś nieszczęśnika. Rickarda Egnella, dwudziestokilkuletniego jasnowłosego chłopaka z północnych przedmieść. Biedny Egnell chciał tylko poczuć dreszczyk emocji. Spotkał niewłaściwego człowieka w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Spotkał wściekłego Eddiego Bomana ze złamanym sercem... Tamtego dnia krótkie życie Rickarda Egnella dobiegło końca.

Eddie widział potem jego zdjęcie na pierwszych stronach gazet. „Bezsensowna przemoc”.

To był jeden z niewielu stuprocentowo odpowiednich i prawdziwych nagłówków.

Eddie zagłuszał wyrzuty sumienia, wybrał wypieranie i zaprzeczanie. „To

się nie zdarzyło”... Czas płynął, Eddie awansował, został inspektorem. Po kilku latach mógł się odprężyć, zrozumiał, że wszystko ujdzie mu na sucho.

Ale pewnego dnia, trzy miesiące temu, ktoś zapukał do jego drzwi. Stał w nich Tommy Jansson, szef wydziału kryminalnego ze świeżo przyciętym wąsem. Powiedział mu, że wie, iż Eddie z zimną krwią zatłukł na śmierć jednego chłopaka, i że ma na to dowody. Chciał, by Eddie od tej pory pracował dla niego. Robił, co mu kaze, i nie zadawał pytań. A jeśli puści parę z gęby, to już on dopilnuje, żeby wylądował w więzieniu i przez bite osiemnaście lat był cwelony dzień i noc.

9

Sztokholm/Praga

KIEDY WCZEŚNIE RANO wyszła z domu i ruszyła do taksówki, zobaczyła, że na drodze kawałek dalej stoi zaparkowane auto. Teraz zachowywało właściwy dystans. Srebrnoszare volvo, za którego kierownicą siedział mężczyzna. Migąło jej gdzieś z tyłu przez całą drogę na lotnisko.

Weszła do terminalu drugiego i poczekała na mężczyznę. Szukał jej w tłumie podróżnych.

Podeszła do niego od tyłu.

– Przepraszam pana – powiedziała.

Mężczyzna się odwrócił. Krótkie włosy, barczysty, średniego wzrostu.

Sophie przysunęła telefon do jego twarzy, zrobiła zdjęcie, odwróciła się i ruszyła do odprawy. Nie poszedł za nią.

W torebce miała trzy paszporty. Dwa fałszywe i jeden prawdziwy. Użyła jednego z fałszywych. Wsiadła do samolotu do Frankfurtu, wyjęła telefon i przyjrzała się zdjęciu mężczyzny, którego przed chwilą sfotografowała. Był tuż po trzydziestce. Miał kanciaste, acz pociągające rysy. Szerokie usta, wargi niemal mięsiste. Ale wyglądał również na kogoś, kto łatwo wtapia się w tłum. Nic niemówiąca krótka fryzura... Jak gdyby chciał się ukryć w tym, co bezosobowe... łatwo umykające uwadze innych. Oczy bladobłękitne, przechodzące niemal w jasnoszare. Piękne.

To był człowiek Tommy'ego. Policjant albo przestępca. Albo i to, i to, tak

jak Tommy. Sophie znów spojrzała na jego oczy. Widziała już złe oczy, najczęściej były po prostu puste. Lecz oczy tego mężczyzny były inne... Spróbowała to sprecyzować. Intuicja podpowiadała jej, że ten mężczyzna był smutny, samotny... i niebezpieczny.

Przesłała zdjęcie na telefon Milesa.

Samolot wylądował we Frankfurcie. Sophie minęła cło, wyszła z terminalu i zobaczyła morze beżowych taksówek. Zawróciła i ruszyła do hali odlotów. Przy kontroli paszportowej podała drugi ze swoich fałszywych paszportów. I wsiadła na pokład samolotu Lufthansy lecącego bezpośrednio do Pragi.

Miles czekał na nią w samochodzie. Tablica pod zegarem pokazywała, że jest dwadzieścia osiem stopni. Sophie usiadła na siedzeniu dla pasażera. Wzięła głęboki oddech.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparł i ruszył, trzymając dłoń z papierosem za oknem. – Jaki był?

„Jaki był?”, pomyślała Sophie. A nie „Co powiedział?”.

– Bardzo różny – powiedziała.

– Co masz na myśli? – zapytał, wkładając papierosa do ust.

– Na początku udawał, że nie ma pojęcia, o czym mowa. Potem, kiedy się zorientował, że wszystko wiemy, wyglądał niemal, jakby się odprężył.

– Okazał skruchę? – zapytał Miles.

Miles Ingmarsson... To była dla niego sprawa osobista.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie okazał żadnej skruchy.

– Ten facet ze zdjęcia... – powiedział Miles po chwili.

– Tak?

– Kojarzę go z widzenia. Sprawdziłem w policyjnym rejestrze. Nazywa się Eddie Boman. Patrolował ulice, a potem został inspektorem.

– A teraz?

– Nie wiem, ale domyślam się, że to chłopak od Tommy’ego.

Samochód zostawili w dzielnicy Praga 6, a potem metrem i tramwajem pojechali w stronę Malej Strany. Kiedy tramwaj, poskrzypując, przejeżdżał przez most, za brudną szybą zobaczyli wzgórze z zamkiem.

– Albert? – zapytała.

– W porządku.

– To znaczy?

– Ma pozytywną energię – wyjaśnił Miles. – To mu służy. Mamy jakiś cel. Mógł w czymś uczestniczyć.

Wysiedli kilka przystanków za wcześnie i ruszyli spacerem przez Újezd w stronę placu Małostránskiego niedaleko mostu Karola.

– A poza tym? – zapytała.

– W normie. Dostosowuje się do sytuacji. Wiesz, jaki jest.

Spojrzała na niego. Miles mówił dalej:

– Sophie, on jest całkowicie normalny.

– Czyli jaki? – zapytała.

Miles chwilę się zastanawiał.

– Denerwuje się i krzyczy, kiedy oglądamy ligę szwedzką. Przegaduje mnie w każdej dyskusji. Ma solidne poczucie własnej wartości... Albert jest w porządku. – Potem spojrzał na nią i zapytał: – A ty jak się trzymasz?

Nie odpowiedziała.

Po powrocie do mieszkania usiedli do wspólnego posiłku. Sophie spojrzała na osoby zebrane przy stole: Alberta, Milesa, Sannę i Michaiła.

– Tommy Jansson ma w sobie mrok – powiedziała cicho.

Streściła im spotkanie z Tommym. Wszyscy słuchali. Kiedy skończyła, zapanowała cisza. Może powinni wznieść toast, uczcić fakt, że zaczęli i że na razie plan działał. Ale myślami byli gdzie indziej. Wiedzieli, że teraz ich bezpieczeństwo jest zagrożone, że te obiady, to wspólne życie w Pradze, do

którego już się przyzwyczaili, pomału dobiega końca. Wszystko znów stawało się niepewne. Nikt nic nie powiedział... Poza Michaiłem.

– Nie będzie tak, jak myślicie albo macie nadzieję, że będzie – powiedział głuchym głosem.

Wszyscy spojrzeli na niego. Zajmował sporą część przestrzeni. Wysoki, szeroki, pewny siebie. Skończył gryźć, wytarł dłonie w serwetkę i ciągnął dalej:

– Ten gliniarz... Tommy... rzuci się na nas przy pierwszej okazji. On planuje, szuka, czeka. To samo będzie z Hectorem, kiedy i o ile go znajdziemy, albo jeśli oni znajdą nas. I na pewno nie stanie się to wtedy, kiedy się tego będziemy spodziewać.

Michaił Asmarow był weteranem sowieckiej wojny w Afganistanie i pierwszej wojny w Czeczeni. To go ukształtowało.

– Będą robili, co w ich mocy, żeby się do nas dostać. Walka będzie trudna i brudna. Żarty się skończyły.

Nikt nie miał ochoty słuchać jego gderania. Sophie spróbowała skłonić go, żeby przestał.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała.

– Nikt nie jest – odparł.

– Mamy plan. I jak na razie wszystko idzie po naszej myśli – stwierdziła.

– To raczej kwestia szczęścia, nie planu. Nie wiadomo, co będzie potem – odparł Michaił.

Słyszał tylko szcęk sztućców.

– Ale na razie wszystko przebiega zgodnie z planem – powiedział Miles. – Możemy sobie pozwolić na to, żeby chwilę odpocząć. A to nie bez znaczenia.

Michaił popatrzył na każdego po kolei.

– Nie muszę wam tego tłumaczyć – rzekł. – Już wcześniej byliście w nieciekawych sytuacjach. Nikt z was nie był na nie przygotowany, prawda?

– Ja jestem gotowy – rzekł Albert po chwili.

Michaił wzruszył ramionami.

– W porządku. Albert jest gotowy – powiedział i wrócił do jedzenia.

Pozostali powinni byli uśmiechnąć się pod nosem, ale tego nie zrobili.

* * *

Miles leżał w łóżku i czytał gazetę o żaglówkach. Sanna zmywała w łazience makijaż. Drzwi zostawiła otwarte.

– Dlaczego to powiedział? – zapytała.

Miles przerzucał strony.

– Kto? – zapytał.

– Michaił.

Spojrzał na nią. Wycierała sobie oczy płatkami kosmetycznym.

– Żeby nam przypomnieć, że to nie przelewki.

– Tyle zrozumiałam, ale i tak uważam, że kracze.

– Zgadzam się – mruknął Miles i znów przewrócił stronę. Śnieżnobiały skerry cruiser z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, przywrócony do stanu idealnego.

– A Sophie? – zapytała Sanna nieco ciszej.

Sophie..., pomyślał Miles. Sophie Brinkmann była złożoną postacią. Chłodna i niedostępna. Czasem spokojna, rozsądna i zdecydowana, ale zawsze bardzo intensywna i prąca do przodu. Napędzała ją siła, która zdawała się nie mieć końca. Ale ta Sophie, którą odebrał z lotniska, była inna...

– Miles?

Sanna stała w łazience odchylona, z namydloną twarzą, i patrzyła na niego.

– Słyszałem – powiedział. – Niepokoi się... Też to zauważyłaś?

Sanna odkręciła kran, spłukała twarz pod bieżącą wodą i zakręciła kurek.

– Tak, i zastanawiam się, co to za niepokój.

Miles przerzucił kilka stron, zobaczył ogłoszenia, znów przerzucił stronę. Trafił na motorówki i dalej kartkował gazetę.

– A to są różne rodzaje niepokoju?

– Czy niepokoi ją to, co nas?

– A nas co niepokoi?

Stała oparta o futrynę i wycierała sobie twarz.

– Niezależnie od tego, co miał na myśli Michaił, to nie sądzę, by ktokolwiek z nas spodziewał się, że wszystko pójdzie po naszej myśli.

– A dlaczego nie?

– Kwestia równowagi we wszechświecie – powiedziała. Ręcznik wisiał w jej opuszczonej dłoni. – Powinniśmy się spodziewać przeciwności. Martwię się tym... Ona też?

Miles zamknął gazetę.

– Nie – odparł. – To nie tym się martwi.

– Czyli chodzi o Alberta?

– Tak – przyznał. – O niego.

Miles i Sanna po przeprowadzce do Pragi od razu się do niego przywiązali. Nastolatek na wózku, którego życie wywróciło się do góry nogami. Porwano go, grożono i doświadczył tyle, że niejednego by to złamało. Miles i Sanna zrozumieli, że mogą coś dla niego zrobić. Wkroczyli w jego życie i zaczęli w nim odgrywać rolę. Spędzali z Albertem czas, dbali o wykształcenie, odrabiali z nim lekcje. Od razu nawiązali z nim dobry kontakt. Udało im się znaleźć sposób, żeby stworzyć mu namiastkę normalności. Sophie tego nie komentowała. Miles i Sanna zrozumieli, że ma mieszane uczucia. Na pewno była im wdzięczna za to, co robili dla Alberta, ale pewnie jednocześnie czuła zazdrość, że nie może być tego częścią, że sama jako matka nie potrafi mu tego dać. Albert wiązał się dla niej z wyrzutami sumienia.

– No więc? – zapytała Sanna.

– Według mnie czuje, że rzeczywistość ją dogania. Im bliżej będziemy rozwiązania kwestii Tommy’ego i Hectora, tym bliżej będzie moment, w którym będzie musiała skonfrontować Alberta z prawdą dotyczącą Jensa i Lothara.

Sanna odruchowo zgasiła światło w łazience, podeszła do łóżka, wspięła się na Milesa i opadła na swoją stronę. Jak zawsze pachniała jak letnia łąka.

– Jak on to przyjmie? – zapytała, naciągając na siebie kołdrę.

– Źle – odparł Miles. – Jak my wszyscy.

– Wtedy będziemy musieli stać przy jego boku – stwierdziła. – Ona nie będzie w stanie tego zrobić.

– Będziemy musieli wspierać ich oboje.

– Dlaczego nie powie mu prawdy?

– Bo nie może.

– Ale dlaczego?

– To pytanie za sto punktów.

Sanna położyła się na boku i zapatrzyła przed siebie.

– Cieszę się, że jest teraz taki wesoły i pogodny – stwierdziła.

Miles odłożył gazetę.

Sanna przytuliła się do niego.

– Ja też – odparł.

10

Sztokholm

NADZY I MARTWI. Przychodzili do niego nocami i z nim rozmawiali. Choć nigdy nie rozumiał ich słów. Ta noc nie była inna. Wszyscy tu byli. Koledzy z pracy, których zamordował. Snuli się wokół niego i nie dawali mu spać. O trzeciej nad ranem zorientował się, że leży i gapi się w sufit.

Zszedł nago po schodach do dużego pokoju. Jądra wisały niżej niż penis. Zawsze tak było.

Na parterze było cicho jak w grobie. Wszędzie panował nienaganny porządek. Monica byłaby dumna...

Kiedy przechodził obok komody, spojrzała na niego ze zdjęcia. Portret rodzinny. Pojechali do fotografa, żeby go zrobić. Stał teraz w złotej ramce. Monica, Tommy i dziewczynki, Vanessa i Emelie. Od tamtej pory minęło wiele lat. Tommy był szczuplejszy, młodszy, miał jaśniejsze spojrzenie... był wyprostowany, pod odświętnym swetrem miał odświętną koszulę. Dziewczynki były wesołe, Monica promieniała jak słońce... Ubiegłej zimy przy stole w kuchni popełniła samobójstwo. Córki mieszkały teraz u ciotki na północ od miasta i u tego idioty, jej cholernego męża-super-gościa. Tommy nie miał z nimi żadnego kontaktu, wysłał im pieniądze na święta i na urodziny, i tyle. Ani razu do niego nie zadzwoniły. Mimo zdolności wyłączania uczuć straszliwie za nimi tęsknił.

Złapał teczkę, która stała w korytarzu, i zszedł jeszcze niżej. Do piwnicy.

Obok drzwi do spiżarni były jeszcze jedne, zamykane na klucz. Tommy zdjął łańcuszek, który cały czas nosił na szyi. Wisiał na nim klucz. Otworzył drzwi, wszedł do środka i zapalił nagą żarówkę, która wisiała pod sufitem. Słabe światło wypełniło jego ciasny gabinet.

Wzdłuż ścian półki szczelnie wypełnione skoroszytami. Komputer bezpośrednio połączony ze wszystkimi serwerami całej policji. Drukarka, niszczarka i ksero. Wciśnięta w sam róg szara szafka na dokumenty. Ale, mimo że na małej powierzchni było stłoczonych wiele rzeczy, i tu panował nienaganny porządek.

Kiedy usiadł na fotelu, poczuł chłód sztucznej skóry.

Skoroszyty... Dwa z nich wystawały, Sophie Brinkmann i Miles Ingmarsson. Wypełnione wszystkimi informacjami, jakie miał na ich temat. Krewni i rodzina, przyjaciele, były miejsca pracy, były mieszkania, cechy charakteru, przekonania, całe to gówno. Wszystkie szczelnie wypełnione, żeby nie przegapić nawet najmniejszej wskazówki co do tego, gdzie się mogą ukrywać.

Szafka na dokumenty...

Tam też były informacje, ale wyłącznie o gliniarzach, którzy mogli się mu przydać. Wszyscy nadużywali przemocy, mieszkali w różnych częściach kraju. To tam znalazł tego dupka, Eddiego Bomana. Sprawdził ich wszystkich wiele lat wstecz. Przeważnie nic nie znajdował. Tu i tam skok w bok, trochę narkotyków, trochę finansowego gówna i sporo przemocy, ale żadnej gwiazdki na choinkę. Ale u Eddiego Bomana... Tommy'emu udało się wyszperać morderstwo. Żyłę złota.

Sprawdzaj wszystko... Tego nauczył się na samym początku swojej kariery.

Nie zostawiaj żadnych cyfrowych śladów... Tego nauczył się dużo później.

Skoroszyty i szafka na dokumenty... To dzięki nim miał przewagę. Choć była to głównie zasługa zmarłych. Wkurwiali go i wyciągali z łóżka o bladym

świcie. To dawało Tommy'emu wiele cennych godzin na pracę. Dzięki nim mógł być o krok przed wszystkimi skurwielami, którzy mogliby chcieć podstawić mu nogę.

Zostali mu tylko Sophie i Miles. Potem będzie wolny.

Otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów, które dała mu Sophie Brinkmann. Rzucał okiem na każdą kartkę, a potem wsuwał ją do niszczarki.

Był tak blisko niej, tej cipy Brinkmann... Mógł wyciągnąć dłoń i ją zabić...

Miles Ingmarsson, Sophie Brinkmann... To jakiś cholerny żart. Rozgoryczenie wżerało się w jego umysł, spływało w dół kręgosłupa i wywoływało ból w dole pleców. Usiadł wygodniej.

Musiał załatwić tę dwójkę jednocześnie. Razem się ukrywali... I razem umrą. Tak to zorganizuje.

Niszczarka połknęła ostatnią kartkę. Nadszedł czas na pracę.

Opuścił okulary na nos, przekartkował notatnik, znalazł godziny i informacje, które podał mu Eddie Boman.

Pisał na klawiaturze, sprawdzał i wyszukiwał wyloty z Arlandy. Od Eddiego wiedział, kiedy Sophie pojechała na lotnisko. Tommy właściwie nie powinien się znać na komputerach... Nie to pokolenie. Ale znał się, i to dobrze, choć to ukrywał... W obecności innych udawał przygłupa, który nie ma pojęcia o komputerach i telefonach. Pół roku wcześniej postanowił skończyć z piciem. Wtedy stał się perfekcjonistą. To go ratowało... Panowanie nad wszystkim. Zrozumiał też, że jeżeli ma przetrwać, będzie musiał sam się wszystkim zająć. Zaczął się uczyć. Koniec końców okazało się, że komputery nie są takie skomplikowane.

Eddie mówił, że Sophie weszła do terminalu drugiego. To ułatwiało sprawę. Dwójka była nowsza i odchodziło z niej dużo mniej lotów międzynarodowych. W porze, którą podał mu Eddie, były tylko cztery odloty. Piątka, inny terminal, wypuściła w tym samym czasie piętnaście samolotów.

Tommy spojrział na odloty z dwójki. Helsinki, Paryż, Frankfurt i Amsterdam.

Podrapał się po nosie i wysłał wiadomość do Conny'ego Klinga z policji granicznej na Arlandzie. Zapytał go, czy Sophie Brinkmann wsiadła do któregoś z tych czterech samolotów. Conny Kling miał dostęp do list pasażerów, tylko on. Conny kochał swoją pracę, bał się terrorystów, był rasistą przywiązany do idei domu ludowego i deportował imigrantów jednego po drugim.

Tommy zamknął gabinet, wszedł po schodach i ruszył do kuchni.

Kiedy otworzył drzwi lodówki, zapaliło się błękitnawe światło. Powinien zjeść śniadanie, jeśli w ogóle ma coś zjeść... Ale było tylko mięso, befsztyk ze skańskiej krowy rasy limousine, wielki jak deska klozetowa. Ziemniaki i cebula, które mu zostały od wczoraj... I sos, który doprawiał i doprawiał, zanim uznał, że jest w porządku. Poradził się tego Japończyka, który prowadził blog kulinarny... gość znał się na rzeczy. Tommy darzył takich ludzi głębokim szacunkiem.

Usmażył befsztyk w zdecydowanie zbyt dużej ilości masła. Skwierczał i pięknie się przypiekł. Dorzucił ziemniaki i cebulę, zamieszał...

Rozciął mięso. Wyciekł z niego czerwony sok. Befszyk smakował lasem, krwią, strachem i zwierzyną łowną. Przeżuwając, planował przyszłość. Miles i Sophie zginą. On jeszcze przez jakiś czas będzie szefem wydziału, potem weźmie sobie jakąś babę, przejdzie na wcześniejszą emeryturę, przeprowadzi się do Hiszpanii i znów zacznie pić.

Jego komórka zawibrowała. Dzwonił Conny Kling.

Tommy odebrał z kawałkiem mięsa w ustach.

– Conny?

– Żadna Brinkmann nie leciała tymi samolotami, które mi podałeś – powiedział Conny.

Tommy rzucił okiem na zegar nad drzwiami. Za dziesięć czwarta.

– Jesteś w pracy? – zdziwił się.

– Tak. Mam nockę.

– A możesz sprawdzić, skąd przyleciała?

– Już próbowałem. Nic.

– Chcę zobaczyć listy pasażerów – powiedział Tommy.

– Pisemna zgoda od prokuratora i są twoje.

Tommy nalał sobie wody mineralnej. Rozległ się syk ulatniającego się gazu.

– To mi skomplikuje wstępne śledztwo, nie chcę w to jeszcze włączać prokuratury – odparł Tommy bez wahania.

Conny Kling mruknął, że niewiele jest w stanie zrobić.

– A myślałem, że jesteś kreatywny – powiedział Tommy.

– No bo jestem – odparł Conny.

Tommy nabrał sosu na czubek noża i go spróbował. Zajebisty. *Vive la Japan.*

– Co więc mogę dla ciebie zrobić, mój kreatywny Conny? – zapytał. Zamoczył kawałek mięsa w sosie i wsunął go do ust.

– Mój dzieciak chce odbyć swoją szkolną praktykę w Krajowej Policji Kryminalnej – odparł Conny. – Chce uczestniczyć w śledztwach w sprawie zabójstw. Techniczny też może być, ale interesuje go tylko badanie miejsca zbrodni.

– Chłopak wie, czego chce – stwierdził Tommy, przeżuł kawałek mięsa i zaciągnął się świeżym, porannym powietrzem.

– Możesz mi z tym pomóc? – zapytał Conny.

– My nigdy nie przyjmujemy uczniów. Nie sądzę, żeby technicy robili wyjątek.

– Ale ty coś takiego masz gdzieś, prawda?

– Zgadza się.

– Posiedzę tu sobie jeszcze parę godzin, a potem pójdę po kawę. Jeśli chcesz, mogę nie zamykać biura.

– W porządku. Zobaczę, co mogę zrobić dla twojego chłopaka.

– To mi nie wystarczy.

– Załatwię to.

– Dziękuję.

– Ale chcę, żebyś najpierw mi w czymś pomógł.

– W czym?

– W namierzeniu jednego pasażera, jeśli znajdę to, czego szukam.

– W porządku...

Tommy się rozłączył. Oddychając przez nos, zjadał duże kawałki mięsa.

Kiedy wczesnym rankiem jechał E6 na północ, ruch był jeszcze niewielki. Znalazł biuro Conny'ego Klinga, drzwi były uchylone, żaluzje zaciągnięte.

Na biurku leżały zgrabne stosy dokumentów. Tommy zahaczył wzrokiem o fotografię, na której było widać pryszczatego nastolatka, ogłupionego burzą hormonalną. Cholerne zero.

Zaczął przeglądać papiery i znalazł to, czego szukał. Rozłożył listy pasażerów i zrobił zdjęcie aparatem w telefonie.

Po powrocie do piwnicznego biura w swoim szeregowcu przyjrzał się listom. Cztery loty, prawie sześćset imion, nazwisk i numerów paszportów. Trudna sprawa. Żaden się nie wyróżniał. Zaczął od znużonego wpisywania do rejestru numerów paszportów wszystkich pasażerek. Wszystkie zdawały się zgadzać... poza jednym... baza danych zgłupiała... Numer był zły, nie zgadzał się z nazwiskiem...

Podniecił się. Lubił to, właśnie to. Bycie sprytnym gliniarzem, sukces...

Wysłał Conny'emu esemes z numerem paszportu.

„Namierz go, stary trepie”.

Odchylił się na oparcie i splótł dłonie na karku. Gdzie ona, do cholery, leciała?

Odwrócił się w stronę półki ze skoroszytami, przejechał po nich palcem i wyciągnął skoroszyt Milesa.

Przejrzał go i przeczytał wszystkie informacje po raz nie wiadomo który.

Miles Ingmarsson. Obibok i mierny glina, który większą część swojej policyjnej kariery przekiblował przy biurku w wydziale do walki z przestępczością gospodarczą. Ale Miles i Sophie wspólnie zebrali przeciwko niemu solidne dowody. Tego nie dało się zrobić gdziekolwiek i jakkolwiek. Mieli dostęp do baz danych, jakich przeciętny śmiertelnik na oczy by nie zobaczył...

Przewrócił stronę. Same nieprzydatne informacje. Zatrzasnął skoroszyt.

Kiedy wspinał się po wąskich schodach, jego telefon zabręczał. Dostał wiadomość od Conny'ego Klinga.

„Frankfurt”.

Wiedział, że w informacjach o Sophie i Milesie nie ma żadnych punktów zaczepienia, jeśli chodzi o Frankfurt czy Niemcy w ogóle. Może znalazła się tam przez przypadek. Tommy zważył telefon w dłoni. Jakaś kryjówka? Zrobił jeszcze parę kroków w górę. Coś mu przyszło do głowy. Zatrzymał się. Myśl nie była całkowicie konkretna. Miles...

Zawrócił i po raz kolejny wszedł do piwnicy.

Jeszcze raz wyciągnął skoroszyt Milesa.

Przerzucał strony. Szukał informacji, wokół której krążyła jego myśl... Znalazł fragment, który przyciągnął jego uwagę...

Miles Ingmarsson zaczął szkołę policyjną po trzydziestce... Ale czym się zajmował wcześniej? Myślał, cmokając. Jakieś wspomnienie usiłowało przebić się do jego świadomości. Co Miles mu powiedział dawno temu?

„Dyplomata”... w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Tommy zdziwił się wtedy... Dlaczego dyplomata chciał zostać gliną?
Myśli pędziły w różne strony.

Miles wspomniał, że cała jego rodzina to dyplomaci... dziadek, ojciec, brat, żona brata... On sam.

Dyplomaci... czym oni, do cholery, zajmują się na co dzień? Siedzą w ministerstwie albo w ambasadach tu i tam, popijają drinki i... mają dostęp do baz danych, poufnych informacji, wszystkiego! Jasne jak cholera, że Miles załatwił sobie miejsce w jakiejś ambasadzie.

We Frankfurcie nie było oczywiście żadnej, ale mogła polecieć dalej. Dokąd?

Zadzwoił do Conny'ego.

– Czy we Frankfurcie ślad się urywa?

– Tak.

– Szukaj dalej. Sprawdź nazwisko Brinkmann albo kolejny fałszywy paszport. Użyj szerszych kanałów. Szukaj, aż znajdziesz. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Muszę mieć odpowiedź.

Cztery godziny później, gdy Tommy stał w korku w drodze na komisariat, Conny Kling zadzwonił i powiedział:

– W tym samym przedziale czasowym jakaś kobieta z innym niemożliwym do zidentyfikowania numerem paszportu poleciała z Frankfurtu do Pragi.

11

Północny Atlantyk

WYCIECZKOWIEC był ogromny. Przypominał samodzielne miasto. Z pasażem handlowym, teatrami, kinami, restauracjami, barami, basenami, kasynem, spa i dosłownie wszystkim, co można znaleźć we wszechświecie.

Gorman był pod wrażeniem. Kiedy szli do kajuty, rozglądał się dookoła.

Mieli widok na morze, dwa łóżka, małą łazienkę i balkon. Jens rzucił torbę na łóżko bliżej wyjścia. Gorman zrobił to samo ze swoją, a torbę Jensa zepchnął na podłogę. Zrobiłby to również, gdyby Jens wybrał drugie łóżko. Kevin Gorman bez skrupowania ściągnął portki na środku podłogi, jednym ruchem oderwał paczuszkę, którą miał przyklejoną pod przyrodzeniem, i wrzasnął z bólu.

Paczuszka miała wymiary trzy na trzy centymetry, była zalaminowana i pełna kokainy. Gorman rozciął ją scyzorykiem i sporą górkę proszku wysypał na stolik pod telewizor. Szybko zrobił nożem trzy równoległe linie. Szerokie i wysokie. Ze spodniami i majtkami wciąż wokół kostek w kilka sekund wciągnął wszystkie trzy.

Jens patrzył na ten żałosny widok. Gorman poderwał głowę do góry. Wypuścił powietrze, żeby pokazać, jaki jest silny, poboksował powietrze i pomasaował sobie nos.

Podciągnął swoje za małe majtki, zostawił spodnie na podłodze i z jękiem rzucił się na łóżko. Z pilotem w dłoni włączył telewizor. Kokaina zaczynała

działać. Gorman szybko przerzucał kanały, rejestrował wszystko niczym komputer, zaśmiał się, widząc jakąś animowaną postać, pokazał palec facetowi zapowiadającemu pogodę na CNN i z jakiegoś powodu złożył palce na kształt pistoletu i strzelił trzy razy w twarz Jeanowi-Claude'owi Junckerowi, przewodniczącemu Komisji Europejskiej. To był naturalny stan Gormana. Naćpany, wyniosły, dziwny i podenerwowany.

Potaął nos całą dłonią.

– Idziemy obejrzyć tę łajbę – rzucił. Poderwał się z łóżka i naciągnął spodnie. Wszystko działo się szybko, pod wpływem impulsu.

Niewykluczone, że Kevin Gorman był ostatnim człowiekiem we wszechświecie, z którym Jens chciał przebywać. Absolutnie ostatnim. Zajmował ostatnie miejsce wśród prawie siedmiu miliardów ludzi... Może dlatego był, jaki był, bo w głębi serca wiedział, że jest najbardziej bezwartościowym osobnikiem, jaki istnieje, i przez to jest na ostatnim miejscu całej ludzkości.

Jens marzył, żeby go zabić. Pragnął tego ze wszystkich sił. Każdego dnia, przez cały czas, zwłaszcza teraz. Zatłuc go na śmierć, walić w jego łeb bez litości. Otworzyć drzwi na balkon i wyrzucić go przez burtę, do oceanu, zrobić z niego pokarm dla rybek... Kusząca myśl...

Tymczasem cały czas robił to, co Gorman mu kazał. Najmniejszy błąd i Lothar będzie miał kłopoty.

Zrobili sobie rundkę po statku. W jednym z barów Gorman znalazł parszywą dziwkę, Rositę z Portoryko. Zaprosił ją na szampana, powiedział, że jest biznesmenem, dyrektorem, a Jens jego pracownikiem...

Rosita i Gorman upili się, a potem powlekli z Jensem do kajuty. Wciągnęli po kresce kokainy i bez skrępowania zaczęli się pieprzyć w łóżku Gormana.

Jens nie chciał na to patrzeć, podszedł do drzwi na balkon i je otworzył.

– Gdzie ty się, kurwa, wybierasz? – wrzasnął ostro Gorman, klęcząc na

łóżku. Dzwonka trzymała jego fiuta w dłoni. Też posłała Jensowi surowe spojrzenie.

Jens wyszedł na balkon i zamknął za sobą drzwi.

– Mówię do ciebie! – krzyknął Gorman. Ale dzwionka okazała się ważniejsza, bo po chwili zaczął pojękiwać.

Jens oparł się o reling i zapatrzył w wodę. W czasie niewoli u Don Ignacia nie miał możliwości nawiązania kontaktu ze światem. Nie mógł dzwonić, korzystać z komputera ani nawet wysłać listu. Gorman nie odstępował go na krok. Mimo że był zaćpanym idiotą, to jednak zachowywał się jak pijawka i nie dawał Jensowi nawet sekundy prywatności.

Ocean był spokojny. Rozżarzone słońce zapadało się za horyzont. Niemożliwość bycia samemu choć przez chwilę męczyła go. Ale teraz, przez tę krótką chwilę, którą mógł spędzić bez towarzystwa, czuł tylko ogromną pustkę. I nie miał bladego pojęcia, co z nią począć.

Pochylił głowę i spojrzał na swoje buty. Wszystko otaczała poświata żalu. Może właśnie tym była ta pustka – zadawnionym, tłumionym żalem, który krył się gdzieś w nim, cały czas aktywny, zlepiony z jego osobowością. Chciał dojść do głosu, złapać oddech... Ale Jens tłumiał tego skurczysyna, bez przerwy...

Usłyszał śmiech Rosity, a potem Gormana.

Jens spojrzał na ocean. Dobiegły go odgłosy z innego świata. Ciepłego świata, do którego nie należał. Muzyka, imprezy, rodziny. Ludzie, którzy byli razem, dlatego że tego chcieli... Tęsknił za Sophie. Chciałby móc do niej pojechać. Być z dala od tego wszystkiego... Zabrać Lothara i uciec z tego bezwartościowego piekła. Ale taki los był mu pisany. Zakładnika, przemytnika narkotyków. Do czasu, gdy już im nie będzie potrzebny... Wtedy go zabiją. Lothara też...

Może powinien iść do dzwionki i Gormana i zaćpać się na śmierć. Bo

narkotyki go wykańczały. Spróbował ich raz, dawno temu. Wtedy serce przestało mu bić. Za szybko wciągnął całe to gówno, taki już był. Zawsze chciał czegoś więcej... Ale pamiętał, że wtedy przez chwilę czuł absolutną beztroskę...

Aktualnie ograniczał się do kawy, z nią sobie radził. Czasem sięgał po alkohol. Wmawiał sobie, że nad nim też potrafi zapanować, choć wcale tak nie było.

Odgłosy dobiegające z kajuty zmieniły charakter. Głos Rosity brzmiał teraz inaczej. Słysząc było w nim strach, próbowała przemówić Gormanowi do rozumu. Potem zaczęła krzyczeć. Jens rzucił okiem do środka. Gorman tłukł ją pięścią. Już było widać siniaki.

Wszedł do środka. Rosita z przerażeniem w oczach skorzystała z okazji, skoczyła i schowała się za jego plecami. Z nosa i ust leciała jej krew. Brakowało jej jednego zęba.

Gorman stanął przed nim. Był nagi, a jego członek wciąż jeszcze był odrobinę nabrzmiąły. Próbował złapać Rositę.

– Przesuń się – rzucił.

– Nie.

Gorman zdziwił się i roześmiał, a potem uderzył go rozłożoną dłonią prosto w twarz. Jens ani drgnął. Gorman przyłożył mu jeszcze raz, mocniej. A potem trzeci. Jens poderwał rękę i złapał go za szyję. Ścisnął. Rosita zobaczyła szansę dla siebie, złapała ubranie i uciekła.

Przez chwilę stali nieruchomo, Jens z dłonią na szyi Gormana. Gorman się uśmiechał. Jens był bez szans. Jak zawsze. Opuścił rękę.

– Dobrze, Jens – szepnął Gorman. Naćpany, nienawistny i szczęśliwy jednocześnie. – Wiesz, dlaczego zawsze mam na pistolecie tłumik?

Jens nie odpowiedział.

– Żebym mógł zastrzelić Lothara niezależnie od tego, gdzie będziemy...

W każdej chwili... Pamiętasz, że ci obiecałem, że zastrzelę tego obsrańca? – zapytał i wybuchnął śmiechem, odsłaniając swoje żółte zęby. – Pamiętasz?

Jens milczał.

– Tak będzie – powiedział Gorman wesoło i splunął mu w twarz. Obserwował reakcję Jensa. Splunął po raz kolejny. Ślina spłynęła Jensowi na oko. Nie poruszył się i nic nie powiedział. Gorman splunął jeszcze raz. Potem dał mu się we znaki narkotykowy głód. Podeszedł do komody i palcami zrobił dwie długie, szerokie kreski. Pochylił się i wciągnął całe cholerstwo.

Odwrócił się do Jensa. Pod nosem miał kokainę, która wyglądała jak biały wąsik Hitlera.

– Ale będzie dobrze – powiedział tonem dobrego wujka.

12

Sztokholm

EDDIE BOMAN wyładowywał złość na worku treningowym.

Zасыpywał go uderzeniami i kopniakami. Szybko, mocno, profesjonalnie i brutalnie. Rickard Egnell cały czas był przy nim... nie dawał mu spokoju nawet na chwilę. Moment jego śmierci... Wyrzuty sumienia przypominały malignę. Eddie nie potrafił sobie z nimi radzić. Wypieranie i zaprzeczanie... Tyle że wypieranie ze świadomości w pewnym momencie przestawało działać. Zaczynało się wkradać poczucie winy, Eddie je odpędzał. Tak wyglądał u niego każdy dzień, jak jakiś cholerny mecz tenisowy między zaprzeczaniem a winą. Żadne z nich nie wygrywało, piłka nigdy nie wylatywała na aut ani nie trafiała w siatkę, tylko odbijała się w tę i we w tę, i tak w cholerną nieskończoność. Dobro i zło rozmyły się i stworzyły jedną mieszankę, przestały być naturalnymi przeciwieństwami. Przez to Eddie stał się niedowiarkiem. Wątpił we wszystko.

A teraz jeszcze ta Sophie Brinkmann... Co chwilę wracał do niej myślami. Nosił w sobie jej głos i wygląd. Jak gdyby była tuż obok niego... Nawiedzała go tak jak Rickard Egnell... i to jeszcze zanim odebrał jej życie.

Coraz szybciej uderzał worek. Mocno, głucho, szybko. Uderzał tak, dopóki mięśnie nie odmówiły mu posłuszeństwa. Wtedy zwalił się na ziemię. Wszystko go bolało, nie miał nawet siły krzyczeć. Rozłożył ramiona, rękawice bokserskie uderzyły w ziemię.

Leżał tak, gapił się w sufit, oddech i puls szalały. Z mieszkania nad nim dobiegały jakieś dźwięki. To ta kobieta, która grała na flecie poprzecznym. Eddie słuchał. Piękno muzyki zaczynało go męczyć. Dopadła go bolesna melancholia. Wstał.

Wziął szybki, zimny prysznic. Patrzył, jak woda z mydlinami znika w odpływie.

Włożył tylko spodnie. Chciał jeszcze przez chwilę chodzić po mieszkaniu z nagim tarsem i pocić się po treningu. Przeszedł do kuchni i nastawił kawę w ekspresie. Na parapecie siedział ten skubaniec Manny i gapił się przez okno. Szary kastrowany kocur rasy chartreux, czteroletni, dostał na imię Manny po Mannym Pacquiao, bokserze... Manny Pacquiao, on wpuścił Boga do swojego życia...

Eddie wziął kota na ręce. Trzymał go blisko swojego nagiego torsu. Manny był miękki i jedwabisty, mruczał i promieniował ciepłem, którego Eddie tak bardzo potrzebował. Manny się wyswobodził i wyskoczył z jego objęć. Drasnął pazurami jego ramię i tors, a potem zeskoczył na podłogę. Ból sprawił Eddiemu przyjemność. Postanowił, że pozbędzie się Sophie Brinkmann.

Przy stole w kuchni wypił swoją poranną kawę. Wziął telefon i usunął z niego słowa, imiona i wydarzenia, które usłyszał przez okno w willi matki Sophie. Będzie robił to, co Tommy mu każe... Nic poza tym... Nie będzie myślał, wątpił, wahał się. Załatwi babę... Będzie wolny. Czuł, że to dobra decyzja. Sięgnął po gazetę, która leżała na stosie z prasą. Eddie Boman lubił czytać gazety. Codziennie rano czytał obie sztokholmskie, strona po stronie. Nigdy tego nie pomijał, to był jego rytuał. Znał dziennikarzy, zbudował sobie z nimi pewien rodzaj relacji. Teraz czytał artykuł Caroline Berger. Była bystra, świetna, z rodzaju śledczych...

Sophie Brinkmann znów wdarła się do jego myśli. Energicznie podrapał się po głowie, spróbował skoncentrować na czytaniu, wypchnąć ją ze

świadomości... Ale była uparta. Opadł na oparcie. Manny znów wskoczył na parapet i gapił się na swojego właściciela.

– O co chodzi?

Manny nie zdradził swoich myśli.

Kolejna próba. Skupił wzrok na tekście. Tekst Caroline Berger... Artykuł, słowa, zdania... Nic z nich nie rozumiał. Sophie Brinkmann nie chciała ustąpić. Znów dał za wygraną.

Manny dalej spokojnie się w niego wpatrywał.

– Na co się tak gapisz? – zapytał Eddie z irytacją.

Ale kot nie odpowiedział.

Eddie też wlepił w niego spojrzenie, tyle że na kocie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

Znów dopadły go wątpliwości.

Kurwa!

Zirytowany sięgnął po długopis i zapisał wszystko na stronie gazety, wszystko, co pamiętał z tego, co usunął z telefonu. Imiona, wydarzenia, słowa... Sophie Brinkmann, Hector Guzman, restauracja Trasten... Wszystko, co zapamiętał. Okazało się, że całkiem sporo. Czarne litery na stronie gazety, zapisane jedna przy drugiej, lepkie, gdy tusz rozpląwał się na cienkim papierze.

– I co, teraz dobrze? – niemal krzyknął w pustej kuchni... może do Manny'ego, może do Rickarda Egnella, a może do kobiety, która grała na flecie.

Zrobił wdech. Dopadła go nienawiść do samego siebie. Wymierzył sobie mocny policzek. Celował w niedowiarka. Jeszcze jeden. Uderzenie odbiło się echem. Celował w drugiego niedowiarka. Nienawidził wątpliwości.

W korytarzu rozległ się dzwonek do drzwi.

Eddie odwrócił gazetę, na której przed chwilą zapisał swoje wypociny

o Sophie Brinkmann. Przykrył ją drugą gazetą.

Za drzwiami zobaczył Tommy'ego Janssona. Ze słabym rumieńcem nadciśnieniowca. Świeżo ogolonego. Z perfekcyjnie przystrzyżonym wąsem gliniarza.

– Zaskoczony? – zapytał Tommy, gdy Eddie wpuścił go do środka.

– Nie, skąd – odparł Eddie.

– No przecież widzę – powiedział Tommy. Wszedł do mieszkania i się rozejrzał.

– Jesteś sam?

– Tak...

– Pomyślałem, że podrzucę cię do pracy i po drodze utniemy sobie pogawędkę.

– Okej – odparł Eddie. – Idziemy?

Tommy machnął ręką w stronę jego nagiego torsu.

– Może włożysz jakąś koszulkę albo co?

Eddie przeszedł w głąb mieszkania, a Tommy ruszył za nim. Kiedy Tommy usiadł przy stole w kuchni, serce Eddiego zaczęło bić szybciej. Kątem oka zauważył, że Tommy podniósł gazetę, którą przykrył informacje o Sophie, Hectorze...

Eddie szybko wciągnął na siebie podkoszulek i wrócił do kuchni.

– Stresujesz się? – zapytał Tommy, uważnie mu się przyglądając.

– Nie, nie stresuję.

Tommy przez chwilę się na niego gapił. Zrobiło się dziwnie.

– Nie zapomniałeś o czymś? – zapytał Tommy.

Eddie nie zrozumiał.

– Nie zapomniałeś o czymś? – powtórzył Tommy.

Eddie cholernie się denerwował.

– Nie wiem, o czym mówisz – przyznał.

– Wyperfumować się – wyjaśnił, nie odrywając od niego wzroku. – Zwykle pachniesz jakąś cholerną *eau de cologne*.

– Ale nie dziś – odparł Eddie i odetchnął.

– W porządku – rzekł Tommy. Złożył gazetę i wstał. Nagle zobaczył Manny’ego na parapecie i aż podskoczył. – Kurwa, masz kota! Nie zauważyłem.

Wsiedli do auta Tommy’ego i ruszyli w stronę drogi szybkiego ruchu prowadzącej do centrum.

Tommy rzucił okiem na Eddiego.

Eddie Boman..., pomyślał. Ten mały morderca... Czystym trafem zrozumiał, że zabójstwo Rickarda Egnella można było powiązać z Bomanem. Zobaczył szansę i zaryzykował. A nieszczęsny Eddie nawet nie zaprzeczył, tym samym przyznając się do winy. Jakby tylko na to czekał...

Tommy od razu zrozumiał, kogo ma przed sobą. Sceptyka, niedowiarka. Kogoś, kto nie potrafi się zdecydować. I ukrywa to pod muskułami, milczeniem i brutalnością. Był pełen sprzeczności. Dzięki temu atrybutowi łatwo nim było manipulować. Biedak Eddie słuchał wszystkiego, co mu się powiedziało. Chłonał wszystko jak gąbka, niezdolny myśleć samodzielnie, niezdolny, żeby cokolwiek podważyć. Tommy wiedział, że to częste u ludzi, którzy wychowywali się bez rodziców. Nie chodziło o problem z zaufaniem, tylko o to, że nikt ich nie nauczył odróżniania tego, co dobre, od tego, co złe. Żyli jakby w czyścicu nieustannego, całkowitego skołowania.

– Zaczyna się robić gorąco – powiedział Tommy. – Rozumiesz to, prawda?

Eddie pokiwał głową, nie patrząc na niego.

– Co rozumiesz? – zapytał Tommy.

– Że to ta Brinkmann – powiedział Eddie cicho.

Tommy rzucił na niego okiem.

– A ty teraz zaczynasz srać pod siebie, wątpić, zastanawiać się co dobre,

a co złe i zachowywać jak pierdoła?

- Tego nie powiedziałem.
- Jasne, że tak, mówisz to całym sobą.
- To poważna sprawa – stwierdził Eddie.
- Wszystko jest względne – odparł Tommy.

Mijali most Traneberg. Volvo miało automatyczną skrzynię biegów, Tommy od czasu do czasu dodawał gazu. Czuł się, jakby płynął statkiem, którym kołysały fale. Samochód wyrywał się do przodu, a potem płynął na luzie, dopóki Tommy znów nie dodał gazu. Dobrze mu się tak jechało, więc tego nie zmieniał.

– Zrobimy to razem – powiedział. – Jest jeszcze jedna osoba. Załatwimy ich jednocześnie.

- Po raz pierwszy Eddie na niego spojrział.
- Mówiłeś, że chodzi tylko o jedną osobę.
- Powiedziałem, że to tylko jedna robota.

Eddie odwrócił głowę. To też przełknął... tak po prostu. Tommy niemal wybuchnął śmiechem. Wywróci całą prawdę, wyleje ją na podłogę, a potem pozbiera, sklecając fakty i ludzi, jak mu się będzie podobać. A potem podsunie Eddiemu, a ten wszystko przełknie. Bo Eddie potrzebował celu, żeby się utrzymać w kupie.

Tommy potarł ucho.

– Nie zdradzę ci wszystkiego... Ale trochę ci wyjaśnię. Musisz wiedzieć, że robisz coś ważnego. Że na dłuższą metę to ma znaczenie. Że mimo wszystko jesteś po właściwej stronie.

Eddie się zainteresował.

– Sophie Brinkmann była w związku z Hectorem Guzmanem. Jest szantażystką i była zamieszana w zabójstwo naszych kolegów, Gunilli Strandberg i Larsa Vingego.

Eddie posłał mu sceptyczne spojrzenie.

– Vinge zastrzelił Gunillę, a potem sam się zabił.

Tommy pokręcił głową.

– To wersja oficjalna, bzdury, które trafiły do prasy. Prawda jest inna – dodał i zrobił sztuczną pauzę. A kiedy znów zaczął mówić, obniżył trochę głos, było w nim też słycać większe zaangażowanie i nutkę smutku: – Nasza koleżanka Gunilla chciała posłać Hectora Guzmána za kratki i poprosiła Sophie o pomoc. Sophie wygadała się przed Hectorem, że policja ma go na oku. Załatwili Gunillę i Larsa i sprawili, że wyglądało to tak, jakby Vinge zabił ją, a potem siebie. Taka jest prawda. Ale nie mamy wystarczających dowodów, żeby dobrać się do Sophie.

Eddie wyglądał na skołowanego.

– Brinkmann ma na sumieniu dwoje policjantów. A teraz grozi, że jeżeli nie zrobimy tego, co każe, znów narozrabia. Jest śmiertelnie niebezpieczna... Znów zabije. To jedna z najgorszych osób, jakie spotkałem w ciągu całej mojej służby... Spiknęła się teraz z inną świnią, Milesem Ingmarssonem. Pamiętasz go?

Eddie pokręcił głową.

– To też nasz kolega – wyjaśnił Tommy. – Wystrychnął nas wszystkich na dudka. Zatłukł jednego dealera i chyba Antonię Miller. Nigdzie jej nie ma. Przyłączył się do Brinkmann. To pogmatwane jak cholera, ale Brinkmann jest... – Tommy zrobił kolejną pauzę i udawał, że się zastanawia. – Większość morderców, których spotkałem, to były zagubione dusze, które zrobiły głupstwo po pijaku albo w stanie chwilowego zamroczenia umysłu... Ale kilkoro, było ich bardzo mało, zabijało wiele razy. Zgotowali innym piekło, to były ciemne indywidua, które, jeśliby mnie kto pytał o zdanie, utraciły prawo do tego, żeby chodzić po ziemi. – Obniżył głos i dodał: – Czasem po prostu trzeba coś takiego zakończyć. Musimy wyjść poza ramy prawa, zrobić, co

trzeba, a potem wrócić i udawać, że o niczym nie wiemy.

Widział, że przemówiło to do Eddiego.

Byli już na Fridhemsplan. Tommy wymijał inne auta.

– Ona musi zniknąć, Eddie... On też... To jedyne wyjście... To psychopaci – szepnął Tommy.

Eddie milczał.

Tommy sięgnął za fotele, wyciągnął plastikową reklamówkę i położył ją Eddiemu na kolanach.

Eddie otworzył ją i zobaczył banknoty.

– Dwieście cholernych kawałków w jednym worku – powiedział. – Nie wyjdiesz z tego z pustymi rękami.

Eddie spojrzał na pieniądze. Tommy zabrał reklamówkę i wrzucił ją do tyłu.

– Później... – rzekł.

Wjechali do centrum, Tommy skręcił w Hantverkargatan.

– Twoja matka była taka, prawda? – zapytał.

– Jaka?

– Była psychopatką? Zostawiła cię, zniknęła, myślała tylko o sobie, chłała i się puszczała... Znam twoją historię, Eddie. Wiem, jakie piekło przeszedłeś.

Eddie spojrzał na niego.

– Szurnięte baby... – ciągnął Tommy. – A my co? Mamy tak stać z boku i się przyglądać, jak niszczą wszystko i wszystkich, i się nie mieszać?

Tommy zobaczył, jak Eddie kiwa głową. Zdziałało, dotarło do niego. Mimo że biedny Eddie sam nie był w stanie dodać dwa do dwóch, nagle zaczął nienawidzić Sophie Brinkmann... i swojej matki. I możliwe, że gdzieś w Tommym Janssonie zobaczył odbicie swego ojca, nawet jeśli bardzo słabe...

– Wybierzesz się w podróż – oznajmił Tommy. – Brinkmann ukrywa się

chyba w Pradze. Zaczynij od ambasady. Znajdź ją i Milesa Ingmarssona. Wykonaj robotę, zrób światu przysługę, załatw ich jednocześnie, czysto i elegancko, i wróć do domu jako wolny człowiek.

13

Florencja

BANKIER Giuseppe Russo zadzwonił do nich i podał im godzinę spotkania Aldo Morettiego z ludźmi Don Ignacia.

Sonya była blada. Razem z Leszkiem jechali do Florencji.

Lawirowali wąskimi uliczkami miasta, aż dojechali do bocznej ulicy odchodzącej od południowo-zachodniej części Piazza della Signoria. Zaparkowali tak, żeby mieć widok na rynek i restaurację, w której miało się odbyć spotkanie.

Na rynku panował spory ruch. Turyści, mieszkańcy, sprzedawcy, dorożki, którymi można było zwiedzać miasto.

Leszek wysiadł z auta, przeciął rynek i wszedł do restauracji. Przywitał go kelner.

– Proszę stolik przy oknie – powiedział Leszek.

Poprowadzono go do stolika w głębi restauracji. Usiadł. Broń ocierała mu się o zębra. Chiński karabin Typ 67. Skonstruowany tak, żeby był cichy nawet bez tłumika. Dzięki niemu będzie mógł strzelać w restauracji i zyskać kilka sekund na wyprowadzenie osoby, którą będzie chciał porwać, zanim wybuchnie panika. Jeżeli zrobi się zbyt duże zamieszanie, wezwie na pomoc Sonyę. W różnych miejscach mieli zaparkowane dwa samochody. Jeden na południe, na wzgórzu obok miejsca widokowego Piazzale Michelangelo koło klasztoru. Drugi na zachód, koło dworca kolejowego.

Leszek sprawdził restaurację. Składała się z ogródka, części wewnętrznej z barem i kuchni. Na pierwszym piętrze były dwie sale przeznaczone na imprezy zamknięte. W jednej mogło się zmieścić dziesięć osób, w drugiej trzydzieści. Russo powiedział, że to tam będą siedzieć... o ile oczywiście się zjawią.

Leszek spojrział na swoje dłonie. Oddychał spokojnie, rytmicznie i oszczędzał energię.

Dziesięć minut upłynęło powoli. Kolejne dziesięć wlokło się w nieskończoność.

Potem w restauracji coś się zaczęło dziać. Atmosfera nieznacznie się zmieniała. Pozostali goście nie zwrócili na to uwagi, ale Leszek tak.

Jeden z kelnerów rozmawiał z dwoma innymi, a kolejny gdzieś zniknął. Do środka wkroczył postawny, dobrze ubrany mężczyzna i rozejrzał się dookoła. Pierwszy kelner wyszedł mu na spotkanie, uścisnęli sobie dłonie, jakby się znali, i ruszyli w stronę schodów prowadzących do dwóch prywatnych sal.

Przybyła forpoczta. Leszek poszukał wzrokiem innych osób, strategicznie rozmieszczonych, ale nikogo nie dostrzegł. Mógł się mylić...

Potężny mężczyzna zszedł na dół, stanął przy wyjściu do ogródka, złożył dłonie i cierpliwie czekał.

Na rynku przed restauracją zatrzymał się samochód. Leszek nie widział osób, które z niego wysiadły, zasłaniał mu je ludzie i donice z zielonymi krzewami, które otaczały ogródek. Ale do restauracji weszły rzędem cztery osoby.

Leszek się skoncentrował. Miał tylko jedną szansę na to, żeby rozpoznać ludzi Don Ignacia.

Najpierw wszedł goryl i skinął głową koledze, który czekał przy drzwiach. Następny był Moretti. Wypomadowane włosy, kraciasty garnitur, różowa poszetka, przyciemnione okulary, metr w kapeluszu wysoki, i to mimo butów

na niewielkim obcasie. Za nim wkroczył jakiś rosły blondyn, a potem młody chłopak z rzadkimi włosami i dużymi zakolami...

Razem cztery osoby.

Ruszyli przez restaurację, kierując się w stronę schodów.

Leszek raz jeszcze się im przyjrzał.

Ten blondyn... Jego wygląd i sposób poruszania się...

Nie można było się pomylić. To mógł być tylko on.

Leszek gwałtownie otworzył drzwi do samochodu i usiadł na siedzeniu dla pasażera. Gapił się przed siebie.

Sonya spojrzała na niego pytająco.

– Nikt nie przyszedł?

– Przyszli – odparł, spoglądając przez okno. W głowie miał mętlik.

– Leszek?

– Był Moretti – dodał. – Z trzema innymi, w tym z własnym ochroniarzem.

– Kogo przysłał Don Ignacio?

Spojrzał na Sonyę i przez chwilę myślał.

– Jensa Valla.

Chwilę potrwało, zanim skojarzyła.

– Jensa? Tego Szweda? Przyjaciela Sophie?

Pokiwał głową.

– Dlaczego? Co on tu robi?

– Reprezentuje Don Ignacia.

– Dlaczego?

Leszek nie odpowiedział.

Sonya zaczęła się zastanawiać.

– A co, jeśli się pomyliliśmy? – zapytała. – A co, jeśli to spotkanie nie ma nic wspólnego z Don Ignaciem?

– Ma. Widziałem jeszcze kogoś. Wiem, że on pracuje dla Don Ignacia. To

Amerykanin. Stany przysłały go do Kolumbii, żeby szkolił milicjantów do walki z partyzantami FARC. Przez ostatnie dziesięć lat pracował dla Don Ignacia jako ochroniarz i spec od mokrej roboty... Kevin Gorman. Całe szczęście, że żaden z nich nie spojrział w moją stronę.

Siedzieli wpatrzeni w restaurację i próbowali uporządkować myśli.

Leszek spojrział na zegarek.

– Nie wiem, ile tam będą siedzieć. Zaraz mogą wyjść. Musimy szybko podjąć jakąś decyzję... Sonya, pomóż mi, pomyśl. Co może tu robić Jens Vall? Jaka jest sytuacja?

Spróbowała się skoncentrować.

– Był blisko Sophie, był jej przyjacielem – zaczęła. – Tak go poznaliśmy...

– I?

– Wychodziliśmy z założenia, że zimą zmieniła stronę i przeszła do Hankego.

– W takim razie co on tu może robić?

– To przemytnik. Sophie była po stronie Hankego, więc on też jest... może.

A Hanke współpracuje z Don Ignaciem – powiedziała Sonya.

– Tego nie wiemy.

– Czego?

– Że Sophie działała z Hankem.

Przez pół roku Leszek towarzyszył Sophie. Pracował z nią, pilnował jej i ją chronił. Zdziwił się, kiedy Aron powiedział, że przeszła do Hankego. Mimo że były dowody, miał wątpliwości. Teraz też je miał, gdy chodziło o Jensa Valla...

– Co w takim razie o tym myślisz? – zapytała Sonya.

– Kilka razy go spotkałem. Jens to dobry człowiek. Nie jest zdolny do wszystkiego – odparł.

– Do wszystkiego?

– Nie przemycałby towaru dla ludzi takich jak Don Ignacio...

– Dlaczego nie?

Oboje nie odrywali wzroku od restauracji.

– Ma jakieś zasady – odparł Leszek.

– Przemysł z zasadami? – zapytała z delikatną ironią. – A co przemycza?

– Przede wszystkim broń, ale inne towary też.

– Broń? Jakie to szlachetne.

Tym razem ironii nie dało się nie usłyszeć.

– Nie w tym sensie – zaprotestował Leszek.

– A w jakim?

– Jego zasady dotyczą czego innego. Co do towaru nie ma skrupułów.

Powiedział, że chodzi mu o ludzi. Nie chce zajmować się narkotykami, bo w grę wchodzi niewłaściwi ludzie...

Z restauracji ktoś wyszedł. Ale wśród wychodzących nie było ani Jensa, ani nikogo innego z tego towarzystwa.

– Czyli co?

Leszek przez moment się zastanawiał.

– Może nie jest tu z własnej woli? – powiedział.

– Co masz na myśli?

– To, co właśnie powiedziałem.

– Rozwiń.

Rzucił okiem najpierw na nią, a potem na restaurację.

– Don Ignacio... Znamy go, wiemy, jak pracuje, jak wszystkich zmusza do uległości. Ktoś taki jak Jens Vall nie pracowałby dla Don Ignacia...

– Twoim zdaniem.

– Moim zdaniem – potwierdził.

Przez chwilę rozważała tę myśl.

– Don Ignacio zmusił Jensa, żeby dla niego pracował? – zapytała cichym

głosem.

– Rozumiesz, jaka to by była dla nas szansa? – szepnął Leszek. – Mielibyśmy dojście.

– Ale z drugiej strony... – powiedziała – założmy, że uda się nam nawiązać kontakt z Jensem. I twoja teoria okaże się błędna, on będzie po ich stronie z jakiegoś powodu, którego nie znamy. Ujawnimy swoją pozycję, domyślą się, że Hector jest gdzieś w pobliżu, wyślą swoich ludzi, przeczesać całą okolicę i nas znajdą.

– Takie ryzyko istnieje – przyznał Leszek i kiwnął głową w stronę restauracji.

Grupa wyszła na zewnątrz, stanęła przed samochodem i zaczęła rozmawiać. Kevin Gorman cały czas trzymał się za plecami Jensa.

– Kim jest ten Gorman? – zapytała Sonya.

– To świnia.

Rozmowa Jensa i Morettiiego się przeciągała.

– Jens nie wsiądzie do tego auta – stwierdził Leszek.

– Na to wygląda – zgodziła się Sonya.

W końcu niski Moretti i wysoki Jens podali sobie dłonie. Moretti wsiadł na tylne siedzenie samochodu, a Jens i Gorman ruszyli przez Piazza della Signoria.

– Idź za nimi – powiedział Leszek.

Sonya wysiadła, wzięła torebkę, powiesiła ją sobie na ramieniu i poszła za mężczyznami.

Zachowywała dystans. Jens i Gorman minęli kopię rzeźby Dawida i opuścili rynek.

Weszli w Piazzale degli Uffizi i skierowali się w stronę rzeki. Potem skręcili w prawo, minęli Ponte Vecchio, znów skręcili w prawo w jakąś mniejszą uliczkę i przez szklane drzwi weszli do hotelu. Sonya za nimi.

W środku było nieco chłodniej. Boy hotelowy z kołnierzykiem obsypanym łupieżem stał oparty o wózek na bagaże i się na nią gapił.

– Patrzenie jest gratis – powiedziała i weszła do lobby.

Przystanęła i udawała, że szuka czegoś w torebce. Gorman czekał, aż recepcjonista poda mu klucz. Kiedy go dostał, razem z Jensem poszli w stronę windy. W tej samej chwili, w której otworzyły się jej drzwi, Sonya ruszyła ku schodom. Zaczęła biec w górę. Założyła, że muszą mieszkać na drugim, trzecim albo czwartym piętrze. Inaczej użyliby schodów.

Wyjrzała na korytarz na pierwszym piętrze. Nikogo. Ruszyła wyżej. Ostrożnie uchyliła drzwi i nadstawiła ucha.

Jens i Gorman szli w stronę końca korytarza. Kevin Gorman otworzył drzwi, weszli do pokoju i drzwi się zamknęły.

Sonya przemknęła do nich i sprawdziła numer.

14

Praga

TOMMY ZAŁATWIŁ Eddiemu fałszywą licencję na broń sportową, na jego colta .45. Zapakował go zgodnie z przepisami, zgłosił przy odprawie i pokazał niezbędne papiery. Proste.

Szwedzka ambasada w Pradze leżała przy małej uliczce, która wychodziła na rynek. Na jej tyłach znajdował się park. Nie było żadnego ogródka restauracji ani innego dobrego miejsca, z którego Eddie mógłby obserwować wchodzących i wychodzących. Pozostało mu tylko spacerowanie wzdłuż uliczki i zdanie się na łut szczęścia.

Było gorąco, słońce stało wysoko na niebie i brakowało jakiegokolwiek przewiewu. Miał ciemne okulary, a na głowie czapkę z daszkiem z napisem Havoline. Oprócz tego kurtkę, pod którą ukrył swoją czterdziestkępiątkę. Spływał potem.

Kursował w górę i w dół wzgórza, na którym leżała uliczka, jak jakiś cholerny Profesor Baltazar z chorwackiej kreskówki. Minął ambasadę niezliczenie wiele razy, mając na oku oba wejścia. Małe drzwi i większe wejście główne. Praktycznie nikt nie wchodził ani nie wychodził. Para uśmiechniętych szwedzkich turystów z plecakami zrobiła sobie zdjęcia na tle ambasady. Po co, do cholery? „Spójrzcie, a tu jest szwedzka ambasada!”.

Mijały godziny. Eddie zaczął mieć wątpliwości. Kilka osób opuściło budynek między piątą po południu a wpół do szóstej. Domyślał się, że byli to

pracownicy. Ale nie widział ani Sophie, ani Milesa...

Eddie po raz kolejny zszedł w dół pagórka. Zawrócił w zwyczajowym miejscu i znów ruszył w górę. Cały czas to samo. Z ambasady nikt nie wychodził. Koło szóstej się poddał i postanowił po raz ostatni zejść w dół. Po drodze minął kobietę, która szła w górę. Krótkowłosą blondynkę... mniej więcej trzydziestoletnią. Szeroko się uśmiechnęła i pomachała do kogoś za jego plecami. Przeszedł obok niej, dotarł na dół, zawrócił i ruszył pod górę.

Kawałek wyżej zobaczył plecy kobiety. Spotkała się z mężczyzną, który szedł w jej stronę. Zatrzymali się, pocałowali, on podał jej ramię i zaczęli iść w dół, w jego stronę. Kiedy go mijali, opuścił głowę. Mężczyzna powiedział coś zabawnego, kobieta wybuchnęła śmiechem. Eddie go rozpoznał. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Facet wyglądał, jakby przeniósł się z innej epoki. Niczym dawny gwiazdor Hollywood. Taki brunet z przedziałkiem na bok, który palił, ale nie dostawał raka i mówił aksamitnym głosem... To był Miles Ingmarsson.

Eddie zrobił kilka kroków, żeby stworzyć dystans, zawrócił i poszedł za nimi.

Co to za kobieta? Sophie? Nie. Jakaś inna. A miałyby taką świetną okazję. Podszedłby do nich od tyłu, strzelił i uciekł.

Przez kilka minut szli wolnym krokiem. Potem, ku jego zdziwieniu, skręcili w lewo, przeszli przez ulicę i weszli do bramy. Eddie zrobił jeszcze kilkanaście kroków. Potem zatrzymał się i przyjrzał budynkowi. To była piękna, stara czteropiętrowa kamienica. Odwrócił się i spojrzął na przeciwległy budynek. Ten sam typ, ten sam wiek. Stały bardzo blisko siebie. Między nimi biegła tylko wąska, jednokierunkowa uliczka... fasady dzieliło jedynie kilka metrów.

Drzwi wejściowe do budynku naprzeciwko miały tylko zwykły zamek i domofon, na którym można było wystukać kod.

Już miał nacisnąć guziczek na domofonie, kiedy drzwi się otworzyły. Wyszła z nich starsza kobieta.

– *Dobry den* – rzuciła.

Eddie przytrzymał jej drzwi i wsunął się do środka.

Zobaczył wyłożone kamieniami schody. Wdrapał się na czwarte piętro. Dwoje drzwi z tabliczkami, które świadczyły o tym, że za nimi mieściły się jakieś biura. Sprawdził zamki. Powinien sobie z nimi poradzić bez większych problemów. Zapukał. Odpowiedziała mu cisza.

Wsunął wytrych w zamek. Pomajstrował pół minuty i drzwi się otworzyły. Za nimi zobaczył ciemne biuro. Żadnego alarmu. Trzy biurka, wyłączone komputery.

Wszedł do środka. Na ulicę i budynek naprzeciwko wychodziły cztery okna. Stał pośrodku i zaczął się przyglądać oknom po drugiej stronie ulicy. Od razu zobaczył Milesa, Sophie... i jeszcze parę osób. Trzecie piętro. Siedzieli w kuchni. Wokół stołu. Jedzenie, świece, butelka z winem i karafka z wodą. W sumie pięć osób. Miles i ta krótkowłosa blondynka. Sophie i jej syn, jasnowłosy nastolatek na wózku. Obok niego siedział potężny, barczysty mężczyzna ostrzyżony na języka. Eddie nie wiedział kto to. Ale było to bez znaczenia.

Przybliżył całą grupę w aparacie, który miał w telefonie. Delikatnie drgali na wyświetlaczu. Zrobił zdjęcie w zbliżeniu i z oddali. Tommy chciał mieć zdjęcie przed i po. To było przed...

Eddie schował telefon i wyciągnął colta. Trzymał go w opuszczonej dłoni i bawił się bezpiecznikiem. Odciągał go kciukiem, a potem puszczał. Klik, klik, klik...

Była tak blisko. Sophie...

Zaschło mu w ustach. Serce zaczęło bić szybciej. Słuchając własnego oddechu, podniósł wyprostowane ramię. Wycelował w jej głowę. Prosta

sprawa. Potem przesunął celownik na głowę Milesa. Wrócił do Sophie.

Opuścił broń. Powtórzył ruch.

Głowa Sophie...

Trach, trach...

Płynny ruch w stronę głowy Milesa...

Trach, trach...

Bez problemu. Broń była stara, ale dobrze utrzymana. Kaliber 0,45 cala. Naboje ciężkie, duże i z cholerną ilością prochu. Nabiorą rozpędu i pójdą prosto jak po sznurku. Zadadzą brutalne rany.

Otworzył okno. Owiało go ciepłe wieczorne powietrze. Cofnął się o krok i schował w półmroku, podniósł broń i skierował w stronę Sophie. Trzymał jej głowę na muszce. Palcem zaczął naciskać spust. Już miał wystrzelić, ale nagle się powstrzymał. Sophie się uśmiechała. Szeroko, niemal się śmiała. Opuścił broń. Nie potrafił strzelić jej w twarz, gdy się śmiała. Będzie musiał poczekać, aż przestanie...

Przyglądał się temu, co się działo w kuchni. Obiad, bliskość, śmiech i rozmowy. Rozpraszało go to...

Sophie przestała się śmiać. Eddie powtórzył procedurę. Podniósł broń, wstrzymał oddech i zaczął naciskać spust. Już miał strzelić, ale w tej samej chwili zniknęła mu z muszki. Pochyliła się nad synem i cmoknęła go w głowę.

Na sekundę Eddie oprzytomniał.

Pięć osób wokół stołu. Zapalone świece, jedzenie, napoje, bliskość, radość... ciepło, śmiech. Wszystko wyglądało bardzo przyjemnie. To było coś dobrego.

Coś dobrego.

On sam nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Choć wiedział, że inni tak. Tak do końca nie rozumiał, o co w tym chodziło... aż do teraz. Teraz miał przynajmniej pojęcie, jak to mogło wyglądać.

Przeklął się w duchu. Cały czas te cholerne wątpliwości i zastanawianie się. Poczuł, że narasta w nim złość, ale ją zdusił. Znów uniósł pistolet, wymierzył i położył palec na spuście. Oddychał przez nos... Próbował wycelować. Tyle że broń nagle zrobiła się ciężka i niestabilna, zaczęła mu się chwiać w dłoni. Chwycił ją oburącz, nie pomogło.

Stracił opanowanie. Syknął przez zęby z frustracji. Zebrał wszystkie siły, trzymał pistolet w obu dłoniach, przestał oddychać. Ręce mu się trzęsły. Chciał opróżnić cały magazynek, celując w tę cholerną kuchnię...

Ale nie mógł.

Osunął się na podłogę i oparł plecami o biurową szafkę.

Cholerny bezużyteczny skurwiel, pomyślał.

Wsunął sobie w usta zimną, czarną lufę. Miała smak żelaza. Przycisnął spust... Ale ciało wciąż nie chciało go słuchać. Był fizycznie niezdolny do zastrzelenia Sophie, Milesa... a nawet siebie samego.

Pistolet wylądował na podłodze.

Wyczerpał wszystkie możliwości. Siedział i gapił się przed siebie.

Pojawiło się światło. Światło, które nie świeciło. Małe pęknięcie w całej tej skorupie beznadziei. Światło przeciskało się przez całe to mroczne gównno. Chciało mu coś przekazać. Było też ciepłe...

Nawet jeśli nie potrafił odebrać sobie życia... Co miał zrobić? Wszystko powinno być stracone. Ale światło nie dawało za wygraną. Miał wrażenie, że przynosi mu jakiś dar.

Nagle na jego ręce spadła zupełnie nowa możliwość.

Zrobi na odwrót. On, Eddie Boman, zrobi coś całkowicie odwrotnego.

Część druga

15

Florencja

BYŁO WPÓŁ DO DWUNASTEJ w nocy, gdy Sonya i Leszek zameldowali się w hotelu i odebrali klucz od swojego pokoju.

– Czy ktoś może nam pomóc z bagażami? – zapytała Sonya.

Zostawili torby przy recepcji i wjechali windą na trzecie piętro. Z ich pokoju rozciągał się widok na rzekę. Czekali. Sonya na łóżku, Leszek na krześle.

Po dziesięciu minutach rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy Sonya poszła otworzyć, Leszek włączył stoper w swoim zegarku. Do pokoju wszedł boy hotelowy z łupieżem na ramionach marynarki. Przyniósł ich dwie torby. Leszek włożył mu w dłoń kilka euro. Boy podziękował i odwrócił się, żeby wyjść. Leszek złapał go od tyłu i przycisnął mu do nosa i ust szmatkę nasączoną chemikaliami. Po pięciu sekundach mężczyzna osunął się na podłogę.

Sonya podbiegła do niego i zaczęła szukać jego kluczy. Znalazła kółko z trzema różnymi. Jeden z nich przypominał ten, który pasował do ich pokoju. Klucz uniwersalny.

Szybko wyszli na korytarz, zeszli schodami na drugie piętro i podbiegli do drzwi pokoju Jensa i Gormana. Leszek przyłożył do nich ucho. Usłyszał ciche pochrapywanie. Wyjęli swoje pistolety, przykręcili tłumiki. Leszek dał Sonyi znak, że może otworzyć drzwi.

* * *

Jens Vall siedział w ubraniu na pościelonym łóżku i czytał książkę. Na sąsiednim pościelonym łóżku pochrapywał Kevin Gorman. Śpiąca Królowa najpierw spaliła heroinę na folii, a potem odpłynęła do krainy snu. Na nocnej szafce między ich łóżkami oprócz narkotyków, folii i zapalniczki stały puste puszki po piwie i butelka po whisky. Jens cierpliwie czekał, dopóki Gorman sam siebie nie pozbawił świadomości. Wtedy wyjął książkę, wziął kilka głębokich oddechów i zaczął czytać.

Od strony drzwi dobiegł go jakiś dźwięk. Ktoś wsunął klucz do zamka. Światło z korytarza utworzyło na ścianie wąską smugę, kiedy drzwi się uchyliły. Minęło parę sekund i drzwi się zamknęły. Do pokoju weszły dwie osoby. Miały broń z tłumikami. Wycelowaną w niego i Gormana. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna... Leszek Śmiały, najbliższy człowiek Hectora, zaraz po Aronie Geislerze... Możliwe, że była to jedna z ostatnich osób, jakie spodziewał się tu zobaczyć.

Rzeczywistość wygrała ze zdziwieniem... Przyszli, żeby go zabić. Zimą Aron próbował zabić Sophie w domku w Danii. Teraz nadeszła kolej na Jensa. Każdy, kto wiedział coś o Hectorze, musiał zginąć. Ale jak, do cholery, udało się im go znaleźć.

Jens próbował przygotować się na strzał w głowę. Tylko jak? Powinien zamknąć oczy? Napiąć się?... Pif-paf, ból i ciemność?

Nie padł jednak żaden strzał. Leszek dał mu znak, żeby był cicho i się nie ruszał. Uklęknął przy łóżku Gormana, naciągnął na twarz maseczkę chirurgiczną, którą miał zawieszoną na szyi, przyłożył mały dozownik ze sprejem do otwartych ust Gormana i coś rozpylił. Gorman nawet nie zdążył się obudzić. Momentalnie przestał chrapać i stracił przytomność.

Przez kilka sekund w pokoju panowała pełna napięcia cisza. Potem Leszek ściągnął maseczkę.

– Witaj, Jensie Vallu – powiedział Leszek cicho.

Jensowi waliło serce.

– Witaj, Leszku – odparł.

Leszek rzucił okiem na zegarek i dał kobiecie znak, że może opuścić broń.

– Mamy mało czasu – oznajmił Leszek. – Opowiedz nam, dlaczego tu jesteś.

Jens uświadomił sobie, że nie wie, co powiedzieć. Zwykle szybko dostosowywał się do nowych okoliczności. Ale ta go zaskoczyła.

– Powiedzcie, co wy tu robicie – odparł niepewnie.

– Spotkałeś się z Morettim – odparł Leszek. – Razem z tym tu – dodał, wskazując Gormana. – Wiem, kto to jest. To Kevin Gorman, człowiek Ignacia Ramireza. Ostatni raz pytam, co tu robisz?

Jens zagiął róg na górze strony, zamknął książkę, spojrzął najpierw na kobietę, a potem na Leszka. Próbował zrozumieć, co się dzieje, zyskać na czasie, ukryć swoje zdenerwowanie i zmieszanie.

– Pracuję – powiedział.

– Dobrowolnie?

Leszek znów spojrzął na zegarek. Najwyraźniej się śpieszyli. Jens zakładał, że to dobrze.

– A jakie to ma za znaczenie? – powiedział.

Leszkowi to wystarczyło.

– A Lothar? – zapytał.

Lothar? Teraz Jens zaczął rozumieć więcej.

– Jak mnie znaleźliście?

– Nie szukaliśmy cię.

– Możesz jaśniej?

– Nie. Odpowiadaj na nasze pytania.

– Bo co?

– Bo zastrzelimy ciebie i Gormana.

Nie wyglądało to na czcze pogrózki.

– Chcecie znaleźć Lothara? – zapytał.

– Wiesz, gdzie on jest?

Jens nie chciał im mówić za dużo. Jeszcze nie.

– Wiem, gdzie był.

– Kiedy i gdzie widziałeś go po raz ostatni?

– Byliśmy przenoszeni z miejsca na miejsce.

– Razem?

Jens postanowił odpowiadać wolniej.

– Czasami tak.

– Jak on się czuje?

– W porządku.

– Możesz nam pomóc?

– A wy możecie pomóc mnie?

– Powiedz jak?

Jens się zastanowił. Chciał odzyskać wolność dla siebie i Lothara... i skrócić Aronowi kark. Ale o to nie mógł prosić Leszka.

Leszek znów rzucił okiem na zegarek.

– Teraz albo nigdy – powiedział.

Jens szybko się zastanowił.

– Jeżeli ja i Lothar mamy wyjść z tego cało, będziemy potrzebować pomocy, i to sporo. Bez przerwy mają nas na oku.

– Gdzie jedziecie z Florencji?

Jens spróbował go rozszyfrować. Nie wiedział, czy ma przed sobą wroga, czy przyjaciela. Spojrzał na prawo, tam, gdzie leżała ta świnia, Gorman. W porównaniu z nim wszyscy inni ludzie byli przyjaciółmi, całe siedem miliardów.

– Do Miami.

– Kiedy? – zapytała kobieta.

– Jutro.

– Dlaczego tam? – spytał Leszek.

– To tam mieszkaliśmy przed przyjazdem do Florencji.

– Lothar też?

Kiwnął głową.

– Gdzie w Miami?

Podał Leszkowi adres i dostał od niego numer telefonu.

– Zapamiętaj go i zadzwoń, jak tylko będziesz mógł – polecił Leszek.

– Nigdy nie mam dostępu do telefonu, nie mogę nigdzie dzwonić.

– Ale i tak zapamiętaj ten numer.

– Musimy już iść – wtrąciła kobieta. Było słyhać, że się denerwuje.

Leszek zatrzymał spojrzenie na Jensie. Wyglądał, jakby coś mu się przypomniało, nagle posmutniał.

– Przykro mi z powodu Sophie – powiedział. – Kto ją zabił?

Jens przyjrzał mu się uważnie. Był dobrym kłamcą... Przeniósł wzrok na kobietę. Jej smutek też wydawał się szczery.

Byli w tym bardzo dobrzy... Zbyt dobrzy? Jens poczuł ukłucie niepewności. „Nie wiedzieli? Nie, to niemożliwe. Musieli kłamać”. On też musiał. Nie miał innego wyjścia.

– Nie wiem. Byliśmy na dworze, znaleźliśmy ją, kiedy wróciliśmy. Nie żyła. Ktoś ją zadźgał nożem.

Leszek i jego towarzyszka przez chwilę milczeli.

Potem kobieta powiedziała:

– Jeżeli uda nam się uwolnić ciebie i Lothara, Leszek i ja pomożemy ci znaleźć tego, kto to zrobił.

Wyglądała na szczerze poruszoną. Jednocześnie złą i smutną.

„Może ona nie wiedziała? Ale Leszek...”.

Jens nie potrafił dojść do ładu z myślami.

– Dziękuję – bąknął tylko.

– Pojawimy się.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– To znaczy?

– Zanim zdążysz się obejrzeć. Bądź czujny – powiedział Leszek i wyszli.

Drzwi zamknęły się za nimi.

W głowie miał chaos. Spojrzał na Gormana, który leżał odurzony. Po raz pierwszy Jens miał okazję do ucieczki. Ale nie zamierzał z niej skorzystać. Chciał zrobić coś innego.

Wstał z łóżka. Ostrożnie wyjął klucz z dzinsów, które Gorman rzucił na podłogę. Wziął buty w rękę, wyszedł z hotelu na ciepłą florencką noc. Na małych uliczkach kręciło się mnóstwo ludzi. Za dużo, biorąc pod uwagę to, co chciał zrobić. Wszyscy zdawali się chodzić grupkami albo parami.

Jens szukał swojej ofiary. Zobaczył ją po kilku minutach. Samotna dziewczyna, mniej więcej dwudziestoletnia, czarne starannie ułożone włosy, krótka sukienka i wysokie obcasy. Rozmawiała przez komórkę. Jens przyśpieszył kroku i ruszył w jej stronę.

Kiedy do niej podszedł, zaczęła coś szybko mówić po włosku. Wyrwał jej telefon z dłoni i skręcił w lewo, w małą uliczkę. Puścił się biegiem. Kobieta zaczęła krzyczeć. Jens przyśpieszył. Kluczył, skręcając w kolejne uliczki, wybiegł na jakiś rynek, wmieszał się w tłum i zaczął wracać do hotelu, zataczając szeroki łuk. Wybrał numer, który zapamiętał dawno temu. Przyłożył telefon do ucha, pachniał tanimi i dziecięcymi perfumami.

Usłyszał dwa sygnały.

Potem jej głos. Tak bardzo za nim tęsknił, tak bardzo chciał go znów

usłyszeć.

– Jens? – zapytała niemal szeptem.

– Jutro lecę do Miami – powiedział.

– A Lothar?

– On też tam jest.

– Jak on się czuje?

– Dobrze, ma się dobrze. Ale pilnują nas całą dobę na okrągło. Nie wiem, jak długo tam zostaniemy. A co z wami? Jak wy się macie? Wszyscy są?

– Tak, wszyscy. Mają się dobrze...

– A ty? – zapytał cicho.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego sama zadała pytanie.

– Gdzie teraz jesteś?

– To nie ma znaczenia. Niedługo będę musiał się rozłączyć. Posłuchaj mnie, Sophie, Leszek był tu niedawno z jakąś kobietą. Oni też przylecą do Miami, chcą odbić Lothara. Musicie zdążyć przed nimi.

Był już niedaleko hotelu. Przez chwilę oboje milczeli.

– Jesteś tam? – zapytał.

Sophie mruknęła ciche „tak”.

– Co to za kobieta? – zapytał. – Ciemnowłosa, zielone oczy, piękna...

– Sonya, Sonya Alizadeh – powiedziała Sophie. – Iranka, ktoś w rodzaju przyrodniej siostry Hectora. Cały czas stoi u jego boku.

– Myślą, że nie żyjesz.

– Co mówił Leszek?

– Pytał, czy wiem, kto cię zabił.

Przez chwilę milczała.

– Wspomniał coś o Hectorze?

– Nie.

– A pytałeś go?

– Nie.

W słuchawce zapadła cisza.

– Sophie...

– Tak?

– Mam mało czasu. Potrzebujemy waszej pomocy. Jutro lecę do Miami. Leszek i Sonya pewnie też. Czasu jest niewiele.

Podał jej adres w Miami, rozłączył się, wrzucił telefon do kosza i wszedł do hotelu.

16

Praga

SOPHIE STAŁA z telefonem w dłoni na środku swojej sypialni. Starła się zapanować nad uczuciami.

Lothar był cały i zdrowy. Wyglądało na to, że Jens też. To najważniejsze.

Ktoś zapukał w futrynę. Odwróciła się i zobaczyła Milesa.

– Jens? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Lothar?

– Ma się dobrze.

Miles spojrzał w podłogę, a potem podniósł wzrok.

– Co powiedział?

– Chce, żebyśmy po nich przyjechali.

– Gdzie są?

– W Miami.

– To przecież niemożliwe – odparł.

– Zgadza się – powiedziała ledwo słyszalnie.

Oboje myśleli o Lotharze... Skandalicznie go zawiedli, kiedy został wymieniony na Alberta. Teraz znów mieli go zawieść.

Miles odwrócił się, żeby wyjść. Poczucie winy nie dawało jej spokoju.

– Miles? – powiedziała.

Zatrzymał się.

– Jens zdążył mi powiedzieć, że Leszek i Sonya tam jadą.

– Do Miami?

– Tak.

– Skąd wiedzą, że...

– Jens nie miał czasu na wyjaśnienia. Ale rozmawiał z Leszkiem...

Miles wiedział, co powie, ale jej nie przerywał.

– Hector i Aron mogą jechać z nimi – dokończyła.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Możemy teraz spróbować – powiedziała.

– Skontaktować się z Tommym?

– Tak, pozwolić, żeby policja w Miami ich aresztowała.

– O czym rozmawiacie? – zapytał Albert. Stał za progiem, patrzył to na Sophie, to na Milesa.

Chciała mu powiedzieć: „O niczym, tak sobie rozmawiamy”. Ale milczała.

– Chcę porozmawiać z mamą sam na sam – powiedział Albert, zwracając się do Milesa.

Miles wyszedł.

Chciała skłamać, chronić samą siebie. Ale Albert patrzył na nią tymi swoimi błękitnymi oczami. Miała wrażenie, że po raz pierwszy zobaczyła je nie tak dawno temu. Przed siedemnastoma laty w szpitalnym łóżku. Kiedy w nie wtedy spojrzała, ogarnęło ją poczucie, że już go zna. Wtedy obiecała sobie, jak zdecydowana większość kobiet na ziemi, że będzie go chronić, nigdy go nie zawiedzie i zadba o to, żeby zawsze był bezpieczny.

Na wszystkich trzech polach poniosła klęskę.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem – wyszeptała.

– Chyba jednak wiesz?

– Musimy iść dalej, Albercie, ty i ja, musimy zostawić to za nami... Nie

możemy zaatakować Don Ignacia... Nie możemy nic zrobić...

– Zostawić to za nami? Iść dalej?

Chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do słowa.

– Na zawsze?... Ty i ja? Spójrz na mnie, mamó. Ja nie mam żadnego życia...

Sophie znów spróbowała coś powiedzieć, lecz Albert pokręcił głową.

– Nie, poczekaj... Wymieniłaś go na mnie. Przekazałaś go Don Ignaciowi i uwolniłaś mnie... Jedyne, o co cię wtedy prosiłem, to to, żebyśmy pomogli mu wrócić. Powiedziałem, że jesteśmy mu to winni, że jesteśmy to winni sobie samym... I ty obiecałaś...

– Będziemy żyć lepszym życiem niż to tutaj – powiedziała schrypniętym głosem. – Tobie jestem winna więcej niż Lotharowi albo jakimukolwiek innemu człowiekowi.

– Można zrobić jedno i drugie – odparł.

Spojrzała na niego. Całym sobą starał się do niej dotrzeć.

– Nie, Albercie, to niemożliwe – powiedziała.

Widziała, że cierpi.

– Jest mi wstyd, mamó. Nie pozwól na to, żebym musiał się wstydzić.

Nagle nie wiedziała, co powiedzieć. Przecież to ona się wstydziła. Wstyd był jej, nie jego. Przyjrzała mu się. Siedział na wózku. Zawsze miał w sobie coś pewnego i oczywistego. Ale nie teraz. Teraz był zdruzgotany. Głęboko zasmucony. Zawiodła go... On zawiódł Lothara... Został zraniony.

– Nie masz się czego wstydzić – powiedziała słabym głosem.

Sprawiał wrażenie, jakby jej nie słyszał. Myślami był gdzieś daleko.

– Jest dwadzieścia po czwartej po południu – powiedział cicho. – Środa. Ostatnia lekcja to był szwedzki. Wracam ze szkoły na rowerze. Może razem z Gustavem. Jest ciepło. Przerzutki roweru cykają, asfalt jest równy... Wprowadzam rower pod górkę. Nie znoszę tego... W domu robię sobie coś do

zjedzenia, coś niewielkiego, w kuchni słucham głośnej muzyki. Drzwi na taras od strony ogrodu są otwarte... Przebieram się i jadę na tenisa. Gram z przyjaciółmi, jest fajnie i wesoło. Możliwe, że wygrywam, ale nie ma to znaczenia. Kiedy wracam do domu, jestem radosny, czuję się jakiś taki wolny. Przychodzi Anna. Biorę prysznic, przebieram się, jemy razem obiad w altanie. Przychodzisz ty. Na chwilę z nami siadasz i rozmawiamy. Ja i Anna jedziemy kolejką do miasta, idziemy do kina... Wszystko jest łatwe, takie, jak być powinno... – Oblepiał go smutek, niczym mokry koc. – Tak to sobie wyobrażam... czas przed wypadkiem. Takie powinno być moje życie. Myślę o czymś, czego nie ma. I za tym tęsknię.

Czuła wszechogarniający ból.

– Wszystko zaczęło się tak dobrze – stwierdził.

Praktycznie to samo powiedziała mamie, kiedy siedziały w jej kuchni...

– Czy zapomnieliśmy, co jest tak naprawdę ważne? – zapytał.

– To pytanie jest zbyt trudne – odparła.

– Chyba nie – odrzekł. – Powinnaś móc na nie odpowiedzieć – dodał, niemal błagalnie.

Pokręciła głową.

– Ale nie potrafię.

Albert spojrzał prosto na nią, w nią, przez nią. Dostrzegł wątpliwości, które starała się trzymać na wodzy. Uczucia, które ukrywała. Zrozumiała, że widzi wszystko.

– Nigdy nie będziesz wolna, mamó – powiedział. – Nie znajdziesz bezpiecznego portu. Nawet jeśli uda ci się to, co teraz zaczęłaś, nigdy nie będziesz wolna...

– Chodzi ci o to, że my nie będziemy wolni, Albercie?

– Nie, chodzi mi o ciebie. Bo jeżeli nie zrobimy co w naszej mocy, żeby odbić Lothara i Jensa, nie będę ci dłużej towarzyszył. Nigdzie.

17

Lima

– W LATACH osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zarabialiśmy na strzelaniu do komunistów ze Świetlistego Szlaku – powiedział King Hidalgo.
– Przez pierwsze dziesięć lat dwudziestego pierwszego wieku do tych debili, terrorystów z Iraku i Afganistanu, a potem z Afryki Zachodniej. Zarabialiśmy... – Peruwiańczyk pogładził się po nieogolonej brodzie i mówił dalej: – A przez ostatnie lata opiekowaliśmy się naszą mamą, która jest chora. To kosztuje. Zanim przejdziesz do konkretów, zacznij od tego, ile masz zamiar nam zapłacić.

Bracia Hidalgo, King i Victor, byli po pięćdziesiątce, mieli wąsy opadające na kąciki ust, okrągłe brzuchy, kowbojskie koszule i kowbojskie kapelusze. Za pasem każdy z nich miał swoją srebrną berettę z rączką wyłożoną macicą perłową. Siedzieli przy stole na tyłach swojego domku w Limie.

– Porozmawiamy o tym, ale najpierw plan – oznajmił Aron.

Przed dom wyszła mama Kinga i Victora. Była stara i krucha, robiła drobne, niepewne kroczki. Postawiła na stole karafkę z winem i cztery kieliszki. Wszystko trwało wieczność. Bracia zaczęli się niecierpliwić i energicznie machali rękami, dając jej znać, żeby sobie poszła. Victor coś szepnął. Bracia wybuchnęli śmiechem. King rzucił za nią jakąś wiązanekę i Aron rozpoznał hiszpańskie słowo „dziwka”. Bracia piali ze śmiechu.

Staruszka zniknęła w domu. Victor rozlał wino do kieliszków.

– Widzę, że rzeczywiście się troszczycie o swoją starą matkę – stwierdził Aron.

– Tak, bardzo dużo dla nas znaczy – powiedział King czule.

– A wasz tata?

Uśmiechy zniknęły z twarzy braci.

– Smaży się w piekle. Diabeł właśnie wsadza mu chuja w dupę – odparł Victor cicho.

Aron spojrzał na Leeviego.

– Miłych chłopaków nam znalazłeś – stwierdził.

Leevi wzruszył ramionami.

– Takich chciałeś – odparł.

– Niezupełnie – rzucił Aron.

– Nie można mieć wszystkiego

– Co z zapłata? – zapytał znów King, gryząc zapalną.

– Teraz zero. Wszystko po robocie – oznajmił Aron.

– Nie tak pracujemy – odparł King.

– Ale ja tak.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie.

– A co z naszą biedną mamą? – zapytał Victor.

Aron nie odpowiedział.

– W takim razie zapłacisz podwójnie – stwierdził King.

– Dostaniecie nawet więcej – obiecał Aron.

King wyjął zapalną z ust. Victor nadstawił ucha.

– Pozbędziemy się Don Ignacia Ramireza i przejmujemy jego organizację.

Dostaniecie spory kawałek tortu.

Bracia spojrzeli na siebie.

– Kto to, kurwa, jest Don Ignacio Ramirez? – zapytał King.

– To król kokainy z zachodniej Kolumbii – wyjaśnił Aron. – Zaopatruje głównie Europę.

– Ma dużo kasy? – zapytał Victor.

Aron z irytacją przymknął oczy.

– A jak myślisz? – zapytał.

– Jak dużo? – chciał wiedzieć King.

– Nie będziecie żałować – powiedział Aron cicho.

Bracia zaczęli się naradzać. Pomysł, żeby zostać bossami narkotykowymi w Kolumbii, najwyraźniej im się spodobał.

– W porządku – rzekł King. – To jak robimy?

– Lecimy do Kolumbii, załatwiamy broń, robimy rekonesans i czekamy na telefon od mojego szefa. Potem uderzamy.

– A jeżeli nam się nie uda?

– To mogła – stwierdził Aron.

Bracia się uśmiechnęli.

– To mogła – powiedzieli chórem i wzniesli kieliszki.

– Ale zanim umrzemy, chodźmy do burdelu. Mamy do niego rzut beretem, jest na tej samej ulicy co nasz dom – oznajmił wesoło Victor.

Aron i Leevi pokręcili głowami.

– Idziemy. Znajdą się tam dla was jacyś chłopcy – powiedział King i bracia znów wybuchnęli śmiechem.

18

Sztokholm

EDDIE odebrał telefon.

– Pisuar – powiedział Tommy i się rozłączył.

Eddie wszedł do męskiej toalety. Przespacerował się wzdłuż rzędu drzwi i uderzył pięścią w każde z nich. Nikogo. Oparł się o umywalkę i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Zastanawiał się, czy sam by zaufał temu facetowi. Uznał, że nie. Poćwiczył powagę, oburzenie, obojętność, wszystkie uczucia, jakie tylko przyszły mu do głowy i które mogłyby ukryć jego niepokój i zdenerwowanie. Żadne z nich nie sprawdziło się zbyt dobrze.

Przyszedł Tommy. Nie patrząc na Eddiego, stanął naprzeciwko starego pisuaru z aluminium i rozpiął rozporek.

– Gadaj – rzucił ochryple, pochylił plecy, wyciągnął przyrodzenie i zaczął sikać, celując nad niebieską kostkę zapachową.

– Nikogo tam nie było – powiedział Eddie.

Przez powiększoną prostatę Tommy sikał seriami.

– Jesteś pewien? – zapytał, wstrzymując oddech.

– W miarę pewien – odparł Eddie.

Krótkie strużki uderzały o aluminium.

– Co to za cholerne określenie „w miarę”, co? – wychrypiał Tommy i głośno jęknął, próbując wycisnąć z pęcherza resztkę moczu.

– Jestem dość pewien – powiedział Eddie.

Tommy spojrział na niego po raz pierwszy od swojego przyjścia. Świdrującym, surowym wzrokiem. Eddie miał wrażenie, że wypala dziury w jego oczach.

– Czyżby nasz Eddie zaczynał mieć pietra?

Eddie opuścił wzrok.

Tommy strząsnął, schował małego i zasunął zamek. Podszedł do umywalki obok tej, przy której stał Eddie. Znaleźli się blisko siebie, zbyt blisko. Eddie czuł się nieswojo w polu siłowym Tommy'ego. Chętnie przesunąłby się o parę metrów, ale tego nie mógł zrobić.

– Zadałem ci pytanie – powiedział Tommy, odkręcając kran.

Szum wody odbił się echem od wykafelkowanych ścian.

– Nie mam pietra – odparł Eddie słabym głosem.

– A podchodzisz do tego poważnie? – zapytał Tommy i wycisnął mydło z dozownika.

Spojrział w lustro, namydlił dłonie, podniósł górną wargę i przyjrzał się zębom, a potem przejechał po nich językiem, żeby coś usunąć. Spłukał dłonie, zakręcił kran i wyciągnął papierowy ręcznik. Wycierając ręce, jeszcze raz przyjrzał się Eddiemu.

– To dobrze – powiedział cicho.

Tommy miał władzę, emanowała z niego i uderzała w Eddiego jak pole siłowe. Było ją czuć w całym pomieszczeniu. To była taka władza, która budzi strach, karmi się nienawiścią, przemocą, tłumionym strachem i całym mnóstwem tłamszonych i niewykształconych uczuć. Wysysała ze wszystkiego tlen, była cholernie niebezpieczna i jednocześnie nieśmiertelna, podbijała wszystko i pozostawiała po sobie zgliszcza oraz ruiny.

– Masz mnie za głupiego? – zapytał Tommy.

Eddie pokręcił głową.

– To dobrze, Eddie... – stwierdził Tommy.

Eddie próbował nie uciekać wzrokiem. Gdyby tak zrobił, mogło by to mieć opłakane konsekwencje. Tommy gapił się na niego przesadnie szeroko otwartymi oczami.

– Świetnie ci idzie nieuciekanie wzrokiem – szepnął.

Eddie spojrział w ziemię.

– Nic nie szkodzi, patrz mi dalej w oczy – polecił Tommy.

Eddie posłuchał. Było to trudne i niewłaściwe. Czuł się dziwnie.

Tommy wyprostował palec wskazujący prawej dłoni i odciągnął kciuk. Spokojnie przyłożył palec do czoła Eddiego. Eddie zamknął oczy. Tommy nacisnął spust.

– Pif-paf – wyszeptał i upuścił Eddiemu pod nogi papierowy ręcznik. A potem wyszedł.

Drzwi się zamknęły. Eddie stał w milczeniu.

* * *

Tommy człapał nudnym korytarzem komisariatu. Ten dureń był mu cholernie potrzebny... Stawiał się, i to mocno. Tommy nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie fakt, że zauważył w nim coś innego, coś nowego. Widział jego niepewność, ale ona go nie dziwiła, była naturalna. Lecz za nią dostrzegł również jej przeciwieństwo, ukrytą pewność siebie. Możliwe, że Eddie sam nie był jej świadomy. Tommy nigdy wcześniej jej w nim nie widział... jakby podjął decyzję... jakby na coś się zdecydował. A to powinno być wbrew naturze u takiego zatwardziałego sceptyka jak Eddie Boman...

Idąc, stawiał energiczne kroki. Koledzy, których mijał, kiwali głowami i pozdrawiali go. „Cześć, Tommy”. Ale on nie odpowiadał.

I ten strach... Eddie się bał. Cholernie. Jak mały chłopiec, który po raz pierwszy postawił się ojcu...

Tommy’emu taka analiza psychologiczna w zupełności wystarczyła.

Zadzwonił i zamówił pierwsze wolne miejsce na samolot do Pragi.

* * *

Eddie czuł się zaszczuty. Jadąc do domu przez miasto, cały czas spoglądał we wsteczne lusterko.

W mieszkaniu chodził z kąta w kąt i nie umiał sobie znaleźć miejsca. Manny gdzieś się zasztył. Stres wyłączył mu zdolność myślenia. Usiadł i odetchnął. Na pierwszy plan wybijało się jedno uczucie. Strach. Bezlitosny, mroczny lęk, który rodził pustkę i oszołomienie. To uczucie, które zawsze z powodzeniem przekuwał w agresję, złość, we wściekłość, a potem dawał upust wewnętrznemu napięciu, używając przemocy. Ale nie teraz... już nie. Ogarnęło go uczucie marności i niemocy. Nagle stał się małym chłopcem. Znalazł się w środku czegoś, nad czym nie miał władzy. Ściany w kuchni były wysokie i ciemne, wrażenie czegoś obcego i własnej kruchości wywoływało niepokój. Nie chciał być sam.

Obcisły podkoszulek. Najdroższe perfumy z kolekcji. Kluczyki samochodowe, kurtka z wieszaka. Wychodząc, trzasnął drzwiami. Zbiegł po schodach.

Ucieczka...

Znów siedział za kierownicą. Drogę znał na pamięć. Miejsce leżało w odległości dziesięciu minut jazdy, między osiedlem a niewielką okolicą przemysłową. Skreślił na parking.

Neon świecił jasno. Słowo „Garbo” dało się odczytać, nawet jeśli „b” było przepalone i nie świeciło. Garbo było połączeniem restauracji, nocnego klubu i targowiska żywym towarem. Podmiejską speluną. Kobiety, które tu przychodziły, były starsze, w większości rozwiedzione. Wszystkie miały podobne tanie ciuchy z jednej sieciówki. Podryw był tu śmiesznie łatwy. Eddie nie musiał się zbytnio nagadać, a i tak zawsze znalazł sobie kogoś, kto

z nim szedł do domu... Tak żałośnie było w Garbo.

Siedząc w samochodzie, przyglądał się ludziom, którzy wchodzili do lokalu. Odstrzelonym jak stróż w Boże Ciało, wstawionym, samotnym, napalonym... a słońce świeciło.

Wszystko było nie tak.

To nie tu powinien być. To nie to powinien robić... Przecież miało być na odwrót. Obiecał to sobie w Pradze. A przeciwieństwem wchodzenia do Garbo, podrywania kogoś i zabijania niepokoju seksem było... nierobienie tego. Czyli zamiana krótkowzroczności na dalekowzroczność, zrobienie czegoś dobrego zamiast czegoś złego... Takimi mniej więcej torami biegły myśli Eddiego, gdy siedział w samochodzie i gapił się na kierownicę swojego samochodu.

Przekręcił kluczyk. Silnik znów zamruczał.

Nagle zdał sobie sprawę, gdzie jedzie. Samochód pędził w stronę willowego osiedla na północ od miasta. Już wiele razy próbował się tam wybrać, ale zawsze zawracał w połowie drogi. Teraz nie miał wyjścia.

Pół godziny później kluczył wąskimi uliczkami skąpanego w zieleni przedmieścia, kierując się ku willi przy ulicy, na której wszystkie domy były do siebie podobne. Każdy miał mały ogródek i wyasfaltowane podjazdy. Tu i tam na drzwiach do garażu wisiał kosz do koszykówki.

Eddie zaparkował przy krawężniku i wyłączył silnik.

Wieczne słońce roztaczało złotawą poświatę. Pachniało grillem... Dzieci jeździły na rowerach i grały na ulicy w piłkę nożną. Kontrolowana anarchia w granicach bezpieczeństwa.

Eddie po raz pierwszy spojrzął na rodzinny dom Rickarda Egnella. Leżał pogrążony w ciszy. Przestał mówić dawno temu. Zasłony były zaciągnięte, brakowało oznak życia. W tym domu był tylko smutek. Dojmujący, bezbarwny. Bezdenny ból i rozpacz.

Siedział i gapił się na willę. Targały nim uczucia. Stracił poczucie czasu. Nie wiedział, jak długo tam tkwił. Nagle drzwi domu się otworzyły i wyszła przez nie para z jamnikiem na smyczy.

Powinni mieć po jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Ale wyglądali starzej. Dużo starzej. Ona była siwowłosa, on szpakowaty, jamnik stary i zramolały. Wolnym krokiem ruszyli do furki. Rickard był ich jedynym dzieckiem...

Wyszli na ulicę i nawet nie zwrócili uwagi na bawiące się dzieciaki.

Kiedy mijali samochód Eddiego, tata Rickarda spojrzął w jego stronę. Tylko na kilka sekund. Jego spojrzenie było puste, jakby już nic nie miało dla niego znaczenia.

Eddie pochylił głowę. Siedział i patrzył na swoje kolana.

Potem podniósł wzrok. Państwo Egnell zdążyli trochę się oddalić. Tata Rickarda wziął mamę za rękę. Na tym świecie mieli już tylko siebie.

Serce Eddiego zaczęło walić. Oddychał płytko przez nos. Oddech stawał się coraz cięższy. Kaszłał i chrząkał, ale to nie pomagało. Wciągał powietrze z coraz większym trudem.

Nagle ogarnęło go oburzenie z powodu niesprawiedliwości, z którą musieli żyć ci ludzie, rodzice. I to on ją wywołał, zabijając ich jedynego syna.

Chciał wyjść z samochodu, pobiec za nimi, wyznać prawdę, paść na kolana, doznać odpuszczenia win...

Ale nie było żadnej okoliczności łagodzącej. Będzie musiał trzymać się hasła, które cały czas rozbrzmiewało mu w głowie: „Na odwrót... zrobić na odwrót”.

Kiedy wrócił do domu, okazało się, że Manny znów go lubi. Jak tylko Eddie usiadł przy stole w kuchni, kot wskoczył mu na kolana.

Eddie wziął kartkę i długopis i zaczął układać plan. Przestał pisać, kiedy zdał sobie sprawę, że nie zostało mu dużo czasu. Że wkrótce umrze. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Tommy go zabije. Może i dobrze.

Wtedy rodzice Egnella odzyskają spokój, równowaga zostanie przywrócona... Musiała zostać przywrócona. Zrozumiał to wcześniej tego wieczoru, kiedy patrzył, jak wychodzą na wieczorny spacer. A zatem jeżeli Tommy go nie załatwi, będzie musiał sam się załatwić...

Manny mruczał mu na kolanach.

Tyle że nie umrze jako zły człowiek. Umrze jako dobry. Nie miało znaczenia, czy wyląduje w niebie, czy w piekle. Opuści ten świat jako ktoś dobry. Bo zawsze miał niejasne wrażenie, że urodził się dobry. Po prostu, idąc przez życie, czegoś zdecydowanie nie zrozumiał...

Mijały godziny. Eddie zastanawiał się nad różnymi możliwościami, układał różne plany, porównywał je, oceniał ryzyko. Cały czas widział ostrzegawcze czerwone światło. Wszystko wiązało się z ryzykiem... Usiłował obniżyć niektóre parametry, żeby światło zamieniło się w żółte albo chociaż pomarańczowe... Ale wtedy wszystko robiło się zbyt niepewne i niemożliwe do przeprowadzenia.

Myślał. Ryzyko musiało pozostać czerwone. Lecz w takim razie ktoś będzie musiał mu pomóc. Nie uda mu się tego przeprowadzić samemu.

Usłyszał hałas, kiedy na podłodze w holu wylądowała poranna prasa.

Podszedł do drzwi, podniósł gazety, przyniósł je do kuchni i zaczął przeglądać jedną z nich.

Czytając artykuł, zrozumiał, że to musi być ona. Caroline Berger. To ona mu pomoże.

19

Praga/Sztokholm

POKÓJ HOTELOWY był beżowy. Tommy leżał z dłońmi splecionymi na narzucie i wpatrywał się w sufit. Za oknem była noc albo wczesny ranek.

Przed oczami pojawiły mu się dziewczynki. Vanessa i Emelie... I Monica... Rodzina... Wyjeżdżali za granicę, podróżowali, razem zatrzymywali się w takich właśnie pokojach...

Wyparł te wspomnienia.

Rozległ się alarm zegarka elektronicznego. Spojrzał na przegub ręki i wstał. Zaczął działać. Sprawdził zawartość plecaka. Pistolet, wytrychy, dwie miniaturowe kamery, cienkie przewody, obcegi, dwie komórki na kartę razem z ładowarkami i mała elektryczna wiertarka. A oprócz tego nowy smartfon z największym możliwym procesorem.

Zarzucił plecak na ramię i wyszedł na niemal puste ulice Pragi.

Nieco wcześniej padało. Kiedy szedł w stronę Úvoz i szwedzkiej ambasady, światło latarni odbijało się od gładkiej powierzchni kamieni, którymi były wyłożone uliczki.

Z budynku ambasady można było wyjść w dwie strony. Można było skręcić w prawo i zejść uliczką, którą on sam właśnie wszedł, albo w lewo i iść w kierunku rynku. Nad schodami domu obok ambasady wznosił się krucyfiks. Tommy zadarł głowę i mu się przyjrzał. Wisiał na nim stary dobry Jezus. Nogi i ręce miał przebite gwoździami. To musiało cholernie boleć. Tommy gapił się

na twarz Jezusa... O co tu chodziło? Wisiał tam za nasze grzechy? Co to, do cholery, znaczyło? Wciąż te zagadki...

Rzucił okiem na fasady budynków naprzeciwko ambasady. Przy jednej z nich stało rusztowanie. Tommy uznał, że nie zaszkodzi spróbować. Wspiął się do góry. Cicho przeszedł wzdłuż pomostu i sprawdził każde okno. Na drugim piętrze znalazł puste pomieszczenia. W środku panowała martwa cisza.

Zeskoczył na ulicę. Użył wytrychu, żeby wejść do budynku, wspiął się po schodach na drugie piętro i jeszcze raz skorzystał z wytrychu.

Kurz, folia malarska, remont... idealnie.

Wyjął kamery, telefony, ładowarki, przewody i obcegi... Wiertarkę i nowy smartfon. Połączył kamery z dwoma telefonami. W smartfonie wpisał adres strony internetowej i zobaczył obraz z obu kamer. W futrynie okna wywiercił dwa otwory i ukrył w nich kamery. Ustawił je tak, że jedna pokazywała fragment ulicy i dwoje drzwi ambasady, a druga zbliżenie na mniejsze wejście, które zdaniem Tommy'ego służyło pracownikom. Dwa obrazy. Jeden z szerszej perspektywy i jeden z bliska. Powinny wystarczyć.

Opuścił mieszkanie i wyszedł na ulicę. Wziął taksówkę na dworzec główny, znalazł wolną skrytkę na bagaż, włożył do niej załadowany pistolet, zamknął, a klucz schował do kieszeni.

* * *

W redakcji panował ożywiony ruch.

Caroline Berger siedziała pochylona przy jednym z biurek, z okularami do czytania na nosie i ołówkiem wsuniętym w blond kok. Szybko stukwała w klawiaturę, mówiła do siebie, czytała na głos to, co już napisała, kasowała spore fragmenty i zaczynała od nowa.

Rozległo się ciche brzęknięcie, oznaczające, że dostała maila. Zobaczyła, że przyszła jakaś wiadomość od anonimowego nadawcy. W polu

przeznaczonym na imię i nazwisko znajdowały się same cyfry. Otworzyła wiadomość.

„Sprawdź Sophie Brinkmann”.

Od czasu do czasu dostawała takie maile. Od ludzi, którzy czuli się niesprawiedliwie potraktowani. Najczęściej przez władze i urzędników. Ale również od osób, które chciały innym uprzykrzyć życie. Niezależnie od pobudek wspólnym mianownikiem tego typu wiadomości pozostawał fakt, że ich nadawcy żywili historyczne przekonanie, że za ich własne problemy odpowiadał ktoś inny... I że teraz wszyscy się o tym dowiedzą, za sprawą jej artykułu opublikowanego w jednym z największych szwedzkich dzienników porannych.

Szybko wygooglowała „Sophie Brinkmann”. W kraju były dwie osoby o tym imieniu i nazwisku. Jakaś dziewczynka w prowincji Blekinge i czterdziestoletnia kobieta w Sztokholmie. Żadnych bliższych informacji...

Caroline przeniosła wiadomość do kosza i wróciła do pracy nad tekstem. Zajmowała się dziennikarstwem śledczym i ujawniała niejedną aferę, głównie w sektorze finansów. Czasami pisała artykuły na kontrowersyjne tematy oraz felietony. Była przywiązana do tej gazety i miała szeroki krąg czytelników. Wiele osób do niej pisało, dyskutowało z nią i przekazywało wyrazy uznania. Większość czytelników bardzo się angażowała. Caroline się to podobało.

Usłyszała, że dostała kolejnego maila.

Ten sam nieznany nadawca.

„Sprawdź też komisarza Tommy’ego Janssona”.

Ale czegoś takiego nie lubiła... Ludzi przekonanych o tym, że zawsze mają rację. Tę wiadomość też przeniosła do kosza.

Dwie godziny później wyszła z redakcji i wsiadła w kolejkę podmiejską. Mieszkała spory kawałek na południe od miasta, tam, gdzie cena za metr kwadratowy była niższa. Tylko dlatego. Zarabiała nieźle. Ale chciała, żeby

życie było lepsze. Mogła zrobić tylko jedno, oszczędzać. Zatem oszczędzała, jak mogła.

Bloki były niskie. Miały co najwyżej cztery piętra. Okolica była dość nudna, lecz Caroline się tam podobało. Może dlatego, że miała spokój, mogła być, jaka chciała... i robić, co chciała. Na przykład wlec się noga za nogą. Jak każdego dnia, gdy wracała ze stacji do domu. Czasem tak wolno, że aż ją to męczyło, zmuszała się do zwolnienia obrotów, starała się oczyścić myśli, czasem zaglądała do Turka i kupowała coś niezdrowego. Unikała patrzenia na mamy i ich bawiące się na placu zabaw dzieci.

Kiedy dochodziła do swojej klatki, poczuła, że zawibrowała jej komórka. Dostała esemes. Spojrzała na wyświetlacz.

„Rozumiem, że anonimowy nadawca, który chce, żebyś sprawdziła nieznaną kobietę i jakiegoś komisarza, nie obudził twojej ciekawości?”.

Poczuła się nieswojo. To był jej prywatny telefon, miała chroniony numer i znała go tylko garstka przyjaciół i krewnych.

Sprawdziła numer nadawcy. Prywatny, żadnych informacji.

„Kto pyta?”, odpisała. Wybrała kod na domofonie i weszła do środka.

Telefon znów zawibrował.

„Powinniśmy się spotkać”, przeczytała.

„Nie wchodzi w grę”, odpisała szybko.

Telefon znów się odezwał.

„Zginą ludzie”.

20

Praga

BIBLIOTEKA NARODOWA w Pradze. Piękny budynek z drugiej połowy osiemnastego wieku. Stare książki, stare freski i globusy. Miejsce, do którego pasowałby Indiana Jones przed wyruszeniem w dżunglę.

Miles zabierał tam Alberta tak często, jak mógł. Większa część edukacji chłopaka odbywała się w tych ścianach.

Siedzieli w części przyrodniczej. Tu było mniej ludzi.

Albert czytał *The Western Canon* Harolda Blooma, literaturoznawstwo i jednocześnie skuteczny środek na sen. Miles przeglądał gazety. Tego dnia „The Guardian”. Brał cokolwiek.

Tu i tam skrzypiała podłoga, ludzie rozmawiali ze sobą szeptem. Obok nich przeszła dziewczyna w wieku Alberta. Uśmiechnęła się do niego. Większość dziewczyn się do niego uśmiechała, posyłały mu serdeczne uśmiechy. Niemal czułe.

Miles zerknął na niego znad gazety. Albert spojrzał mu w oczy, nie wyglądał na rozbawionego.

– W porządku? – szepnął Miles.

– Nie – odpowiedział Albert i wrócił do swojego tomiska.

Miles wiedział, że Albert nienawidzi tych uśmiechów. Powiedział mu kiedyś, że gdyby nie siedział na wózku, taki uśmiech byłby bezpośrednim zaproszeniem, coś by znaczył i wyrażał. A tak był tylko poniżający.

– Pamiętaj, że to się może zmienić – powiedział Miles.

Albert podniósł wzrok znad książki.

– Co?

– To życie, którym teraz żyjemy. Jest spieprzone z góry na dół, chore. Nie przyzwyczajaj się do niego, do mnie, Michaiła ani tego uwięzienia. Cały czas przypominaj sobie o tym, kim jesteś. I że dążymy do czegoś lepszego.

– A dążymy? – zapytał Albert.

– W każdym razie nad tym pracujemy.

– Ja tak nie uważam – odparł Albert. – Moim zdaniem pracujecie nad czymś przeciwnym, poruszacie się w złą stronę.

– Twoja mama robi to, co robi.

Na czole Alberta pojawił się cień irytacji.

– A co to, do cholery, znaczy? – wymamrotał.

– Nie przeklinaj.

– Daj spokój.

Miles uważnie mu się przyjrzał.

– To znaczy, że nie powinieneś teraz krzywo na nią patrzeć.

– Nie patrzę krzywo – zaprzeczył Albert.

– A jak?

Albert przez chwilę się zastanawiał, spoglądając na książkę niewidzącym wzrokiem.

– Sam nie wiem. Chciałbym wierzyć, że to, co mówisz, jest prawdą, że poruszamy się w dobrą stronę. Ale nie wydaje mi się, żeby tak było – powiedział i podniósł wzrok.

Miles złożył gazetę i pochylił się nad stołem.

– W innym świecie postąpilibyśmy właściwie, bo on by nam na to pozwolił. Ale ten jest inny, w tym nie możemy. Możemy myśleć tylko o tym, co najważniejsze.

– To akurat kwestia względna – odparł Albert.

Miles pokręcił głową.

– Nie dla twojej mamy.

– Dla niej też – stwierdził Albert i spojrział w książkę.

Miles pomyślał, że Albert Brinkmann jest zdecydowanym chłopakiem. Wrócił do swojej gazety, przerzucił kilka stron i znów podniósł wzrok. Miał zamiar powiedzieć coś w stylu, że w sytuacji, w której się znaleźli, nie ma czegoś takiego jak „właściwa decyzja”, że nie można było postąpić tak, żeby każdy wyszedł na tym dobrze... Albo coś w tym stylu. Ale Albert już to wiedział, to byłyby frazesy.

– Przywieziemy Lothara do domu... – oznajmił Albert, patrząc w książkę. – To jedyne wyjście... Nic nie mów – dodał, podnosząc na niego wzrok. – Nie dlatego, że cię nie chcę słuchać. Zawsze to robię. Ale tak postanowiliśmy.

Jakaś dziewczyna, kilka lat starsza od Alberta, posłała mu szeroki uśmiech. Albert popatrzył na nią ze zmęczeniem. Wziął niewielki oddech i skoncentrował się na książce.

21

Miami

ODKĄD JENS i Gorman wyjechali do Europy, Lothar siedział zamknięty w pokoju bez okien. Dni i noce zły się w jedno. Prawie nie widywał swoich strażników. Jedzenie przynosili mu w nieregularnych porach. Nie chcieli z nim rozmawiać, zostawiali mu talerz i zamykali drzwi na klucz. Kiedy spał, miał same koszmary. Kiedy nie spał, miał wrażenie, że ściany zaczynają na niego spadać, i krzyczał z przerażenia. Bał się, że zaczyna wariować.

Ulga, jaką poczuł, słysząc za drzwiami głos Jensa, była nie do opisania. Jens wszedł do pokoju, mając za plecami jednego ze strażników. Lothar rzucił mu się na szyję. Mocno się objęli. Lothar trzął się i płakał.

– Jestem tu – wyszeptał Jens.

Za jego plecami rozległy się czyjeś kroki. Gorman wyrwał go z ramion Lothara, wypchnął z pokoju i zatrzasnął za nim drzwi.

Uśmiechnął się krzywo. Rozłożył ręce, jakby chciał uściskać Lothara. Był tak naćpany, że aż biła od niego łuna.

– Chodź do tatusia – szepnął.

Lothar ani drgnął.

Cios nadszedł znikąd i trafił go w brodę. Lothar runął na podłogę. Gorman uśmiechnął się. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, gdy zaczął kopać chłopca.

Sztokholm

EDDIE ŚLEDZIŁ Tommy'ego. Tommy umówił się na strzelanie i piwko ze starymi kumplami, szefami innych wydziałów. Od czasu do czasu urządzali sobie takie wieczory. Opróżniali parę magazynków, celując w piwnicach komisariatu do postaci z kartonu, potem dawali sobie w palnik i wracali do domów.

Eddie sądził, że ma co najmniej dwie godziny.

Kombinezon, ochraniacze na buty, gumowe rękawiczki, maseczka na twarz i czapka naciągnięta nisko na głowę. Tak wyglądał, gdy włamywał się do szeregowca Tommy'ego Janssona o ósmej wieczorem. Wszedł przez drzwi od tarasu pokryte odchodzącą białą farbą. Wytrych poradził sobie z zamkiem bez trudu.

W dużym pokoju panował idealny porządek. Zbyt idealny. Eddie poruszał się ostrożnie. Tommy nie zamontował sobie żadnego alarmu. Policjanci rzadko to robili. Żołnierze, ochroniarze i ludzie pilnujący bezpieczeństwa mieli zwykle hopla na punkcie alarmów i innych zabezpieczeń. Ale policjanci prawie nie zamykali drzwi, w tajemnicy marzyli o tym, że ktoś się do nich włamie i będą mogli skurwiela zastrzelić w obronie własnej.

Eddie wdrapał się po schodach z lakierowanej sosny. Na piętrze też nie znalazł niczego interesującego. Wszystko było obłudnie wysprzątane. Nawet łóżko Tommy'ego było pościelone. Na wygładzonej narzucie leżała ciężka,

okrągła ozdobna poduszka. Eddie nic z tego nie rozumiał. Czy to właśnie był Tommy Jansson? Może znalazł sobie nową kobietę? Ale Eddie nie widział nic, co by na to wskazywało...

Wrócił na parter.

Kuchnia. Stało w niej wiele książek kucharskich, niektóre z nich były dla ekspertów. Znalazł też niemal profesjonalny sprzęt kuchenny...

Zobaczył drzwi do piwnicy. Schody były strome, wąskie i ciemne. Kotłownia, a za nią rodzaj spiżarni. Wykwintne, drogie i niezwykle składniki przyszłych potraw. A za nimi drzwi. Zamknięte.

Poszukał klucza, koło futryny, na podłodze, pod słoikami i w słoikach w spiżarni. Nie znalazł.

Sprawdził zamek. Nowoczesny. Skomplikowany. Spojrzał na zegarek. Wciąż jeszcze miał dużo czasu.

Zdjął kurtkę, położył ją na podłodze i użył jako ochrony pod kolana. Uklęknął i wziął się za zamek z dwoma wytrychami w dłoniach i latarką w ustach.

Pełna koncentracja. To była męcząca dłubanina. Pot spływał mu po czole i zalewał oczy. Mrugał. Zamek nie ustępował. Eddie kilka razy musiał zaczynać od początku.

Na górze rozległ się jakiś dźwięk. Eddie usłyszał odgłos kroków.

Tommy nie powinien wrócić. Jeszcze nie teraz...

Nie przerywając pracy, Eddie przez chwilę spierał się z samym sobą.

Nie było już odwrotu... Zmusił się do tego, żeby działać powoli i ostrożnie, cały czas nasłuchując. Szczęk, na który czekał, rozległ się po dwudziestu minutach. Eddie przekręcił zamek i wsunął się do środka. Ciasny, wąski pokój, biuro. Komputery, szafka na dokumenty, półki z segregatorami. Niszczarka, ksero. Tu również panował niemal obłędny porządek. Zanim zaczął, znów nadstawił ucha. Znalazł port USB w komputerze i wsunął do

niego pendrive. Komputer, który był zahibernowany, obudził się do życia. Lampka oznaczająca twardy dysk migiała. Trojany przenosiły się na komputer Tommy'ego Janssona. Teraz Eddie będzie mógł z domu sterować komputerem Tommy'ego i śledzić jego poczynania. Poza tym w plikach znajdował się kod, który aktywował mikrofon.

Na górze włączył się odkurzacz. Szumiał i jeździł po podłodze. Eddie odrobinę się odprężył.

Ostrożnie otworzył szafkę na dokumenty... przepełnione teczki wisiały jedna obok drugiej. Między nimi było niewiele wolnego miejsca. Zaczął je przeglądać. Jedna była wypakowana informacjami o policjantach. Wyłącznie mężczyznach. Eddie rozpoznał większość z nich. Wszyscy byli chuliganami. I zostali policjantami z tego samego powodu co on. Wśród papierów znalazł siebie. Swoją umowę, historię służby, wszystko skserowane. Notatki Tommy'ego. Śledztwo w sprawie śmierci Rickarda Egnella. Znaki zapytania... Przesłuchanie Anniki... Eddie otworzył oczy ze zdziwienia. Annika, jego była. Rozmawiała z Tommym po tym, jak się rozstali. Tommy powiedział jej, że Eddie jest dobrym kandydatem na inne, tajne stanowisko i że Tommy musi porozmawiać z osobami, które go znają, żeby stworzyć jego profil. Annika była pomocna, opowiedziała Tommy'emu, kim jest Eddie, że ma za sobą przeszłość chuligana, kibola... Eddie zobaczył zapisane daty różnych wydarzeń z ich wspólnego życia. Dzień rozstania... ten sam, w którym Rickard Egnell zginął w parku. Tommy użył czerwonego długopisu i postawił wykrzyknik z okrągłą kropką. Eddie znalazł też zapis przesłuchania dwóch kolegów Rickarda. Rysopis sprawcy, który podali, odpowiadał mniej więcej jego wyglądowi.

Eddie zajrzał do informacji na temat innych gliniarzy. Wyglądało to podobnie. Rozmowy z krewnymi o różnych wydarzeniach. Tommy zestawiał wszystkie informacje z rejestrem niewyjaśnionych morderstw. To w ten sposób

znajdował swoich pacholków. I udało mu się z Eddiem... Wyglądało na to, że Tommy blefował. A on dał się złapać w pułapkę...

Lampka w komputerze Tommy'ego przestała migać. Eddie wyciągnął pendrive i wsunął go do kieszeni. Już miał wychodzić, kiedy jego wzrok padł na jeden ze skoroszytów na półce. Był oznaczony literami „SB”. Sophie Brinkmann... Zaczął go przeglądać. Tu również znalazło się mnóstwo informacji. Sophie Brinkmann była wdową po Davidzie Brinkmannie, mieli syna Alberta, nastolatka. Syn poruszał się na wózku po wypadku, do którego doszło przed rokiem. Sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia.

Eddie przerzucał kolejne strony.

Sophie była pielęgniarką i w szpitalu poznała Hectora Guzmana, który trafił na jej oddział z obrażeniami... Policja naciskała na nią, domagając się informacji o Guzmanie... Sophie uciekła po strzelaninie w restauracji Trasten... Ponadto mnóstwo informacji o krewnych i znajomych. Notatki o miejscach, w których ewentualnie mogła się ukrywać... Zdjęcia, urzędowe dokumenty i sporo informacji o Guzmanie, jego dzieciństwie, rodzinie...

Eddie nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy już szumu z parteru. Odkurzacze ucichły.

Sfotografował tyle dokumentów, na ile pozwoliła mu odporność psychiczna. Cały czas nasłuchiwał dźwięków od strony schodów.

Odstawił skoroszyt na półkę. Wyszedł z biura, podniósł kurtkę i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Zamek zamknął się automatycznie.

Przemknął do małej spiżarni i ukrył się w kącie. Stał w ciemnościach, wyprostowany i nieruchomy w swoim dziwnym stroju. W myślach analizował różne możliwości. W piwnicy było uchylne okienko na poziomie gruntu. Mógłby się do niego wspiąć i wypełznąć. Ale Tommy niczego nie zostawiał przypadkowi, Eddie zrozumiał to, jak tylko wszedł do szeregowca. Tommy Jansson był inny, miał w sobie coś więcej, coś nieuchwytnego. Był

perfekcjonistą... Otwarte okno do piwnicy wystarczyłoby, żeby przeczesał cały dom... zrozumiał, co się stało... i natychmiast go zabił...

Drzwi do piwnicy się otworzyły i na schodach rozległy się szybkie kroki.

Cholera..., pomyślał Eddie.

Stał nieruchomo i modlił się w duchu, żeby Tommy poszedł do swojego biura. Ale Tommy skręcił i wszedł do spiżarni, w której się schował. Dzielił ich nie więcej niż metr. Eddie widział profil Tommy'ego, gdy ten szukał czegoś na półkach. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to to, że sam podświadomie czuł, gdy ktoś na niego patrzył. Zamknął więc oczy, schował się w sobie i zaczął myśleć o innym miejscu. Wcale nie stał w spiżarni Tommy'ego. Przeniósł się daleko, w czasie i przestrzeni. Był mały... Spał na owczej skórze... była taka miękka... Ktoś go podniósł i przytulił. Eddie czuł się bezpiecznie. Ktoś go nosił, tulił, chronił. Czas przestał dla niego istnieć. Pozwolił na to, żeby go ktoś nosił... dał się ponieść... ukrył się tam.

Otworzył oczy. Tommy zniknął. W piwnicy było cicho, kroki znów dochodziły z góry.

Eddie nie ryzykował. Począł, aż zapadnie noc. Wtedy wspiął się cicho po schodach, minął kuchnię, duży pokój i korytarz. Wszedł głównymi drzwiami. Zamknął je za sobą i ruszył wyłożoną kamieniami ścieżką. Gdy znalazł się na drodze, oświetlonej bladym światłem latarni, i był na tyle daleko, że nie można go było zobaczyć z szeregowca, puścił się biegiem. Jego adidas dudniły na asfalcie.

Mógłby tak biec w nieskończoność...

Toskania

BYŁ OTOCZONY mnichami, którzy wykonywali swoje codzienne prace, głównie w ogrodzie.

Pomyślał, że byli ludźmi odrębnego rodzaju. Posiedli mieszankę lekkości, szacunku, małomówności, ciepła, ufności, powagi i spokoju. A nad tym wszystkim unosiło się wspólne dla nich wszystkich przekonanie, że to, co dobre, było wystarczająco dobre, żeby się temu podporządkować.

Przed sobą widział wzgórza Toskanii. Siedział w altanie wśród krzaków róż i drzew pomarańczowych. Trudno mu się było oprzeć temu pięknu. Choć uczucie było pełne sprzeczności. Cały czas dążył do tego, żeby się stąd wyrwać. I dziś nadszedł ten moment.

Ciągła świadomość, że któregoś dnia opuści klasztor, budziła w nim przekorę. Jak gdyby cały czas świadomie opierał się temu całemu dobru, które wokół siebie widział. Jak gdyby próbowało go opanować duchowe opamiętanie... Ale przecież był Hectorem Guzmanem...

Znów przyjrzał się mnichom. Dwóch z nich pracowało w przyklasztornym ogrodzie, który leżał odrobinę niżej. Inny, tak jak on, siedział na kamiennej ławce kawałek dalej.

Zaczął się zastanawiać, czy zachowałby się inaczej, gdyby sytuacja była inna... gdyby miał przy sobie Lothara, gdyby Sophie żyła, a jego imperium trwało nienaruszone... Czy wówczas otworzyłby się na łaskę, która

przepełniała to miejsce? Spróbował raz na zawsze stać się dobry?

Wziął głęboki oddech i przetarł twarz.

Usłyszał chrzęst żwiru na starannie utrzymanej ścieżce. Zobaczył, że w jego stronę idzie brat Roberto, uśmiechając się do niego życzliwie.

Starszy mnich, daleki kuzyn jego ojca, usiadł na ławce obok niego. Od razu znalazł sobie wygodną pozycję. Spojrzał na krajobraz, a potem na Hectora.

Nie skomentował faktu, że Hector ma na sobie cywilne ubranie. Nigdy niczego nie komentował. Nigdy nie mówił o innym człowieku pod jego nieobecność. Długo się zastanawiał, zanim odpowiedział na jakiegokolwiek pytanie. Na niektóre jeszcze nie zdążył odpowiedzieć, mimo że minęło już pięć miesięcy. Często, jakby mimochodem, podkreślał wagę równoczesnej modlitwy i pracy.

– Domyślam się, że dziś nas opuszczasz – powiedział brat Roberto.

Hector milczał.

– Będiesz mógł przyjąć to wszystko do swojego serca i tam zachować? – zapytał Roberto.

– Nie, nie będę mógł tego zrobić.

Tę odpowiedź, jak wszystko inne, Roberto zaakceptował.

– To pewne? – zapytał tylko i się uśmiechnął.

Hector pokiwał głową.

– Czyli to wszystko, czego tu doświadczyłeś, po prostu zniknie? – zapytał, znówu zataczając ręką koło. Wyglądał przy tym na mile zaskoczonego.

– Nie, ale wyprę to ze świadomości – odparł Hector.

Brat Roberto pokiwał głową.

– To bardzo ludzki odruch – przyznał.

Siedzieli w milczeniu. Cisza dobrze się sprawdzała w towarzystwie brata Roberta. Nie była męcząca.

– A co by było, gdybym tu został? – zapytał.

Roberto się zaśmiał.

– Chyba nie ja powinienem to wiedzieć, prawda? – odparł.

Hector chciał jednak znać odpowiedź, mimo że dobrze wiedział, że jej nie ma. Chciał znać dokładną cenę bycia dobrym, by móc się potargować z samym sobą...

Zatopił spojrzenie w przestrzeni przed sobą. Przyroda, piękno, zapachy, światło, dźwięki... Miał to wszystko na wyciągnięcie ręki. Dostrzegał też prawdę i błysk dobra. Wszystko podane na tacy. Wystarczyłoby się pochylić i sięgnąć dłonią. Ale skrzyżował ręce na piersi, bronił się przed wszechmocnym dobrem.

– Czasem po prostu trzeba postąpić słusznie – wymruczał mnich.

Gdzieś wysoko na niebie odezwał się drapieżny ptak.

– Masz wielką osobowość, Hectorze. Tak jak twój ojciec. A ludzie z wielkimi osobowościami mogą mieć tendencję do zabierania w tym życiu zbyt dużej ilości miejsca.

Roberto poklepał go po nodze, wstał i odszedł.

To wszystko? Żadnego pożegnania ani nawet... Ale dla brata Roberta nie miało oczywiście znaczenia to, czy Hector z nimi zostanie, czy nie, ponieważ dla niego znaczenie miało coś innego, coś dużo większego, coś, co obejmowało tak Hectora, jak i wszystkich innych. Roberto dla nikogo nie robił wyjątku.

Nagle ogarnął go strach i poczuł, że nie chce stąd wyjeżdżać. Wbił wzrok w ziemię i zaczął pertraktacje z samym sobą. Czy będzie potrafił potem wrócić... gdy już zrobi to, co ma do zrobienia?

Podniósł się z ławki i ruszył ścieżką w stronę klasztoru.

Wróciło poczucie rzeczywistości. Kogo, do cholery, oszukiwał? Samego siebie. Poleje się krew, a on już nigdy tu nie wróci i nie zobaczy tych mężczyzn. Ani w tym życiu, ani w następnym. W czasie swojego pobytu

w klasztorze nabrał bowiem pewności, że on, Hector Guzman, nie będzie już miał drugiej szansy. Kiedy to życie dobiegnie końca, będzie się smażył w piekle. Przez całą wieczność.

Wyszedł z klasztoru. I ani razu nie obejrzał się za siebie.

24

Praga/Sztokholm

W SŁUCHAWCE ROZLEGŁO SIĘ kilka sygnałów. Sophie usiadła w kuchni na podłodze i przycisnęła ją do ucha. To był telefon VoIP, którego sygnał przechodził przez serwery ambasady i był niemożliwy do namierzenia.

Odebrał.

– Tu Tommy – powiedział zestresowanym głosem.

– Możesz rozmawiać? – zapytała.

– Mów – wychrypiał w słuchawkę.

– Miami – powiedziała.

– Kiedy? – zapytał i odchrząknął.

– Od razu powiadom swoich tamtejszych kolegów. Powiedz im, żeby byli w gotowości i że dasz im znak, kiedy będą mogli wkroczyć do akcji.

– To pewne?

– Tak.

– Tylko Hector?

– A to ma znaczenie?

– W którym miejscu?

Podziała mu adres, który dostała od Jensa. Słyszała, jak Tommy zapisuje go na kartce.

– A potem? – zapytał Tommy.

Dziwnie się czuła, rozmawiając z nim przez telefon.

– Potem? – zdziwiła się. – Potem zostanie deportowany, najpierw do Szwecji. Chyba tak to się odbywa, prawda?

– Tak, zwykle tak – odparł.

– Co wtedy zrobisz? – zapytała.

– Hector zostanie aresztowany, będzie na nim ciążyć podejrzenie o morderstwo. Razem z prokuratorem przygotujemy akt oskarżenia, skroimy go najlepiej, jak się da... – powiedział i umilkł.

– Ale?

– Ale dojdziemy do punktu, w którym będziemy musieli się zatrzymać. Nie mamy wystarczających dowodów.

– Wtedy zjawię się ja.

– Tak, wtedy będziesz nam potrzebna.

– Pełna ochrona świadków.

– Załatwię to.

– Chcę pozostać całkowicie anonimowa – dodała.

– To może być trudne, będziesz musiała porozmawiać z prokuratorem.

– Nikt nie może wiedzieć, że Hector jest w Sztokholmie. Aż do procesu ta informacja musi być trzymana w tajemnicy...

– Słucham?

– Żadnego szumu w mediach. Żadnych informacji o tym, że Hector Guzman został aresztowany, ani o zbliżającym się procesie.

– Tego nie mogę załatwić.

– Jasne, że możesz. Sfinguj jego nazwisko, zrób cokolwiek, ale trzymaj media i innych ciekawskich z dala od tego wszystkiego, dopóki nie będę miała zapewnionej całkowitej ochrony.

– Żądasz bardzo wiele – stwierdził.

– Wcale nie – odparła.

– Zrobię, co do mnie należy.

– Sprowadź go do Szwecji bez rozgłosu, postaw go przed sądem i poślij do więzienia na wiele, wiele lat. Wtedy zrobisz, co do ciebie należy – stwierdziła.

Chciał coś powiedzieć, ale mu przerwała.

– Skontaktuj się teraz z policją z Miami. Zadzwonię do ciebie, kiedy nadejdzie pora – dodała i się rozłączyła.

– Chcesz porozmawiać? – zapytał Miles.

Dopiero teraz zauważyła, że stoi w progu.

– Nie ma o czym – odparła, wstając. – Zbierz wszystkie informacje, jakie ci się uda, o tym domu w Miami, w którym przetrzymują Jensa i Lothara. Albert ci pomoże. Wieczorem wszystko zaplanujemy. Jutro wezmę Michaiła i polecimy.

Po tych słowach wyszła z kuchni.

* * *

Tommy siedział na kanapie Cassandry. Dziwka siedziała obok niego i robiła to, za co jej płacił.

Myślał o rozmowie z Sophie, analizował sytuację z każdej możliwej strony, starał się zrozumieć, jak ona pracuje. Wszystko zdawało się przebiegać po jej myśli. Hector miał zostać zgarnięty w Miami...

Tommy podniósł swój telefon, ten, który był połączony z kamerami w Pradze. Zdążyło mu już to wejść w nałóg. Co drugą godzinę przeglądał nagrany materiał. Teraz też to zrobił. Z trzykrotnym przyspieszeniem. Ludzie przemykali ulicą. Nikt nie wchodził do ambasady ani z niej nie wychodził.

Cierpliwości, Tommy... To słowo od dzieciństwa wbijano mu do głowy. Wtedy był bardzo impulsywny... miał problemy z koncentracją...

Głowa Cassandry poruszała się w górę i w dół. Właściwa okazja nadejdzie... Znajdzie Sophie i Milesa i wpakuje w ich głowy cały cholerny

magazynek...

A jeżeli okazja nie nadejdzie, przeprowadzi się za granicę i będzie czekał... Cierpliwie... Potem ich zabije... Bo zrobi to, niezależnie od wszystkiego.

– Będiesz się kiedyś chciała przeprowadzić ze mną do Hiszpanii? – zapytał Cassandrę.

Podniosła głowę i mu się przyjrzała. Na jej twarzy malował się wyraz szczerego obrzydzenia, szukała w jego oczach śladów choroby umysłowej i je znalazła. Niepodważalne.

– Nie musisz mi teraz odpowiadać – powiedział i pogładził ją po policzku.
– Możesz kontynuować.

Wyszukał numer do swojego kontaktu w policji w Miami. Zadzwoił.

– *Yes, Tommy Jansson here again.*

Mówił głośno i wyraźnie, jak gdyby dźwięk w rozmowach międzymiastowych nadal był słabej jakości.

Cassandra dała sobie spokój.

Pokręcił z irytacją głową, pstryknął palcami i zatoczył koło palcem, dając jej znak, że ma kontynuować. Westchnęła i zrobiła, co kazał.

Tommy przekazał adres w centrum Miami, powiedział, że ma informację, iż zjawi się tam Hector Guzman, i że mają go aresztować. Potem się rozłączył.

Cassandra wstała.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

Ruszyła do drzwi.

– Wsiądzie mi przez to kręgosłup szyjny – powiedziała.

– Nie możesz tak po prostu przestać – zaprotestował.

Zatrzymała się w progu i obrzuciła go spojrzeniem.

– A nie lepiej, żebyś tu przychodził z nastawieniem, że znowu nie dojdiesz? – zapytała.

Nie zrozumiał.

– Jeszcze nigdy nie doszedłeś, Tommy. Pojawiasz się sfrustrowany i wychodzisz jeszcze bardziej sfrustrowany... Nie lepiej, żebyś zmienił nastawienie? Wtedy, jeżeli któregoś dnia się uda, będziesz się bardziej cieszył, a za każdym razem, gdy nie wyjdzie, nie będziesz się tak wkurzał. Dla mnie to całkiem sensowne. – Odwróciła się i zaczęła iść w stronę łazienki. – Ale co ja tam wiem? – dodała. – W końcu jestem tylko dziwką.

Trzasnęła drzwiami do łazienki.

Tommy zorientował się, że ma na twarzy uśmiech. Sztywny, bezrozumny. Wolno jej było tak do niego mówić?

Wstał i zapiął spodnie. Przeszedł przez korytarz i stanął za drzwiami łazienki. Trzy razy mocno zapukał.

– Cassandra?

W środku panowała cisza.

– Cassandra?!

– Co?

– Nie wolno ci tak do mnie mówić, rozumiesz? – rzekł, choć bez przekonania.

Usłyszał, jak Cassandra uderzyła dłonią o rolkę papieru toaletowego, a potem oderwała kawałek.

– W porządku – odpowiedziała obojętnym tonem.

Wpatrywał się w gładkie drzwi do łazienki. Problem tkwił w szacunku... Nikt go nie szanował. Nikomu nie zależało.

Cassandra spuściła wodę w toalecie.

* * *

Eddie czuł lęk przed nieznanym.

Dzwoniła do niego Caroline Berger. Powiedziała, że chce się z nim

spotkać. Podała adres w snobistycznej dzielnicy. Był więc teraz w samym centrum Östermalmu. Patrzył na groźnie wznoszącą się fasadę wysokiego budynku z ciemnoczerwonej starej cegły. Okna były wysokie, białe i poprzecinane zdecydowanie zbyt gęstymi szprosami. Bluszcz przez lata zdołał wspiąć się wysoko. Na takie domy lubiły sikać psy.

Eddie wybrał kod, który dostał od Caroline.

Winda, zgrzytając, zawiozła go na czwarte piętro.

Caroline Berger otworzyła drzwi, szybko zlustrowała go wzrokiem i prawie niedostrzegalnie kiwnęła głową.

– Proszę wejść – powiedziała.

Ruszyła przodem przez wyłożoną parkietem podłogę holu. Była jakies dziesięć centymetrów niższa od niego, szła bosą, miała sprane dżinsy i biały podkoszulek, a włosy spięte jedną klamerką w niedbały kok.

– Ładnie pachniesz – rzekła.

Zaskoczyła go tym.

– Lubię perfumy – odparł. Zabrzmiało niezręcznie.

Chyba też to zauważyła, bo powiedziała:

– No proszę.

Weszli do przestronnego salonu. Mebli było niewiele, ale wystrój był klasyczny. Przez wielkie okna wpadało dużo światła. Eddie rozejrzał się dookoła.

– Mieszkaś tu?

– Nie, to mieszkanie mojej siostry.

Eddie się wystraszył.

– Ona tu jest?

Caroline opadła na dużą kanapę. Jej bosa stopy zagłębiły się w gruby dywan. Wyglądało to bardzo przyjemnie.

– Tak – odpowiedziała.

– Ale obiecałaś, że...

– No jasne – przerwała mu, robiąc wielkie oczy. – Nieznany mężczyzna przysłała mi wiadomość, w której pisze, że zginą ludzie. Oczywiście, zapraszam do siebie, będę całkiem sama.

Przeklął się w myślach.

– Dziękuję, że mnie wpuściłaś – powiedział.

– Nie ma sprawy – odparła. Uważnie mu się przyjrzała i odrobinę zmarszczyła brwi.

– Spotkaliśmy się już kiedyś? Znamy się? – zapytała.

– Nie.

Widział, że mu nie uwierzyła i przez chwilę szukała w pamięci, ale w końcu dała za wygraną.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– To bez znaczenia – odparł i się rozejrzał.

– Zawsze chronię moich informatorów – oznajmiła.

– Ale tym razem nie możesz tego zrobić.

– Powiedziałeś, że jesteś policjantem – odparła. – Mogę się dowiedzieć, kim jesteś.

Wzruszył ramionami.

– Nie przyszedłem tu, żeby cię okłamywać – stwierdził.

Po raz kolejny zlustrowała go wzrokiem.

– Będziesz tak stał? – zapytała.

Zorientował się, że faktycznie wciąż stoi, i usiadł w fotelu naprzeciwko niej.

– A co z twoją siostrą? Słyszysz nas?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Ty poprosiłeś o to spotkanie. Albo mi zaufasz, albo nie, wybór należy do

ciebie.

Eddie splótł dłonie. Zaczął mieć wątpliwości. Nie dlatego, że nie ufał kobiecie, na którą patrzył. Tylko dlatego, że taki właśnie był. Niedowiarek. Aż do szpiku kości.

– Dlaczego?

– Powiedziałem już, zginą ludzie.

– Kto zginie?

– Tego jeszcze nie wiem.

– Nie możesz mówić jaśniej?

– Nie.

Zmrużyła oczy, jak gdyby starała się dostrzec ukryte przesłanki, coś, czego nie chciał jej pokazać.

– Boisz się? – zapytała.

– Tak – odparł bez zastanowienia.

– Zrobiłeś coś głupiego?

Pokiwał głową i mocniej zacisnął dłonie.

– Tak, zrobiłem – potwierdził.

Odrobinę pochyliła się w jego stronę.

– Czy to o to w tym wszystkim chodzi? O to, że narozrabiałeś?

Pokręcił głową.

– Nie, może pośrednio tak, ale to nie ma związku z zasadniczą kwestią.

Znów zrobiła przesadnie duże oczy.

– Oj! Z „zasadniczą kwestią”? Czyli z czym? – zapytała, delikatnie szydząc ze słów, jakie wybrał.

– Nie wiem – szepnął.

– Mówisz półsłówkami, boisz się i zrobiłeś coś głupiego, ale nie ma to związku z „zasadniczą kwestią”, której nie znasz?

– Mniej więcej – potwierdził.

– I ktoś zginie? – Pochyliła się. – To chyba nie brzmi jak gorący temat, prawda?

– Ty to ocenisz – szepnął. – Ja się na tym nie znam.

– Ale? – zapytała.

– Ale... od tego zaczniemy. Ty zaczniesz. Dałem ci dwa nazwiska.

Zajrzała do notatnika, który leżał na stole.

– Sophie Brinkmann i Tommy Jansson? Nikomu nieznana kobieta i komisarz policji...

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– A co twoim zdaniem powinnam znaleźć?

– Coś, co cię zainteresuje.

– I do czego to doprowadzi?

– Ona będzie chroniona.

– Sophie Brinkmann?

– Tak. Jeżeli się w tym połapiesz, będziesz poruszać się ostrożnie i znajdziesz to, co, jak mi się wydaje, powinnaś znaleźć, to dzięki twojej pracy ona będzie chroniona.

– Skoro, jak twierdzisz, jesteś policjantem, to czy nie ty powinieneś ją chronić?

– Zgadza się.

– I?

– I to robię.

– Posługując się mną?

– Przyszedłem do niewłaściwej osoby?

– Nie wiem. Może tak?

Eddie umilkł. Caroline nieco obniżyła głos i mówiła dalej:

– To wygląda na stratę czasu...

Rozmowa stanęła w martwym punkcie. Eddie stracił zainteresowanie

Caroline. Po raz nie wiadomo który przeklinał się w myślach.

– A nie łatwiej po prostu zadzwonić do tej Sophie Brinkmann? – zapytała Caroline.

Bał się, że powie za dużo, że zniszczy tę odrobinę, którą miał... Instynktownie czuł, że Caroline Berger jest właściwą osobą, a ona okazała się nawet lepsza, niż się spodziewał.

– Nie, bo ona się ukrywa – odparł.

W oczach Caroline błysnęła iskierka zainteresowania.

– Przed kim?

– Przed policją, między innymi.

Kolejna iskierka.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Ja też nie. Ale wiem, że jej życie jest w niebezpieczeństwie. Musisz znaleźć klucz do tego wszystkiego, ja znam same fragmenty.

– Na Boga, daj mi w końcu te fragmenty – rzekła, a wyglądała, jakby miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

Podrapał się po głowie i z kieszeni spodni wyciągnął poskładaną stronę gazety. Rozłożył ją. Była zapisana długopisem z góry na dół.

– Hector Guzman... – zaczął.

Caroline poszukała w pamięci.

– Skądś znam to nazwisko...

– Restauracja Trasten? – zapytał.

Przez chwilę myślała, ale pokręciła głową.

– Mafijne porachunki, rok temu, restauracja w dzielnicy Vasastan – doprecyzował. – Strzelanina, trzy albo cztery trupy, pamiętasz?

Nieznacznie kiwnęła głową.

– Tak... Pisały o tym popołudniówki – powiedziała. – My też, ale szybko daliśmy sobie spokój. Policji nie udało się niczego ustalić, prawda?

– Zgadza się. Wszystko spełzło na niczym.

– I?

– Ona tam była.

– Sophie?

– Tak.

Udało mu się ją zainteresować.

– Skąd to wiesz?

– Słyszałem, jak o tym mówiła.

– Gdzie i kiedy?

– To bez znaczenia... Ale była z Guzmanem w Trasten, kiedy wybuchła strzelanina i zginęli ludzie.

– Co jeszcze mówiła?

– Powiedziała, że była blisko Guzmana... możliwe, że coś ich łączyło.

Może nadal łączy.

– Kim jest ten Guzman?

– To jakiś gangster. Hiszpan i Szwed... Trudno coś więcej o nim znaleźć.

– Gdzie przebywa?

– Też trudno powiedzieć. Policji nigdy nie udało się go złapać. Krótco po strzelaninie uciekł razem z Sophie do Marbelli. Od tego czasu cisza.

Pochyliła się nad notesem.

– A komisarz... Tommy Jansson? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Pewna policjantka, Gunilla Strandberg, prowadziła śledztwo w sprawie Guzmana. Teraz nie żyje. Możliwe, że była skorumpowana. Wydaje mi się, że szantażowała Sophie. Może da się to połączyć z Tommym Janssonem. Albo z czymś innym. Sophie Brinkmann wie coś o Hectorze Guzmanie z jednej i Tommym Janssonie z drugiej strony. Jest między nimi dwoma. Nie wróży to najlepiej.

Caroline Berger próbowała przetrwać to, co usłyszała.

– Piszę o nadużyciach w świecie finansów – oznajmiła. – Czasem o polityce. To, o czym mówisz, jeśli to prawda, to zupełnie inna bajka.

Milczał.

– Dlaczego ja? – zapytała.

– Bo jesteś dziennikarką.

– Jest wielu innych.

– Czytam twoje artykuły, felietony, praktycznie wszystkie twoje teksty – wyjaśnił. – Od lat.

– I przychodzisz do mnie z czymś takim, bo czytasz moje artykuły? – zapytała. Uśmiechnęła się trochę krzywo, jakby cała sytuacja zaczynała ją irytować.

Eddie położył przed nią jakieś papiery. Luźne notatki. Strony, które sfotografował w skoroszycie w piwnicy Tommy’ego.

– Nazywam się Eddie Boman – powiedział. – Jestem inspektorem. Nikt nie wie, że do ciebie przyszedłem. To nie są żarty. Sprawa jest poważna. Inaczej bym się z tobą nie skontaktował... Jeżeli chcesz to pociągnąć dalej, daj mi znać. Jeśli nie... – zaczął i pokazał zdjęcia i notatki – to radzę ci to spalić.

Potem wstał i wyszedł.

Kiedy znalazł się na ulicy, ruszył w stronę metra. Wszystko spieprzył. Sam był sobie winny... Ona była świetna, co tylko zwiększało jego frustrację. Miała idealne podejście i charakter. Była odważna, przedsiębiorcza, inteligentna, empatyczna i łatwo się z nią rozmawiało.

Przebiegł Karlavägen i znalazł się w alei między dwoma pasami ruchu. Otoczył go intensywny zapach zieleni i lata.

Ale miała w sobie coś jeszcze... Coś, czego nie potrafił nazwać.

Usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki.

– Witaj, Eddie Bomanie – powiedziała Caroline, zrównując się z nim. Była lekko zdyszana. Na nogach miała tenisówki.

Zatrzymali się. Długo się mu przyglądała, bardzo długo. Jakby czegoś w nim szukała. Eddie poczuł się nieswojo i spuścił wzrok.

– Nie, spójrz mi w oczy – zaprotestowała.

Posłuchał. Jej oczy były niebieskie, a brwi ciemne.

– Jesteś dziecinny? – zapytała.

– Słucham?

– Odpowiedz.

– Na co?

– Jesteś dziecinny, sztuczny, głupi czy pierdołowaty?

Wybuchnął śmiechem, słysząc tę litanie.

– Chyba nie nadążam – powiedział.

– Jesteś policjantem.

– I co z tego?

– Spotkałam już kilku policjantów. Niektórzy z nich wciąż byli małymi chłopcami.

Chciał jej odpowiedzieć jakąś morderczą uwagą, ale w jej głosie nie było krztyny szyderstwa. Pytała poważnie. Chciał być szczery. Zaczął się zastanawiać.

– Nie wiem – odparł w końcu i jeszcze przez moment się zastanawiał. –
Możliwe, że to prawda, że jakaś część mnie nadal jest chłopcem.

Caroline nie spuszczała z niego wzroku.

– Ale wcześniej było gorzej – dodał.

Ostrożnie kiwnęła głową.

– W porządku – powiedziała łagodnym tonem. – Nie potrafię sobie z tym radzić. Nie radzę sobie ze sztucznością ani dziecinnością u dorosłych...
Musisz z tym skończyć, jeżeli mamy rozmawiać.

– A mamy? Będziemy rozmawiać?

Pokiwała głową.

– Tak, będziemy. Przejrzę materiały, które zostawiłeś, a potem poszukam przez moje kanały... Jeżeli znajdę coś, na czym będzie się można oprzeć, pociągniemy to dalej. Niczego jednak nie obiecuję. A jeżeli ty choć na moment zapomnisz o odpowiedzialności i dojrzałości, od razu zatrzasnę drzwi.

Teraz to on zaczął się jej przyglądać.

– Co się stało po tym, jak wyszedłem?

– Głosy w mojej głowie wołały, że mam za tobą biec.

– W porządku – odparł. – Co to znaczy? Bo nie wyglądasz na osobę, która słyszy głosy.

Po jej twarzy przemknął uśmiech. Nieświadomie pogładziła się po szyi.

– Sama nie wiem... Czasem coś się wydostaje... doniosłość... może prawda... Dziś wydawało mi się, że coś takiego słyszę w tobie.

– Jesteś aż tak wyczulona?

– Tak, jestem – potwierdziła. – Może ty też, Eddie Bomanie.

Nastąpiła kosmiczna pauza, taka, nad którą nikt nie panuje. Jak zawsze trwała o kilka sekund za długo. Eddie zorientował się, że skrobie ziemię czubkiem buta.

– W porządku – powiedział, podejmując nieporadną próbę odzyskania kontroli nad sytuacją.

– W porządku – odparła i się uśmiechnęła. – Dam ci znać.

Wyciągnęła do niego dłoń zamaszystym ruchem. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że otworzyła ramiona, żeby przytulić go po przyjacielsku. Ale tego nie zrobiła, w przeciwieństwie do niego.

Wyszło niezręcznie. Niezdarny i sztywny uścisk, w czasie którego uderzył kością policzkową w jej czoło.

– Nie powtarzajmy tego – powiedziała, tłumiąc śmiech. Potem odwróciła się i odeszła.

Eddie ze wstydu spiekł raka. Zorientował się, że stoi z rękami

w kieszeniach kurtki. Musiał je tam wsunąć po tym, jak ją przytulił. Lądowały tam, gdy czuł się niepewnie. Jak gdyby się chowały. Ale kiedy ruszył dalej, mimo wszystko było mu lżej na duszy. Dzięki niej poczuł się pewniej. Choć niepewność wcale nie zniknęła. Tyle że poczuł się lepiej, wiedząc, że może być z nią szczery. Nawet nie cierpiał przez to, że się zawstydził. Przeszedł Grev Turegatan. Nie wyjął ręk z kieszeni.

Caroline Berger nie trawiła udawania. Nie zajmowała się udawaniem ani skomplikowanymi strategiami społecznymi. Była bezpośrednia, odważna, odpowiedzialna i miała poczucie humoru. Było widać, że wie, kim jest. To pozytywne, zdrowe. I przyjemne.

25

Cartago

LOT Z LIMY do Bogoty trwał trzy godziny. Potem przesiedli się do krajowych linii do Pereiry na zachodzie Kolumbii.

Bracia siedzieli na tylnym siedzeniu wynajętego samochodu i dzielili się butelką Jim Beama. Leevi oparł głowę na zagłówek i gwizdał melodię, którą sam wymyślił.

Aron prowadził jedną ręką. Myślał o tym, co będzie. Miał złe przeczucia. Jeżeli uda im się odbić Lothara, jeżeli wbrew wszelkim przewidywaniom uda im się wysadzić z gry Ignacia i przejąć jego organizację, to co wtedy? Jaki będzie ich następny ruch? Co planował Hector? Pół roku wcześniej, przed śpiączką, odpowiedź byłaby oczywista. Z całą cholerną parą w świat, walić pięściami na prawo i lewo i mówić każdemu, że są najwięksi, najlepsi i najpiękniejsi...

– Aron? – powiedział Leevi swoim głuchym głosem. Przestał gwizdać.

– Tak?

– O czym myślisz?

Aron spojrzał na Leeviego, a potem znów na drogę. Położył na kierownicy drugą rękę.

– O tym, że chciałbym, żeby już było po wszystkim.

Kiedy sunęli przez Cartago, linie telefoniczne i druty elektryczne wisały nad

nimi jak pajęcza sieć. Zachodzące słońce sprawiało, że nad wszystkim unosiła się szmaragdowozielona mgiełka.

Ludzie gapili się na nich. Byli gringos. King i Victor, z łokciami wystawionymi za okna samochodu, rzucali wszystkim harde spojrzenia, wyglądali niebezpiecznie.

Aron wjechał na niewielkie wzniesienie. Wokół auta unosił się kurz. Zatrzymał się przed garażem i wyłączył silnik. Ulica tętniła życiem. Biegały po niej bezpańskie psy. Dzieciaki grały w piłkę nożną. Mężczyźni siedzieli w grupkach i nic nie robili. Kobiety spacerowały i rozmawiały.

Aron się rozejrzył.

– I co powiesz? – zapytał Leevi, który też rozglądał się po okolicy.

– Chyba w porządku.

Aron wybrał numer na swoim telefonie.

– Jesteśmy – powiedział i się rozłączył.

Z głośnym zgrzytem otworzyły się jakieś blaszane drzwi i stanął w nich szczupły mężczyzna w zbyt dużym mundurze z demobilu. Uśmiechnął się szeroko, ukazując śnieżnobiałą sztuczną szczękę.

– Jan – przedstawił się i każdemu z nich podał dłoń. Uścisk był mocny i pewny, tak jak jego spojrzenie. Najwyraźniej taką miał w życiu zasadę. Miało się okazać, że tylko tę jedną.

Jan, sześćdziesięcioletni ultrapravicowy Afrykaner z Republiki Południowej Afryki, który rozpoczął karierę od biegania po ulicach Johannesburga ze strzelbą w dłoni za członkami Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Przez ostatnie dwadzieścia lat polował w kolumbijskiej dżungli na partyzantów z FARC. King i Victor przybili mu piątkę. Cała trójka mordowała komunistów.

Jan wprowadził ich do dużego pomieszczenia. Na podłodze leżały skrzynie z bronią.

– To amerykańskie spluwy – powiedział. – Mało używane. Bierzcie, co chcecie. Możecie je włożyć tutaj – dodał i pokazał pustą skrzynię.

Potem wyrwał Victorowi z dłoni butelkę Jim Beama i wziął kilka głębokich łyków, jakby chciał zademonstrować siłę. King kopnął go między nogi. Jan zwałił się na podłogę. Jego twarz wykrzywiła się z bólu.

Aron i Leevi lustrowali skrzynie wzrokiem.

– Na początek noktowizory i tłumiki. A potem na odwrót. Kiedy nas odkryją, silny, dewastujący ostrzał. Tak ja to widzę. A ty?

– Tak samo – zgodził się Leevi. – I kilka automatycznych giwer, jeżeli mamy wejść do środka i posprzątać.

Aron i Leevi zaczęli kompletować uzbrojenie.

Bracia Hidalgo i Jan zostali najlepszymi kumplami. Pili whisky, wciągali amfetaminę, porównywali bicepsy i siłowali się na rękę przy rozchybotanym stole. Ale to im nie wystarczyło. Przenieśli się na podłogę i zaczęli uprawiać zapasy. Jan był twardym zawodnikiem, nigdy się nie poddawał. Leżał na Kingu i trzymał go w półnelsonie.

– Stał mu – wrzasnął King i się wściekł. Zaczął kopać jak oszalały i udało mu się wyswobodzić.

– Coś ci się pojebało – krzyknął Jan, szybko się podrywając.

Bracia zaczęli go okładać pięściami, wyzywając od „pierdolonych ciot”.

Leevi wszedł między nich i ich rozdzielił. Podał Janowi kawałek papieru do wytarcia krwi i bezpardonowo zaczął się targować. Jan się zgodził, pieniądze nie miały dla niego znaczenia. Chciał jechać z nimi i zabijać.

– Nie dzisiaj – odparł Aron.

Załadowali skrzynię z bronią do bagażnika. Jan z nieszczęśliwą miną zaciągnął blaszane drzwi.

Podróż na północ, do Don Ignacia, była długa. Bracia umilali sobie drogę whisky, aż w końcu posnęli na tylnym siedzeniu.

Zadzwoniła komórka Arona.

– Chłopaka nie ma tam, gdzie jedziecie – powiedział Leszek.

– A gdzie jest?

– W Miami.

– Mamy tam jechać? – zapytał Aron

– Nie, ale nie róbcie nic bez sygnału od nas. Powiemy wam kiedy – odparł Leszek i się rozłączył.

Aron przekazał informacje Leeviemu.

– Teraz już rozumiem – stwierdził Leevi.

– Co takiego?

Na tylnym siedzeniu King chrapał i rzucał się przez sen.

– Leszek planuje, ma w ręku decydujące karty, a ciebie trzymają z boku.

Aron rzucił na niego okiem i wzruszył ramionami.

– To wszystko jest postawione na głowie – stwierdził Leevi.

– Hector uznał, że tak będzie najlepiej – odparł Aron.

– Dlaczego?

– Byłem przemęczony, miałem skoncentrować się na mniej licznych sprawach – wyjaśnił.

– A tak było?

King niespokojnie mamrotał coś przez sen.

– Częściowo tak.

Droga pięła się w górę. Utknęli za cysterną. Jej kierowca zmienił bieg na niższy. Zmniejszył prędkość, zwiększył moc. Aron szukał możliwości wyprzedzenia.

– Dla mnie to brzmi tak, jakby Hector słuchał Leszka, nie ciebie.

– Hector się zmienił – stwierdził Aron. – Śpiączka go zmieniła.

Aron wysunął się zza cysterny, ale od razu się za nią schował. Obok nich przemknął samochód wściekle ryczący klaksonem.

– Jak?

Droga była wolna. Aron wyprzedził cysterne.

– Coś stracił... i coś zyskał – odparł Aron.

– Mów jaśniej.

– Stał się mniej przenikliwy, choć bardziej rozsądny.

King znów zaczął coś mamrotać przez sen. Tym razem sprawiał wrażenie wystraszonego.

– Co masz na myśli?

– Ma inne wartości.

– Co to znaczy? – zapytał Leevi coraz bardziej poirytowany.

– Zniknęła wściekłość – wyjaśnił Aron. – Jego charakterystyczna wściekłość.

– Z czego wynikała?

– Z szyderczego śmiechu z reszty świata – odparł Aron. – To było jego siłą napędową. Teraz trudno dla niego pracować, zrozumieć jego i to, do czego zmierzamy i dlaczego.

– Już mu nie ufasz? – zapytał Leevi.

– Nie ufam jego ocenie sytuacji.

– Nie ufasz mu... I on musiał to wyczuć.

– Niewykluczone.

– Czyli Hector cię przesunął stopień niżej i pozwolił Leszkowi zająć twoje miejsce?

Aron milczał.

– Zacząłeś działać na własną rękę, pojechałeś i zadźgałeś nożem kobietę, którą kochał?

Aron spojrzał w lewo. Roślinność w dolinie pod nimi była soczyście zielona i gęsta.

– Nie mogę stać z boku i patrzeć, jak wszystko się wali – powiedział.

King wrzasnął. Obudził się i szybko rozejrzał dookoła. W jego oczach widać było strach.

Żaden z nich nic nie powiedział. Każdy miał swoje koszmary.

Miami

SAMOLOT WYLĄDOWAŁ w Miami o zmierzchu.

Czasu było niewiele. O ile w ogóle jeszcze im został.

Sophie i Michał wsiedli do wynajętego samochodu i odszukali adres w centrum Miami, który podał Jens. Zobaczyli wysoki srebrzysty wieżowiec z balkonami wychodzącymi na południe, na Miami Beach.

Sophie zaparkowała na ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów od oszklonego wejścia do budynku. W środku za kontuarem siedział portier. Poza tym panował spokój.

Spojrzeli na wieżowiec.

– Dwunaste piętro, ostatnie drzwi po lewej stronie, jak się wyjdzie z windy – powiedziała Sophie. Otworzyła torebkę i wyszperała plik dolarów. Zwinęła banknoty w dłoni. – Trzymaj rękę na pulsie. Jeżeli portier tego nie weźmie, będziesz musiał wejść i go przekonać.

Wysiadła z samochodu, naciągnęła na głowę cienki kaptur płaszcza, rozejrzała się i przeszła przez ulicę. Powietrze było ciężkie i upalne, w okolicy praktycznie nikt się nie kręcił. Ruch był niewielki, większość samochodów tylko przejeżdżała.

Szklane drzwi rozsunęły się automatycznie. Sophie znalazła się w przedsionku, owionęło ją suche zimne powietrze z klimatyzacji. Mężczyzna za kontuarem nacisnął jakiś guzik i rozsunęły się kolejne drzwi. Weszła do

środka.

Wyjęła plik banknotów. Było w nim pięćset dolarów.

– Jak zadzwonię, proszę na godzinę opuścić swoje stanowisko – powiedziała, machając pieniędzmi.

Portier zgodził się bez namysłu.

Dał jej numer telefonu i Sophie wyszła.

Już miała przejść przez ulicę, kiedy obok przejechał samochód. Czarny i błyszczący w świetle latarni. Na przednim siedzeniu zobaczyła mężczyznę, jego profil...

Hector...

Serce jej podskoczyło.

Za kierownicą siedziała kobieta... Sonya...

Sophie cofnęła się do wejścia.

Starła się zachować spokój.

– Poszło szybciej, niż myślałam – powiedziała i spróbowała się uśmiechnąć. – Muszę pana prosić, żeby pan wyszedł od razu.

Portier nie dyskutował. Zaczął zbierać swoje rzeczy. Sophie nie spuszczała samochodu z oka. Widziała, jak się zatrzymuje kawałek dalej. Błysnęły światła hamowania. Potem skręcił na przeciwległy pas i znalazł kopertę do zaparkowania.

Portier już wychodził.

– Jaki to samochód? – zapytała, pokazując auto z Hectorem i Sonyą.

– Ten czarny SUV?

– Tak.

Portier zmrużył oczy.

– Navigator – powiedział. – Lincoln navigator. Będę za godzinę.

Wycofała się w głąb budynku, znalazła osłonięte miejsce koło wind i zadzwoniła do Tommy'ego Janssona.

Tommy odebrał po kilku sygnałach.

– Tak? – zapytał.

– Lincoln navigator, czarny, Hector Guzman i Sonya Alizadeh – powiedziała i podała Tommy’emu nazwę ulicy i miejsce, w którym zaparkowali.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, Tommy notował.

– Przeliteruj to drugie nazwisko – poprosił.

Sophie to zrobiła.

– Zapisaleś wszystko? – zapytała.

– Tak – potwierdził Tommy. – Dam znać komu trzeba.

Sophie się rozłączyła.

* * *

Plansza szachowa i pionki były wyrzeźbione w drewnie. Lothar miał białe, Jens czarne. Rozgrywali partię przy stole w kuchni.

Gorman, jak zwykle naćpany, siedział na kanapie przed telewizorem. Oglądał jakiś serial rozgrywający się w szpitalu i zajadał chipsy, głośno przy tym szeleszcząc torebką.

Lothar siedział skoncentrowany z policzkiem podpartym dłonią. Jens przyglądał się mu. Lothar przesunął pionek o jedno pole w stronę środka szachownicy, przez chwilę trzymał na nim palec, a potem go puścił.

Jens sprawdził swoje położenie. Był przyparty do muru. Rzucił Lotharowi krzywe spojrzenie. Chłopak się zaśmiał.

– Mogę się tylko bronić – stwierdził Jens. – Chcesz mnie nadal upokarzać?

– Yes – odparł Lothar wesoło.

– W porządku – powiedział Jens z rezygnacją w głosie i przesunął wieżę bliżej króla.

Lothar znów się zaśmiał.

– Na twoim miejscu bym się zastanowił...

Chwycił swojego gońca i przesunął go ukośnie przez szachownicę, zbijając skoczka, a w tej samej chwili szyba w oknie kawałek od nich rozsypała się w drobny mak. Jens usłyszał świst kuli, która przeleciała obok niego. Wbiła się w ramię Gormana i wcisnęła go w kanapę. Gorman zawył z bólu.

– Na podłogę – wrzasnął Jens do Lothara.

Gorman leżał na dywanie z kokainą na twarzy, w ręce trzymał pistolet z tłumikiem i próbował się przeczołgać w stronę filara.

Jens puścił się biegiem w jego stronę.

Zadecydowały ułamki sekund. Gorman usłyszał kroki, zrobił pół obrotu. Ręka z pistoletem przesunęła się razem z nim. Rozległ się cichy wystrzał. Jens poczuł piekący ból w lewej ręce. Rzucił się na Gormana całym swoim ciężarem. Gorman próbował wycelować w jego głowę, ale Jensowi udało się lewą ręką złapać pistolet. Kula musiała coś uszkodzić, bo brakowało mu siły w dłoni. Gorman powinien czuć się podobnie, on też oberwał. Tyle że był naćpany kokainą... I trzymał broń w zdrowej ręce. Jens zrozumiał, że jest bez szans. Gorman za chwilę strzeli mu prosto w twarz.

Rzucił się w bok, udało mu się kopnąć Gormana w szyję, a potem jeszcze raz w postrzelone ramię.

Dzięki temu zyskał dwie sekundy, których potrzebował, żeby znaleźć się za Gormanem. Przeczolgał się nad nim i wsunął za niego. Otoczył ramieniem jego szyję i zacisnął je ze wszystkich sił, wciskając jabłko Adama w gardło mężczyzny. Gorman, sycząc, wił się i kopał. Próbował wycelować w Jensa. Jens odepchnął broń lewym, rannym ramieniem. Kotek i myszka... Gorman był myszką. Naćpaną koką po uszy... Kiedy myszka zrozumiała, że nie uda jej się zabić Jensa, skierowała broń w stronę Lothara, który chował się w kuchni.

Gorman próbował coś wychrypieć. „A nie mówiłem”.

Jens zrozumiał, co się zaraz stanie. Trzymając Gormana za szyję, poderwał

go z podłogi, żeby zmienić trajektorię lotu, ale Amerykanin szybko opróżniał magazynek, wystrzeliwując go w stronę Lothara. Tłumik nie przestawał klikać. Jens wykrzeszał z siebie całą siłę, na jaką go było stać. Gorman strzelał, dopóki jego kark nie został wyrwany z kręgów. Ręka z pistoletem opadła na podłogę. Teraz nadeszła kolej Jensa na dotrzymanie słowa, zabicie tej hieny... szczura... świni. Zaraz spełni obietnicę...

Przyłożył się, nie przejmując się bólem ramienia. Nogi Gormana wierzgały w powietrzu. Z jego ust cały czas słychać było syczenie. Jens czuł nienawiść, pełną rozkoszy nienawiść. Osiągnęła apogeum, kiedy rozległo się ciche chrupnięcie. Kark Kevina Gormana został skręcony, a jego ciało stało się ciężkie i bezwładne...

Jens puścił je na ziemię, poderwał się i pobiegł do Lothara. Chłopak leżał w kuchni na plecach. Cały podkoszulek miał zakrwawiony.

Widząc Jensa, Lothar się roześmiał. Starał się ukryć strach.

– Tylko spokojnie – powiedział Jens.

– On nie żyje? Gorman nie żyje? – zapytał Lothar.

– Tak – potwierdził Jens.

– Dziękuję...

Ktoś dobijał się do drzwi wejściowych.

* * *

Leszek posłał Gormanowi jedną kulkę, ale nie trafiła tam, gdzie powinna. W momencie gdy Leszek naciskał spust, Gorman odrobinę się poruszył. Potem Leszek stracił go z pola widzenia. W innej sytuacji po prostu wystrzelałby cały magazynek na oślep, w nadziei, że któraś z kul dosięgnie celu. Ale gdzieś tam był Lothar.

Leszek zaczął się śpieszyć. Zostawił karabin na dachu i zbiegł po schodach.

Na ulicy puścił się biegiem po rozgrzanym asfalcie. Rzucił okiem w stronę

Hectora i Sonyi, którzy siedzieli w samochodzie kawałek dalej. Z kieszeni kurtki wyłowił paralizator. Drzwi do budynku rozsunęły się przed nim. Znalazł się w przejściu i otworzyły się przed nim kolejne drzwi. Wszedł do holu. Panowały w nim cisza i spokój. Żadnego portiera...

Kwestia szczęścia? Nie zastanawiając się nad tym, ruszył do windy.

Kiedy przy niej stanął, był niewidoczny z ulicy. Nacisnął guzik i przygotował paralizator.

Ktoś bezgłośnie za nim stanął... Był potężny...

Leszek już miał się odwrócić, kiedy poczuł na szyi mocny uścisk, czyjaś niesłychanie silna dłoń złapała paralizator, przycisnęła mu go do klatki piersiowej i władowała w nią pięćdziesiąt tysięcy woltów. Leszek podskoczył i zwałił się na ziemię.

Michaił usiadł na Leszku i zakleił mu taśmą ręce, nogi, usta i oczy. Odciągnął koniec taśmy i kilka razy okręcił ją dookoła głowy, zasłaniając Leszkowi uszy. Leszek był oklejony jak paczka, nic nie widział, nic nie słyszał i nie mógł z siebie wydobyć żadnego dźwięku.

Drzwi do windy się otworzyły i Michaił wciągnął do niej Leszka.

Sophie weszła zaraz za nimi. Jechali w górę w milczeniu. Na dwunastym piętrze dzwonek brzęknął i drzwi się rozsunęły.

Znaleźli właściwe mieszkanie. Michaił położył Leszka na podłodze i zaczął mocno walić pięścią w drzwi. Chwilę poczekali.

Jens uchylił drzwi, celując w czoło Michaiła. Opuścił broń. Sophie wyszła zza Michaiła.

W oczach Jensa błyszczał strach.

– Lothar jest ranny – powiedział.

Sophie wbiegła do mieszkania. Michaił wciągnął Leszka do środka i zatrzasnął drzwi. Zostawił go na podłodze w holu.

Lothar leżał na podłodze w kuchni. Był blady i zlany potem. Widząc Sophie i Michaiła, blado się uśmiechnął. Jego ubranie było zalane krwią.

– Cześć, Sophie... cześć, Michaił – szepnął.

Sophie chwyciła jego zimną dłoń i zaczęła płakać.

– Cześć – powiedziała, próbując się opanować.

– Cześć – zamruczał Michaił. Uklęknął na podłodze i położył mu dłoń na czole. – Jak się czujesz, mały? – zapytał łagodnym tonem.

– Zimno mi – odparł Lothar.

Sophie i Michaił wymienili spojrzenia.

– Zaraz poczujesz się lepiej. Masz teraz pielęgniarkę – powiedział Michaił i się uśmiechnął, próbując dodać chłopcu otuchy.

Jens przyniósł ręczniki, butelkę wódki i nożyczki.

Sophie rozcięła bluzkę Lothara. Cały brzuch był czerwony od krwi. Zamoczyła ręcznik w wódce i starła krew. Lothar podskoczył z bólu. Rana wlotowa była wyraźnie widoczna, przez nią tracił mnóstwo krwi.

Pochyliła się i zaczęła szukać rany wylotowej, ale jej nie znalazła. Kula nadal gdzieś tam była.

– Myślisz, że dostałeś jeszcze gdzieś oprócz brzucha? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Nie, oberwałem tylko raz.

– Możesz ruszać palcami u rąk i nóg?

Lothar sprawdził.

– Tak.

– Dobrze – odparła i spróbowała się uśmiechnąć, a potem zwróciła się do Michaiła. – Przyciskaj ręcznik do rany.

Przeszła na szwedzki.

– Karetka już jedzie? – zapytała Jensa.

Jens pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

– Nie możemy tego zrobić, będzie pozbawiony ochrony.

– Jens, on musi jechać do szpitala. Bardzo krwawi. Umrze...

– Co możesz zrobić tu i teraz? – zapytał Jens. Było słychać, że jest zestresowany.

– On potrzebuje chirurga... aparatury medycznej... Został postrzelony w brzuch. Nie mam pojęcia, jak to wygląda w środku.

– Kiedyś już wyciągałaś kulę, byłem przy tym – przerwał jej.

– Ale z ramienia. To nie stanowiło zagrożenia dla życia, mieliśmy sprzęt, znieczulenie... Zadzwoń po karetkę!

– Ludzie Ignacia go znajdą – sprzeciwił się Jens. – I od razu wykończą.

– Zadzwonimy na policję, dopilnujemy, żeby z nim pojechali, zapewnili mu ochronę – spróbowała.

– Policja nie będzie w stanie ochronić go przed ludźmi Don Ignacia – odparł Jens.

– A może on umrze tutaj?

– Nie możemy tak stać i się licytować – stwierdził Jens. – Posłuchaj mnie, nie mówiłbym tego, gdybym nie wiedział, że tak będzie!

Zaczął tracić opanowanie i ostatnie słowa wypowiedział podniesionym głosem.

Mierzyli się wzrokiem.

– Co jesteś w stanie zrobić? – zapytał Jens już spokojniejszym tonem.

– Nie wiem. Nie wiem, jak poważne są obrażenia.

– Dobra, w takim razie od tego zaczniemy, zbadasz go – powiedział tak spokojnie, jak tylko mógł. – Zrobisz, co w twojej mocy... Jeżeli uda ci się zatrzymać krwotok, to się zastanowimy, co dalej, dobra?

Spojrzeli sobie w oczy.

– Dlaczego to my musimy podejmować tę decyzję? – zapytała.

– Bo nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić – odparł.
– On został postrzelony. Musi zostać zoperowany, dostać narkozę...
– Mamy mnóstwo kokainy – powiedział Jens. – I całkiem sporo heroiny.
Sophie pokręciła głową.

Jens nie dawał za wygraną.

– Jak możesz wykorzystać te narkotyki? – zapytał.

Kokaina i heroina.

Spróbowała się zastanowić, ale wpadła w otchłań niezdecydowania.

– Sophie! – powiedział ostro.

Usiłowała sobie przypomnieć to, czego kiedyś się uczyła.

– Kokaina może mieć miejscowe działanie znieczulające – powiedziała. –

Może też obkurczać naczynia...

– Co to znaczy?

– Że na chwilę może powstrzymać krwawienie...

– A heroina?

Sophie spojrzała na Lothara, a potem na Jensa.

– Heroina należy do opiatów... działa znieczulająco – przyznała niechętnie.

– Jest niesłychanie silna, śmiertelnie niebezpieczna. Jeżeli się pomylimy, stanie mu serce...

Zobaczyła, że Jens patrzy na nią z nadzieją.

– Jest tu jakiś sprzęt medyczny? – zapytała.

Jens pokręcił głową.

– Narzędzia? – zapytała.

– Głównie przybory kuchenne.

Spojrzała na ranę na jego ramieniu.

– Jesteś ranny?

– Zahaczyła mnie kula. Ale to tylko draśnięcie. Sam się tym zajmę... Co mogę teraz zrobić?

Zastanawiała się nerwowo.

– Zbierz wszystko, co znajdziesz – poleciła. – Wszystko, co może się nam przydać. Zagotuj wodę i ją przestudź. Potrzebuję małych miarek, żeby odmierzyć narkotyki. Ostrych noży...

Ruszył w drogę.

– I coś do szycia. Cokolwiek – dodała.

Sophie zwróciła się do Michaiła, który przyciskał do rany Lothara nowy ręcznik. Stary leżał na podłodze przesiąknięty krwią.

– Zajmiemy się Lotharem tu i teraz – wyjaśniła. – Cały czas będę ci mówić, co masz robić, czego mi potrzeba.

Michaił pokiwał głową.

Lothar był tak blady, że niemal przezroczysty. Sophie pogłaskała go po czole. Było zimne i mokre od potu. Lothar poszukał wzrokiem jej oczu.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał.

– Powiedz, jak się czujesz – odparła.

Złapała jego nadgarstek i przyłożyła do niego dwa palce.

– Jestem zmęczony – powiedział.

Jego puls był słaby i niski.

– A poza tym?

– Momentami robi mi się zimno. Ale tylko na chwilę.

– Zbadamy cię, tu i teraz – wyjaśniła i nieświadomie pogładziła kciukiem wierzch jego dłoni. – Przepraszam – dodała.

– Za co?

– Za wszystko.

– Ty i wszyscy inni... – powiedział i niemal się uśmiechnął. – Wszyscy cały czas mnie przepraszacie. Wybaczam tobie, Jensowi, Michaiłowi... mojemu tacie, wszystkim. Z łaski swojej olej to teraz. – Jego twarz jeszcze złagodniała, kiedy dodał: – Po prostu nie chcę umierać.

* * *

Hector palił wąskie cygaro, wydmuchiwiał dym przez okno i od czasu do czasu rzucał okiem na zegarek.

Sonya czuła jego zdenerwowanie. Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie je pogładziła.

– W porządku? – zapytała.

– Będzie, kiedy Lothar usiądzie obok mnie – odparł ze zniecierpliwieniem.

– Już niedługo – szepnęła.

Czekanie zamieniło się w torturę.

– Co ten Leszek wyprawia? – zapytał. W jego głosie słychać było nutę agresji.

– Mogę wejść do środka – zaproponowała Sonya.

– Poczekaj, damy mu jeszcze kilka minut – powiedział niechętnie i wyrzucił cygaro, jakby nagle zaczęło źle smakować.

Wtem dobiegł ich charakterystyczny dźwięk. Policyjne syreny. Gdzieś w oddali.

Hector spojrzał pytająco na Sonyę, ale ona tylko pokręciła głową.

– To Stany – powiedziała uspokajająco. – Tutaj to normalne.

Ale dźwięk narastał, a na sylwetkach domów w oddali pokazało się błękitne pulsujące światło.

Skórzane siedzenie zatrzeszczało, gdy Hector się odwrócił, żeby spojrzeć do tyłu. Nadjeżdżał kolejny samochód. Syrena wyła, światło błyskało.

Sonya spojrzała na ulicę na lewo. Na wzgórzu na jej końcu pojawił się policyjny wóz. Wyjechał z zakrętu tak szybko, że wpadł w niewielki poślizg, ale gdy tylko koła odzyskały oparcie, ruszył w ich stronę na pełnym gazie.

Ich położenie zrobiło się krytyczne. Sonya i Hector zaczęli się niespokojnie wiercić.

– Są wszędzie – mruknął Hector pod nosem.

– Mam odjechać? – zapytała Sonya.

Hector spojrział w kierunku wyjścia, jakby miał nadzieję, że zobaczy w nim Leszka z Lotharem. Ale nikogo nie było.

– Jedź, powoli i spokojnie – polecił.

Sonya odpaliła silnik, wrzuciła bieg i wyjechała z kieszeni. Syreny były coraz bliżej, ryczały wokół nich. Obracające się światła błyskały w mroku. Sonya zdążyła przejechać zaledwie parę metrów.

Policyjne auta nadjechały równocześnie. Piszcząc oponami i wściekle wyjąc syrenami, stanęły w poprzek ulicy. Cztery białe wozy policyjne, z czterech różnych stron. Wyhamowały i odcięły im drogę ucieczki. Wyskoczyli z nich ubrani na czarno policjanci. W sumie ośmiu. Krzyczeli i machali w ich stronę swoimi pistoletami i karabinami. Drzwi od strony Hectora zostały otwarte. Rozległy się groźne pokrzykiwania. Hector został wyciągnięty na asfalt. Wylądował na brzuchu, uderzył głową o jezdnię i poczuł na sobie ciężkiego policjanta. Lufy wielu pistoletów celowały w jego głowę. Skuli mu ręce, poderwali na nogi i powlekli do jednego z wozów.

Mind your head...

Został wrzucony na tylne siedzenie. Odwrócił głowę i zobaczył, że to samo spotkało Sonyę. Została wepchnięta do innego samochodu.

Wszystkie cztery auta odjechały równocześnie.

Nad ulicą znów zapanowała cisza.

* * *

Sophie podarła koszulę na trzy części. Dwie z nich dała Jensowi i Michaiłowi, żeby zasłonili sobie nosy i usta. Chciała ograniczyć ryzyko zainfekowania rany Lothara.

Nie wiedziała, ani jaką ilość heroiny powinna mu podać, ani w jaki sposób. Przypomniała sobie morfinę, którą dawała pacjentom, gdy pracowała

w szpitalu. Jej dawki... Spojrzała na torebeczkę z heroiną. Pomyślała o gotowaniu i pieczeniu chleba.

Odmierzyła dawkę łyżką. Wiedziała, że waży mniej więcej dziesięć gramów. Tak liczyła, gdy dodawała do chleba błonnik. Odmierzyła na oko jeden gram, jedną dziesiątą, i wsypała do plastikowej butelki. Silniejsze opiaty przeciwbólowe podawane w płynie miały zwykle stężenie od pięciu do dwudziestu miligramów. Postanowiła oprzeć się na tej wiedzy i wsypała heroinę do dziesięciu mililitrów wody. Jeden mililitr będzie zawierał dziesięć miligramów... mniej więcej...

Wylała roztwór na łyżeczkę i podała Lotharowi do ust. Zmierzyła mu puls i posłuchała oddechu.

Przyjrzała się narzędziom. To był sprzęt kuchenny, nie medyczny. Dwa noże, jeden do filetowania i jeden zwykły. Długie wąskie szczypcy do spaghetti. Potem spojrzała na butelkę z wódką... ręczniki, serwetki... kokainę i heroinę. A potem na Lothara, już odurzonego. Był gdzieś daleko i przeżywał rozkosz. Ale to była marna pociecha, Sophie dopadł strach. Poszukała wzroku Jensa, nic nie powiedział, kiwnął tylko głową na znak, żeby zaczynała.

Michaił chyba rozumiał, jakie przeżywała męki.

– Robimy to razem – wymruczał. – Niezależnie od tego, co się stanie, robimy to razem...

– Jeżeli coś pójdzie nie tak – odparła – dzwonię po karetkę. Będę go bronić nawet za cenę własnego życia, poniosę wszystkie konsekwencje. To tak dla waszej informacji. Nie wolno wam mnie powstrzymywać. Obiecujcie mi to.

Jens kiwnął głową. Michaił też.

Sophie wybrała mniejszy nóż, japoński. Wsunęła jego czubek w róg rany wlotowej i zerknęła na twarz Lothara. Nie zareagował. Rozcięła ranę w górę i w dół i ją powiększyła. Nóż był ostry, ale nie tak, jak by sobie tego życzyła. Musiała mocno naciskać i piłować... Michaił świecił latarką, a Jens sypał do

środka niewielkie dawki kokainy, gdy go o to prosiła.

Widziała, jaką drogę przebyła kula i jak poharatała wnętrzności Lothara. Zobaczyła to, czego najbardziej się obawiała. Drobne kawałki metalu. Kula się rozprysnęła i rozerwała tkanki.

Sytuacja najgorsza z możliwych... Gdyby kula była cała i znajdowała się w jakimś nie najgorszym miejscu, mogłaby ją zostawić i skoncentrować się tylko na opanowaniu krwotoku... A tak musiała wyjąć wszystkie fragmenty, które były ostre, nierówne i śmiertelnie niebezpieczne, gdyby zostały na swoim miejscu.

Wzięła latarkę od Michaiła i włożyła sobie w usta. Oblała dłonie wódką i nalała odrobinę do rany. Rozchyliła brzegi i poświeciła do środka. Duży fragment kuli utkwiał głęboko koło śledziony. Otaczała go krew i tkanki.

Na stoliku przed telewizorem coś zatrzeszczało, a potem rozległ się czyjś głos.

„Gorman, odbiór...”.

Krótkofalówka Gormana.

„Gorman!”.

– Kilka razy na dobę go wywołują – wyjaśnił Jens.

– A gdy nie odpowie?

– To pewnie się tu zjawia – odparł Jens.

– Ile mamy czasu? – zapytała.

– Nie wiem.

Ktoś po raz kolejny zawołał Gormana. W jego głosie słychać było zdenerwowanie.

– Ale powinniśmy się stąd zmyć – dodał Jens.

– Nie możemy go ruszać w takim stanie. Musimy wyjąć wszystkie odłamki, zatrzymać krwawienie i zszyć ranę. Mamy coś do szycia?

– Mamy mocną taśmę klejącą i zszywacz tapicerski.

Miała ochotę krzyknąć.

Zakrwawionymi dłońmi złapała butelkę z wódką i wzięła dwa duże łyki. Poczowała okropny smak etanolu. Chwyciła długie szczypce kuchenne ze stali nierdzewnej i oblała je wódką. To samo zrobiła ze szczypcami do spaghetti, które trzymał Jens. W środku miały sprężynę. Jens wsunął je w ranę i puścił, tak że rozsunęły jej brzegi.

– Módlcie się – powiedziała i włożyła szczypce w brzuch Lothara. Pracowała wolno i ostrożnie, wyjmując odłamki kuli. Pot ściekał jej po czole. Od czasu do czasu zerknęła na Lothara, żeby zobaczyć, czy reaguje. Ale leżał zupełnie nieruchomo, odurzony heroiną. Może było mu dobrze, miała taką nadzieję...

– Osusz – powiedziała.

Jens zrobił, co mógł. W świetle latarki udało jej się zobaczyć kolejne fragmenty kuli. Ostrożnie łapała je szczypcami, wyjmowała i rzucała na podłogę.

„Kevin!”.

Sophie podskoczyła. Głos, który nagle rozległ się w krótkofalówce, był wysoki i rozległ się niespodziewanie. Zamknęła oczy i odetchnęła.

Wszystkie pozostałe odłamki były bardzo słabo dostępne. Działała ostrożnie, nie chciała niczego uszkodzić.

Głos rozległ się po raz kolejny. Wołał coś niewyraźnie.

Spojrzała na Jensa. Kiwnął głową na znak, żeby kontynuowała.

Jeden większy odłamek ani drgnął.

– Utknął – szepnęła. – Nie wiem, co się stanie, jak go ruszę...

– A nie możesz go zostawić?

– Jest ostry i leży w niebezpiecznym miejscu.

– Musimy się pośpieszyć – powiedzieli równocześnie Jens i Michaił.

– Nie pomagacie!

Wzięła jedną z torebeczek z kokainą, zmieszała z wodą i wlała mieszankę do rany. Podała Lotharowi kolejną dawkę heroiny. Usta miał wysuszone. Jego twarz odzyskała odrobinę koloru... Zmierzyła mu puls i posłuchała oddechu...

Chwyciła mocniej szczypce i pociągnęła. Udało jej się wydobyć odłamek, ale wyjmując go, coś rozerwała. Krwawienie było większe, niż się spodziewała. Krew wypełniała ranę jak woda, która wytryskuje z dna studni. Jej poziom podnosił się błyskawicznie.

Boże słodki..., pomyślała.

Wlała więcej zawiesiny z kokainą.

– Michaił, naciskaj – rzuciła.

Michaił posłuchał i przycisnął ręczniki do rany. Szybko nasiąknęły krwią.

– Jens, więcej kokainy.

Jens podał jej torebeczkę z narkotykiem. Rozerwała ją. W powietrzu wirował biały proszek. Sophie wsypała wszystko bezpośrednio do rany. Czekali w napięciu. Krwawienie ustąpiło. Kokaina podziałała. Przynajmniej chwilowo.

Serce jej waliło. Głos w krótkofalówce krzyknął, że jada.

– Teraz musimy zamknąć ranę i uciekać. Jens, pomóż mi, proszę – powiedziała.

Jens przytrzymał palcami brzegi rany. Sophie przyłożyła zszywacz do skóry i nacisnęła dźwignię. Wystrzeliwała zszywki jedną przy drugiej, zahaczała je o siebie, żeby stworzyć łańcuch. Michaił zakleił je taśmą.

– Musi leżeć prosto i nieruchomo, rany nie wolno zginać.

Michaił i Jens działali szybko. Rozbili kanapę na kawałki, zostawiając tylko jej spód, na którym miał leżeć Lothar.

Przenieśli go na prowizoryczne nosze i przykleili do nich jego ręce i nogi na wypadek, gdyby się ocknął.

Jens zniknął i wrócił z jakąś torbą.

– Gotówka – wyjaśnił. – Może się nam przydać.

Kucnął przy zwłokach Gormana i zaczął szperać w jego kieszeniach. Po chwili wyciągnął z nich kluczyki.

– W budynku jest garaż – wyjaśnił i rzucił kluczyki Michaiłowi.

Udało im się jakoś wcisnąć nosze do windy. Michaił przywłókł też Leszka. Jechali w milczeniu.

W garażu zobaczyli błyszczące samochody oświetlone jarzeniówkami. Sophie i Jens ukryli się z noszami przy ścianie za bentleyem.

Michaił wepchnął Leszka pod dżipa kawałek dalej i ruszył w stronę wyjazdu, żeby przyprowadzić wynajęty samochód.

W garażu panował całkowity spokój. Sophie sprawdziła stan Lothara. Temperaturę miał chyba w normie, a puls był słaby, choć regularny.

– Cześć, Sophie – powiedział Jens.

– Cześć, Jens – odpowiedziała.

– Dziękuję.

– Dziękuję.

– Wyjdzie z tego – stwierdził.

– Tak, wyjdzie – zgodziła się.

Ale te słowa zabrzmiały pusto.

Usłyszeli dźwięk opon ślizgających się na betonie. Michaił przyprowadził auto. Zahamował koło nich. Złożyli tylne siedzenie i wsunęli nosze z Lotharem.

Jens podszedł do dżipa, pod którym leżał Leszek. Pochylił się i odsunął taśmę z jego ucha.

– Jesteś w garażu – powiedział. – Ludzie Don Ignacia tu jadą. Przykro mi, że nie wyszło tak, jak chciałeś. Mam tu nóż. Dam ci go, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

Jens odsunął taśmę z ust Leszka. Leszek oddychał ciężko i głęboko.

– Gdzie jest Aron? – zapytał Jens.

– Aron? Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Leszek wydawał się szczerze zdziwiony.

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Nie wiem. Był w Peru, teraz jest gdzieś w Kolumbii...

– Gdzie i kiedy się spotkacie?

– Nie wiem. Nie mamy tak dokładnych planów.

Michaił zawył silnikiem. Czas ich gonił.

Jens włożył nóż w jedną ze związanych na plecach rąk Leszka.

– Powodzenia – powiedział, poklepał go po ramieniu i puścił się biegiem.

Wyskoczyli z garażu na pełnym gazie i skręcili w lewo, rozglądając się za ludźmi Don Ignacia. Nikogo jednak nie zauważyli.

Michaił wcisnął gaz do dechy i ruszył na północ, jak najdalej od centrum miasta.

Sophie siedziała pochylona nad Lotharem i uważnie go obserwowała. Był blady i nagle zaczął oddychać z większym wysiłkiem, jak gdyby przez zasłonę alkoholu, heroiny i kokainy zaczął przedzierać się ból.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Michaił.

– On się wybudza – odparła Sophie nerwowo.

– Jakie mamy możliwości? – zapytał Jens.

– Lotharem musi zająć się lekarz, a my musimy wyjechać z tego kraju. Innych możliwości nie ma – stwierdził Michaił, zaciskając ręce na kierownicy.

– Jens, to twoja działka, ty jesteś przemytnikiem, co robimy?

Jens przeliczył pieniądze w torbie.

– Ponad trzydzieści tysięcy dolarów – powiedział, odpowiadając na pytanie, którego nikt nie postawił. Potem się zamyślił.

– I? – zapytała Sophie.

– Jedną z możliwości jest statek handlowy. Parę lat temu przemycałem tak ludzi. Wielkie kontenerowce mają kajuty, a co ważniejsze izby chorych. Myślę, że warto spróbować. Wydostaniemy się stąd, a Lothar będzie miał opiekę.

– Wystarczy nam pieniędzy? Będą chcieli nas zabrać? – zapytała.

– Nie wiem... Ostatnio płaciłem cztery razy tyle za jedną osobę. Ale wtedy okoliczności były inne.

– A następna możliwość?

– Drugie miejsce, trzecie i kolejne na liście są puste... ale na samym jej końcu jest coś jeszcze...

– Tak?

– Możemy porwać lekarza – powiedział Jens. – Zmusić go, żeby opatrzył Lothara w jakimś motelu, ale co dalej, to cholera wie.

Lothar cicho jęknął z bólu.

– Statek – zdecydowała Sophie.

* * *

Siedzieli z rękami skutymi kajdankami w towarzystwie narkomanów, prostytutek, pijusów i ludzi, którzy dopuścili się przemocy. Wszyscy wiedzieli, że nie czeka ich nic dobrego.

Hector i Sonya zostali przewiezieni na komisariat w południowej części Miami, w dzielnicy Little Havana. Pozwolono im wykonać jeden telefon. Sonya zadzwoniła do Leszka, żeby powiedzieć, że zostali aresztowani. Leszek opowiedział, co się stało.

– Jens – warknął Hector pod nosem. – Wystawił nas. To była pułapka.

– Dlaczego? – zapytała Sonya.

Hector się zastanowił.

– Nie wiem – odparł po chwili.

Jakiś blondyn ze zbyt małą liczbą zębów zaczął płakać. Kobieta, która

siedziała obok niego, schrypniętym głosem prosiła go o wybaczenie. Zaczęła go tulić i całować.

– Możecie, z łaski swojej, się zamknąć? – powiedział Hector w przestrzeń. Para zamilkła. Wszyscy w celi zamilkli.

Sonya uśmiechnęła się pod nosem. Taki właśnie był Hector. Potrafił wzbudzić całkowity posłuch.

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zapatrzył się w ziemię.

– Cholera, Sonya, siedzimy na komisariacie w Stanach – powiedział z goryczą w głosie.

Wiedziała, co miał na myśli. Więzienne mury były tu wysokie. Nikt przez nie nie wychodził. Ogarnął ją lęk. Nie chciała tu utknąć.

Do celi wszedł wysoki policjant. Cisza, niezwykła jak na to miejsce, sprawiła, że na moment się zawahał. Potem wskazał palcem Hectora i Sonyę i machnął ręką na znak, że mają przyjść.

Poprowadził ich jakimś korytarzem.

– Nie będziemy mówić, dopóki nie załatwię jakiegoś adwokata – powiedział Hector. – Będą próbowali nastawić nas przeciwko sobie. Jesteśmy tu na wakacjach. Odpowiadaj krótko na proste pytania, na trudne nie odpowiadaj w ogóle.

Policjant zaprowadził ich do biura, ale nie zostali rozdzieleni i zamknięci w oddzielnych pokojach przesłuchań, tylko wyszli na ulicę, gdzie czekał na nich czarny SUV. Na drzwiach miał emblemat, którego nie rozpoznawali. Zostali posadzeni na tylnym siedzeniu. Wciąż mieli kajdanki.

Drzwi się zatrzasnęły i ruszyli.

Z przodu siedział funkcjonariusz w cywilnym ubraniu. Obejrzał się i zapytał:

– Wygodnie wam?

– Kim pan jest? – zapytał Hector.

– Nazywam się Joe – odparł mężczyzna.

– Skąd?

– Z prokuratury.

Sprawił wrażenie niemal wesołego.

– Gdzie jedziemy? – zapytała Sonya.

– Do sądu – odparł Joe.

– Po co?

– Dowiedzie się w swoim czasie. Podróż będzie krótka – odparł Joe i się odwrócił.

– Nie wie pan, kim jesteśmy – powiedziała Sonya.

Joe znów spojrział do tyłu i się uśmiechnął.

– Ależ tak, doskonale wiem, kim jesteście. Pani to Sonya Alizadeh, a ten pan to Hector Guzman.

Miami

SOPHIE SPOJRZAŁA na kontenerowiec. Był zacumowany przy południowym nadbrzeżu i oświetlony jak miasto nocą. Był obłędnie wielki. Miał niemal czterysta metrów długości, sześćdziesiąt szerokości i cały pokład załadowany ogromnymi kontenerami, ustawionymi jeden na drugim.

Drzwi od strony pasażera się otworzyły i Jens wskoczył do środka.

– Musimy się śpieszyć. Nie możemy wejść na pokład jak inni ani wnieść noszy z Lotharem.

Nadjechał wózek widłowy.

– Mamy jechać za nim – dodał, pokazując pojazd palcem.

Michaił odpalił silnik i ruszył za wózkiem, który zniknął między kontenerami ustawionymi na nadbrzeżu w różnych grupach. Mieli wrażenie, że wjechali w miasto. Kierowca wózka z wprawą lawirował między „wieżowcami”. W końcu zatrzymał się przed kontenerem wciśniętym między inne.

Kierowca w kasku budowlanym wysiadł z wózka widłowego, podszedł do kontenera, przekręcił dźwignię i otworzył dwa wielkie skrzydła drzwi. Potem gdzieś zniknął.

Wyciągnęli nosze z Lotharem i weszli do środka, ich krokom towarzyszyło dziwne echo.

Kontener był w rdzawym kolorze, z solidnej stali z pofalowanymi ścianami

i sufitem. Dwa i pół metra szerokości, tyle samo wysokości i prawie sześć metrów długości.

Michaił stał przy wejściu.

– Dopilnujcie, żeby z tego wyszedł – powiedział i zaczął zamykać drzwi za Sophie, Jensem i Lotharem.

– Michaił... – zaczęła Sophie. Nad ich głowami zaczął pobrzękiwać duży dźwig. – Opowiedz Albertowi, co tu się stało, i go pilnuj – poprosiła Sophie.

Michaił skinął głową i z metalicznym trzaskiem zamknął drzwi do kontenera.

Zrobiło się ciemno. Sophie wciągnęła powietrze.

Coś uderzyło o dach i cały kontener się zatrzęsł.

– Spokojnie – powiedział Jens. – To tylko dźwig.

Zacząli unosić się w górę. Szybko, jakby jechali windą. Duży, ciężki kontener w ogóle się nie kołysał. Płynął stabilnie w powietrzu. Został podniesiony w górę, a potem szybko przesunięty z lewej na prawą. Sophie szukała czegoś, czego mogłaby się złapać, mimo że nie było to potrzebne. Coś zgrzytnęło i się zatrzymali. Wisieli tak przez kilka sekund, a potem zaczęli opadać w dół. Gwałtownie zmniejszyli prędkość i ostatnie kilka metrów pokonali bardzo wolno. Kiedy kontener dotknął pokładu, w jego wnętrzu rozległo się echo. Coś znów zagruchotało o dach, gdy dźwig ich puszczał.

Sophie sprawdziła stan Lothara. Chłopak nadal był nieprzytomny.

– Nie sądziłem, że przyjdziecie – powiedział Jens.

Siedział pod ścianą z ramionami opartymi na kolanach.

– Co z twoją raną? – zapytała.

Spojrzał na rękę, którą owinał sobie kawałkiem materiału.

– Nic mi nie będzie – odparł.

Sophie przysunęła się do niego i odsłoniła ranę. Była brudna, otoczona skrzepniętą krwią i zainfekowana. Oczyszczyła ją z pomocą tego, co udało jej się

zabrać z mieszkania. Jens w ogóle nie reagował na jej poczynania.

– Jesteś odporny na ból? – zapytała.

– Tylko kiedy się boję.

– A boisz się?

– Bałem. Myślałem, że Lothar umrze.

– Ale nie umarł – szepnęła.

– Na razie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Teraz nic więcej nie mogę zrobić – stwierdziła i przewiązała mu ranę tym samym kawałkiem materiału.

– Ernst nie miał tyle szczęścia – powiedział Jens.

Ernst... Prawnik i finansowy doradca Hectora. Sophie wcześniej z nim pracowała, był perfekcjonistą, pozbawionym społecznych kompetencji.

– Co się stało? – zapytała.

– Prawie go nie widywałem – odparł Jens. – Trzymali go w innej części posiadłości... Zastrzelili go na naszych oczach, Lothara i moich, zanim nas przenieśli do Miami.

Sophie czuła obrzydzenie i odrazę. To wszystko nie miało końca. Położyła się z głową na kolanach Jensa, w zasięgu wzroku miała podłogę i Lothara, który leżał na plecach. Oklejony taśmą, odurzony narkotykami... Ernst... To wszystko było takie niskie...

– Wydaje mi się, że dzięki Ernstowi Don Ignacio przejął całą organizację Hectora – powiedział Jens. – Potem już go nie potrzebował... To samo zrobił chyba z Ralphem Hankem.

– Co zrobił z Hankem?

– Przejął część jego organizacji... Don Ignacio urósł w siłę. Wziął to, co miał Hector. I prawdopodobnie większość tego, co ma Hanke. Wziął też jego syna.

– Spotkałeś go?

– Przelotnie. Kilka razy tylko go widziałem. Lothara i mnie trzymali z dala od innych.

– Jak się nazywa?

– Christian... Christian Hanke.

Każde z nich myślnami było gdzie indziej. Oboje patrzyli na Lothara, który leżał naćpany i balansował na granicy życia i śmierci.

– Lothar widział takie rzeczy, jakich oglądać nie powinien – stwierdził Jens. – Jego dusza jest okaleczona. Jest dzielny... ma odwagę, ale życie było dla niego cholernie niesprawiedliwe.

Poczuł drżenie. Kadłub zatrzęsł się jak w czasie niewielkiego trzęsienia ziemi, gdy ogromny statek odbił od nadbrzeża.

* * *

Hector i Sonya znów znaleźli się w poczekalni. Tym razem w czynnym w nocy sądzie w północnym Miami. Sądzie, który miał wydać decyzję o ich aresztowaniu. Joe siedział obok nich, surfował w sieci na swojej komórce i śmiał się z memów. Pokazał im zdjęcie kota, który przybijał piątkę. Ich nie rozbawił.

Za oknem zaczynało świtać. Ale i tak wszędzie roiło się od ludzi. Hector rozejrzał się dookoła. Prawnicy, asystenci, powodowie i powódki, oskarżeni i oskarżone, świadkowie, tłumacze, gapie, strażnicy, policjanci i pojedynczy dziennikarze. Kontrolowany chaos.

– Przepraszam – powiedział Hector.

– Nie przepraszaj – odparła Sonya.

Zapatrzył się w wypolerowaną posadzkę.

– Nie jest dobrze – powiedział i rzucił na nią okiem.

Prawdopodobnie domyśliła się, czego się obawiał, bo odwróciła wzrok.

– Jeszcze nie wiemy, o co chodzi – powiedziała, siląc się na lekki ton, żeby jakoś ominąć to, co nieuniknione, fakt, że tkwili po uszy w gównie.

Ludzie pędzili korytarzem w różnych kierunkach.

– Czasem żałuję, że nie zostałem w Toskanii, z bratem Robertem i innymi – powiedział Hector.

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo wtedy by nas tu nie było.

Sonya wzruszyła ramionami.

– Ale jesteśmy dlatego, że nie chciałeś zostać z mnichami. Nie ma więc sensu więcej o tym myśleć.

– Tyle że nie mogę przestać.

– O co chodzi, Hector?

– Wszystko wydaje się takie bezsensowne...

– To do ciebie niepodobne, tylko się teraz, na litość boską, nie poddawaj.

– To już koniec – wymamrotał.

Wywołano jakiś numer. Joe spojrzał na kartkę w swojej dłoni, podniósł się i dał im znak, że mają za nim iść.

W sali sądowej było głośno i kręciło się mnóstwo ludzi. Decyzje ogłaszano jedna po drugiej. I tylko prokuratorzy, adwokaci i asystenci zamieniali się miejscami.

Na samym dole sali, na podwyższeniu siedziała sędzia. Przy jej boku stał strażnik. Przed nią znajdowała się miedziana tabliczka, na której było napisane „Sędzia Helen Gahagan”. Miała na sobie czarną togę.

Hector i Sonya zostali poprowadzeni do przodu. Sędzia zaczęła czytać jakieś dokumenty.

– Cześć, Joe – powiedziała. – Chodzi o decyzję o ekstradycji?

Joe pokiwał głową.

– Tak – potwierdził.

Sędzia przeglądała papiery.

– Ale tu jest mowa o jednej osobie, niejakim Hectorze Guzmanie... Kto to jest? – zapytała, rozglądając się po sali.

Joe odwrócił się do tyłu i dał Hectorowi znak, żeby się pokazał.

Hector zrobił krok do przodu.

Sędzia przyjrzała się mu i znów popatrzyła w papiery.

– A kim jest ta kobieta?

– Nazywa się Sonya Alizadeh – wyjaśnił Joe. – Działa razem z nim. Dlatego też należy ją deportować.

– Tyle że nic o niej tu nie widzę – odparła sędzia. – I nie udało się wam potwierdzić tożsamości, prawda? Ich paszporty były sfałszowane. To może być przestępstwo federalne.

Hector się denerwował. Próbował zrozumieć, co się dzieje.

– Wszystko stało się bardzo szybko – wyjaśnił Joe. – Mam tu papiery dotyczące również Sonyi Alizadeh – dodał i pomachał jakąś teczką. – Mogę podejść?

Sędzia Gahagan dała mu znak, żeby się zbliżył.

– Co tu się dzieje? – zapytała Sonya.

– Nie wiem – powiedział Hector. – Ale módl się, żeby nas stąd odesłali gdzieś daleko... i razem.

Joe i sędzia o czymś dyskutowali. Sędzia wyglądała na niezadowoloną, jak gdyby wszystko zostało załatwione zbyt niedbale. Upomniała Joego, a on pokiwał głową i trochę się skulił. Potem podpisała jakiś papier, podała go Joemu i uderzyła młotkiem.

– Następny! – zawołała.

Joe podszedł do nich. Wyglądał na zadowolonego.

– Możemy iść – oznajmił, wskazał wyjście z sali i szybko minął Hectora.

– Joe? – powiedział Hector.

– Tak? – zapytał Joe, odwracając głowę.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Hector.

– Na lotnisko.

– A potem?

Joe pomachał papierami.

– W Alpy!

– Słucham?

– Do kraju serów i ziemi obiecanej zegarków – odparł Joe wesoło.

– O czym ty mówisz?

– *To Sweden!*

Wyglądało na to, że Joe ma pewne braki w edukacji.

* * *

Leszek siedział na ławce dla publiczności w sali sądowej, potem ruszył za Hectorem i Sonyą i usłyszał o ich deportacji do Szwecji.

Wybrał w telefonie numer Arona. Rozległo się kilka głuchych sygnałów. Jak gdyby dzwonił z tak odległego miejsca, że sygnał z trudem docierał do odbiorcy.

Usłyszał kliknięcie i szmer, a potem głos Arona.

– Halo?

– Słyszysz mnie? – zapytał Leszek.

– Tak, słyszę.

– Hector został aresztowany. – Po drugiej stronie zapadła cisza. Leszek mówił dalej: – Pojechaliśmy po Lothara... Sonya i Hector czekali w samochodzie przed budynkiem. Zgarnęła ich policja.

– Gdzie? – zapytał Aron.

– W Miami...

– Ktoś sypnął. Kto?

– Możliwe, że Jens Vall... Teraz to bez znaczenia. Hector i Sonya mają zostać deportowani do Szwecji. Zakopcie gdzieś zabawki, a potem jedźcie na lotnisko i do Szwecji.

Północny Atlantyk

WIELKIE METALOWE DRZWI kontenera zostały otwarte. Ich oczom ukazał się mężczyzna w krótkich spodenkach i koszulce polo. Był uczesany z przedziałkiem i opalony.

– Nazywam się Steve. Jestem tu lekarzem – powiedział ze snobistycznym brytyjskim akcentem i spojrzał na nosze z Lotharem. – Domyślam się, że to on potrzebuje mojej pomocy?

Sophie wyczuła słabą woń alkoholu, która nadlatywała od lekarza.

– Czy mógłby pan mi pomóc? – zapytał Steve Jensa uprzejmym tonem, pokazując chłopaka.

Złapali prowizoryczne nosze i wyszli na pokład.

Sophie poczuła podmuch wiatru i delikatny smak soli. Ruszyła za Jensem i doktorem, ale prawie nic nie widziała. Nad nią i wokół niej piętrzyły się kontenery.

Lekarz dostrzegł jej zdziwienie.

– Na pokładzie jest prawie dziesięć tysięcy kontenerów takich jak ten, w którym się tu dostaliście. Trudno to pojąć, prawda?

– Gdzie są wszyscy ludzie? – zapytała. Spodziewała się, że na statku będzie panował ruch.

– Załoga liczy tylko dziesięć osób – wyjaśnił lekarz. – Większość z nich stanowią ochroniarze, oprócz kapitana, kucharza i mnie... Ale my również

nimi jesteśmy. Tu chodzi tylko o jedno, żeby ta cholerna kupa złomu nie wypadła za burtę.

Dotarli do rampy i zaczęli schodzić w dół, pod pokład. Wszystko wokół nich było z żelaza i stali, zimne, twarde i kolosalnych rozmiarów.

– Co się stało chłopcu? – zapytał lekarz.

– Został postrzelony – wyjaśniła Sophie. – Wyjęłam część kuli, ale kilka odłamków jeszcze zostało w środku. Bardzo krwawił...

– Jest pani lekarzem?

– Pielęgniarką.

Szli długim korytarzem.

– A co z krwawieniem? – zapytał Steve.

– Chwilowo udało mi się je powstrzymać.

– Czym?

– Najpierw rozcieńczoną, a potem również czystą kokainą.

– A dostał coś przeciwbólowego, jakąś narkozę?

– Heroinę i wódkę.

– Jednym słowem udany wieczór na mieście – stwierdził Steve.

Sophie niemal się uśmiechnęła. Nie dlatego, że ją to rozbawiło, ale dlatego, że lekarz jej nie skrytykował.

– Powinniśmy przyspieszyć kroku – stwierdził Steve.

Pokój dla chorych stanowiła mała kajuta pozbawiona okien. Na środku stała prycza, a pod ścianami znajdował się sprzęt medyczny.

Postawili nosze z Lotharem i zaczęli zrywać taśmę, którą miał oklejone ramiona i stopy.

– Gabinet zabiegowy pozostawia sporo do życzenia... – stwierdził Steve. – Ale będzie nam musiał wystarczyć.

Sophie podłączyła Lothara pod kroplówkę i EKG. Jens usiadł przy jego głowie i podawał mu tlen.

Lekarz sprawdził parametry życiowe i podał Lotharowi narkozę.

Podniósł koc, który okrywał brzuch chłopca. Widok był groteskowy. Skrzepy krwi, taśma klejąca, która się odkleiła, i zszywki wbite jedna przy drugiej w sinoczerwoną skórę...

W głosie lekarza nie było ani śladu uprzejmości, kiedy powiedział:

– Jeżeli to ma się dobrze skończyć, musicie robić, co każę.

Poprosił o szczypce i skalpel. Wziął się do wyrywania zszywek ze skóry. Nagle z rany zaczęła wypływać gęsta krew. Aparatura zapiszczała ostrzegawczo. Lothar przestał oddychać.

Jens zamienił maskę tlenową na worek samorozprężalny.

Tracili Lothara.

Sztokholm

ZADZWONIŁA DO NIEGO Caroline Berger.

Siedział teraz na jej kanapie. Ona na ziemi, oparta plecami o jej brzeg. Dość blisko niego. Czytała notatki. Włosy miała zebrane w kucyk. Przyjrzał się jej karkowi.

– Grupa, którą założyła Gunilla Strandberg, była projektem eksperymentalnym. Prokurator, którego im przydzielono, niczemu się nie sprzeciwiał, działali w małym zespole i rozpracowywali przestępczość zorganizowaną. Przekraczali granice i próbowali różnych rozwiązań. Prowadzili śledztwo w sprawie kilku Jugosłowian, jednego szwedzkiego przedsiębiorcy i Hectora Guzmana. Między innymi.

– Udało im się kogoś postawić przed sądem?

– Nie.

– Możliwe więc, że byli skorumpowani i wyłudzali pieniądze?

– Możliwe...

– I połowa grupy została zabita?

– Tak. Grzebały w tym popołudniówki. Ale nic nie znalazły, żadnych dziwnych zbiegów okoliczności... poza faktem, że zginęło tyle osób, ma się rozumieć. Ale każdą śmierć można było jakoś wyjaśnić...

Odłożyła kartki na podłogę.

– Sorry, Eddie, ale nic tu nie widzę.

– A sprawdziłaś to wszystko pod kątem Tommy’ego Janssona?

– Tommy Jansson był szefem Gunilli... To jedyny punkt wspólny.

– A co, jeżeli ona kradła pieniądze i była skorumpowana?

– W takim razie powinniśmy zacząć od zupełnie innej strony. To potrwa.

A jeżeli coś znajdziemy, to dopiero wtedy będziemy szukać związku z Tommym Janssonem. To zajmie wieczność.

W oddali przemknęła kolejka podmiejska.

– A nie wystarczy to, co słyszałem? – zapytał.

– Nie, jasne, że nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– To żadna odpowiedź.

– A i owszem.

– Ale niewystarczająca. Powinnaś móc coś z tym zrobić. Użyć tego jako bazy i zbudować na tym własną opowieść...

Caroline pochyliła kark, spojrzała w dół i powiedziała:

– Mój tata powtarzał: nie narzekaj, bądź odpowiedzialna, szczerą, nie zachowuj się histerycznie, porównuj ceny, zanim coś kupisz, i nie bądź taka jak twoja matka... Mniej więcej. A potem przeprowadził się do Francji razem ze swoją drugą żoną. To było dwadzieścia pięć lat temu. Pomijając jego obcesowość, szorstkość i wypaczone oraz naiwne przekonanie, że większa część ludzkości podziela jego poglądy... choć nieświadomie, jego słowa były rozsądne. Rozsądek wynikał z tego, że był szczerą. A szczerą z tego, że wiedział o sobie to i owo. Albo było na odwrót. To bez znaczenia.

Odwróciła głowę, spojrzała na niego i zapytała wzrokiem, czy rozumie, co ma na myśli. Eddie pokiwał głową, dając jej znak, żeby mówiła dalej.

– Ta samoświadomość... – ciągnęła – ...to dzięki niej potrafił dostrzec w innych pragnienie, by być jak najbardziej szczerą z samym sobą. To

dlatego ich rozumiał, czasem lepiej niż oni sami... Dzielił ludzi na szczerych i... nie, nie nieszczerych, jak by się można było spodziewać, tylko na mało zdolnych. „Szczerzy” i „mało zdolni”... To były przeciwieństwa w jego świecie. – Zamyśliła się, a potem kontynuowała: – Zawsze powtarzał, że talent to to samo co szczerść. Jeżeli nie ma jej we wnętrzu człowieka, jeżeli nie jest solidną siłą, to nie ma tam również niczego innego. Człowiek jest tylko pustą skorupą, która próbuje naśladować to, co widzi u innych.

Umilkła. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

– Doprawdy? – powiedział Eddie.

W jego głosie słyhać było chyba odrobinę sarkazmu. Jak gdyby chciał wyśmiać kogoś, kto się ma za mądrzejszego od innych. Ale Caroline tego nie usłyszała.

– Zostałam dziennikarką – powiedziała. – Zaczęłam pisać artykuły i szybko odkryłam, że tata zaraził mnie swoją teorią szczerści. Na dobre i na złe. Nie potrafiłam udawać, chodzić na skróty. Jak gdyby prawda tkwiła w spacjach między słowami, które zapisywałam. Jakby naprawdę tam była i usprawiedliwiała istnienie tekstu, który był prawdziwy. Kiedy kontekst był rzeczywisty... I odwrotnie. Zupełnie jakby jej brakowało, gdy zaczynało się lanie wody. Wszystko od razu stawało się nie takie, a nawet traciło prawdopodobieństwo.

Do Eddiego pomału zaczynało docierać, co miała na myśli.

– To nieuniknione – stwierdziła Caroline. – Nie da się tego obejść. Czytałam historie zmyślone przez innych dziennikarzy... I od razu widzę, co jest prawdą, co nieprawdą, a czasem nawet wierutnym kłamstwem. Ty pewnie też to potrafisz, czy tak?

Mruknął na potwierdzenie.

– Chcesz, żebym napisała artykuł – dodała. – Ale to jest niemożliwe, to by było jak tworzenie nieprawdy. Nie potrafię tego. To niesłuchanie trudne. I nie

wiem, jak to się robi.

– Czego potrzebujesz?

– Faktów. Kogoś, kto naprawdę wie, o co w tym chodzi. Kto tam był.

Potrzebuję Sophie Brinkmann.

– Ale jej tu nie ma.

– Tak, nie ma jej.

Rozmowa utknęła.

– Jesteś trudna – stwierdził Eddie.

– Nie tak strasznie.

Każde z nich pogrzyżyło się we własnych myślach. Eddie otworzył usta, żeby zadać jej pytanie, ale zdążyła przed nim.

– Opowiedziałam ci o ojcu... i o sobie. A co z tobą? Masz żonę?

Pytanie go zaskoczyło, nie był na nie przygotowany.

– Nie.

– Dziewczynę?

– Nie...

– Dzieci?

– Nie...

– Przyjaciół?

– Nie za bardzo.

– Rodzeństwo?

Eddie przez chwilę ociągał się z odpowiedzią.

– Nie.

– Rodziców?

– Nie.

Zaśmiała się.

– W to nie uwierzę.

– Wierz, w co chcesz.

Pokręciła głową.

– Nie można być aż tak samotnym.

– To nie takie złe, jak się wydaje. Byłem jedynakiem, wychowywałem się w różnych rodzinach zastępczych. Ojciec był niezbyt zdolnym złodziejem z Göteborga, próbował napaść na pocztę, ale mu się nie udało. Zawsze siedział w pierdlu. Któregoś dnia umarł. A matka... wyjechała gdzieś na północ, gdy miałem dziesięć lat.

Czas płynął. Sekundy wydłużały się w nieskończoność. W pokoju panowała cisza. Skrzypnęła podłoga.

Potem część na zwierzenia dobiegła końca. Caroline wzięła oddech i zmieniła ton.

– Sprawdziłam trochę tę Sophie Brinkmann, ale nic nie znalazłam. Tak jakby w ogóle nie istniała. A samotne matki w jej wieku zwykle się pokazują, przede wszystkim w sieci. Tyle że jej tam w ogóle nie ma... Wykorzystałam wszystkie możliwe kanały i nic.

– Czyli co? – zapytał.

– Nie mam nic, nad czym mogłabym pracować. Nie mogę pomóc ani tobie, ani jej.

– Wycofujesz się?

– Dopóki nie będę miała jakichś konkretów.

Miał dla niej konkret. Nie chciał jej teraz stracić.

– Sophie Brinkmann ukryła się w Pradze razem ze swoim synem i policjantem, który nazywa się Miles Ingmarsson – powiedział w przestrzeń.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Skąd to wiesz? – zapytała zdziwiona.

– Po prostu wiem.

– I nic nie powiedziałaś?

Prawda po prostu mu się wymknęła, nie zdążył zamknąć ust.

– Zostałem tam wysłany. Przez Tommy’ego Janssona.

– Po co?

– Miałem zabić Sophie i Milesa.

Eddie usłyszał echo swoich słów. Zobaczył, że Caroline zdrętwiała. Pożałował tego, co powiedział... Za późno.

Caroline wstała, zrobiła parę kroków i stworzyła między nimi dystans.

– Ale nie potrafiłem. Wróciłem do domu. Postanowiłem, że ich uratuję, a Tommy’ego pošlę za kratki.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. W jej oczach widział strach. Objęła się ramionami.

Żałował coraz bardziej...

– Dlaczego miałeś ich zabić? Dlaczego ty? – zapytała słabym głosem.

– To bez znaczenia – odparł. Usłyszał, że zabrzmiało to dość bezwzględnie.

– Bez znaczenia? – zapytała. Strach zamienił się w hamowaną złość.

– Tommy ma na mnie haka... – powiedział i zdał sobie sprawę z tego, że było to dość głupie.

Potrząsnęła głową.

– Jesteś mordercą, Eddie? – zapytała.

– Nie – skłamał.

– Ale jaki inny hak byłby w stanie skłonić kogokolwiek do tego, żeby w ogóle rozważyć myśl o podwójnym morderstwie?

Ostatnie zdanie wypowiedziała szeptem i zrobiła jeszcze kilka kroków w tył. Nagle zobaczyła w nim kogoś zupełnie innego.

Eddie opuścił wzrok. Wszystko było stracone. Teraz widziała w nim kogoś dziwnego i śmiertelnie niebezpiecznego.

– Powinieneś już iść – powiedziała tak spokojnie, jak tylko umiała. W jej głosie pobrzmiwała niechęć.

Nie ruszył się. Próbował złowić jej spojrzenie.

– Powinieneś iść – powtórzyła.

Nie było sensu próbować. Eddie wstał.

– Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem – powiedział.

Unikała jego wzroku. Wyszedł.

Opuścił budynek. Ruszył ciemnymi ulicami. To jej spojrzenie... Dokładnie widział, w którym momencie straciła do niego zaufanie. Kiedy ją stracił... Wmawiał sobie, że prawda nie może być zła, tak jak mówił jej stary ojciec... Ale taka właśnie była. W stu procentach. Wszystko schrzaniła w ciągu zaledwie kilku sekund. On wszystko schrzanił...

Kolejka podmiejska sunęła przez noc. W ciemnościach przedmieścia były jeszcze brzydsze. Siedział z szeroko rozstawionymi nogami, gapił się w podłogę i zaciskał zęby tak, że zgrzytały. Poczuł, że w jego wnętrzu zaczyna się formować niesłyszalne dla innych warczenie. Wypełniło go uczucie, którego już wcześniej doświadczał. Pojawiło się to, co nieznanne, niedające mu spokoju... To, co chciało go skłonić do ucieczki... albo do walki. Mroczne uczucia...

Przeszedł transformację, regres, znów był dawnym Eddiem. W myślach powtarzał modlitwę. Dwie stacje później została wysłuchana. Do kolejki wsiadło pięciu szukających zaczepki nastolatków. Widać było, że intensywnie trenują na siłowni. Darli się. Ruszyli przejściem w stronę Eddiego. Krzyczeli, potracali ludzi i rzucali groźne spojrzenia. Jechali na sterydach. Aż kipieli agresją... Byli nakręceni jak cholera, pewni siebie i prawdopodobnie wiedzieli, jak się bić... Ich było pięciu, on jeden. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Na co się gapisz, cipo jedna? – zapytał ostatni z nich, kalecząc szwedzki i klepiąc go dłonią w ciemność.

Eddie wstał, ruszył za nimi i złapał ostatniego chłopaka. Pociągnął go do tyłu i przyłożył mu pięścią w twarz. Nos został złamany, kości zgruchotane,

zęby wybite. Polała się krew. Warczenie we wnętrzu Eddiego zamieniło się w cudowną muzykę.

Pozostali członkowie grupy się odwrócili. Mieli mord w oczach.

Eddie dostał kopniaka w głowę. Obudził go i dodał mu energii. Złapał nogę, która go kopnęła, przewrócił chłopaka na ziemię, przycisnął stopą do ziemi jego twarz, a potem stanął mu na szyi. Trzeciego chłopaka uderzył z główki z taką siłą, że sam na sekundę poczuł się zamroczony. Chłopak numer cztery chciał być twardy. Miał nóż. Eddie wymierzył mu serię szybkich ciosów w twarz. Trysnęła krew. Chłopak stracił przytomność i zwałił się na ziemię. Numer pięć spróbował czegoś tak idiotycznego jak sport walki. Eddie złapał go za gardło i pociągnął na ziemię. Walił, dopóki chłopak nie zaczął tracić przytomności.

Eddie czuł się lekki, bezpieczny i szczęśliwy. Uznał, że czas jak najszybciej stamtąd zniknąć. Jeżeli zostałyby dłużej, zabiliby go.

Ruszył ku przodowi pociągu. Stłukł szybę, pociągnął hamulec bezpieczeństwa i pobiegł na tył. Złapał młotek do rozbijania szyb, który wisiał przy drzwiach. Gang nastolatków deptał mu po piętach. Pociąg zaczął hamować. Eddie uderzył młotkiem w szybę. Posypała się w deszczu odłamków. Wskoczył z pociągu. Upadł na ziemię i poturlał się po trawie.

Pociąg jechał dalej. Przy kołach sypały się iskry. Hamulce bezpieczeństwa działały. Eddie leżał na ziemi przez kilka sekund i zastanawiał się, czy coś sobie złamał. Wyglądało na to, że nie. Wstał i puścił się biegiem. Był nabuzowany adrenaliną.

Po piętnastu minutach płuca odmówiły mu posłuszeństwa. Przystanął w ciemnym lesie, pochylił się do przodu, oparł dłonie na kolanach i próbował złapać oddech.

Nienawiść do samego siebie... Nagle tak po prostu go ogarnęła. Ujawniła się z przerażającą jasnością. To ona była jego siłą napędową w życiu.

Nienawiść do samego siebie. Brzydka, surowa, silna, ciemna i destrukcyjna. Przemoc była lekarstwem na strach. Samotność, wstyd... marność.

Po powrocie do domu usiadł przy stole w kuchni. Manny podszedł do niego i wskoczył mu na kolana. Eddie pogłaskał go. Manny zaczął mrużyć.

Zajrzał do laptopa i sprawdził, co Tommy Jansson robił na swoim komputerze. Nic specjalnego. Założył słuchawki i odsłuchiwał to, co się nagrało przez mikrofon zamontowany w komputerze w domowym gabinecie Tommy'ego. Program uruchamiał się, gdy zarejestrował dźwięk. Był wrażliwy. Eddie usłyszał odgłos kroków. Potem cisza. Nagranie się urwało. Drzwi się otworzyły i zamknęły. Nagranie się urwało. I tak w kółko. Odgłos pisania na klawiaturze. Sygnał telefonu.

„Tak?”.

Głos Tommy'ego. Skrobanie długopisu na kartce papieru.

„Przeliteruj to drugie nazwisko”, powiedział Tommy.

Znów coś zapisał.

„Tak. Dam znać komu trzeba”.

Eddie przycisnął słuchawki do uszu. Próbował zrozumieć, co się działo. Tommy wybrał czyjś numer. Ktoś odebrał. Tommy mówił po angielsku. Słabo... z mocnym szwedzkim akcentem. Powiedział, że Hector Guzman i Sonya Alizadeh siedzieli w lincolnie navigator kawałek dalej na tej samej ulicy. Na miejscu był świadek, który miał wszystko na oku. Świadek, który ich zidentyfikował...

Hector Guzman? Skąd Tommy to wiedział? Kim, do cholery, był ten świadek?

Północny Atlantyk

WSZYSTKO wzięło w łeb.

EKG Lothara było słabe. Jens ręcznie pompował tlen. Pot lał mu się z czoła. Doktor Steve milczał i zamknął się w sobie. Każda kolejna próba zatamowania krwotoku spełzała na niczym. Sophie działała automatycznie, robiła wszystko, o co prosił ją lekarz, czasem nawet uprzedzała jego prośby... Ale do całej trójki docierało, że tracą Lothara. Płyny infuzyjne, osocze, wszystko to, czym dysponowali, okazywało się niewystarczające.

Doktor Steve nagle znieruchomiał.

– Co pan robi? – zapytała Sophie.

Doktor gapił się przed siebie i mruzczał coś pod nosem. Potem odwrócił się na pięcie i przewrócił jakiś stolik. Aluminiowa taca zjechała na ziemię z głośnym hukiem. Doktor wyszedł.

– Gdzie pan idzie? – zawołała Sophie, gdy drzwi się za nim zamknęły.

Spojrzała na Jensa. Panika, jaką czuła, malowała się też na jego twarzy. Czyste przerażenie. Lothar na pryczy, blady i zakrwawiony... ledwo żywy.

– Co mam zrobić? – zapytała.

Jens nie odpowiedział. Nie przestawał pompować powietrza.

Drzwi się otworzyły. Doktor wkroczył do pokoju z dwoma lutownicami i przedłużaczem, który rzucił Sophie. Podbiegła do kontaktu.

Końce lutownic się rozżarzyły, doktor zaczął wypalać naczynia w brzuchu

Lothara. W powietrzu unosił się dym i swąd palonego ciała.

Stan chłopaka jeszcze się pogorszył i wszystkie parametry poleciały na łeb na szyję. Lekarz wykrzykiwał polecenia. Sophie przestała myśleć, straciła poczucie czasu i przestrzeni i stała się narzędziem. Wszystko widziała jak przez mgłę. Zaciskała klamry na tętnicach w brzuchu Lothara, naciągała strzykawkę i dawała zastrzyki... Kontrolowała wszystko, co można było kontrolować, wycierała lekarzowi pot z czoła... Robiła, co powinna.

Poczucie rzeczywistości wróciło, gdy zszywała Lothara. Ręce się jej nie trzęsły. Wokół niej panował spokój. Wszędzie leżały strzykawkę, puste ampułki, zakrwawione klamry i sprzęt medyczny.

Spojrzała na twarz chłopca. Chyba odzyskała odrobinę koloru.

– Co się stało? – zapytała.

Doktor Steve ściągnął zakrwawione gumowe rękawiczki.

– Udało nam się go ustabilizować... mimo że wyglądało to beznadziejnie.

Sophie skończyła szyc. Zrobiła profesjonalny węzełek i dorzuciła igłę do innych skażonych odpadów.

– I?

– Prawdopodobnie z tego wyjdzie – powiedział doktor Steve i wyszedł.

Jens siedział przy wezłowie Lothara. Sophie spojrzała mu w oczy.

– Nie wolno nam już więcej narażać życia tego chłopca na niebezpieczeństwo – powiedziała.

Nagle zaczęła się trząść. Cała siła psychiczna, dzięki której trzymała się w ryzach, znikła. Drżenie zaczęło się od ramion. Objęła się i nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Jens podszedł do niej i ją przytulił. Mówił jej, że uratowała Lotharowi życie, że była bardzo dzielna... Ale to jej nie pocieszyło. Chciała, żeby ją skrytykował, ubliżył jej. Wtedy mogłaby wrzasnąć, żeby się zamknął i spieprzał...

– Dziękuję – szepnęła.

Sztokholm

PROKURATOR Kerstin Andersson mieszkała w okropnej, pokrytej okładziną z cegły willi w Enebyberg.

Tommy szedł wyłożoną kamieniami ścieżką w stronę wejścia. Parę lat wcześniej był tu z wiązczą kwiatów, gdy pani prokurator kończyła pięćdziesiątkę. Jej mąż był pedałowatym pantoflarzem, który chodził w kapitańskiej marynarce, serwował koreczki i dziwnie się uśmiechał.

Za ciężkimi drewnianymi drzwiami z chrypiącego głośnika rozległ się potrójny gong.

Prokurator Kerstin Andersson otworzyła drzwi i szeroko się uśmiechnęła. Miała ciemnoczerwone wargi i zbyt mocny makijaż.

– Tommy – powiedziała i zaprosiła go do środka.

Przeszli przez wyłożony płytkami korytarz. Idąc, stukała obcasami. Zawsze nosiła buty na wysokim obcasie. Była niska.

Tommy rozejrzał się dookoła. Dwa naturalnej wielkości dzikie koty z porcelany, jaguar i puma, pilnowały schodów na piętro. Wszędzie było mnóstwo złocen. Na ścianach wisiały infantylne obrazy. Bezwstydnie zły gust.

Przydreptał ohydny biały terier.

– To mój skarb – oświadczyła Kerstin. – Nazywa się Piesiunio.

Głos Kerstin miał nieprzyjemne brzmienie, mówiła zdecydowanie zbyt wysoko.

– Jak pomysłowo – powiedział Tommy obojętnym tonem i spojrzał na małe stworzenie, które śliniąc się, chodziło koło jego stóp. Z tyłka wciąż jeszcze wystawał mu kawałek gówna.

– Usiądziemy na tarasie? – zapytała retorycznie, wychodząc na zewnątrz.

Wyszli na drewniany taras. Tommy zobaczył, że od czasu jego ostatniej wizyty zbudowała basen. Mały, tani, kompletnie niepotrzebny. Wyglądał jak kałuża, która zrobiła się w rogu tarasu.

Tommy i Kerstin usiedli przy stoliku, naprzeciwko siebie.

– Zbudowałaś sobie basen? – zapytał.

– Tak – odparła i nie pociągnęła tematu.

Jej mąż wyszedł na zewnątrz z tacą.

– Poznałeś już Jacoba? – zapytała.

– Oczywiście – odparł Tommy. – Cześć.

– Witaj, witaj – powiedział Jacob wysokim i uległym głosem.

Jego beżowe spodnie były podciągnięte zbyt wysoko. Miał na sobie wyprasowaną koszulę w paski. Był jednym z tych pedałowatych mężczyzn, którzy tak naprawdę nie byli homoseksualistami. Tommy tego nie rozumiał. Ale tak to wyglądało. Tak samo było z tym facetem z telewizji, który uwielbiał robić ozdoby świąteczne. Ciota. Każdy to widział. Ale najwyraźniej nią nie był. Miał żonę i dzieci. Jak ten tutaj. Czy żony takich jak on były lesbijkami? A może taki mieli układ? Tommy'emu nie mieściło się to w głowie.

Jacob postawił na stole szklanki i karafkę z wodą.

– To wystarczy. Dobrze, Jacob – powiedziała Kerstin do męża, jakby mówiła do dziecka. A on odpowiedział, jakby nim był.

– Dziękuję!

Potem sobie poszedł.

Obejrzała się za nim i przeniosła wzrok na Tommy'ego.

– Chciałeś spotkać się u mnie w domu.

– Tu jest przyjemniej – odparł obojętnym tonem.

Kerstin Andersson się uśmiechnęła, ale uśmiech pojawił się tylko na jej ustach. W oczach już nie. Nalała wody z cytryną do szklanek.

– Wcale nie – stwierdziła. – Dlaczego tu jesteś?

Odstawiła karafkę. Cała udawana radość zniknęła. W jej tonie pojawiła się agresja. To był jej normalny stan. Tommy przez lata nieraz z nią współpracował. Była dziwna i zostawiała po sobie gorzki posmak. W prokuraturze była znana z tego, że jest złym szefem. Miała tyrańskie zapędy, humory i stosowała mobbing. Większość podległych jej osób czuła się źle, kilka miało oznaki wypalenia zawodowego, inni starali się o przeniesienie, składali podania o zwolnienie. Kerstin była karierowiczką, egoistką, cały czas do czegoś dążyła i nigdy nie była zadowolona... nigdy syta. Tyle o niej wiedział. To musiał teraz wykorzystać.

– Hector Guzman jest w drodze do Szwecji – powiedział. – Został deportowany ze Stanów.

Wyglądała na szczerze zdziwioną.

– Hector Guzman? – zapytała.

Milczał.

– Powiedz coś więcej.

– Został zatrzymany w Miami, nie wiem, z jakiego powodu. Śledztwo w sprawie morderstwa, które prowadzimy, okazało się ważniejsze, więc go deportowali.

– Co masz? – zapytała.

– Tyle co wcześniej. Niejasności związane z zabójstwami w Trasten. Niejasności dotyczące jego udziału w tym wszystkim.

– Co to znaczy?

Terier otarł się o jego stopy. Tommy spojrzał w dół. Pies był z natury strachliwy i niezadowolony z życia.

– Nie mamy w rejestrze DNA Hectora Guzmána – powiedział. – Ani jego odcisków palców. Ale kiedy pobierzemy materiał DNA i odciski palców i zestawimy ze śladami znalezionymi w Trasten, sytuacja może się zmienić.

– A jeżeli się nie zmieni? – zapytała.

Po niebie przeleciał samolot. Tommy spojrział w górę, ale go nie zobaczył.

– Możliwe, że będę miał świadka – powiedział.

Teraz naprawdę się zainteresowała.

– Jakiego świadka? – zapytała.

– To ktoś, kto był w restauracji Trasten.

– Kto taki?

Tommy znów spojrział na żaloszny basen.

– Od jak dawna go masz? – zapytał, pokazując basenik kciukiem.

– Daj sobie z nim spokój. Opowiedz mi o świadku.

– Aktualnie jest niedostępny. Ukrywa się.

– Mówisz dziwne rzeczy, Tommy.

Wyprostował się na krześle. Podrapał się po uchu, zmarszczył czoło z wyrazem troski na twarzy i udawał, że myśli.

– Kerstin, to największy bajzel w całej mojej karierze. Trasten, Guzman i cała reszta. – Zaciśnął wargi, a potem mówił dalej: – Gunilla robiła, co mogła, ale wszystko wzięło w łeb. Zginęła, przejąłem dochodzenie... Tyle że nie udało mi się go wyprowadzić na prostą. – Podniósł wzrok i na nią spojrział. – Jest mi wstyd, Kerstin. Z wielu różnych powodów. Przede wszystkim jako policjantowi, ale również jako koledze i przyjacielowi Gunilli Strandberg... Wstyd, że nie mogę doprowadzić do końca tego, co ona zaczęła.

Kerstin uśmiechała się, choć widać było, że nic z tego nie rozumie.

Tommy kontynuował:

– A teraz Hector Guzman jest w drodze do Szwecji. Jeżeli popełnię choćby najmniejszy błąd, będę choć trochę nieostrożny albo...

– Przecież ja jestem prokuratorem – przerwała mu, podnosząc odrobinę głos. – Pracujemy razem, Tommy. Zapomniałeś?

Pies otarł się o jego nogi.

– Nie, ale muszę zrobić to po mojemu. Nie stać nas na porażkę.

Uważnie mu się przyjrzała.

– Dlaczego ci nie wierzę? – zapytała.

Terier zaczął szczekać na coś, czego nie było. Kerstin się tym nie przejęła.

– Kto jest tym świadkiem? – nie ustępowała.

Pies ujadął piskliwie, patrząc w stronę ogrodu. Tommy zmrużył oczy. Nienawidził hałasu.

– Dowiesz się w swoim czasie – odparł. – Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, świadek okaże się gwoździem do trumny w oskarżeniu... Twoim oskarżeniu. Odniesiesz miażdżące zwycięstwo. Jeśli będziesz chciała.

Pies zagłuszył jego słowa. Szczekał głośno i z wściekłością. Jego ujadanie brzmiało jak ogłuszający krzyk.

– Nie uspokoisz swojego psa? – zapytał.

Kerstin zeszywniała.

– Słucham? – zapytała. W jej oczach pojawił się błysk wściekłości. Poskromiła ją. To potrafiła. Ale widział, że kipi złością, która karmiła się tym, że przed chwilą powiedział jej, co ma robić. – Człowieku! Przechodź do rzeczy! – rzuciła głośno i obcesowo. Kiedy usłyszała, jak to zabrzmiało, zaśmiała się bez powodu.

Tommy nienawidził wariatek. Nienawidził tej szarej, neurotycznej i niekontrolowanej strefy, którą w sobie miały. Tej, której nie można było uchwycić. Która wszystko niszczyła. I była przyczyną całego zła na całym cholernym świecie. Przerazała go. Bo był wobec niej bez szans. Nie było żadnego remedium. Równowaga została zakłócona. Pozostało mu tylko wyjść. Zostawić... Ale nie mógł, jeszcze nie teraz.

Terier nie przestawał szczekać. Tommy wziął się w garść i zaczął mówić głośniej:

– Jeśli świadek nie wypali, będziemy musieli zdać się na to, co ustalą technicy... A jeśli i to nie...

Urwał i rzucił złe spojrzenie terierowi, jakby chciał pokazać, że Kerstin powinna zareagować. „Upomnij psa, proszę. Zanieś go do domu i zamknij drzwi... Utop go w basenie”, zdawał się mówić.

Ale Kerstin cierpliwie czekała.

– A jeśli i to nic nie da, będzie po sprawie i Guzman się wywinie...

– Tego nie chcemy – powiedziała spokojnie, w ogóle nie zwracając uwagi na psa. Po jej wybuchu nie został nawet ślad.

Tommy jeszcze bardziej podniósł głos. Próbował przekrzyczeć psa.

– Jeśli na to spojrzeć z innej perspektywy – powiedział – proces Guzmana może być trampoliną.

Ujadanie psa przeszło w falset. Śmiertelnie się czegoś bał. Kerstin wbiła w niego wzrok, pies zaczął się wiercić. Dwa razy krótko gwizdnęła. Terier momentalnie przestał szczekać i ułożył się przy jej stopach... Zrobiło się cicho. Kerstin spojrzała na Tommy'ego i się uśmiechnęła.

Ty głupia cipo, pomyślał.

Miał ochotę zabić ją i tego pieprzonego kundla.

– Uważasz, że mam niewychowanego psa? – zapytała.

Tommy gapił się na nią. W jego wnętrzu szalała burza.

– Uważasz, że mam niewychowanego męża? – zadała kolejne pytanie, pokazując dom.

Udało mu się wymusić uśmiech. Pokręcił głową.

– Nie, Kerstin. Skąd.

– Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić – powiedziała. W jej głosie nie było ani złości, ani nagany. Po prostu stwierdzała fakt.

Kiedy na nią patrzył, coś się wydarzyło. Poczuł, po raz pierwszy od dawna, pociąg, tęsknotę, podniecenie. Chciał ją przelecieć. Zdominować... przywrócić równowagę.

– Tommy?

– Tak, myślę, że teraz to rozumiem – powiedział.

Opadła na oparcie.

Tommy otarł usta ręką i odchrząknął.

– Chciałbym, żebyśmy znaleźli wyjście dobre dla nas obojga – dodał. – Nie chcę, żeby sprawa Guzmana wzbudziła sensację.

– Dlaczego?

– Tak jak powiedziałem, cała historia jest plamą na honorze prokuratury i policji. Hector Guzman nam się wymknął, to, co stało się w Trasten, nie zostało wyjaśnione...

Zmrużyła oczy, jakby próbowała zrozumieć jego motywy.

– Jeżeli świadek okaże się tak ważny, jak na to liczymy, będzie potrzebował największej możliwej ochrony. Media chcą trzymać z dala od tego wszystkiego. Hector zostanie aresztowany w trybie wyjątkowym i pod sfiogowanym nazwiskiem, żeby nikt za wcześnie się o tym nie dowiedział. Szybko postawimy go przed sądem, a proces też zamówimy na fałszywe nazwisko. Nie chcę, żeby ktokolwiek mieszał się do tego, co będę robił. Chcę, żeby wszystko poszło jak po maśle, szybko, dyskretnie. O to proszę. Kiedy wszystko pójdzie po mojej myśli, dopuścimy do wszystkiego media.

– Dlaczego ma mnie obchodzić to, czego ty chcesz? – zapytała po krótkiej przerwie.

– Bo zajdziesz dalej – odparł. – Basen czy nie, to nie jest miejsce dla ciebie. Będę cię wspierał. Mam kontakty i potrafię zrobić z nich użytek. A w twoim przypadku mogę też pomóc pozbyć się osób, które stoją ci na drodze. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co to będzie oznaczać dla twojej

kariery, jeżeli uda ci się załatwić Guzmanowi dożywocie. Ale musisz dać mi wolną rękę, jeżeli chodzi o śledztwo, i w nic się nie mieszać. Pomagać tak, jak cię o to poproszę. I, co najważniejsze, trzymać od tego z daleka innych... – Tommy wyprostował się na krześle. – Jeżeli nam się uda... – dodał – wtedy się pokażesz. A jeżeli nie, udamy, że nic się nie stało.

Kerstin pokręciła głową.

– Nie, Tommy, wtedy to ty się pokażesz.

Milczał. To Kerstin mówiła dalej:

– Weźmiesz na siebie całą odpowiedzialność za niepowodzenie.

Znów otarł dłonią usta.

– W porządku – powiedział.

– Dobrze, Tommy, dobrze – pochwaliła go.

Uśmiechnęła się. On nie.

– Hopsa, hopsa, Piesiuniu! – powiedziała i poklepała dłonią udo. Terier wskoczył jej na kolana. Pozwoliła mu się lizać po twarzy.

Tommy przyglądał się temu z obrzydzeniem.

– Naprawdę kochasz swoją panią – zapiszczała Kerstin ze śmiechem.

Sztokholm

KAJDANKI OBCIERAŁY mu nadgarstki. Agent, który siedział obok niego, był nieprzejednany, jeśli o nie chodziło. W czasie nocnego lotu liniami United z Miami przez Nowy Jork mocno ich wytrzęsło. Hector praktycznie nie zmrużył oka.

Zatoczyli łuk nad Sztokholmem. Centrum miasta żarzyło się w promieniach wschodzącego słońca. Hector rozpoznawał leżące tam dzielnice. Gamla Stan, gdzie mieszkał. Söder... Kungsholmen... Djurgården skąpane w zieleni... Wszędzie błyszczała woda.

Piętnaście minut później maszyna wylądowała na lotnisku Arlanda. Klapy półek na bagaż podręczny trzęsły się, gdy samolot hamował.

Trzy wozy policyjne pędziły w stronę Sztokholmu. Hector intensywnie myślał. Chodziło o zabójstwa w Trasten... To dlatego tu był i dlatego został deportowany. W końcu zabił wtedy to ścierwo w kuchni... Jens Vall też tam wtedy był...

Zawieźli go do aresztu Kronborg na Kungsholmen. I zanim zjechali do garażu, Hectorowi mignęła groźna sylwetka budynku. Przez chwilę nic nie widział. Później oczy przyzwyczyły mu się do mroku. Został wyprowadzony z auta, a potem w asyście dwóch mundurowych zawieszony na ostatnie piętro. Przyjęto go do aresztu, pobrano odciski palców, a już w gabinecie – krew i próbkę DNA. Zapoznano go z regulaminem i zaprowadzono do celi. Za jego

plecami zamknęły się drzwi z masywnej stali.

Zakratowane okno. Łóżko połączone z biurkiem pod dłuższą ścianą pokoju. I tyle. Praktycznie nie było się jak obrócić. Można było tylko stać, siedzieć albo leżeć. Ściany były pokryte napisami. Niektóre z nich zostały zmyte i w ich miejscu widniały nieco jaśniejsze plamy. Niektóre wydrapano w tynku i miały tam pozostać na wieki. Między innymi słowa *Fuck you*.

Hector usiadł na łóżku. Materac był twardy.

Sztokholm... Chętnie wyszedłby z celi, zszedł po schodach, ruszył w miasto, zjadł lunch, usiadł gdzieś i poprzyglądał się ludziom. Odzyskał wolność... Ale tak się nie stanie. Najprawdopodobniej wkrótce zostanie skazany na dożywocie i resztę życia spędzi w celi takiej jak ta...

Fuck you na ścianie naprzeciwko świeciło mu prosto w twarz.

Monachium

KROKI ODBIJAŁY SIĘ echem w korytarzu na wyższym piętrze głównej siedziby Hanke GmbH położonej w centrum Monachium.

Mężczyzna podszedł do drzwi, machnął kartą przed czytnikiem. Mignęło światelko. Ruszył dalej i otworzył kolejne drzwi.

Sekretarz poderwał się z miejsca.

– Nie może pan tak po prostu tu wpadać!

Ale nie słuchał.

Biuro było ogromne. Wychodziło na trzy strony świata. Wszędzie okna. Za biurkiem siedział na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna w okularach ze srebrnymi oprawkami, lekko opalony, z gładko zaczesanymi włosami i w nienagannym stroju. Podniósł wzrok.

– Hector Guzman został przyjęty do aresztu w Sztokholmie – powiedział mężczyzna zdyszany.

Ralph Hanke zdjął okulary.

– Został deportowany z Miami, przewieziony do Sztokholmu i aresztowany. Tylko tyle wiem – dodał.

– Za co go aresztowali? – zapytał Hanke.

– Nie wiem.

– A jesteś pewien, że to Guzman?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Przygotuj plan. Zorganizuj coś z mniejszą grupą, dziesięciu do dwudziestu ludzi. Weź najlepszych, jakich mamy. Po południu przedstawisz mi plan.

Mężczyzna ruszył do drzwi.

– I wyślij tam łódź – dodał Hanke. – Helikopter też.

Drzwi się zamknęły.

W pokoju zapadła cisza. Jakby wysmano z niego całe powietrze. Próżnia. Cisza stała się dla niego niezbędna. Kilka miesięcy wcześniej kazał wyciszyć całe biuro. Nie wiedział po raz który z rzędu. Ale teraz dźwięk był stały, czysty, bez echa i nachalnej akustyki.

Hector Guzman w areszcie... w Sztokholmie, pomyślał.

To była niespodziewana wiadomość. Bardzo niespodziewana. Od dłuższego czasu polował na Guzmana. Udało mu się zabić jego ojca, Adalberta. Jednocześnie, niespełna rok wcześniej, ludzie Hankego dopadli Hectora na autostradzie między Malagą i Marbellą. Ostrzelali jego samochód. Hector zniknął. Zapadł się pod ziemię. Ralph wydał fortunę na to, żeby znaleźć jego albo kogoś z jego otoczenia. Kogokolwiek. Szukał jakiegokolwiek wskazówki, która powiedziałałaby mu, czy Hector żyje, czy nie...

Ralph wstał. Po grubej wykładzinie, która jeszcze potęgowała ciszę, przeszedł do potężnego okna. Spojrzał na Monachium. Lewą dłoń trzymał w kieszeni marynarki. Chował ją tam. Powykręcał ją reumatyzm. Był próżny, nie chciał pokazać, że się starzeje. Bo starość oznaczała słabość, a słabość by go zabiła. Wtedy nie mógłby się bronić, leżałby bez ruchu. Nadleciałyby ptaki i zaczęły go dziobać. Wiedział, że tak by się stało. Od zawsze. Może dlatego był właśnie taki, a nie inny, on, Ralph Hanke.

Wychowywał się w Berlinie Wschodnim. W czasach NRD współpracował ze Stasi. Po upadku muru wykupywał materiały z demobilu. Utrzymał kontakty ze Stasi i wykorzystywał je w interesach. Szantażował decydentów z byłej Republiki Demokratycznej i pomału budował Hanke GmbH, kolosa

działającego w branży budowlanej, hydraulicznej i komponentów technicznych na potrzeby przemysłu zbrojeniowego.

Mogłoby się wydawać dziwne, że odnoszący sukcesy przedsiębiorca ryzykuje wszystko, co zbudował, prowadząc na boku nielegalną działalność. Ale nie była to kwestia wyboru, tylko skłonności, powołania... To była jego obrona przed czyhającymi ptakami. Dzięki temu miał rzeczywistą władzę, jego potrzeba kontrolowania była zaspokajana, a ryzyko prawdziwe. Odnajdował się w tym, wszystko rozumiał, wyraźnie widział efekty... i żył... żył pełnią życia...

Hector Guzman w areszcie... w Sztokholmie, pomyślał.

Wyjął lewą rękę z kieszeni i oparł ją na udzie.

Tym razem nie zabije Hectora Guzman. Tym razem poprosi go o pomoc.

Hamburg

SIEDZIELI ZAPIĘCI PASAMI w pomarańczowej szalupie ratunkowej. Sophie, Jens i Lothar. Szalupa była zaokrąglona i wisiała, lekko pochylona do przodu, na burcie kontenerowca. Sternik przeszedł między ich siedzeniami i sprawdził, czy dobrze zapięli czteropunktowe pasy. Zapiął im na czołach rzemienie i upewnił się, że ich głowy przylegają do zagłówków.

– Kiedy uderzymy o powierzchnię, trochę szarpnie – wyjaśnił. Wszedł wyżej i usiadł na małym siedzeniu przy kierownicy i dźwigni biegów.

Czas płynął, nic się nie działo. Z góry dobiegł ich jakiś dźwięk. Potem cisza... Kolejny dźwięk, tym razem dłuższy, i szalupa zaczęła nabierać prędkości. Pod kątem trzydziestu stopni jechała w dół po szynie z coraz większym przyśpieszeniem. Następnie znów zapanowała cisza, gdy swobodnie opadali ku powierzchni wody.

Uderzyli o nią. Poczuli szarpnięcie, pasy się napięły. Szalupa zanurkowała, a potem wyskoczyła do góry jak korek.

Sternik przesunął dźwignię biegów do przodu. Dźwięk silnika przybrał na sile i zaczęli płynąć.

– Lothar, jesteś cały? – zapytała Sophie.

Zdjęli pasy z czoł.

– Tak – powiedział.

– A rana?

– Chyba wytrzymała.

Morze było niespokojne. Okrągła szalupa walczyła z falami. Opadała w dół i dzielnie wspinała się na ich grzbiety. Zarzucało nią i wydawała się przerażająco mało stabilna. Ale silnik pracował jednostajnie i po czterdziestu minutach jazdy wody się uspokoiły. Wpłynęli na Łabę.

Nagle pod ich stopami coś zaszurało. Szalupa uderzyła o dno.

– Dalej nie popłynę – oznajmił sternik. – Będziecie musieli iść o własnych siłach.

Brodzili w rzece. Wyszli na brzeg i ruszyli dalej między kamieniami i pniami powalonych drzew. Dotarli do drogi. Wyglądała na bardzo mało uczęszczaną. Skierowali się na północ i po kilku kilometrach doszli do jakiejś małej wioski. Pojedyncze domki tu i tam.

– Zaczekajcie tu – polecił Jens. – Załatwię nam jakieś auto.

Sophie i Lothar ukryli się w zaroślach przy skraju drogi i odetchnęli.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Boli – odparł i się uśmiechnął.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Bo jestem w domu.

– W takim razie witaj w domu.

– Dziękuję.

– Ale nie zostaniemy w Niemczech.

– Nic nie szkodzi. Cieszę się, że znów tu jestem.

Sophie przez chwilę mu się przyglądała. Lothar na swój sposób był fantastyczny. Często o tym myślała, ale zdecydowanie zbyt rzadko mu to mówiła.

– Jesteś fantastyczny – powiedziała.

Opuścił głowę. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Dziękuję – odparł.

Spojrzała na niego.

– To ważne, żebyś o tym pamiętał.

Wiatr zakołysał gałęziami drzew.

– Dziękuję – powtórzył.

– Nie musisz dziękować.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyjaśnił.

Cały promieniał. To był jego naturalny stan. A ona teraz miała to zniszczyć.

Po raz kolejny.

– Kiedy przyjechaliśmy po was do Miami... – zaczęła. – Była tam również policja.

Nie zrozumiał.

– Tak?

– I Hector – dodała.

Lothar przygasł.

– Co on tam robił?

– Przyjechał po ciebie.

Spojrzał jej w oczy.

– A policja wiedziała, że tam będzie?

– Tak – potwierdziła.

Domyślił się reszty.

– Ty im powiedziałaś?

– Tak – szepnęła, wstrzymując oddech.

Widać było, że nad czymś się zastanawia.

– Co się teraz stanie? – zapytał.

– Prawdopodobnie został przewieziony do Szwecji, tam toczy się śledztwo w sprawie kilku morderstw.

– Pójdzie do więzienia?

– Raczej tak.

Lothar pogрузył się w myślach.

– Co o tym sądzisz? – zapytała.

– Nie wiem.

– Spróbuj – poprosiła.

Poczekał chwilę, a potem powiedział:

– Cały czas to samo... rozdarcie, i to, i to, wszystko i nic. Powinno mi być smutno.

Milczała.

– Może tak będzie najlepiej – dodał bez przekonania. – Tata zapłaci za swoje przestępstwa.

Słysząc było, że w to nie wierzy. Potrząsnął głową, żeby odegnać różne myśli, i spróbował poszukać prawdy. Udało mu się. Kiedy się odezwał, mówił pewniejszym, jaśniejszym głosem.

– Cały czas mam wrażenie, że on gdzieś na mnie czeka...

Usłyszeli narastający odgłos silnika. Auto zatrzymało się na drodze niedaleko nich. Jens dał im znak, żeby wsiadali.

– Chodź, idziemy – powiedziała i pomogła mu wstać.

Skulił się z bólu. Ale zanim zdążyła zapytać, pokazał jej, że nic mu nie jest.

Ruszyli na północ. Do Szwecji. Do Sztokholmu.

Sztokholm

LESZEK CZEKAŁ, oparty o maskę samochodu, przed halą przylotów lotniska Arlanda. Najpierw wyszedł Aron, potem bracia Hidalgo, a na końcu Leevi. Uściski dłoni i szybkie prezentacje.

Ruszyli do Sztokholmu. Na tylnym siedzeniu było ciasno. Dwóch przygrubych Peruwiańczyków i jeden zdecydowanie zbyt szeroki Fin.

- Sonya? – zapytał Aron.
- Została wypuszczona od razu po przesłuchaniu.
- Gdzie teraz jest?
- Nie wychyla się. Czeka, aż się do niej odezwiemy.

Aron wyjrzał przez okno. Był zmęczony. Przetarł twarz dłonią.

- Znów w Szwecji – powiedział.
- W rzeczy samej – mruknął Leszek.

Kiedy dojechali do centrum miasta, ruszyli na Kungsholmen. Leszek zaparkował na Scheelegatan, przed ratuszem, który ciągnął się wzdłuż ulicy. To była potężna kobyła w stylu narodoworomantycznym, postawiona w tysiąc dziewięćset piętnastym roku.

– Tu jest sąd rejonowy – powiedział Leszek, pokazując palcem. – To stąd go zgarniemy.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, który pokazywał.

– A my mieszkamy tam – dodał.

Hotel Amaranten leżał rzut beretem od ratusza. Przy fasadzie powiewały flagi.

– Co wiemy? – zapytał Aron.

– Niewiele. Został przyjęty pod fałszywym nazwiskiem. Nie wiem dlaczego. Ale jest to nam na rękę, jak sądzę.

– Kiedy odbędzie się proces?

– Niedługo, za kilka dni.

– Skąd to wiesz?

– Udało mi się skontaktować z jego adwokatem.

– Dlaczego ten hotel? – zapytał Leevi.

– Bo leży blisko. Bo w jego podziemiach jest garaż. Nie zwracając na siebie uwagi, możemy zjechać windą na dół. Czeka tam na nas niewielka furgonetka. Mamy dwa pokoje z widokiem na ulicę i sąd – wyjaśnił Leszek. – Będziemy widzieli, co się dzieje, i mogli szybko działać.

– Ile jest z hotelu do ratusza? – zapytał Aron i spróbował ocenić na oko.

– Niecałe sto metrów.

– Nie możemy go odbić przed procesem?

– Nie, z aresztu do sądu prowadzi tunel. Tak zostanie doprowadzony na rozprawę. Nie damy rady się tam dostać. Jest zbyt dobrze pilnowany.

– To rozsądne? – zapytał Aron.

– Zależy, co się uważa za „rozsądne” – odparł Leszek.

– To teren policji. W pobliżu jest komenda, areszt i prokuratura. W tej dzielnicy jest z milion policjantów.

– Ale to tu go trzymają. Nie mamy wyboru – powiedział Leszek.

Budynek. Wielki, stary, złowieszczy.

– Czego możemy się spodziewać w środku? Co zobaczymy tuż po wejściu?
– wychrypiał King z tylnego siedzenia.

– Kontroli bezpieczeństwa i wykrywacza metali. Paru ochroniarzy. Może kilku policjantów, jeżeli będziemy mieli pecha.

– A jeżeli będziemy mieć szczęście? – zapytał Leevi.

– Jednego strażnika, niewielu ludzi. Wtedy wejdziemy bez trudu.

Leszek odpalił silnik, ruszył do hotelu i zjechał do garażu. Wzięli windę i dostali się na drugie piętro.

Pokoje leżały obok siebie i były połączone drzwiami.

Aron stanął przy oknie i spojrzał w stronę sądu.

– Jak się domyślam, tu masz dla mnie miejsce? – zapytał.

– Tak – potwierdził Leszek i podał mu lornetkę.

Aron spojrzał na wejście do sądu.

– Co będę miał?

– Karabin z tłumikiem i amunicję poddźwiękową.

Aron uważnie obejrzał okolicę wejścia i chodnik.

– Przed sądem będzie stał radiowóz albo dwa – powiedział Leszek. – Możliwe, że przy samym wejściu stanie jakiś strażnik. – Podał Aronowi jakieś papiery. – Znalazłem sposób – wyjaśnił.

Aron przejrzał kartki.

– Autobus? – zapytał po chwili.

– Tak, po samochodzie, którym uciekniemy.

– To się wydaje ryzykowne.

– To jest ryzykowne.

Kiedy słońce w końcu zaszło i wskazówki zegarów zbliżały się do północy, Aron Geisler i Leevi Hannula wyszli z hotelu i zrobili sobie spacer po okolicy, sprawdzając i omawiając drogi ucieczki, które wybrał Leszek. Zatrzymali się przed starym, potężnym ratuszem, w którym miał się odbyć proces.

Aron podniósł głowę i spojrzał na wieżę, która była centralną częścią

budowli.

– Jeżeli wszystko weźmie w łeb... – powiedział – nie mam zamiaru iść z nimi na dno. Ruszę dalej, pozbięram to, co się da pozbięrać. Przejmę działalność i poprowadzę na swój sposób.

– W takim razie, jeżeli wszystko weźmie w łeb, razem to pozbięramy.

– Nie „jeśli”, tylko „kiedy” – poprawił go Aron.

Ruszyli w stronę hotelu. Z pobliskiego baru sączyła się muzyka.

– Co sądzisz o braciach? – zapytał Aron.

– Lubią strzelać, lubią pieniądze i mają nie po kolei w głowie – odparł Leevi.

– Dopilnuj, żeby byli blisko nas. Na wypadek gdybyśmy potrzebowali ich pomocy.

Sztokholm

TOMMY STAŁ W KUCHNI i gotował. *Moules marinières*. W piekarniku grzał się chleb.

Oglądał w telefonie nagranie z Pragi i smażył na patelni czosnek i szalotkę. Cudownie pachniało francuską kuchnią. Widok w telefonie tak samo nudny jak zawsze. Ludzie mijali ambasadę, bardzo rzadko ktoś wchodził albo wychodził.

Tommy stukał omułkami o blat, zepsute wyrzucał do zlewu.

Ktoś wszedł do ambasady przez mniejsze wejście. Tommy zaczynał już rozpoznawać pracowników... Kilku turystów. Nic szczególnego.

Wrzucił omułki na patelnię, zalał białym winem i śmietaną. Kuchnia wypełniła się nowym zapachem, cięższym, wyraźniejszym, cieplejszym.

Podstawił dłonie pod kran i dokładnie je umył.

Na ekranie telefonu widział spacerujących ludzi.

Wyjął z piekarnika chleb. Przelał *moules marinières* na głęboki talerz. Zaniósł go na stół i zabrał telefon. Jedząc, cały czas śledził nagranie. Zaczął się denerwować. Za długo to trwało. Zaczął przewijać. Ludzie ruszali się jak Charlie Chaplin. Pauzował za każdym razem, gdy ktoś wchodził do ambasady albo z niej wychodził.

Omułki były pyszne. Tommy jeszcze odrobinę je posolił. Pożerał chleb.

Przez mniejsze drzwi ktoś wyszedł, jakiś mężczyzna... Tommy nie widział, jak wchodził. Zatrzymał nagranie, a potem je cofnął. Mężczyzna miał na sobie

koszulę i dzinsy... był szczupły, dość wysoki... wyglądał jak dawna gwiazda Hollywood, z czasów, gdy papierosy nie szkodziły.

Tommy przyglądał się mężczyźnie zastygłemu w połowie ruchu.

Kamera nie pokazywała żadnych szczegółów, ale serce Tommy'ego zaczęło szybciej bić.

Przełączył na widok z drugiej kamery, która była ustawiona na zbliżenie. Sprawdził godzinę na pierwszej. Poszukał odpowiedniego fragmentu na drugiej. Zatrzymał. Twarz, którą zobaczył, znał zbyt dobrze. Wyraźne rysy, ciemne włosy...

Miles... Miles Ingmarsson...

Tommy gapił się na jego twarz, a potem wybuchnął śmiechem.

Miał tego skurwiela.

Znów się zaśmiał. Teraz dopadnie tego kurewskiego skurwiela.

Sztokholm

SNOBISTYCZNE BABSKO przybierało postać w lustrze. Sophie znajdowała się w przymierzalni w centrum handlowym na południe od Sztokholmu. Kupiła kosmetyki do makijażu, biżuterię i ubrania. W salonie fryzjerskim spędziła godzinę. Nadeszła pora na ostatnią fazę przemiany. Nie chodziło o to, żeby stać się kimś innym. Chodziło o nastawienie i uprzedzenia innych ludzi. Zamieniła się w kobietę, która sobie sama nie radziła, ale udawała, że jest inaczej.

Beżowe spodnie, biała bluzka, śmiesznie mocny makijaż wokół oczu, na twarzy sztuczna opalenizna. Duża biżuteria, połączenie srebra i złota, bez gustu, ale kosztownie. Włosy przesuszone i wylakierowane. Rozsiewała zapach drogich, nudnych i niczym się niewyróżniających perfum.

Jens i Lothar czekali w samochodzie.

Przyjrzeni się jej z rozbawieniem.

– Pięknie wyglądasz – powiedział Jens wesoło.

– Wcale nie – odparła.

Ruszyli na północ.

Kiedy wjeżdżali do Sztokholmu, popołudniowe słońce prażyło niemiłosiernie. Wysadzili ją na Vasagatan koło Centralstation.

– Powodzenia – powiedzieli równocześnie Jens i Lothar i odjechali.

Adwokat Thomas Rosengren przybył taksówką pięć minut później. Sophie

wsiadła.

– Zmieniła się pani – powiedział Rosengren.

– Otrzymał pan pieniądze? – zapytała Sophie.

Kiwnął głową. Taksówka włączyła się do ruchu.

– Tyle wystarczy? – zapytała.

– Z nawiązką – odparł.

– Nie będzie więc pan miał nic przeciwko temu, żeby zostać obrońcą?

– Może i tak, ale na pani się to nie odbije. Wspomniała pani przez telefon, że znów rozmawiała z Tommym Janssonem i że teraz mamy spotkać się z nim i z prokuratorem. O co chodzi?

– O Hectora Guzmana – odparła. – W ubiegłym roku uciekł ze Szwecji po strzelaninie w restauracji na Vasastan.

– Pamiętam tę historię – przyznał adwokat. – Gdzie Guzman teraz przebywa?

– W areszcie.

– Tu? W Sztokholmie?

– Tak...

– A pani, jak się domyślam, jest kimś w rodzaju świadka?

Sophie kiwnęła głową.

– I pani zeznania będą miały decydujące znaczenie?

– Tak.

Thomas chwilę myślał.

– Czyli o to chodzi w tym dzisiejszym spotkaniu?

– Tak, dla nich.

– A dla pani?

– Chcę mieć zapewnioną anonimowość w czasie całego procesu. I chcę, żeby Hector Guzman trafił do więzienia na długie lata.

– Pierwsza część może być trochę trudna do osiągnięcia. Druga zależy

wyłącznie od tego, co będzie pani miała do powiedzenia.

– Pierwsza część? – zapytała.

– W tym kraju nie ma czegoś takiego jak „anonimowość”, nie z prawnego punktu widzenia. Przykro mi.

– Znajdziemy jakiś sposób.

Taksówka sunęła ulicami zatłoczonymi w popołudniowym szczycie. Skręciła w lewo, w stronę Kungsbro.

– Będę rozrabiać – oświadczyła.

– Rozrabiać? – zdziwił się.

– Tak, i będę niestabilna. Chcę, żeby prokurator poczuła się niepewnie – powiedziała i spojrzała na niego. – Muszę dostać to, czego chcę.

Kerstin, Tommy, Sophie i Thomas przywitali się i zwyczajowo uścisnęli sobie dłonie.

Kerstin Andersson przesadnie długo patrzyła na stół w sali, stukając palcami o usta, i udawała, że się zastanawia.

– Myślę, że usiądziemy pośrodku. Tommy i ja po tej stronie, a państwo naprzeciwko. Dobrze? – zapytała i zajęła miejsce, nie czekając na innych.

Sophie rozszyfrowała Kerstin Andersson. Ta kobieta lubiła być w centrum i decydować. Jak gdyby musiała działać tak, żeby nikt inny nie zdążył się wtrącić i powiedzieć jej, co ma robić. Tego by nie zniosła.

Prokurator położyła dłonie na stole, uśmiechnęła się nieszczercze i odezwała łagodnym tonem.

– Na początku pragnę powiedzieć, że coś takiego wymaga od kobiety niesamowitej odwagi. Wie pani, że jest pani odważna, prawda?

Wyglądało na to, że potrafiła również łać wodę...

Sophie udała zawstydzenie.

– Dziękuję – szepnęła.

– Zapoznałam się z materiałami ze śledztwa, Sophie. To, że musi pani

zoznawać w takiej sprawie... to okropne.

Sophie spuściła wzrok.

– Co się działo? Gdzie się pani podziewała?

Sophie wzięła drżący oddech. Położyła na stole upierścienione dłonie.

– Bałam się, nie miałam odwagi się pokazać, uciekłam z synem i na kilka miesięcy ukryłam się na Cyprze – wyjaśniła słabym, wysokim głosem. Niektóre samogłoski wypowiadała z manierą charakterystyczną dla arystokracji. – Mieszkaliśmy tam, trzymaliśmy się na uboczu. Nie docierało do mnie, w co się wdałam...

Przełknęła ślinę, żeby podkreślić zdenerwowanie. Kerstin dała się na to nabrać i kiwnęła zachęcająco głową, żeby dodać jej odwagi.

– Z kim pani rozmawiała? Z kimś musiała pani przecież rozmawiać?

Sophie potrząsnęła głową. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe.

– Nie. Bałam się.

– Z rodziną, przyjaciółmi, krewnymi?

– Żałuję, że nie mogłam...

Kerstin czekała.

– Naprawdę z nikim?

– Z nikim – potwierdziła Sophie.

Kerstin kiwnęła głową.

– Oprócz Tommy'ego – dodała Sophie. – Był bardzo pomocny i okazał mi zrozumienie.

Sophie uśmiechnęła się do Tommy'ego, który próbował odwzajemnić jej uśmiech.

– Tak, Tommy jest dobry – zaczęła Kerstin.

– Co będę musiała zrobić na rozprawie? – zapytała Sophie i spojrzała na nich ze strachem.

– Spokojnie – powiedziała Kerstin. – Teraz pani pomożemy. A w czasie

procesu poprowadzę panią. Będzie pani musiała tylko spokojnie opowiedzieć o tym, co pani widziała w Trasten. Co Hector Guzman tam robił. Będę pani zadawać pytania, na które łatwo odpowiedzieć... Nikt, w żaden sposób, nie będzie mógł pani skrzywdzić.

Sophie sprawiała wrażenie wystraszonej i niepewnej.

– Ale Tommy, przecież mi obiecałeś... – powiedziała.

Tommy nie zrozumiał. Kerstin spojrzała najpierw na niego, a potem na Sophie.

– Co pani obiecałeś? – zapytała.

– Ochronę świadków... anonimowość... Powiedział, że załatwicie to na samym początku... że będę chroniona...

– Zajmiemy się wszystkim po kolei – powiedziała Kerstin. – Oczywiście, że nie powinna pani czuć, że...

– Jestem przerażona – przerwała jej Sophie. – Muszę otrzymać jak najlepszą pomoc, inaczej stąd wyjdę – oznajmiła i spojrzała na adwokata. – Prawda, Thomas, prawda, że mogę stąd wyjść?

– W każdej chwili – potwierdził Thomas ze spokojem.

Kerstin podniosła do góry obie dłonie.

– Moment, spokojnie, uważam, że wszyscy powinniśmy się trochę uspokoić. Nikt nigdzie nie pójdzie. Możemy pani załatwić ochronę dla świadków. Ale nie wiem, co pani rozumie przez anonimowość...

– Nie mogę się tam pokazać, nie jemu. On nie może się dowiedzieć, że to ja zeznaję – powiedziała Sophie.

W jej głosie słychać było wzburzenie. Atmosfera zrobiła się napięta. W powietrzu czuć było desperację i zdenerwowanie.

– Powinien pan wytłumaczyć klientce, co jest możliwe do zrobienia, a co nie – powiedziała Kerstin.

– Moja klientka ma prawo mówić, co jej się podoba – odparł Thomas.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Wszyscy wbili wzrok w stół.

– Chcę mieć zapewnioną anonimowość – powtórzyła Sophie. – Tommy powiedział, że to się da załatwić.

Kerstin przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem, co pani obiecywał Tommy, ale to akurat jest, niestety, niemożliwe. Mimo że czasem naprawdę chcielibyśmy zapewnić naszym świadkom ten rodzaj ochrony, to z prawnego punktu widzenia jest to niemożliwe. O to właśnie chodzi w demokracji – powiedziała Kerstin takim tonem, jakby mówiła do dziecka.

– Tommy, przecież obiecałeś... Po co mi ochrona dla świadków, skoro nie będę chroniona? – zapytała Sophie, potwierdzając w ten sposób, że rzeczywiście ma w sobie to dziecko, do którego zwróciła się Kerstin.

Prokurator rzuciła okiem na Tommy'ego. Było widać, że jest wyprowadzona z równowagi.

– Co ty jej obiecałeś? – zapytała z wymuszonym spokojem.

Tommy nie odpowiedział. Jego spojrzenie zrobiło się mroczne.

– Że da się to załatwić – powiedziała Sophie. – Że zostaną objęta ochroną świadków, a poza tym w czasie procesu pozostaną anonimowa. Na pewno da się to zrobić, prawda? – zapytała z udawaną naiwnością.

– Jak? – zapytała Kerstin.

– Złożę zeznania przez telefon – odparła Sophie.

– Musi być pani w sądzie.

– Będę siedziała w pokoju obok. Użyjemy modulatora głosu...

– Nikt nie używa modulatora głosu – odparła Kerstin.

– Mikrofon może być trochę zepsuty – odparła Sophie.

Kerstin się zamyśliła.

– Ale przy ogłaszaniu wyroku będziemy musieli podać pani imię i nazwisko – powiedziała prokurator.

– Przed procesem je zmienię.

Prokurator, policjant i adwokat wymienili szybkie spojrzenia.

* * *

Eddie nie miał żadnego schematu, jeżeli chodzi o śledzenie Tommy’ego. Robił to, kiedy nadarzyła mu się okazja. Tego dnia pożyczył sobie auto z policyjnego parkingu. Niebudzące podejrzeń, świeżo wymyte i błyszczące volvo V70. Jechał za Tommym, gdy ten udał się taksówką w stronę Kungsbron. Prokuratura miała w tamtej okolicy swoje lokale. W wizycie Tommy’ego nie było nic dziwnego. Eddie zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył w stronę miasta, żeby napić się gdzieś kawy.

Kiedy przejeżdżał obok budynku, zobaczył, że zatrzymała się przed nim kolejna taksówka. Rzucił okiem na tylne siedzenia. Zobaczył kobietę, którą widział już wcześniej. Choć teraz wyglądała inaczej. Jakby się za kogoś przebrała... To była Sophie Brinkmann.

Eddie zwolnił, rzucił okiem w lusterko i zobaczył, jak Sophie i jakiś facet wysiadają z taksówki. Tommy miał się spotkać z Sophie Brinkmann? Eddie pomyślał, że przynajmniej nie zabije jej w budynku prokuratury...

Zakręcił przy Vasagatan, podjechał w pobliże budynku, znalazł wolne miejsce, zaparkował i czekał.

* * *

Tommy i Kerstin szli korytarzem sądu apelacyjnego.

– W czepku się urodziła czy jak? – zapytała Kerstin.

– To chyba za mało powiedziane – odparł Tommy.

– Jest bardzo naiwna – stwierdziła Kerstin. – Oscyluje między głupotą i próżnością, strachem i paniką.

– Teraz rozumiesz, dlaczego domagałem się pewnych względów, jeśli

chodzi o to śledztwo – skłamał Tommy.

– Nie zawiedzie nas? – zapytała Kerstin.

– Musimy zrobić, o co prosi – stwierdził Tommy. – To jedyny sposób. Inaczej będzie stawiać opór i wszystko zniszczy.

– Pod jakim nazwiskiem aresztowałeś Guzmana?

– Pod panińskim nazwiskiem jego matki. Była Szwedką, nazywała się Pia Landgren. Jego imię to Hektor przez „k”. Został zatrzymany jako osoba ubiegająca się o azyl pod zarzutem złamania prawa i pod zaostrozonym rygorem, jest więc tak ukryty, jak tylko może być. Oskarżenie przeciwko niemu przygotuj na to samo imię i nazwisko. Wszystko zmienimy w ostatniej chwili, gdy proces już się zacznie. Jeżeli ktoś będzie potem pytał, powiemy, że to Amerykanie zrobili błąd, wypełniając papierki przy deportacji, i potem już tak zostało... Nikomu nie będzie się chciało w tym grzebać.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła.

Stanęli przed drzwiami, za którymi zaczynał się kolejny korytarz. Tommy otworzył je i puścił ją przodem.

– Nie martw się. Nie łamiemy prawa, trzymamy się w jego granicach. Trochę je naginam po to, żeby dało się to wszystko przeprowadzić. Nie pierwszy raz. Sama dobrze wiesz, że już wcześniej na różne sposoby pomagaliśmy świadkom.

Westchnęła i chciała coś powiedzieć, ale Tommy ją ubiegł.

– Kto będzie reprezentował Hectora? – zapytał.

– Ten Skańczyk, Nils Nilsson – powiedziała Kerstin.

– Ten znany?

– A jest ich więcej? – zdziwiła się Kerstin.

– Z urzędu czy prywatnie?

– Z urzędu.

Obrońca z urzędu?, pomyślał Tommy i zaczął gorączkowo się

zastanawiać... Hector Guzman nie miał zamiaru walczyć na sali sądowej. Nie, jeśli zdecydował się na obrońcę z urzędu. Z takim nie miał szans. Musiał mieć inny plan, inne wyjście... Tylko jakie? Solidne dowody swojej niewinności? Nie, raczej nie. Miał zostać odbity z aresztu? Przed procesem? Z więzienia? Możliwe...

Nosowy głos Kerstin wdarł się w jego myśli.

– Tommy?

– Tak?

– Co zrobimy, jeśli ona sobie nie poradzi? Jeśli narobi nam problemów?

Musimy mieć jakiś plan.

Każdy w tej historii miał plan, wyjście... on sam, prawdopodobnie Hector, to babsko obok niego... ale przede wszystkim miała je Sophie Brinkmann. Znowu wygrała. Zaimponowała mu przedstawieniem, jakie zrobiła, swoją grą. Ten typ osobowości, który zaprezentowała im w czasie spotkania, był bardzo wiarygodny. Tommy i Kerstin spotkali się z nim wiele razy, w różnych formach, u przedstawicieli różnych warstw społecznych, tak u kobiet, jak i u mężczyzn. Byli niestabilni, kontrolujący, ambiwalentni i udawali pewnych siebie. Chcieli, żeby wszystko było tak, jak powiedzą, choć nie wiedzieli dlaczego. W każdym śledztwie zawsze potrafili narobić kłopotów. A Sophie Brinkmann, z jakiegoś powodu, wiedziała, że tak właśnie jest. Dokładnie wiedziała, jak zagrać rolę i wyciągnąć dla siebie korzyści. Jej występ był pierwsza klasa.

– Właśnie dlatego się zabezpieczamy. Trzymamy w tajemnicy pozew przeciwko Hectorowi, zmiękczyamy Sophie... Wszystko się ułoży, spokojnie, Kerstin...

Tommy przygryzł język. Nie powinien był jej prosić, żeby się uspokoiła, to było całkowicie niedopuszczalne. Dla niej była to czcza gadanina, ale kiedy wychodziła z ust mężczyzny, brzmiała protekcjonalnie. Tommy wiedział, że

w ciągu najbliższych minut za to oberwie.

Kerstin zatrzymała się przy windzie. Przyjrzała mu się i uśmiechnęła szyderczo, tak samo pięknie jak zawsze.

– W porządku, w takim razie damy pani Brinkmann to, o co prosi – powiedziała. – Da się to załatwić, ale będzie trochę szumu i będę musiała użyć wpływów. Odbije się to na mnie. Cena jest wysoka, więc będziesz musiał mi to wynagrodzić podwójnie. Mówię to, żebyś wiedział.

Drzwi windy się rozsunęły. Kerstin weszła do środka i się odwróciła.

– Jeszcze jedno, Tommy – powiedziała.

– Słucham?

– Na spotkaniu niezbyt się postarałeś. Szczerze mówiąc, byłeś beznadziejny.

No i proszę..., pomyślał.

Wybuchnęła śmiechem i wbiła w niego spojrzenie. Drzwi się zasunęły.

Tommy stał i na nie patrzył. Znowu poczuł to dziwne pożądanie. Przecież nienawidził tego babsztyla.

Zszedł schodami, znalazł się na chodniku skąpanym w promieniach słońca i rozejrzał się za wolną taksówką. Żadnej nie zobaczył. Zrobił kilka wdechów. Powietrze było ciepłe, niebo błękitne. Postanowił pójść pieszo na Centralen i pojechać metrem. Uznał, że tak będzie szybciej.

* * *

Kiedy Sophie i jej adwokat wyszli z budynku, hormony stresu zaczęły szaleć w Eddiem. Przez tę krótką chwilę był całkowicie nieosłonięty, a Tommy mógł wyjść w każdej chwili.

Eddie wymamrotał nieskładną modlitwę i ruszył za taksówką, do której wsiadła Sophie. Cały czas patrzył w tylne lusterko... Tommy'ego nie było.

Kiedy skręcili w prawo, w Vasagatan, poczuł się trochę pewniej. Taksówka

jechała przodem, on za nią, między nimi cztery samochody. Tak to się powinno robić.

Znów rzucił okiem w tylne lusterko. Poszukał wzrokiem Tommy'ego, a potem spojrzął przed siebie. Światła hamowania świeciły jak ściana. Nadepnął hamulec i poczuł mocne szarpnięcie do przodu. Korek. Duży. Aż do dworca głównego. Wszystkie auta stały w miejscu. Cholera..., pomyślał.

Zestresował się i rozejrzał dookoła. Czuł się zdany na pastwę losu. Jak jakieś cholerne postrzelone gnu na sawannie. Ale uspokajał się, powtarzając sobie, że Tommy przyjechał taksówką, więc teraz pewnie tak samo wróci, a jeśli tak, to ruszy w przeciwnym kierunku, do komisariatu na Kungsholmen.

Oparł obie dłonie na kierownicy i wziął głęboki oddech. Sznur samochodów wolno sunął do przodu.

Będzie dobrze...

* * *

Tommy skręcił w Vasagatan i ruszył w stronę Centralen. Coś zwróciło jego uwagę. Mimo że nie powinno. Volvo... W tym mieście jeździł milion takich samochodów, były jak trabanty w Berlinie Wschodnim. Promil z nich należał do policji. Stały zaparkowane rzędem w policyjnym garażu, anonimowe i zwyczajne, tak żeby łatwo było im się wtopić w tłum, żeby nikt nie zwracał na nie uwagi. Od innych samochodów mamusiek, które podwoziły swoje dzieci na piłkę nożną i taniec, różniły się tym, że najczęściej były świeżo umyte, z przodu miały zamontowane duże reflektory, a w środku przy przedniej szybie niebieskie sygnały, które przydawały się, gdy wozów używano do polowania na piratów drogowych.

Tommy zawsze zauważał te auta, jego oczy same się ku nim zwracały i je identyfikowały. Z przyzwyczajenia.

Jedno z nich stało teraz w korku. W każdym razie kolor się zgadzał. Tommy

przystanął. Nie był w stanie zobaczyć, czy to auto też miało z przodu reflektory albo jakieś inne policyjne cechy. Ale było świeżo umyte i pięknie błyszczało w promieniach słońca... Za kierownicą siedział ktoś postawny, możliwe, że krótko obcięty. Więcej nie potrafił dostrzec. W jego wnętrzu włączył się ten paranoidalny alarm. Wszystko sprawdzaj... To mógł być Eddie. A nie powinno go tu być, nie teraz. Nie tuż po tym, jak Tommy spotkał się z Sophie Brinkmann...

Nadjechała jakaś taksówka. Tommy zatrzymał ją i wskoczył na tylne siedzenie. Kierowca powiedział, że właśnie wybiera się na lunch.

– Mam to gdzieś – odparł Tommy i machnął policyjną legitymacją. Przesunął się i usiadł na środku między siedzeniami, żeby mieć możliwie najlepszy widok.

– Powiem panu, jak jechać – rzucił do kierowcy.

Oparł dłonie na fotelach, pochylił się do przodu i nie spuszczał volvo z oka. Korek się rozładował. Ruszyli. Przy Tegelbacken skręcili w lewo, pojechali prosto Fredsgatan, a na rondzie przy placu Gustava Adolfa wjechali w Regeringsgatan. Potem w prawo w Hamngatan. Tam musieli zwolnić. Ruch był duży. Tommy zobaczył, że volvo zaparkowało ukośnie przy parku Berzelii i restauracji Bernsa.

– Proszę zjechać na bok – powiedział Tommy do kierowcy.

Zobaczył, że z volvo ktoś wysiadł. Chłopak po trzydziestce, barczysty i krótko obcięty...

Tommy widział, jak Eddie Boman czeka, aż na jezdni zrobi się luźniej, a potem przebiega przez Hamngatan i wchodzi na Norrmalmstorg. Tommy otworzył tylne drzwi, stanął na ulicy i spojrzał w tamtą stronę. Wspiął się na palce. Nie wystarczyło.

– Muszę zjechać na lunch – powiedział kierowca.

– Stul pysk – rzucił Tommy. Stanął na progu drzwi do auta i złapał się

listwy na dachu.

Teraz widział wszystko jak na dłoni. Zobaczył Sophie Brinkmann. Była już po drugiej stronie rynku, szła w stronę Biblioteksgatan. Eddie pędził za nią, w ogóle się z tym nie kryjąc.

Obawy Tommy'ego się potwierdziły...

Pieprzony Quisling... Pieprzony Brutus... Pieprzony Judasz...

Cholerny Eddie, kutas, Boman.

* * *

Biblioteksgatan była wyłączona z ruchu samochodowego. Sophie stanęła przy wystawie. Jego nieudolność niemal ją zdziwiła. Leciał za nią i w ogóle się z tym nie krył. Praktycznie nie mogła go przez to zgubić. Tego Eddiego Boman. Miles powiedział, że tak właśnie się nazywa.

Ruszyła dalej, a on zachowywał równy odstęp dwudziestu metrów. Sophie skręciła w prawo, w Birger Jarlsgatan, i zeszła do metra. Przemknęła w tłumie i zjechała schodami na peron. Czekwała na pociąg. Spojrzała w prawo i zobaczyła, że Eddie stoi i na nią patrzy. Próbowwała zrozumieć, o co mu chodzi. Może sam tego nie wiedział. Pociąg z hukiem wtoczył się na stację. Zapiszczały hamulce. Drzwi się otworzyły. Weszła do środka i usiadła tak, żeby mieć na oku przejście między wagonami.

Rozległ się sygnał, a potem kobiecy głos z głośników i drzwi się zamknęły. Wagonikiem szarpnęło i pociąg popędził pod ziemią. Jens pojawił się znikąd i zajął miejsce obok niej.

– Widziałaś go? – zapytał.

– Tak, siedł za mną od Norrmalmstorg. Wsiadł bliżej przodu.

– Ma przy sobie broń. Wiesz, kto to?

– Tak, policjant. Pracuje dla Tommy'ego. Nazywa się Eddie Boman. Zrobiłam mu zdjęcie na lotnisku...

Zobaczyli, że Eddie stoi kawałek dalej. Trzymał się rączki pod sufitem i kołysał razem z nią.

– Czego chce?

– Nie wiem – szepnęła.

– Jest dobrze widoczny.

– Nieprzypadkowo – odparła.

Eddie ruszył w ich stronę. Barczysty, krótko obcięty, świadomy celu. Miał na sobie cienką kurtkę, która ledwie zakrywała służbową broń przypiętą do paska. Jens wstał i wyszedł mu na spotkanie. Był dziesięć centymetrów wyższy, szerszy i skutecznie zastawił Eddiemu drogę.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał.

– Chcę porozmawiać z Sophie – odparł Eddie.

Jens przyjrzał się mu.

– Masz broń? – zapytał.

– Jestem policjantem.

– O czym chcesz z nią rozmawiać?

– Jest w niebezpieczeństwie.

– Jakim?

– Powiem jej.

– Jesteś sam?

– Tak.

Jens zlustrował go wzrokiem z góry na dół.

– Tylko żadnych gwałtownych ruchów – powiedział.

Eddie zaakceptował to.

– Okej.

Jens usiadł obok Sophie, a Eddie naprzeciwko niej. Rzucił okiem na Sophie, Jensa, a potem na zegarek. Metro pędziło w ciemnościach.

– Już się spotkaliśmy – powiedział. Widać było, że próbuje jakoś zacząć

rozmowę.

Sophie milczała. Eddie się zmienił od czasu ich ostatniego spotkania. Mimo że na lotnisku widziała go tylko przez moment, odebrała go wtedy inaczej... Czuła kolosalne wahanie, strach, ciemność, a wszystko pokryte udawaną pewnością siebie. Teraz to wszystko zniknęło, zastąpione przez coś innego. Próbowwała zobaczyć, co to takiego. Może przeciwieństwo. Akceptacja.

Pociąg zaczął hamować przed następną stacją.

– Widzieliśmy się tylko przez ułamek sekundy – powiedział Eddie i spojrzał w ciemność, jak gdyby ważył każde słowo. – Nie możesz przebywać w pobliżu Milesa Ingmarssona – dodał. – Trzymaj się w tłumie... Najmniejszy błąd i skończy się to dla ciebie bardzo źle. Mówię to jako przyjaciel. Chronię cię najlepiej, jak potrafię.

Mówił szybko i cicho. Próbowwała go zrozumieć.

Wjechali na T-Centralen. Na peronie było mnóstwo ludzi. Pociąg gwałtownie zahamował.

– Ochrona jest podwójna – powiedział. – Ktoś pisze artykuł o tobie i o tym, co się stało...

Drzwi się otworzyły. Ludzie wysiadali i wsiadali.

– On będzie twoją najlepszą ochroną. Nie bój się i nigdy nie bądź sama – powtórzył.

Sygnał ostrzegł, że zaraz zamkną się drzwi. Eddie zerwał się z miejsca, przepchnął do wyjścia i wyskoczył w ostatniej chwili.

Pociąg ruszył. Eddie Boman zniknął w tłumie ludzi na peronie. Wszystko stało się zbyt szybko. Próbowwała zrozumieć konsekwencje tego, co się właśnie wydarzyło.

Metro przyśpieszyło. Mknęło w ciemnym tunelu.

– Dobry Boże – szepnęła Sophie. – On wszystko zniszczy...

Część trzecia

Sztokholm

EDDIE WRÓCIŁ do domu. W mieszkaniu było cicho. Zamknął za sobą drzwi, zdjął buty, kurtkę, odpiął kaburę z pistoletem i położył na stoliku w korytarzu. Wszedł do kuchni. Uderzenie było mocne. Dostał pałką w głowę. Ludzie, którzy upadają po pierwszym uderzeniu, robią to najczęściej ze strachu. Ale cały organizm Eddiego był przyzwyczajony do bicia, więc wytrzymał. Stracił równowagę. Udało mu się jednak odwrócić i wymierzyć cios. Choć trafił w próżnię.

Tommy Jansson po raz kolejny machnął pałką. Eddie próbował się zasłonić, lecz cios trafił go w przedramię. Jakaś kość została złamana. Tommy sięgnął po klasykę. Stara dobra pałka policyjna. Pokryty białą gumą żelazny pręt. Śmiertelnie niebezpieczny. Pół metra długości. Niektórzy starzy gliniarze mówili na nią „psycholog”...

Tommy trzymał ją w obu rękach, jak kij bejsbolowy. Był w tym dobry. Uderzenia sypały się jedno po drugim. Eddie czuł przerażający, nieopisany, paralizujący ból. Nagle zorientował się, że stoi pochylony do przodu i gapi się w podłogę. Jak gdyby cały ten przeokropny ból odebrał mu zdolność poruszania się. Powinien już dawno leżeć na ziemi. Ale się wyprostował... Całkowicie niepotrzebnie.

– Poddaj się, do cholery – wymamrotał Tommy. Wymierzył mu cztery uderzenia w tył głowy.

Wszystko zrobiło się czarne.

Eddie obudził się w dziwnej pozycji. Siedział z wyprostowanymi ramionami. W pokoju było ciemno. Żaluzje zostały opuszczone, a zasłony zaciągnięte. Był w swoim dużym pokoju. Siedział na środku podłogi na materacu ze swojego łóżka. Na jednej ręce miał kajdanki, zapięte na łańcuchu przyczepionym do haka, na którym miał zawieszony worek bokserski. Ręka okropnie go bolała. Musiał mieć złamaną którąś z kości przedramienia...

Potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, co się dzieje. Zmrużył oczy.

Tommy siedział w mroku na krześle naprzeciwko niego. W prawej ręce trzymał pistolet. W lewej jego telefon. Miał gumowe rękawiczki.

Eddiego potwornie bolała głowa. Widział podwójnie, nie był w stanie skupić na niczym wzroku. Miał mdłości. Czuł je w dole brzucha. Głównie z bólu. Był nagi.

– Jaki masz do niego kod? – zapytał Tommy i pokazał telefon.

Eddie poczuł, że zaczyna mu ciec ślina. Zwymiotował.

– Eddie? Kod? – powtórzył Tommy.

Wypluł rzygowiny. Nie odpowiedział.

– Co jej powiedziałaś? – zapytał Tommy.

Eddie spróbował się skupić.

– Wszedłeś za nią do metra. Spotkałeś się z nią? Coś jej powiedziałaś?

A może rozmawialiście już w Pradze?

Eddie spojrzał na swojego szefa. Na jego twarzy malowała się pogarda.

Tommy wstał, podskoczył do Eddiego i przyłożył mu do głowy lufę pistoletu.

Eddie czuł, że blefuje. Tommy przycisnął pistolet jeszcze mocniej, jak gdyby chciał go bardziej nastraszyć... Ale efekt był przeciwny.

Tommy wsunął pistolet do kabury i wyjął z kieszeni składany nóż. Wyciągnął ostrze. Wąskie, czarne i długie. Eddie wbił wzrok w ostry metal.

To jest groźne..., przemknęło mu przez głowę.

Tommy bez wahania wbił mu nóż w brzuch. Eddie wrzasnął i gwałtownie wciągnął powietrze.

– Praga? – wyszeptał Tommy.

Eddie uderzył go wolną ręką. Trafił w głowę. Uderzenie było mocne. Tommy upadł na podłogę, odsunął się od Eddiego i wstał. Zmierzył go wzrokiem, ocenił sytuację... Dźgnął nożem. Trafił w policzek, pod oko, wbił ostrze głęboko, przejechał po zębie. Nieopisany ból... Tommy wyciągnął nóż. Zaatakował ponownie. Kilka szybkich dźgnięć w klatkę piersiową. Sam się nakręcał, trzymał się poza zasięgiem Eddiego, podniecony i oszołomiony władzą. Szybko dźgał. Czasem trafiał w kość klatki piersiowej, czasem w coś miękkiego. W końcu dźgnął go koło lewego sutka. Eddie wrzasnął. Tommy wymierzył mu policzek.

– Zamknij się...

Cofnął się. Był zdyszany. Przyjrzał się Eddiemu z krzywym uśmiechem na twarzy. Czuł, że wszystko ma pod kontrolą...

– Praga? – zapytał znowu i przygryzł wargę.

Eddie oddychał z wysiłkiem. Wszędzie czuł ból. Z ust ciekła mu ślina, z ran krew...

– Nic – wyszeptał.

– Zła odpowiedź.

Tommy znów zaatakował. Głębokie pchnięcia. Piekący ból. Eddie cierpiał. Tommy kilka razy wybuchnął śmiechem. Wysokim, piskliwym. Ostrożnie chodził koło Eddiego, bał się, cały czas trzymał się na dystans. Eddie próbował podążać za nim, ale nie dawał rady. Tommy znalazł się za nim. Wbił mu nóż w plecy, w łopatkę i w kark. Eddie nie miał już siły krzyczeć. Ból go otumanił. Znowu zwymiotował.

– Praga? – zapytał Tommy, wciąż tym samym tonem.

– Nic tam nie widziałem – wystękał Eddie. Z ust ciekła mu ślina i rzygowiny.

Tommy kilka razy dźgnął miękki obszar między ramieniem i szyją. Potem triceps w wolnej ręce Eddiego.

– Przestań, proszę – powiedział Eddie słabo.

Tommy kopnął go w tył głowy. Mocno, agresywnie. A potem jeszcze raz. Obszedł go i znów stanął przed nim. Przyglądał mu się w upojeniu.

Eddie siedział z pochyloną głową. Jedno ramię miał zadarte do góry, drugie wisiało luźno... Wszędzie była krew.

– Praga?

– Nic – szepnął Eddie.

Tommy kopnął go w twarz. Głowa Eddiego poleciała do tyłu. Kolejny kopniak. Coś pękło. Z nosa poląła się krew.

– Stchórzyłeś w Pradze? – zapytał Tommy.

Eddie podniósł zakrwawioną i zmasakrowaną głowę. Spojrzał Eddiemu prosto w oczy. Patrzył pewnie, jego oczy zdawały się świecić. Ale nie ze złości, zdenerwowania ani z nienawiści. Było w nich widać coś innego.

Ostrożnie pokręcił głową i powiedział:

– Nie, Tommy, nie stchórzyłem.

Tommy odetchnął. Jego klatka piersiowa poruszyła się w górę i w dół. Rozejrzał się po pokoju. Potem spojrział na Eddiego, który siedział z podniesioną ręką na grubym materacu.

Ważył nóż w dłoni. Wyglądał, jakby coś przyszło mu do głowy.

– W robocie, Eddie, czasem wzywają nas, bo jakiś zakrwawiony dupek leży w wannie z podciętymi żyłami, prawda?

Eddie opuścił wzrok.

– To są mazgaje, Eddie. Podcinają sobie żyły w poprzek. Wiedzą, że w ten sposób nie umrą. Za mało krwi, za mało cholernego użalania się nad sobą

połączona z wypaczoną potrzebą zwrócenia na siebie uwagi... „Oj, oj, jaki to ja biedny jestem” – przedrzeźniał Tommy, sepleniąc i machając rękami.

Zrobił kilka kroków w stronę Eddiego.

– Ale ty taki nie jesteś, prawda? Ty byś sobie pociął żyły porządnie, prawda? Zrobił to, jak należy? – Tommy był teraz bardzo blisko. – Pewnie, że tak – szepnął. Złapał rękę Eddiego, która wisiała zaczepiona o kajdanki, i głęboko rozciął nadgarstek. Krew trysnęła wąskim strumieniem. – Dobranoc, Eddie, śpij dobrze – wyszeptał Tommy i szybko wyszedł.

Eddie spojrzał na ranę. Po ramieniu spływała mu krew. Wykrwawi się w ciągu kilku minut.

Uklęknął. Z całą siłą, na jaką było go stać, podniósł ranną rękę i zacisnął palce na przedramieniu, żeby powstrzymać krwotok. Udało się... Krew płynęła teraz wolniej. Ale zabrakło mu siły. Po kilku sekundach ręka opadła w dół. Tommy poprzecinał mięśnie i ścięgna...

Spróbował zawinąć łańcuch wokół nadgarstka, ale krew lała się wartkim strumieniem, płynęła w dół ramienia... Rozejrzał się dookoła. Panika rosła. Czuł się bezradny... Nie miał nic, czym mógłby zatamować krwotok. Tommy pomyślał o wszystkim, jak zawsze... Ogarnął go lęk przed śmiercią. Serce zaczęło bić szybciej, krew lała się strumieniem. Siedział tak, udęczony, smutny, otoczony srebrzystoszarym lękiem przed śmiercią. Zaczęło go ogarniać zmęczenie i bezwład. Powieki zrobiły się ciężkie. W ustach zaschło. Głowa opadła na klatkę piersiową. Wykrwawiał się. Zaczął się bać, że umrze samotnie. Strach był bezwzględny...

Poczuł się, jakby opadał w dół. Nie chciał być sam.

Zaczął się modlić do Boga... Modlił się o cud.

* * *

Z podniecenia Tommy oblał się zimnym potem. Jechał do miasta.

Miał poczucie porażki, mimo że przecież wygrał.

Eddie Boman miał ogromną przewagę, słyhać ją było w jego głosie, wręcz nią promieniował, mimo że wisiał całkowicie bezradny i zmasakrowany. Tommy nic nie rozumiał... Jakby cały świat drwił z niego w nieskończoność. Jakby niezależnie od tego, co robił, zawsze znalazła się jakaś zasada, której nie rozumiał... Przecież to był wielki finał. Tommy pociął Eddiego na kawałeczki. Eddie miał umrzeć. Powinien się bać i czołgać u jego stóp. Tommy by wygrał i równowaga zostałaby przywrócona... Ale tak się nie czuł.

Czterdzieści pięć minut później opadł na krzesło naprzeciwko jednego z techników.

– Schudłeś trochę ostatnio, Tommy? – zapytał technik.

Tommy nie zrozumiał. Spojrzał na brzuch.

– Nie, nie sędzę.

Technik wrócił do komputera.

– To miał być żart – szepnął zawiedziony. – Czego sobie życzysz?

Prawa noga Tommy'ego zaczęła drżeć, ale on tego nie zauważył. Przygryzł paznokieć.

– Co powiedziałaś?

Technik pokazał telefon Eddiego.

– Co mam z nim zrobić?

– Chcę mieć wydruk z GPS-u z dwóch dni – powiedział.

– Daty?

Tommy zaczął nerwowo kartkować swój kalendarz. W końcu trafił na notatkę o pobycie Eddiego w Pradze. Podał technikowi dane.

Technik przez chwilę pracował.

– Widzę pewną prawidłowość w poruszaniu się.

Tommy otarł usta.

– Chcę mieć to rozrysowane na mapie – powiedział.

Drukarka na biurku zaczęła szumieć. Wysunął się z niej fragment planu Pragi. Tommy porwał go i zobaczył czerwoną linię oznaczającą trasę, którą poruszał się Eddie.

Tommy gapił się na nią. Nieświadomie przegryzł wargę. Zaczęła krwawić. Lubił smak krwi.

W samochodzie przełączył telefon na tryb samolotowy i zaczął go przeszukiwać. Sprawdzał wychodzące połączenia, esemesy, historię wyszukiwań. Nie znalazł niczego interesującego. Zaczął przeglądać zdjęcia. Było ich niewiele. Kilka zdjęć przyrodniczych, niebo, kwiaty, chmury, zachody słońca... Pieprzony kot... Na parapecie, na zasłonce, na kolanach Eddiego, na plecach, bawiący się włóczką... Ani jednego człowieka. Zdjęcie z samolotu. Wysokość dziesięciu tysięcy metrów, w dole pojedyncze chmury. Kolejne zdjęcie. Fasada jakiegoś starego domu. Rząd okien, jedno z nich oświetlone, za nim kuchnia... W środku siedzieli ludzie... Tommy powiększył obraz. Był bardzo niewyraźny, ale rozpoznał Sophie, Milesa, Alberta Brinkmanna, jakąś kobietę i potężnego faceta... Następne zdjęcie. Powiększenie. Ci sami ludzie, z trochę dalszej perspektywy. Wyraźny rząd okien, metalowa tabliczka z orłem na fasadzie budynku. Tommy przyjrzał się szczegółom, kolorowi tynku, kolorowi okien. Rzucił okiem na plan miasta, który wydrukował mu technik. Gdzieś tam, wzdłuż oznaczonej na czerwono trasy Eddiego Bomana w Pradze, siedział Miles Ingmarsson i czekał, aż Tommy przyjedzie i wpakuje mu kulę w łeb. W tym samym czasie w Sztokholmie zginie Sophie Brinkmann... Zabije ją Hector Guzman.

Poczuł odrobinę właściwego uczucia. Miał wrażenie, że wszystko pójdzie po jego myśli, że wygra...

Odpalił silnik. Włączyło się radio. Elvis Presley śpiewał *Amazing Grace*.

* * *

Odgłos łapek.

Eddie otworzył oczy. Powieki miał ciężkie. Świat był blady i rozmyty. Nie wiedział, jak długo tak siedział. Od strony drzwi dobiegło go ciche miauczenie. Manny wszedł do środka i otarł się o ścianę. Kot spojrzał na Eddiego swoimi miedzianymi oczami. Ogon miał zadarty do góry. Jego futro lśniło w ciemnościach. Manny był piękny. Eddie go kochał...

Spojrzał na swoje ramię. Krew nie przestawała wypływać z rany. Czuł, że uchodzi z niego razem z życiem. Miał niewiele czasu. Brakowało mu czegoś, czym mógłby przewiązać ranę... Śmierć stała tuż obok niego i cierpliwie czekała.

– Chodź do mnie, malutki – wyszeptał.

Manny przez chwilę na niego patrzył, a potem zostawił ścianę i ruszył w stronę materaca. Wskoczył na niego, ale trzymał się z dala od swojego pana. Patrzył tylko pytająco. Może zastanawiał się, dlaczego wisi tak dziwnie w dużym pokoju, cały pocięty i zalany krwią...

– Chodź – szepnął Eddie.

Manny zrobił parę ostrożnych kroków. Wyciągnął przednie łapy i zaczął sobie ostrzyć pazurki o materac. Kilka razy wbił je i wyciągnął.

– Chodź, Manny – szepnął Eddie ledwie słyszalnie. Czuł, że zaraz znów straci przytomność. Utrata krwi odbierała mu siły i tlen... Prawie nie mógł oddychać. Narządy zaczynały wołać o pomoc, nie rozumiały, co się dzieje...

Kot puścił materac i podszedł do swojego pana. Eddie poczuł jego ciepło. Kot zaczął mrużyć. Eddie podniósł ranną rękę i ostrożnie pogłaskał Manny'ego. Kot otarł się o niego. Był miękki. Zaczął odchodzić. Eddie nie czekał.

Złapał kota za kark tak mocno, jak tylko potrafił. Kot zaczął się opierać. Eddie włożył go między kolana. Manny walczył, chciał uciec. Eddie złapał go palcami za kark. Nacisnął z całej siły. Kot wpadł w panikę. Syczał i drapał

rękę Eddiego. Piszcząc, błagał go, żeby przestał, wyrywał się, szarpał, walczył o życie... Eddie zamknął oczy. Zebrał się w sobie i skręcił kotu kark. Rozległo się ciche chrupnięcie.

Kot znieruchomiał. Zrobił się wiotki. Wciąż jeszcze był ciepły.

Krew wypływała z rany Eddiego. Każda sekunda przybliżała go do utraty przytomności i śmierci. Nie miał czasu do namysłu. Owinął sobie ogon kota wokół dłoni, wsunął jego głowę między stopy. Pociągnął z całej siły. W pierwszej chwili nic się nie stało. Pociągnął jeszcze odrobinę mocniej. Coś puściło w karku Manny'ego. Ogon i część futra zostały Eddiemu w dłoni.

Futro było ciepłe, miękkie i delikatne. Wystarczająco długie. Niepewnie stanął na nogach, które z trudem go utrzymały. Przytrzymał się łańcucha. Owinął futro wokół ramienia, w miejscu, w którym żyła była najbardziej widoczna, wsunął koniec ogona do ust... i pociągnął. Krew przestała płynąć. Zawiązał ogon jeszcze raz, dzięki czemu futro dobrze się trzymało. Osunął się na ziemię. Ramię wisiało na łańcuchu. Nie miał już na nic siły...

Spojrzał na małe, obdarte ze skóry ciało, które przed chwilą było jego kotem. Ciągnąc za ogon, przerwał aortę. Z ciała zwierzęcia wciąż jeszcze płynęła krew. Instynkt przetrwania sprawił, że sięgnął po kota, przycisnął go do ust i zaczął ssać krew. Rzadsza od ludzkiej... ale jednak krew.

Spojrzał na siebie. Był podziurawiony i pocięty. Usta miał wysmarowane kocią krwią... A Manny leżał...

Eddie zaczął płakać. Trząsł się. Płakał nad wszystkim.

* * *

Kolejka podmiejska sunęła po torze. Wieczne słońce tworzyło złotawą mgiełkę. Rozświetlało wagon i ją samą.

Caroline czytała prywatne maile i esemesy. Nogi oparła na siedzeniu naprzeciwko.

Eddie Boman napisał do niej. Poprzedniego dnia wysłał jej trzy maile. Wszystkie wyrzuciła do kosza. Przesłał jej też jakieś zdjęcie. Chciała je wyrzucić, ale się zawahała. Z zasady wyrzucała wszystko, co od niego dostawała. Ale ciekawość zwyciężyła. Zdjęcie to w końcu zdjęcie...

Otworzyła wiadomość. Pokazał się obraz. Niewyraźny. Zatłoczona ulica. Spojrzała uważniej, zgadywała, że to Biblioteksgatan, rozpoznawała sklepy...

Eddie napisał krótką wiadomość.

„Spotkała się dziś z prokuratorem i T.J.”.

Była tylko jedna „ona”, Sophie Brinkmann. Caroline ją zobaczyła. Stała po prawej stronie zdjęcia, patrzyła na wystawę. Eddie zrobił jej zdjęcie z daleka. Caroline przybliżyła obraz. Profil Sophie zrobił się niewyraźny.

Ciekawość wbiła w nią swoje szpony. Zapomniała, że miała się od niego zdystansować. Pojawiły się pytania. Co Sophie robiła w Sztokholmie? I to w towarzystwie Tommy’ego? Prokurator? Eddie nic w ten sposób nie wyjaśnił. Wręcz przeciwnie.

Odszukała wiadomości, które dopiero co wyrzuciła. Były krótkie i zwięzłe. Jedna z nich wzbudziła jej zainteresowanie. Eddie pisał, że Hector został zatrzymany gdzieś poza Szwecją. Tommy rozmawiał z kimś po angielsku...

Ktoś stanął obok niej. Caroline podniosła wzrok. Konduktorka, niska kobieta, wbiła spojrzenie w buty, które Caroline oparła na siedzeniu.

– Przepraszam – powiedziała Caroline, opuściła nogi i pokazała ważny bilet.

– Nic się nie dzieje – rzuciła konduktorka i poszła dalej.

Caroline spojrzała na telefon. Zdjęcie Sophie na Biblioteksgatan. Wybrała numer Eddiego. Cisza. Jego telefon był wyłączony. Martwy...

* * *

Po powrocie do domu usiadła z komputerem przy stole w kuchni i zaczęła

sprawdzać wszystkie kanały, do których miała dostęp dzięki redakcyjnym serwerom. Nic. Żadnego Hectora Guzmána. Żadnej Sophie Brinkmann. Zadzwońiła do aresztu. Stwierdzili, że nie wolno im odpowiadać na takie pytania. Zadzwońiła na policję.

– Hector Guzman, tak H-E-C-T-O-R.

Też nic. Spróbowała dodzwonić się do Eddiego. Cisza.

Zacząła się zastanawiać. Cofnęła się trochę w myślach... Eddie napisał, że Hector został deportowany z jakiegoś kraju. Sprawdziła z policją na lotnisku. Nic.

To tyle, jeśli chodzi o powszechny dostęp do informacji.

Eddie... gdzie ty jesteś?, pomyślała.

Zacząła go szukać przez media społecznościowe. Nie znalazła żadnego Eddiego Bomana. Użyła swoich służbowych kanałów. W przepisach dotyczących ochrony danych osobowych był wyjątek dla dziennikarzy. Niewielki. Dawał jej dostęp do baz danych, dzięki którym mogła stworzyć sobie pełniejszy obraz jednostek. Rodzina, krewni, zatrudnienie, dochody, adres, status społeczny, udziały w spółkach...

Eddie powiedział jej, że nie ma rodziny ani przyjaciół... Najwyraźniej nie kłamał. Znalazła informację o nieżyjącym ojcu i matce, która mieszkała na północy, w Sundsvall. Żadnego rodzeństwa.

Matka Eddiego miała na imię Susanne. Miała schrypnięty głos, była nieprzystępna, opryskliwa i mówiła niewyraźnie.

– A bo co?

– Jest pani jego matką – powiedziała Caroline.

Susanne prychnęła.

– Matką? Eddie jest dorosły, mam swoje życie. On nie potrzebuje matki.

Caroline słyszała, jak Susanne zaciąga się dymem.

– Kiedy ostatnio odzywał się do pani?

– A kim pani jest?

– Jego przyjaciółką.

Susanne umilkła, jakby nie do końca wiedziała, o co chodzi.

– Nie rozmawiałam z nim od lat.

Zakaszła prosto w słuchawkę.

– I wcale nie jestem przez to złą matką, jeśli to właśnie sobie pani pomyślała – powiedziała Susanne i się rozłączyła.

Caroline opadła na oparcie. Wysłała Eddiemu esemes. „Zadzwoń do mnie”. Potem weszła na pocztę i odpowiedziała na jego ostatnią wiadomość.

„Zadzwoń do mnie”.

* * *

Dźwięk dobiegał z oddali. Ale Eddie słyszał, że sąsiadka grała Faurégo na swoim flecie. Pięknie... muzyka pogrzebowa. Zaczął się zastanawiać, co by sobie życzył. Może tę właśnie melodię? Kto przyjdzie? Kilku kolegów? Tych, których pozdrawiał kiwnięciem głowy, gdy mijał ich w drodze do automatu z kawą? Ktoś z dawnych znajomych? Któryś z kolegów kiboli? Matka? Przyjdzie? Nie, raczej nie. Może kilkoro rodziców z rodzin zastępczych?

Czuł suchość w ustach, głowie, wszędzie. Oddech miał krótki i świszczący. Źle widział, obraz był niewyraźny, wykrzywiony. Przerażliwie marzył i chciało mu się spać. Ale wiedział, że sen oznacza śmierć. Gdyby sobie na niego pozwolił, już nigdy by się nie obudził. Ale byłoby tak pięknie... choć na chwilkę. Nie musiałby już walczyć z opadającymi powiekami. Spróbował. Na sekundę zamknął oczy. Eksplozja wyzwolenia. Rozkosz wśród męczarni... Mógł po prostu się zapaść. Pozwolić, żeby sen go otulił, wyparł ból i lęk. Odpłynąć...

Wszystko zrobiło się jednolite.

Nie potrafił otworzyć oczu. Zrozumiał, że jest zgubiony, że się poddał... Że

przed sobą miał tylko drogę ku śmierci. Była nieunikniona... Najsmutniejsza była świadomość, że po drugiej stronie nic nie ma. Wiedział o tym. Od zawsze. Mimo nieudolnych prób przekonania siebie, że będą tam na niego czekać krewni i przyjaciele, serdeczni i kochający, i że w chwili śmierci pojmie sens swojej egzystencji. Ale myśl o jednej wielkiej nicości i tak w końcu zwyciężała. Po prostu umrze i wszystko się skończy.

Utrata krwi... brak tlenu. Chłód wbijał w niego swoje szpony, narządy histerycznie walczyły o utrzymanie go przy życiu. Odpuszczał, po odrobinie, odpływał od życia. Zobaczył swoich rodziców... byli młodzi. Widział ich przed sobą, ale nie mógł ich dosięgnąć. Krzyczał, lecz nikt go nie słyszał. Opadał w dół przez ukryte piętra.

Otoczyła go ciemność. Od teraz będzie już tylko ona. Wieczna noc... Nie chciał być sam... Wołał, nikt nie słyszał...

Ciemność, całkowita cholerna ciemność...

Nagle coś się zmieniło. Eddie zorientował się, że koło niego ktoś siedzi. Rickard Egnell. W tym samym wieku co wtedy, kiedy Eddie zatłukł go na śmierć. Jasna czupryna, wesółą twarz. Ale sprawiał wrażenie dorosłego... dojrzałego.

– Cześć – szepnął Eddie. Cieszył się, że go widzi.

Rickard uśmiechnął się serdecznie.

Obiema dłońmi ogrzał serce Eddiego. Wróciła w nie odrobina życia.

– Dziękuję – powiedział Eddie.

Rickard nic nie powiedział, cały czas się uśmiechał.

Pojawił się inny dźwięk, dzwonek przy drzwiach. Ktoś dzwonił do jego drzwi. Eddie spróbował zawołać, ale nic się nie stało, nie był nawet w stanie otworzyć ust. Dzwonek ucichł. Zamiast tego rozległo się pukanie. Uparte. Potem znów dzwonek. Eddie siedział, bez ruchu, nie był w stanie nic zrobić.

– Eddie?

Jakaś kobieta... Caroline.

* * *

Caroline wołała przez otwór na listy. Poczekała i zajrzała do środka. Korytarz, stół, buty, kurtki.

– Eddie? Jesteś tam?

Cisza. Cień jakiegoś zapachu. Nieprzyjemnego. Ostrego. Pamiętała, że Eddie zawsze dobrze pachniał. Bardzo o to dbał. Miał w sobie rodzaj schludności. Tu nie powinno tak pachnieć. Puściła klapkę, przez którą wrzuca się listy. Zamknęła się ze szczękiem.

Zeszła po schodach. Spojrzała na zegarek. Był wczesny rano, centrala telefoniczna powinna być już otwarta. Zadzwoiła na komisariat.

– Chciałabym rozmawiać z Eddiem Bomanem – powiedziała.

Telefonistka wystukała coś na klawiaturze.

– Inspektor Boman jest na zwolnieniu.

– Od jak dawna jest chory?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Może chyba pani spojrzeć na ekran?

– Właśnie to robię.

– Kiedy wróci?

– Tego też nie widzę.

Caroline wyszła na ulicę, zadarła głowę i policzyła okna.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała i się rozłączyła.

Eddie, Eddie, Eddie... Gdzie ty jesteś?, pomyślała.

Wiatr rozwał jej włosy, kilka kosmyków trafiło do ust. Odsunęła je palcem. Uczucie, które ją wypełniało, było silne. Nie wiedziała, o co chodzi, ale nie było to nic dobrego. Mroczna energia. Wszystko było nie tak... A pod tym wszystkim, gdzieś na samym dnie, wrażenie, że ktoś wzywa pomocy...

Z kieszeni płaszcza wyjęła telefon, zerknęła na wyświetlacz, przez chwilę się wahała, a potem wyszukała numer do swojego taty.

Odebrał po ósmym sygnale, z przesadnie francuskim akcentem wymawiając nazwę willi, w której mieszkał.

– Cześć, tato.

– Cześć, kochanie – powiedział wesoło.

– Co robisz? – zapytała.

– Siedzimy na werandzie i jemy śniadanie.

„My”, jej tata i kobieta, której nie znała. Zmieniały się mniej więcej co dwa lata.

– Jest cudownie. Może do nas zajrzysz?

Wyobraziła go sobie, Horace’a Bergera, na werandzie, na wzgórzu w Biot, rozległy widok, w oddali morze. Krótkie spodenki, rozpięta koszula, grube okulary w oprawkach z lat siedemdziesiątych, wyprostowany i postawny mimo skończonych siedemdziesięciu pięciu lat.

– Nie dzisiaj – odparła.

– Ale może wkrótce?

– Niewykluczone.

– Jak się masz, skarbie?

– W porządku.

– O czym to ostatnio rozmawialiśmy?

– O etyce i rozsądku – odpowiedziała.

– Pisałaś artykuł, nie wiedziałaś, jak do tego podejść... Udało się w końcu?

– Jako tako.

– I dobrze – odparł.

Usłyszała, że czegoś się napił.

– Co ci leży na sercu, Caroline?

- A jeżeli wszystko jest nie tak?
- Wszystko?
- Większość, jeśli chodzi o jedną sprawę.
- Pod jakim względem?

Zastanowiła się.

– Niejasne, złe, trudne do ocenienia, negatywne, ciemne... Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić.

- Tak jest czy tak czujesz?
- I to, i to, z przewagą tego drugiego.
- Postaraj się opisać uczucie, obraz, nie kontekst.

– To jest jak drzwi – zaczęła. – Nie mam odwagi ich otworzyć, ale muszę. Za nimi są jakieś siły. Boję się, ale coś mnie do tego ciągnie. Ktoś mnie poprosił, żebym się tym zajęła. Jest oszczędny w słowach, ostrożny... Coś mnie do tego ciągnie wbrew mojej woli... – Przez chwilę się zastanawiała, a potem ściszyła głos. – Nie potrafię z tym nic zrobić, czuję mrok... To bardzo silne uczucie. I ktoś potrzebuje pomocy...

Teraz Horace przez chwilę się zastanawiał.

– W takim razie od dawna musiało być źle. Wiele błędów rzadko kiedy zamienia się w coś dobrego, raczej na odwrót. W tym, o czym mówisz, jest coś nieuchronnego.

– Co?

– Jeżeli coś jest na wskroś nie tak, jest negatywne... złe, to cały proces jest skażony. Niezależnie od tego, o co chodzi. Kieruje nim zła siła. Może rzeczywiście ktoś potrzebuje pomocy?

Horace był człowiekiem interesu, nawet jeśli przeszedł już na emeryturę. Ale był również, całkowicie nieświadomie, kimś w rodzaju świeckiego teologa, który rozumiał zbyt dobrze świat, w którym żył. Caroline i Horace rozmawiali ze sobą w taki właśnie sposób. Od zawsze. Jak gdyby oboje tak

świetnie odczytywali swoją intuicję, że swoje przeczucia byli w stanie ubrać w słowa. W dzieciństwie takie rozmowy na metapoziomie stanowiły dla Caroline intelektualne wyzwanie. Wcześniej rozumiała, że dzięki nim może się zbliżyć do ojca. Teraz, gdy dorosła, stanowiły coś pozytywnego, rozwijającego.

– Nie rozumiem – przyznała.

– Ja też nie. Ale takie to sprawia wrażenie. To, co złe, ma swoje źródło, jakąś siłę. Karmi się tym, co negatywne, dzięki temu rośnie w siłę. Cieszy się, im coś jest gorsze, ciemniejsze, im więcej napotyka błędów. Musisz to wybadać.

– Jak?

– Nie wiem, Caroline. Sprawdź.

Znów musnęła ją ciepła, lekka bryza.

– A co wtedy zrobię?

– Gdy ciemność zareaguje?

– Tak.

– Będziesz musiała znaleźć jakieś wyjście i wziąć nogi za pas.

– A jeśli się nie da?

– Dlaczego?

– Bo grunt zaczyna się palić pod nogami – odparła.

Po stronie Prowansji na chwilę zaległa cisza.

– Moje dziecko, jeśli coś się pali, to człowiek dzwoni po straż pożarną.

Stała na środku chodnika. Wiatr, ruch uliczny, uczucia, słowa ojca, wszystko tworzyło jeden długi ton.

– Dziękuję, tato – powiedziała i się rozłączyła.

Spojrzała na fasadę bloku Eddiego.

Nawet jeśli tata użył ostatniego zdania jako metafory, ona odczytała je dosłownie. Za rogiem znajdowała się stacja benzynowa.

W oddzielnej lodówce między olejami i środkami czyszczącymi znalazła podpałkę do grilla. Zapalniczki można było kupić przy kasie. Caroline zapłaciła gotówką i wróciła pod blok Eddiego.

Zadzwoniła do drzwi, waliła w nie pięścią, krzyczała. Ten zapach ze środka...

Wszystko było nie tak...

Oblała drzwi podpałką i przyłożyła zapalniczkę. Pięknie się paliły.

Caroline zeszła po schodach i wybrała numer alarmowy. Podała adres Eddiego. Potem stanęła po drugiej stronie ulicy i czekała.

Czas płynął. Nasłuchiwała syren, ale się nie pojawiły. Zaczęła sobie wyobrazać, że cały dom staje w płomieniach. Rodziny palą się w swoich mieszkaniach...

Wbiegła do środka i zobaczyła, że ogień zgasł. Podlała podpałką i podpaliła. Drzwi znów się zajęły.

W oddali rozległ się dźwięk syren. Szybko narastał. Caroline zrozumiała, że nie może się teraz pokazać. Wbiegła piętro wyżej. Przez okno widziała, jak na chodniku zaparkowały dwa wozy strażackie. Były zdecydowanie zbyt duże. Wyły. Zahamowały z piskiem opon. Wskoczyli z nich strażacy. Zza rogu na pełnym gazie wyjechała karetka. Poczowała wątpliwości i dopadły ją wyrzuty sumienia. Wszystko wydawało się okropną przesadą.

Drzwi do klatki otworzyły się z trzaskiem. Na klatce rozległy się ciężkie kroki. Dwóch strażaków błyskawicznie ugasiło pożar i rozbiło siekierami drzwi, żeby się upewnić, że za nimi nie ma żaru. Jeden z nich wszedł do mieszkania. Kilka razy zawołał „Halo!”.

Caroline zeszła po schodach. Zbliżyła się do drzwi Eddiego.

– O jasna cholera! – zawołał strażak, który był w środku. – Zawołaj ratowników z karetki!

Drugi strażak zaczął zbiegać po schodach.

– I wezwij policję!

Caroline wsunęła się przez rozbite drzwi i weszła w głąb mieszkania. Zapach zrobił się wyraźniejszy. Był ostry i mdlący. Zobaczyła duży pokój, który wychodził na podwórze. Było w nim ciemno. Żaluzje i zasłony nie przepuszczały światła.

Zamarła w pół kroku.

Eddie na materacu na środku pokoju, pocięty, podżgany, cały we krwi, blady... z sinymi wargami, przykuty do sufitu, na jego kolanach martwe, obdarte ze skóry zwierzę...

Ten obraz na zawsze wyrył się na jej siatkówce.

* * *

Tik-tak, tik-tak, wskazówki zegara nad drzwiami wolno sunęły do przodu.

Hector rozejrzał się po skromnie urządzonej gabinecie lekarskiej w areszcie. Prycza z rolką papieru, szafki na lekarstwa pozamykane na zamki, taboret, niewielki blat. Tyle żeby pobrać krew i do widzenia.

Ktoś wsunął klucz w zamek. Strażnik otworzył drzwi i wpuścił do środka pielęgniarza w białym kitlu, który niósł tacę z nierdzewnej stali.

– Cześć – powiedział obojętnie.

– Cześć – odpowiedział Hector.

– Mam panu pobrać krew i zmierzyć temperaturę.

– Po co?

– Nie wiem. Proszę otworzyć usta.

Wsunął mu w usta termometr.

Pielęgniarz zaczął przygotowywać igły i próbówki.

– Jest straszny – powiedział ktoś.

Hector spojrzał w stronę drzwi. Stał w nich jakiś mężczyzna. Sweter, ciemne włosy, wąsy gliniarza.

Mężczyzna wszedł do środka.

– Miałem na myśli termometr – dodał. – Ale lepiej w usta niż w tyłek.

Usiadł na taborecie i lekko się uśmiechnął.

– Mam na imię Tommy. Jak się panu tu podoba? – zapytał.

Hector nie odpowiedział. Pielęgniarz wyjął mu termometr z ust.

– Pewnie tak jak większości – stwierdził Tommy.

– Czyli jak?

– W ogóle.

– Co dziwne, dobrze tu sypiam.

– Naprawdę? – zdziwił się Tommy. – To świetnie... – Zrobił pauzę, a potem kontynuował: – Jak na Hiszpana mówi pan dobrze po szwedzku.

– Moja mama była Szwedką – odparł Hector.

– Moja też. Jaki ten świat mały.

Hector uważnie się mu przyjrzał. Przez lata spotkał wielu takich jak on. Sarkastyczni, na wszystko patrzący z góry, zgrywali wyniosłych, siląc się na słabe żarty... beztalencia, które miały władzę...

Pielęgniarz zaczął szukać żyły w zgięciu łokcia. Wbił igłę, naciągnął krew do przezroczystej probówki.

– Domyślam się, że pan jest policjantem – powiedział Hector.

Tommy pokiwał głową.

Ciemnoczerwona krew wypełniała kolejne probówki.

– Co pan tu robi?

– Przechodziłem w pobliżu.

– W pobliżu? Teraz rozumiem.

Pielęgniarz wyciągnął igłę.

– Gotowe – powiedział. Położył probówki na metalowej tacce i wyszedł.

Tommy nie ruszył się z miejsca. Wbił wzrok w Hectora. Strażnik przy drzwiach nie wiedział, co robić.

– Potem cię zawołam – powiedział do niego Tommy. – Odprowadzisz aresztowanego do celi, dobra?

– Nie – zaprotestował strażnik. – Muszę go odprowadzić od razu. Takie są zasady.

Tommy się zaśmiał.

– Jasne. Dobra robota!

Tommy wstał. Strażnik czekał na nich za drzwiami. Tommy ruszył w jego stronę. Kiedy podszedł do drzwi, chwycił klamkę i przyciągnął ją do siebie. Zamek sam się zatrzasnął.

Strażnik zaczął walić w drzwi.

– Posłuchaj mnie, Guzman – szepnął Tommy.

Za drzwiami słychać było pobrząkiwanie kluczy. Strażnik znowu huknął pięścią w drzwi.

– Otwieraj!

Wsunął klucz w zamek.

– W czasie procesu świadek koronny będzie siedział w pokoju obok sali sądowej, będzie mówił przez mikrofon...

Drzwi gwałtownie się otworzyły.

– Wychodź! Natychmiast! – wrzasnął strażnik.

Tommy wyszedł na korytarz.

– Chciałem tylko spojrzeć dupkowi w oczy, powiedzieć, że już po nim – rzucił, mijając strażnika.

– Cholera, Tommy! Nie wolno ci tak robić – syknął strażnik. – Przez ciebie mogę mieć kłopoty.

Tommy poklepał go po ramieniu.

– Nie będziesz ich miał – uspokoił go i odszedł.

Strażnik chwycił Hectora pod ramię i poprowadził w przeciwnym kierunku, do celi.

Hector odwrócił głowę i spojrzął w ślad za Tommym.

* * *

Jeden ze strażaków szybko przeciął łańcuch. Eddie osunął się na materac. Caroline myślała, że już nie żyje. Do pokoju wpadli ratownicy medyczni, kobieta i mężczyzna, w identycznych żółto-zielonych strojach z odblaskami. Przebiegając, odepchnęli ją na bok. Uklękli przy Eddiem. Sprawdzili mu puls, mierzyli, badali. Gdy wyjmowali sprzęt, rozległ się dźwięk odczepianej taśmy z rzepami.

– Brak pulsu – powiedział mężczyzna.

Podłączyli Eddiemu kroplówkę z płynami infuzyjnymi. Defibrylator zapiszczał i zaczął się ładować.

Caroline stała skamieniała i patrzyła na to wszystko.

– Odsunąć się! – krzyknął ratownik i przyłożył dwie głowice do pociętego ciała Eddiego. Nacisnął przycisk.

Przez Eddiego przebiegł prąd. Ciało napięło się i znów zwiotczało.

– Nic – powiedziała ratowniczką, patrząc na EKG.

Działali metodycznie, szybko i energicznie. Każdy ruch był wyćwiczony i precyzyjny.

Kolejne piknięcie, gdy defibrylator znów się ładował.

Caroline przeszedł dreszcz. Objęła się ramionami.

– Odsunąć się!

Kolejne wyładowanie. Eddie niemal uniósł się nad podłogą... Dalej nic. W jego zwiotczającym, nagim ciele nie było życia.

Caroline wbiła wzrok w podłogę.

Ostatni raz. Łuk. Caroline podskoczyła. Żadnego EKG, żadnego pulsu... Eddie Boman nie żył.

Ratownicy wymienili pod nosem jakieś uwagi. Dali Eddiemu trzy różne

zastrzyki, sprawdzili puls, rozważali różne możliwości.

Czas płynął, możliwości się skończyły. Stwierdzili zgon, zanotowali godzinę i zaczęli się pakować.

Caroline zorientowała się, że podeszła do Eddiego, uklękła przy nim i wzięła jego zimną dłoń w swoją. Pocięta twarz... skatowane ciało. Długie, głębokie nacięcia. Nabrzmiące rany i skrzepnięta krew. Był torturowany aż do śmierci...

Spojrzała na jego twarz... Błądą i bez śladu życia. Dostrzegła na niej coś jeszcze, coś poza cierpieniem. Wyraz, który mówił, że jeszcze nie był gotowy. Tak go sobie tłumaczyła. Umarł z wewnętrznym niepokojem. Coś go gnębiło. Coś zostało niedokończone.

Już miała odejść, kiedy coś wyłapała. Wyczuła jego obecność. Nie w swoim ciele i nie obok niego. Był gdzieś koło niej. I prosił o pomoc...

Ktoś jej położył na ramieniu dłoń. Podskoczyła. Ratowniczką powiedziała:

– Muszę panią prosić o opuszczenie tego mieszkania. Policja nie pozwala na to, żeby ktoś był...

– Tak, oczywiście – odrzekła skołowana. Wrażenie obecności Eddiego stało się jeszcze silniejsze. Zorientowała się, że pochyła się nad jego twarzą. Nisko, próbowała coś wyczuć.

– Przepraszam?

Ratownik próbował zwrócić na siebie jej uwagę.

– Moment – szepnęła skoncentrowana. Zbliżyła usta do ucha Eddiego. Sięgnęła ręką do jego nieuszkodzonego nadgarstka i spróbowała coś wyczuć. Nabrała powietrza w płuca i krzyknęła ze wszystkich sił: – Eddie!

Jej głos odbił się echem w pokoju. Krzyknęła jeszcze raz. Zrobiła wdech i wrzasnęła prosto w kanał słuchowy Eddiego:

– Eddie!!!

Ratownicy spojrzeli po sobie z niepokojem.

– Chodź, skarbie – powiedziała łagodnie ratowniczką. – Jego już z nami nie ma...

Ale Caroline wrzasnęła po raz kolejny:

– Eddie!!!

Trzymała go za nadgarstek.

– Eddie!!! – krzyknęła tak, że rozboleła ją gardło.

– Wystarczy! – rzekł ratownik zdecydowanie.

Pochylił się, żeby ją podnieść.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła Caroline.

Ratownik instynktownie się cofnął.

Nadgarstek Eddiego zrobił się odrobinę cieplejszy. Coś w nim delikatnie drgnęło.

– Jest – stwierdziła Caroline i zwróciła się do ratowników. – Jest! Zobaczcie sami!

Kobieta sprawiała wrażenie zmieszanej.

– Chodź, skarbie, pomożemy ci – powiedziała, wyciągając dłoń.

– Sprawdźcie!

Ratownicy nie ruszyli się z miejsca.

– Jest puls!

We wzroku ratowników pojawiło się współczucie. Mężczyzna szepnął:

– Już to zrobiliśmy...

– Sprawdźcie jeszcze raz!

Ratownicy spojrzeli po sobie. Ona dała mu znak głową. On niechętnie przyklęknął przy Eddiem, chwycił jego nadgarstek i położył na nim dwa palce. Już miał go puścić, lecz nagle gwałtownie zmienił się na twarzy. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Jest puls! – krzyknął do koleżanki.

Działali szybko.

– Proszę nam zrobić miejsce! – zawołała ratowniczką.

Porwali swój sprzęt, zaczęli od początku, intensywnie pracowali. Użyli defibrylatora. Zdarzyło się to, co było niemożliwe.

Eddie otworzył oczy. Nieruchomym wzrokiem gapił się w sufit. Potem nabrał do płuc powietrza i wydał z siebie przeraźliwy ryk.

* * *

Tommy pędził autostradą w stronę południowych przedmieść. Myślał, analizował, przygryzał paznokieć kciuka.

Jak wyglądał Hector, kiedy wspomniał mu o koronnym świadku? Drgnął, w jego oczach coś błysnęło, możliwe, że nienawiść... Najważniejsze jednak, że Tommy zobaczył, że Hector podjął decyzję. Wyczytał to w jego wzroku. Dopiął tego, po co przyszedł. Zrobił aluzję, szepnął mu coś na ucho... Teraz Hector będzie mógł opracowywać plan. Zabije koronnego świadka... zatłucze Sophie Brinkmann.

Wjechał windą na piętro Cassandry. Rzucił pieniądze na łóżko. To był zadatek. Miał mało czasu. Nie doszedł. Podciągnął spodnie. Cassandra próbowała coś powiedzieć. Podniósł dłoń do góry:

– Ani słowa! – rzucił.

Wskoczył do samochodu. Lewym pasem ruszył w stronę Arlandy. Stresował kierowców jadących przed nim, wściekle migając długimi światłami.

Zaparkował w garażu. Wyłączył komórkę i wrzucił ją do schowka.

Ostrożnie z takimi sprzętami, pomyślał.

Zdążył na ostatni lot do Pragi. Oparł głowę o siedzenie.

– Kawy?

– Tak, poproszę...

– Whisky?

Odchrząknął i przełknął ślinę.

– Nie, dziękuję.

Próbował odetchnąć. Ale był w stanie zrobić tylko pół drżącego wdechu. I koniec.

* * *

Życie Eddiego wisiało na włosku.

Karetka przedzierała się przez zatłoczone ulice Sztokholmu. Caroline siedziała z tyłu. Ratowniczką podłączyła Eddiego pod co tylko mogła.

Caroline nie odrywała wzroku od ekranu EKG. Wykres był cienki, słaby, ledwo zarysowany. Spodziewała się, że w każdej chwili może się pojawić prosta kreska, że Eddie da za wygraną. Ale nie dawał i nie wiedziała, skąd miał na to siłę.

Eddie Boman...

Wstała, przytrzymała się sufitu i podeszła do Eddiego. Wzięła go za rękę. Wykres EKG odrobinę podskoczył. Nie więcej niż kilka milimetrów, ale jednak...

Podjechali na ostry dyżur. Personel szpitala już na nich czekał. Zabrali nosze z Eddiem i powieźli go w stronę sali operacyjnej. Została sama. Wyszła przed szpital. Zatrzymała się na jezdni. Próbowała zrozumieć, co się właśnie stało. Nie potrafiła...

Ale Eddie żył... I był kompletnie bezbronny... Nie mogła zadzwonić na policję. A on potrzebował ochrony.

Ray był fotografem, z którym zwykle pracowała. Samotny i nieskomplikowany.

– Wystarczy, że tam będziesz siedział – powiedziała przez telefon. – Pilnował go, machał służbową legitymacją. Przedstawiał się jako dziennikarz, nie jako fotograf. Bądź męczący, uparty, uświadom policjantom i wszystkim

innym, że jesteś dziennikarzem. Nie opuszczaj go, a jeśli już będziesz musiał, dopilnuj, żeby ktoś cię zastąpił...

– Co się dzieje? – zapytał Ray.

– Możesz to zrobić, nie pytając?

– Jasne... w porządku.

Ogromny szpital górował nad nią. Przez chwilę nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Znow musnął ją wiatr. Ciepły, letni. Słońce świeciło, w powietrzu unosił się zapach lata. Teraz wszystko powinno być jasne, a jednak pozostawało mroczne.

„Uciekaj”, powiedział jej jakiś głos. I chciała to zrobić, znaleźć się z dala od tego wszystkiego...

Ale nie potrafiła.

Praga

W CZECHACH BYŁO jeszcze cieplej. Tommy wziął taksówkę na dworzec i wyjął broń ze skrytki. Zajrzał do sklepu sportowego, kupił ciemny dres, trampki i czapkę z daszkiem.

Zameldował się w hotelu, wszedł do pokoju, położył na zaścielonym łóżku i gapiąc się w sufit, odsuwał od siebie myśli o Monice i córkach...

Otaczały go dźwięki. Ciche. Auta przejeżdżające po brukowanej uliczce, kręcący się ludzie, muzyka z ogródka restauracji kawałek dalej. Im było później, tym cichsze stawały się odgłosy miasta. W końcu zwały się w jeden niski ton. Tommy zasnął.

Sekundę później zadzwonił alarm. Śniło mu się, że spada. Otworzył szeroko oczy. Przez moment nie wiedział, gdzie jest.

Za oknem była noc. Usiadł. Łóżko skrzypnęło. Podrapał się po zarośniętej brodzie i spojrzał na zegarek. Za dziewięć godzin w Sztokholmie miał się zacząć proces. Za dziewięć godzin Sophie Brinkmann będzie martwa. Miles Ingmarsson również.

Pistolet leżał w wewnętrznej kieszeni bluzy. Tommy włożył czapkę z daszkiem i zjechał windą.

Rozłożył mapę z zaznaczoną na czerwono trasą Eddiego i ruszył przez Stare Miasto. Przyglądał się fasadom domów, szukał właściwego koloru i orła. Minął rynek i przespacerował się wąskimi uliczkami. Przeszedł mostem

Karola nad Wełtawą na Małą Stranę. Wspiął się w okolice ambasady, wokół której krążył Eddie.

Znów zobaczył krucyfiks. Tommy wbił w niego wzrok. Jezus wisiał tam, gdzie ostatnio, i wyglądał na tak samo udręczonego.

Zszedł w dół uliczką, rozglądał się, szukał...

Nagle po prostu go zobaczył. Świecił w matowym blasku latarni, jak Święty Graal. Złoty orzeł. Zerknął na zdjęcie, żeby upewnić się co do innych kolorów, ułożenia okien... To była właściwa fasada, właściwy dom.

Odwrócił się i przyjrzał budynkowi naprzeciwko. To w nim musiał stać Eddie, robić zdjęcia, wahać się... stchórzyć. Teraz już nie żył... wykrwawił się. Skurwiel Boman leżał w tym swoim mieszkaniu jak cholerny kawałek skóry.

Tommy spojrział na mapę. Ich mieszkanie leżało zaledwie kilka przecznic od ambasady, nie musieli za dużo poruszać się po mieście.

Kawałek dalej przy tej samej ulicy znalazł sobie dobry punkt obserwacyjny.

Sztokholm/Praga

TAŚMA POLICYJNA na drzwiach Eddiego była biało-niebieska. Caroline zerwała ją i odsunęła płytę pilśniową, którą tymczasowo zasłonięto dziurę po rozbitych siekierą drzwiach. O czwartej nad ranem po raz kolejny weszła do mieszkania Eddiego.

Przez chwilę po prostu chłoneła atmosferę, stała w ciszy. Potem zaczęła szukać. Sama nie wiedziała czego. Po prostu czegoś... Zaczęła od kuchni. Metodycznie i dokładnie sprawdziła każdą szafkę i szufladę. Lodówkę, zamrażarkę, spiżarnię. Przeszukała sypialnię, weszła do łazienki. Na jednej półce stały rzędem butelki z perfumami. Powąchała. W jednej z nich sama resztką, Christian Dior, ulubiony zapach Eddiego...

Obraz Eddiego stawał się coraz bardziej kompletny – nie z powodu rzeczy, które miał, tylko dzięki temu, jak je organizował. Jakie życie wybrał. Caroline zobaczyła kogoś sumiennego, kogoś, kto dzięki przemyślanym wyborom estetycznym stworzył przyjemne wnętrze. We wszystkim było jednak widać ostrożność, jak gdyby chciał ukryć swoje dążenie. W jego domu było coś pięknego. On sam miał w sobie coś pięknego...

Doszła do dużego pokoju. Zobaczyła policyjną taśmę. Materac, krew, łańcuch pod sufitem. Piękno domu Eddiego zniszczone na zawsze...

Caroline westchnęła kilka razy, żeby się pozbyć nieprzyjemnego uczucia.

Dopało ją poczucie beznadziei. Zaczęła zbierać się do wyjścia, kiedy

usłyszała kroki na klatce schodowej. Zbliżyły się do drzwi. Po chwili w mieszkaniu wylądowały dwie gazety. Na podłodze koło jej stóp.

Przed oczami stanął jej obraz. Kuchnia...

Eddie dał jej zabazgraną stronę z gazety... Pod ścianą w kuchni stały dwie papierowe torby wypełnione prasą, które miały wylądować w odpowiednim koszu. Wcześniej do nich nie zaglądała. Przewróciła jedną z nich do góry dnem. Gazety sfrunęły na podłogę.

Usiadła i zaczęła je przeglądać. Strona po stronie. Przekartkowała sześć. Potem znalazła stronę zapisaną czarnym długopisem. Myśli, rozważania, daty i sporo nieczytelnego tekstu... Ale widniało tam również imię i nazwisko zapisane nad imieniem „Hector”.

„Pia Landgren”.

W redakcji panowała martwa cisza. Tylko w dziale sportowym paliła się samotna lampka.

Caroline usiadła przy komputerze i wpisała w wyszukiwarkę „Pia Landgren”. Żadnych wyników. Rozszerzyła zakres poszukiwań, wykorzystwała wszystkie dostępne kanały, i nic. Nigdzie żadnej Pii Landgren.

Poczuła zmęczenie. W ciele, w umyśle. Wszędzie. Na chwilę przestała myśleć... gapiła się w próżnię, przeszła na tryb standby.

Dlaczego on tu był?

Pytanie pojawiło się znikąd. Wcześniej go sobie nie zadała. Dlaczego Hector Guzman był w Szwecji? Teraz oczywiście dlatego, że był o coś oskarżony. Ale wcześniej? Mieszkał tu, przez wiele lat żył w Sztokholmie. Dlaczego? Czy Pia Landgren była jego żoną? Dziewczyną? Siostrą?... Matką?

Zorientowała się, że wsunęła sobie ołówek do ust.

„Dziewczyna?”, napisała na kartce.

Przejrzała informacje, które udało jej się zebrać o Guzmanie. Nie było ich wiele. Nic nie znalazła... Jeszcze zwiększyła zakres poszukiwań.

Hiszpania... To tam powinna szukać. Kogoś tam znała...

Wysunęła szufladę biurka i wyjęła pudełeczko, w którym przechowywała wizytówki. Mniej więcej trzysta sztuk. Przypomniała sobie kobietę, którą spotkała na konferencji przed pięcioma laty. Mieszkała w Madrycie, pracowała w „El País”...

Zaczęła przeglądać wizytówki. W końcu ją znalazła. Claudia...

Napisała maila. Przypomniała Claudii, kim jest, gdzie się spotkały. Wspomniała, że potrzebuje wyciągu z ewidencji ludności na temat Hectora Guzmána, urodzonego w Maladze albo Marbelli, lat mniej więcej czterdzieści. Tylko tyle wiedziała. Sprawa była pilna.

Potem zadzwoniła do fotografa, który pilnował Eddiego.

– Lekarz powiedział, że stan jest bez zmian. Jestem przy nim. Ma ochronę – powiedział Ray.

Do redakcji zaczęli napływać zaspani koledzy i koleżanki.

* * *

Sophie pomodliła się przed lustrem w łazience. W korytarzu uściskała Lothara. Przyszedł Jens.

– Gdzie lecisz? – zapytał, siląc się na dobry humor.

Uśmiechnęła się słabo, on też. Stał przed nią. Ich uśmiechy przygasły. Wziął ją w ramiona.

– Będziemy tu na ciebie czekać – powiedział. – Zrób, co musisz, a potem do nas wróć.

Oparła głowę na jego piersi. Słyszała wolne bicie jego serca. Chciała z nim zostać, nie chciała nigdzie jechać.

Piętnaście minut później siedziała na tylnym siedzeniu taksówki. Obok niej adwokat, Thomas. Próbował podtrzymać konwersację, nie słuchała go. Serce jej waliło. Było jej niedobrze. Podróż do sądu była męczarnią. Sztokholm był

do siebie niepodobny, groźny i przygnębiający. Chciała uciekać. Wszystko wypełniał nieprzenikniony szary strach.

Thomas zameldował ich przy wejściu. Jeden ze strażników poprowadził ich do pokoju, w którym miała zeznawać. Leżał w odległym korytarzu, przy drzwiach wisiała tabliczka i był umieszczony mikrofon. Pokój został wyciszony. Był ciasny i urządzone sprzętami z okładziną z brzozy. Na środku stał stolik z przymocowanym na stałe mikrofonem. Karafka z wodą i szklanka.

– Dostałaś to, czego chciałaś – stwierdził Thomas.

– Wcale nie mam takiego wrażenia – odparła.

– W tej sprawie wszystko jest niezwykle – powiedział. – Udało ci się postawić na swoim. Jestem pod wrażeniem. Nawet modulator głosu...

Pokazał jakieś urządzenie przy mikrofonie.

Nie odpowiedziała.

– Któregoś dnia chciałbym usłyszeć całą twoją historię – dodał.

Nie chciała, żeby odchodził z pustymi rękami, troszczył się o nią, ale nie miała wyjścia.

Wskazówki zegara, który wisiał nad drzwiami, zbliżały się do ustalonej godziny.

– Co będzie potem? – zapytał. – Kiedy zrobisz, co masz do zrobienia?

– Wtedy stąd wyjdę.

Wyglądał, jakby miał ochotę postawić jej więcej pytań, ale wiedział, że nie dostanie na nie odpowiedzi.

– W takim razie, Sophie, życzę ci powodzenia – powiedział i wyciągnął rękę.

– Dziękuję – odparła i uścisnęła jego dłoń.

Wyszedł z pokoju. Drzwi się zamknęły. Sophie usiadła przy stoliku i włożyła słuchawki. Usłyszała cichy pomruk głosów i kroki. Ludzie czekali w sali rozpraw.

Ona też czekała. Zastanawiała się, co robi Albert.

* * *

Miles zawiązał Albertowi buty, wstał i spojrzał na niego.

– *You look smart* – stwierdził.

– Przystojniak z ciebie – powiedziała Sanna, opierając się o futrynę drzwi w korytarzu.

Cały czas to robili. Nie czuł się już tym zakłopotany.

Miles włożył okulary przeciwsłoneczne, czapkę z napisem NY Yankees i granatową wiatrówkę, która przykrywała kaburę z pistoletem.

Zjechali windą na parter. Albert czekał na dole, a Miles sprawdził ulicę. Sanna wyglądała przez okno od kuchni. Też sprawdzała.

Miles rozmawiał z nią przez telefon.

– Można? – zapytał.

– Można – potwierdziła. – Poczekaj, Miles, chcę iść z wami.

– Sanna... nie!

Ale zdążyła się już rozłączyć.

Pół minuty później zbiegła po schodach. Wesolotka jak zawsze.

– Jest taka piękna pogoda – powiedziała.

Przytrzymała drzwi, Miles wypchnął wózek z Albertem. Michaił już podjeżdżał samochodem.

– Dlaczego samochód? – zdziwił się Albert.

Miles podniósł go i posadził na przednim fotelu.

– Twoja mama wczoraj dzwoniła. Ktoś do niej podszedł.

– Kto?

Miles i Sanna wskoczyli na tylne siedzenie.

– Wygląda na to, że jakiś policjant.

Michaił ruszył.

- Czego chciał?
- Ostrzec ją.
- Przed czym?
- Czymś dziwnym i wydumanym. Ale i tak wolimy być ostrożni.
- Miles, przed czym chciał ją ostrzec? – zapytał Albert.
- Powiedział, że ja i twoja mama nie powinniśmy przebywać w tym samym miejscu, czego najwyraźniej nie robimy... Nie ma więc sensu łamać tym sobie głowy.
- Ale i tak to robisz, prawda? Łamiesz sobie tym głowę?
- Jechali pod górkę. Koła podskakiwały na bruku.
- Nie. W każdym razie nie za bardzo. W końcu, jak co dzień, wyszliśmy na spacer, prawda?
- Tak. Samochodem...
- Sanna wybuchnęła śmiechem, a Miles się uśmiechnął.
- Michaił podwiezie nas do parku... Gdyby sytuacja była poważna, zostalibyśmy w domu.

Dojechali do parku Petřín i stanęli na skraju drogi.

- Mam zostać w pobliżu? – zapytał Michaił.
- Miles pokręcił głową.
- Nie. Pomóż mi wynieść Alberta. Trochę się przejdziemy i tu wrócimy.
- Jesteś uzbrojony? – zapytał Michaił.
- Jak zawsze.

Miles, Sanna i Albert spacerowali alejkami parku Petřín. Park leżał wysoko na wzgórzu i rozciągał się z niego widok na całą Pragę. Kawalek dalej widzieli obserwatorium Štefánika. Ruszyli w tamtą stronę.

- Jak to waszym zdaniem będzie? – zapytał Albert.
- Właśnie składa zeznania, niedługo zadzwoni i opowie, jak było – odparła

Sanna.

- Co wtedy zrobimy? – zapytał Albert.
- To zależy – stwierdził Miles.
- A tobie jak się wydaje?
- Myślę, że wrócimy do domu – powiedział Miles.
- I potem będzie już po wszystkim?

Miles prowadził wózek z Albertem po asfaltowej ścieżce, która wiała się wśród drzew. Sanna trzymała Milesa pod ramię, jak zawsze trochę się na nim wspierając.

- Całkiem możliwe – powiedział Miles z namysłem.
- To wydaje się takie dziwne – stwierdził Albert.
- Dlaczego? – zapytała Sanna.
- Nieprawdopodobne.
- A jeżeli okaże się, że tak właśnie będzie, to co wtedy zrobisz? – zapytała

Sanna.

Albert długo się zastanawiał.

– Odwiedzę babcię i Toma. Będę siedział z nimi w kuchni, pił herbatę i grał w karty... – Namyslił się jeszcze trochę i dodał: – Potem pojedę do miasta i będę sam, bez nikogo, bez was, bez Michaiła i bez mamy. Będę robił, co tylko będę chciał. A jak mi się znudzi, zadzwonię do Anny.

Miles i Albert rozmawiali o Annie na początku ich pobytu w Pradze. Potem Albert przestał o niej wspominać. Miles go rozumiał. Albert nie mógł z nikim utrzymywać kontaktu. Podtrzymywanie przy życiu czegoś tak niemożliwego byłoby dręczeniem samego siebie.

- Co jej powiesz? – zapytała Sanna.
- Powiem, że wróciłem, i zapytam, czy ma nowego chłopaka.

Zwolnili kroku. Sanna niemal opierała głowę na ramieniu Milesa, obejmowała jego rękę obiema dłońmi.

– A jeżeli okaże się, że tak? – zapytał Miles.

– To się pożegnaj i rozłączę.

– A jeżeli nikogo nie ma? – spytała Sanna.

Jej słowa na chwilę zawisły w powietrzu.

– Wtedy poproszę ją o wybaczenie, że tak długo się nie odzywałem, i zapytam, czy możemy się spotkać.

– A ona co odpowie? – odezwali się Sanna i Miles równocześnie.

Albert znów zamilkł, tym razem na dłuższą chwilę.

– Zgodzi się.

– Jesteś pewien? – zapytał Miles ze śmiechem.

Albert pokiwał głową.

– Tak, zupełnie pewien.

– To brzmi jak dobry plan – stwierdził Miles.

Trzymali się blisko drzew, żeby nie wychodzić na słońce. Nagle Milesa ogarnęło dziwne uczucie. Odwrócił się i rozejrzał.

– Co się dzieje? – zapytała Sanna.

– Nic – odparł Miles.

– A wy co zrobicie? – zapytał Albert po chwili.

Miles otrząsnął się z tamtego uczucia, które go ogarnęło.

– Mniej więcej to samo – powiedział.

– To znaczy?

– Zjemy coś na mieście – dodała Sanna. – Przespacerujemy się po Djurgården, przejedziemy autobusem, usiądziemy w kawiarni... pogapimy się na ludzi...

– A potem? Tak na dłuższą metę? – zapytał Albert.

Milesa znów ogarnęło to uczucie. Odwrócił się i obrzucił park spojrzeniem.

Sanna ostrożnie ścisnęła jego ramię.

– Spokojnie – szepnęła. – Odpręż się.

Zrobił, o co go prosiła, a potem na nią spojrział.

– Na dłuższą metę? Co ty na to, Sanna? Co będziemy robić na dłuższą metę?

– Postaramy się o dziecko – odparła.

– Tak, postaramy się – przyznał Miles i uśmiechnął się na tę myśl.

– Wszyscy będą myśleć, że to dziadek odbiera je z przedszkola – powiedział Albert.

– To prawda – mruknął Miles z udawanym przygnębieniem.

– To myślenie życzeniowe? – zapytał Albert.

– O dziecku? – zdziwił się Miles.

– Nie, to wszystko, o czym rozmawiamy.

– Możliwe... – przyznał Miles.

– Czyli co?

– Nie wiem, Albercie. Jeżeli tak się nie stanie... to pewnie będziemy żyć jak do tej pory...

Odwrócił się, ale niczego nie zobaczył. Sanna też spojrzała do tyłu.

– Co się dzieje? Dlaczego się oglądacie? – zapytał Albert, jakby miał oczy z tyłu głowy.

– To nic takiego – odparł Miles. – Po prostu miałem dziwne wrażenie. Nie ma się czym przejmować – dodał. Wsunął rękę pod kurtkę i odpiął kaburę.

– Może lepiej wracajmy? – zapytała Sanna.

– Tak, wracajmy – zgodził się Miles. Odwrócił wózek i ruszył w kierunku auta, przy którym czekał Michaił.

– Między nami a tobą jest różnica – powiedział Miles spokojnym głosem. – Ty masz mamę, która w tej chwili robi wszystko, żebyś mógł się spotkać z Anną... To, co nazwałeś myśleniem życzeniowym, dotyczy bardziej Sanny i mnie. Tobie się ułoży. Masz to zapisane w gwiazdach. Wszystko będzie dobrze. Dobrych ludzi spotykają dobre rzeczy...

Rozległy się strzały. Odległe i głośne. Na ułamek sekundy wokół nich zrobiło się dziwnie cicho. Jak gdyby wszystkie dźwięki, poza odgłosami wystrzałów, zostały odfiltrowane. Czas jakby zwolnił. Miles spojrzał Sannie w oczy i zobaczył w nich strach. A potem ból, gdy dwie pierwsze kule wbiły się jej w plecy i rzuciły ją na ziemię. Miles zasłonił sobą Alberta. Poczł ból w ramieniu. Kątem oka zobaczył, jak kula wyrywa kawałek mięsa. Kolejna kula trafiła w jego lewy bark. Upadł na ziemię. Ostatkiem sił udało mu się odepchnąć wózek z Albertem.

Strzały padały jeden po drugim. Kule przelatowały obok niego ze świstem. Dwie z nich trafiły go w dół pleców, a jedna wbiła mu się w bok, kiedy jak kłoda zwałił się na ziemię.

Rzeczywistość wróciła do niego, świat odzyskał dźwięk. Park, wiatr szumiący w koronach drzew... a potem ptaki histerycznie ostrzegające się nawzajem.

Miles leżał nieruchomo na ziemi. Nie był w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Poszukał wzrokiem Sanny. Wyglądała na nieżywą. Miała zamknięte oczy... Albert... Wózek się przewrócił.

Mógł poruszyć głową. Zobaczył, jak przerażeni ludzie uciekają na wszystkie strony. Spojrzał do tyłu... W oddali zobaczył sylwetkę Tommy'ego Janssona. Szedł w ich stronę. Szybko i pewnie. Pistolet wisiał w jego prawej dłoni.

Nagle usłyszał w pobliżu czyjś głos.

– Żyjesz?

Niedaleko leżał jakiś chłopak. Miał bystre oczy. Dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Leżał na trawie. Patrzył mu w oczy.

– Mężczyzna, który cię postrzelił, biegnie tu z bronią – powiedział chłopak.

– To ja jestem jego celem – powiedział Miles. – Pomóż tamtemu chłopcu wejść na wózek i uciekajcie stąd – poprosił.

– Zajmę się nim. Niech Bóg ma cię w swojej opiece – dodał chłopak, a potem zerwał się na nogi i podbiegł do Alberta.

Miles widział, jak stawia wózek, sadza na nim Alberta i odbiega.

Niektórzy ludzie tacy już są. Jakby mieli to we krwi. Pomagają, postępują właściwie, są częścią tego, co dobre.

Kompletne przeciwieństwo tego wszystkiego, Tommy Jansson we własnej osobie, wychynęło spośród drzew za plecami Sanny i Milesa. Tommy miał na sobie dres. Celował w Milesa. Wyglądał na rozbawionego.

– Kurwa, jak mogłeś myśleć, że masz ze mną choćby cień szansy? – zawołał.

Wycelował Milesowi w twarz.

Gdzieś daleko rozległ się huk wystrzałów. Michaił, pomyślał Miles. Michaił klęczał jakieś sto metrów dalej i strzelał do Tommy'ego, który schował się, gdy kule przelatywały obok ze świstem. Odwrócił się i zaczął uciekać, jednocześnie strzelając w stronę Milesa. Opróżnił cały magazynek. Pociski przelatywały Milesowi koło twarzy i głowy, ale ostatni trafił do celu. Dostał w bok.

Czuł, że cały organizm zamiera. Jak przez mgłę widział nadbiegającego Michaiła. Pomału wszystko zaczęło zwalniać.

Nagle dostrzegł nad sobą twarz Rosjanina. Zobaczył w niej niepokój. Michaił mówił do niego, działał szybko, sprawdzał, gdzie oberwał, i naciskał tam, gdzie tryskała krew.

– Sanna – szepnął Miles. – Pomóż Sannie!

Otoczyła go ciemność. Słyszał, jak Michaił krzyknął coś wściekle, zawołał go po imieniu, a potem zaczął walić pięścią w jego serce. Raz po raz.

Sztokholm

CAROLINE USŁYSZAŁA brzęknięcie w komputerze. Claudia z „El País” przesłała maila, do którego wkleiła informacje o Hectorze. Miał dwójkę rodzeństwa, siostrę Inez Guzman i brata Eduarda. Ojciec, Adalberto Guzman. Matka...

Pia Landgren.

Caroline gapiła się na ekran. To, co jej przyszło do głowy, było trochę naciągane, ale warte sprawdzenia.

Zadzwoiła do swojego kontaktu w prokuraturze.

– Sprawdź nazwisko Landgren – poprosiła.

Jej informator westchnął, jak zawsze.

– Jesteś tam – zapytała kilka razy.

– Tak – odpowiadał za każdym razem.

Czas włókł się niemiłosiernie.

– Zgadza się, Landgren. Sąd rejonowy. Z tego, co widzę, jest oskarżony w procesie o morderstwo. Ale dziwny numer sprawy... nie zgadza się z oznaczeniem. To odpowiada przestępstwu popełnionemu przez osobę ubiegającą się o azyl... Przed sekundą ktoś zaczął robić korektę. Chyba zmieni nazwisko...

– Jakie widzisz imię? – przerwała mu.

– Hektor. H-E-K-T-O-R.

Serce zaczęło jej bić szybciej.

– Ktoś właśnie zmienił nazwisko. Nie może być dwóch oskarżonych w jednym procesie...

– Co masz na myśli?

– Nic nie rozumiem... Ale ktoś właśnie zmienił Hektora Landgrena na Hektora Guzmana. I nie chodzi już o przestępstwo popełnione przez osobę starającą się o azyl. Nic nie rozumiem...

– Kiedy ma się odbyć proces?

Przygotowała długopis, żeby zanotować.

– Sąd rejonowy... niech no spojrzę... – mruknął pod nosem. – Teraz. Właśnie się odbywa. Sala numer dwa. Zaczął się pół godziny temu.

Sztokholm

SĘDZIA I ŁAWNICY siedzieli rzędem na podium. Hector spodziewał się, że zobaczy również tego policjanta. Ale Tommy Jansson się nie pokazał.

Nils Nilsson, jego obrońca, pulchny Skańczyk o świszczącym oddechu, ciężko klapnął na krzesło obok niego.

Sędzia otworzył proces, prokurator Kerstin Andersson wstała i zaczęła wygłaszać mowę wstępną. Była doświadczona i pewna siebie, potrafiła skupić na sobie uwagę.

– Hector Guzman jest oskarżony o morderstwo, do którego doszło przed rokiem w restauracji Trasten. Wykażemy, że...

Hector słuchał. Przemówienie było długie i skomplikowane. Głędziła przez dwadzieścia minut. Swoim nosowym, skrzekliwym głosem nakreśliła obraz wydarzeń sprzed roku.

Sama nie wiedziała, o czym mówi. Dowody były nieznaczące. Choć od czasu do czasu ocierała się o prawdę.

Zwróciła się do Hectora. Zaczęła zadawać mu pytania. Powiedział, że jest niewinny, zaprzeczył, że tam w ogóle był. Stwierdził, że nie wie, o czym ona mówi.

Kerstin nie dawała za wygraną i próbowała sprowokować go do popełnienia błędu. Odpowiadał chłodem, wzruszeniem ramion, odrobiną pogardy i sporą dozą milczenia.

Potem stało się to, czego się spodziewał. Pojawił się świadek. Najprawdopodobniej chodziło o Jensa Valla... Ku zdziwieniu Hectora głos był zniekształcony. Prokurator powiedziała coś do mikrofonu. Świadek odpowiedział metalicznym głosem.

– Słyszać mnie dobrze? – upewniła się Kerstin Andersson.

– Tak – potwierdził głos.

Przewodniczący ławników przerwał.

– Dlaczego głos świadka słyszać tak słabo i brzmi tak dziwnie? – zapytał.

– Mamy problem z zasięgiem – skłamała Kerstin. – Nie pierwszy raz.

Przewodniczący zakrył swój mikrofon dłonią i zapytał o coś protokolanta, który tylko wzruszył ramionami.

– Technicy już to sprawdzili – Kerstin kłamała dalej. – Muszą wymienić sprzęt, zrobią to za kilka tygodni.

– Jeśli dźwięk się pogorszy, przerwiemy i odroczy my sprawę. Proszę kontynuować – dodał.

Kerstin pokiwała głową i zwróciła się do mikrofonu:

– Restauracja Trasten, Vasastan, ponad rok temu – powiedziała i podała dokładną datę. Potem streściła to, co wiedziała. Podała dane ofiar, pokazała zdjęcia, łuski i ekspertyzy balistyczne. Narzędzie zbrodni, czyli zakrwawiony kuchenny nóż.

– Kto tam był? – zapytała.

– Hector Guzman i Aron Geisler, jego prawa ręka. Poza tym jeden Kolumbijczyk, kilku Rosjan i jeszcze kilka nieznanymi mi osób...

– Co się stało? Co robił Hector Guzman?

– Panował chaos...

– Proszę mówić tylko o tym, co dotyczy Hectora Guzmana.

Hector nadstawił ucha.

– Wywiązała się strzelanina. Hector złapał jednego z Rosjan. Z pomocą

Kolumbijczyka zawlókł go do kuchni.

– Rosjanin wtedy jeszcze żył?

– Tak.

– Co się działo potem?

– Wyszli z kuchni, cali zalani krwią.

– Kto taki?

– Hector i ten Kolumbijczyk.

Kerstin Andersson zwróciła się do sędziego i ławników:

– Ten Rosjanin, o którym opowiada świadek, został znaleziony w kuchni. Nie żył. Miał liczne rany od pchnięć nożem i ślady ciosów widoczne na twarzy i górnych partiach ciała. Zdjęcia i dane dotyczące tożsamości znajdują się na stronie czterdziestej ósmej w aktach razem z protokołem z obdukcji. –

Potem zwróciła się do świadka: – Proszę opowiedzieć coś więcej. Jak wyglądały zwłoki? Jak wyglądała kuchnia?

Głos wyjaśniał, co się stało. Rzeczowo, bezpośrednio, odważnie. Każde słowo było poważne i z każdym słowem położenie Hectora stawało się coraz gorsze.

* * *

Sophie oparła ramiona na podłokietnikach. Siedziała pochylona w stronę mikrofonu.

Słuchała pytań prokurator i na wszystkie odpowiadała. Modulator głosu przez cały czas świecił na zielono. Gdyby przestał działać, przerwałaby zeznania. Ale robił, co do niego należało.

Prokurator podziękowała jej za zeznania i poprosiła, żeby została. Sophie wyłączyła mikrofon i opadła na oparcie krzesła. Odetchnęła. Napiła się wody.

Nie zdjęła słuchawek. Zorientowała się, że technicy zapomnieli wyłączyć dźwięk. Słyszała, jak prokurator przedstawia dowody na to, że DNA Hectora

odpowiada śladom DNA znalezionym na zamordowanym mężczyźnie. Słuchała podsumowania swoich zeznań... Słuchała przemowy, która coraz bardziej zbliżała Hectora do dożywocia za morderstwo.

Sophie gładziła swoje dłonie.

Osiągnęła swój cel... Ale nie czuła radości.

Wyjęła telefon, przesunęła jedną słuchawkę za ucho i zadzwoniła do Alberta. Od razu włączyła się poczta głosowa.

– Cześć, synku. Chciałam po prostu usłyszeć twój głos. Niedługo tu skończę... Wydaje mi się, że poszło dobrze. Tęsknię za tobą. Niebawem znów będziemy razem...

Dźwięki dobiegające z sali zmieniły charakter. Rozległy się jakieś okrzyki.

Było coraz głośniejsze. Ludzie krzyczeli. Słysząc było głucho dudnienie.

Dobry Boże, pomyślała Sophie.

Za jej drzwiami rozległy się jakieś dźwięki. Ktoś tamtędy przebiegł. Potem terkotanie i huk. Coraz więcej krzyków. Wstała, podeszła do drzwi i je otworzyła. Uderzyła w nią ściana niewidocznego gazu. Straciła oddech i przestała cokolwiek widzieć. Cofnęła się. Udało jej się zamknąć drzwi. Nogi się pod nią ugięły i runęła na podłogę.

Nie mogła złapać oddechu.

* * *

Caroline stała naprzeciwko sądu rejonowego, po drugiej stronie ulicy pod żelaznym ogrodzeniem dworu Piperska Muren. Miała doskonały widok na wejście.

Na chodniku przed sądem stał wóz policyjny, w którym siedziało dwóch funkcjonariuszy. Mieli pochylone głowy i surfowali w swoich komórkach.

Wcześniej zrobiła sobie rundkę po sądzie. Rozprawa przeciwko Guzmanowi toczyła się za zamkniętymi drzwiami. Żadnych dziennikarzy,

żadnej obecności mediów, żadnego zainteresowania. Tak powinno być. Panował spokój, zbyt duży spokój...

Okazało się, że niedługo.

Z rykiem silnika nadjechała biała furgonetka. Wskoczyła na chodnik tuż za policyjnym wozem.

Wybiegło z niej czterech mężczyzn. Granatowe kombinezony, broń, na twarzach maski gazowe z podwójnymi filtrami. Rozbroili i skuli policjantów. Kazali im leżeć plackiem na ziemi. Wdarli się do środka. Po chwili z wnętrza sądu zaczęły dochodzić odgłosy wystrzałów i niewielkich eksplozji.

Caroline zorientowała się, że kuca i drżącymi palcami wybiera numer sto dwanaście.

– Strzelanina w sądzie rejonowym – powiedziała zdyszana. – Sąd okręgowy na Kungsholmen.

Rozłączyła się i wpatrywała w podwójne drzwi. Nikt nie wychodził... Ktoś spróbował, ale szybko się wycofał, zasypyany serią pocisków. Rozbrojeni policjanci krzyknęli, żeby nikt nie wychodził. Kule wbiły się w mur wokół drzwi. Potem posypały się na wóz policyjny. Przedziurawiły opony i rozbiły szyby. Koła pękły z hukiem, sygnął się deszcz odłamków szkła.

Caroline pochyliła się do przodu i spojrzała w prawo. Zobaczyła, że w jednym z okien hotelu Amaranten rozbłyska ogień z lufy.

* * *

Gaz łzawiący stworzył w sali sądowej mgłę.

Sędzia, ławnicy, prokurator i adwokat leżeli na podłodze, zanosili się kaszlem i próbowali gdzieś się schronić.

Hector dostał maskę gazową i został wyprowadzony przez Leszka, Leeviego, Victora i Kinga.

Wyszli z sali i ruszyli do wyjścia. Wszystko spowijały zasłony gazu

łzawiącego. Ludzie kaszleli, pociągali nosami i próbowali gdzieś się schować. Gdy ich mijali, niektórzy, widząc broń, krzyczeli, inni błagali o litość.

Leevi i bracia Hidalgo złapali każdy po jednej osobie postronnej i trzymali je blisko siebie jako tarcze. Leszek otworzył główne drzwi i pokazał się Aronowi. Potem krzyknął w głąb sądu, że wszyscy mają się wynosić. Nikt się nie wahał. Na ulicę wylał się tłum ludzi.

Hector złapał Leszka za ramię.

– To Jens świadczył przeciwko mnie. Jest gdzieś tam w środku, w sąsiadującym pokoju. Wie, gdzie jest Lothar. Znajdź go... dowiedz się, gdzie jest mój syn, i zastrzel Jensa.

Leszek odłączył się od nich i wrócił do korytarza.

Leevi i bracia, trzymając przy sobie zakładników, wyprowadzili Hectora na zewnątrz w tłumie ludzi, którzy w panice uciekali na świeże powietrze. Żywe tarcze osłaniały ich przez całą drogę do furgonetki, przy której je puścili. Leevi wyjechał na ulicę i ruszył w stronę hotelu.

Pozostali siedzieli z tyłu. Ściągnęli maski. Sonya, która tam na nich czekała, zajęła się Hectorem.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Dobrze – odparł zdyszany. Kaszlał i odchrząkiwał. – Zrobiłem kilka wdechów, zanim zdążyłem włożyć maskę.

– To przejdzie – powiedziała. – Spróbuj pooddychać – dodała i posmarowała mu twarz jakąś maścią, która złagodziła działanie piekącego gazu. – Posłuchaj mnie teraz – rzekła. – Trzy razy się przesiądziemy. Słyszysz?

Pokiwał głową.

– Wystarczy, że będziesz za mną szedł i robił to, co powiem. Żadnych sprzeciwów, żadnych pytań. Dobra?

Hector znów pokiwał głową.

Leevi odwrócił się do tyłu.

– Przesiadka za trzydzieści sekund – poinformował.

Wrócił pod hotel i zjechał do garażu. Wszyscy czuli się nieswojo. To było wbrew instynktowi, który mówił im, żeby uciekać... Ale taki był plan Leszka i musieli go wykonać.

Skręcili do pogrążonego w mroku garażu, koła zapiszczały na gładkim betonie i stanęły w miejscu. Otworzyły się tylne drzwi. Za nimi pokazał się Aron.

Hector i Aron spojrzeli na siebie.

– Dziękuję, Aron – powiedział Hector.

Aron poklepał go po ramieniu, kiedy Hector zeskakiwał na ziemię. Klepięcie nie wyszło najlepiej, ruch był niepewny, zbyt słaby, zdystansowany i bezosobowy.

– Razem z braćmi odjadę tym – powiedział Aron i pokazał volvo XC90. – Audi zostawimy Leszkowi. Ty i Sonya pojedziecie z Leevim drugą furgonetką.

Leevi już przy niej stał. Była tej samej wielkości co ta, którą przyjechali, ale miała logo FedEx. Zdjął kombinezon. Pod nim miał granatową koszulkę polo i granatowe krótkie spodenki. Wyglądał jak kurier.

Zatrzasnął drzwi i odpalił silnik. Dźwięk odbił się echem od betonowych ścian.

Furgonetka i volvo wyjechały z garażu na oślepiające słońce. Rozjechały się w dwie różne strony.

Na ulicy narastało wycie policyjnych syren.

* * *

Sophie leżała na podłodze i oddychała przez bluzkę.

Ilość gazu, która dostała się do pokoju, była wystarczająca, żeby pozbawić ją zdolności działania. A gdzieś tam był Hector i jego ludzie...

Nagle ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Wszystko działo się bardzo wolno. Do środka wszedł mężczyzna w niebieskim kombinezonie, w dłoni miał broń, a na twarzy maskę gazową. Patrzył na nią. Kiedy oddychał, z maski wydobywał się syk.

Dotarło do niej położenie, w jakim się znalazła. Hector był na wolności, Tommy pozostanie na wolności. Ona umrze...

A co sobie wyobrażała? Że jej się uda?

Gdyby można było znaleźć źdźbło komizmu w piramidalnym niepowodzeniu, to właśnie z czegoś takiego należałoby się śmiać. To teraz należałoby odtworzyć z taśmy sztuczny śmiech, tak żeby publiczność też zaczęła się śmiać i uderzać otwartymi dłońmi o kolana. To była puenta. Puenta jej kolosalnej porażki.

Mężczyzna pod maską nie przestawał się na nią gapić.

– No zastrzel mnie wreszcie – powiedziała.

* * *

Chwilę potrwało, zanim zrozumiał, kogo widzi.

Całe jego wnętrze pożegnało się z nią pół roku wcześniej. Czuł ogromny smutek, kiedy Aron powiedział, że nie żyje... że ktoś ją zamordował. A tymczasem leżała przed nim na podłodze, żyła, oddychała... powiedziała, żeby ją zastrzelił.

Wsunął pistolet do kieszeni i pomógł jej wstać. Żyła... Poczuł rodzaj radości. Sophie stała chwiejnie na nogach.

Cofnął się o krok. Rozprostował palce prawej dłoni i kilka razy je zacisnął. Starannie wycelował i wymierzył Sophie cios z dołu w brodę. Trafił idealnie. Sophie momentalnie zemdląca.

Leszek złapał ją i ostrożnie położył na podłodze.

Zdjął kombinezon, pod którym miał zwyczajne ubranie. Pistolet zostawił na

kombinezonie. Podniósł Sophie, przewiesił sobie przez ramię, potem wziął głęboki oddech przez maskę, ściągnął ją i wyszedł na korytarz. Ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Sonya i Hector usiłowali zachować równowagę na tyle furgonetki, którą Leevi mknął przez miasto.

– Spróbuj siedzieć nieruchomo – poprosiła Sonya i wycisnęła klej, rysując linię nad jego czołem. Wyjęła z torby perukę i przykleiła mu do głowy. Fryzura przypominała tę, którą zwykle nosił, ale włosy miały nieco inny kolor i były dłuższe.

Cofnęła się odrobinę, przyjrzała mu się i zmierzwiła włosy dłonią. Potem przykleiła mu wąsy, nieco dłuższe, niżby należało, opadały na kąciki ust. Pasowały mu. Sonya się uśmiechnęła.

– O co chodzi? – zapytał.

– Nic. Pięknie wyglądasz – powiedziała.

– Dziękuję – odparł. Ale miał na myśli nie tylko drobny komplement, chodziło mu o coś więcej, także o to, że wszystko się udało.

– To ja dziękuję. W Stanach, kiedy czekaliśmy na rozprawę w Miami, powiedziałeś, że wszystko wydaje się takie bezsensowne. Nadal tak czujesz?

Spojrzał na nią i pokręcił głową.

– Nie. Teraz pojedziemy po Lothara, utniemy łeb Don Ignaciowi i weźmiemy się za Ralpa Hankego... Potem zobaczymy.

– Dobrze. Musisz się w to przebrać – powiedziała i podała mu stertę złożonych ubrań.

Zrobił, o co prosiła. Dostał okulary i szkła kontaktowe, które zmieniły kolor jego oczu na brązowy.

Przyjrzała mu się, żeby sprawdzić ostateczny efekt. Szukała oznak tego, że

był przebrany.

– Powinno zdać egzamin – stwierdziła zadowolona.

– Policja! – zawołał nagle Leevi.

Wyjrzeli przez przednią szybę. Policyjny wóz stanął w poprzek Barnhusbron, na skrzyżowaniu Tegnératan i Dalagatan. Zrobił się korek.

– Mam zawrócić? – zapytał Leevi, hamując.

– Jak to wygląda za nami? – zapytał Hector.

Leevi spojrział we wsteczne lusterko.

– Ulica się korkuje – stwierdził.

– Inne drogi?

Leevi zaczął się rozglądać.

– Nie uda mi się ich wyminąć – stwierdził.

– Zawsze możemy zawrócić – powiedziała Sonya. – Ale istnieje ryzyko, że wpakujemy się prosto w paszczę lwa. Po drugiej stronie też pewnie jest blokada.

Hector uniósł się odrobinę i wyjrzał przez przednią szybę.

– A jeżeli zjedziemy na drugi pas i utworzymy sobie drogę, strzelając?

– Widzę trzech policjantów, wszyscy mają kamizelki – odparł Leevi. – Jeden rozmawia z kierowcą, w dłoni ma broń. Drugi przeszukuje auto. Nie widzę u niego broni. Trzeci stoi kawałek dalej z kałachem i ma wszystko na oku.

– I co z tego? – zapytał Hector.

– Jeżeli tylko spróbujemy przejechać, zrobią z nas sieczkę – powiedział Leevi.

Denerwowali się coraz bardziej.

– Zostajemy – postanowiła Sonya. – Musimy spróbować szczęścia. Może nas przepuszczą. Nie możemy zaczynać strzelaniny w środku miasta. Za dużo ludzi.

Wolno posuwali się do przodu.

– Kiedy następna przesiadka? – zapytał Hector.

– Musimy podjechać pod górkę. Za parkiem – odpowiedziała Sonya.

Od zatory dzieliły ich cztery samochody.

Hector spróbował się uśmiechnąć do Sonyi. Ale rozczarowanie było kolosalne.

Trzy samochody...

– W porządku – powiedział. – Nie zginiemy. Nie tu i nie dzisiaj. Musicie jechać dalej. Wskoczę, podejść do policjantów i wydam się w ich ręce. Trzymajmy kciuki za to, żeby wam udało się przejechać. Dziękuję wam, drodzy przyjaciele.

Wstał i ruszył do przodu, w stronę drzwi dla pasażerów.

Za nimi rozległ się ryk silnika.

– Poczekaj – powiedział Leevi.

Dużego, agresywnego silnika. Leevi nie odrywał wzroku od lewego wstecznego lusterka. Na środkowy pas wjechała ciężarówka. Ogromna jak dom. Kratka chłodnicy duża i błyszcząca. Przy zmianie biegów rozległ się syk, silnik cały czas zwiększał obroty, z pionowej rury wydechowej unosiły się kłęby dymu. Potwór rozpychał inne samochody, rysował ich lakier, przesuwając się do przodu, cały czas zwiększając prędkość.

Ciężarówka minęła ich o włos. Rozległ się huk, gdy urywała im lusterko. Ryczała jak wygłodniały drapieznik. Pędziła wprost na policjantów i radiowóz.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Leevi.

Nie odrywali od ciężarówki wzroku.

– Jedź za nią! – krzyknęła Sonya bez zastanowienia.

Leevi posłuchał. Wyjechał z rzędu samochodów i nadepnął pedał gazu.

Widzieli, jak policjanci uskakują na bok i jak ciężarówka uderza w tył

policyjnego wozu, ten robi pół obrotu i wjeżdża na Dalagatan. Jeden z policjantów opróżnił magazynek swojego karabinu, ale ciężarówka jak gdyby nigdy nic pomknęła Tegnératan.

Leevi cały czas jechał tuż za nią. Na pierwszym skrzyżowaniu ciężarówka skręciła w lewo, a oni w prawo.

– Zaraz przesiadka – powiedział i gwałtownie skręcił w lewo. – Przygotujcie się – zawołał. Dodał gazu, silnik ryknął.

Znów skręcili w lewo. Hector i Sonya oparli się o ścianę.

– Cały czas musisz ją mieć na sobie. W wewnętrznej kieszeni masz zaszyty niewielki rewolwer. Łatwo się do niego dostaniesz. W innej kieszeni leży fałszywy paszport, na który wyjedziesz.

Furgonetka FedEx gwałtownie zahamowała. Leevi naciągnął na siebie spodnie do biegania i wyskoczył z auta.

– Zapamiętaj imię, nazwisko i numer osobowy – powiedziała Sonya do Hectora.

Tylne drzwi się otworzyły i Leevi dał im znak, żeby wysiedli.

Sonya zaprowadziła Hectora do niebieskiego passata zaparkowanego przy chodniku. Wszystko działało się bardzo szybko. Leevi miał na sobie spodnie do biegania, tę samą koszulkę, ale bez logo FedEx, które odczepił, pulsomierz i pas z przymocowaną do niego butelką z wodą. Zaczął truchtać w dół Tegnératan w stronę Sveavägen. Biegacz jakich wielu.

Sonya włączyła silnik i wrzuciła bieg.

– Leevi będzie biegł przed nami. Jeżeli coś się wydarzy, będzie mógł zainterweniować – powiedziała i ruszyła za Leevim. Victor, King i Aron jechali za nimi.

– Kto był w ciężarówce? – zapytał Hector.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Może sam Bóg Ojciec.

– Jest po naszej stronie?

Rzuciła mu spojrzenie.

– Jasne, że tak. W końcu to my jesteśmy ci dobrzy.

Uśmiechnęli się lekko.

* * *

Caroline stała na ulicy przed budynkiem sądu.

Policjanci nie zdążyli się zorganizować. Biegali wkoło z gnatami w dłoniach i wrzeszczeli na siebie nawzajem. Kilku gliniarzy, w mundurach i po cywilnemu, nadbiegło z pobliskiego komisariatu. Każdy miał w dłoni spluwę. Panował kompletny chaos. Ludzie wybiegli na ulicę w chwili, gdy z budynku sądu wyszli mężczyźni w kombinezonach. Prowadzili kogoś w masce gazowej. Najprawdopodobniej Hectora Guzmána. Odjechali furgonetką.

Ofiary gazu łzawiącego leżały tu i tam i wymiotowały. W oddali słychać było syreny karetek.

Ludzi, którzy wyprowadzili Hectora, było za mało. Weszło czterech, wyszło tylko trzech.

Caroline uważnie się wszystkim przyglądała. Szukała Sophie. Niektórzy odchodzili, wspierając się na innych. Inni siedzieli na schodach i chodniku. Weszła na niewielki murek przy ogrodzeniu, żeby mieć lepszy widok. Jakiś mężczyzna niósł kobietę, jakaś para się obejmowała... Mężczyzna, który niósł kobietę... Caroline zwróciła na niego uwagę. W jego ruchach widać było zdecydowanie. Kobieta, którą niósł, to była Sophie.

Caroline ruszyła za nim.

* * *

Leszek skorzystał z zamieszania. Zszedł po schodach, przeszedł przez ulicę. Nikt go nie zatrzymał. Dotarł do hotelu i przedostał się do garażu. Nikogo tam

nie było... Zostawili mu audi. Kluczyki leżały na jednym z tylnych kół.

Otworzył bagażnik i położył w nim Sophie. Okleił jej taśmą ręce, nogi i usta. Na tylnym siedzeniu znajdowała się część, którą można było otworzyć. Służyła do przewozu nart. Dzięki niej zobaczy, kiedy Sophie się obudzi, a Sophie będzie miała dopływ powietrza i uniknie klaustrofobii.

Usiadł za kierownicą, ale nie ruszył. Musiał się zastanowić... Tyle że nie potrafił uporządkować myśli. Odwrócił się i spojrzał na Sophie. Przynajmniej żyła. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, ale czuł ulgę.

Odpalił silnik. Zrobi, jak ustalili. Dogoni innych, ucieknie razem z nimi. Ale najpierw będzie musiał porozmawiać z Sophie... Kiedy ta oprzytomnieje.

* * *

Sonya podała Hectorowi jakąś kartę.

– Miej ją w gotowości – powiedziała, skręciła w lewo w Sibyllegatan i ruszyła w stronę Valhallavägen. Hector przyjrzał się niebieskiemu prostokątowi.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał.

– Będziesz jechał autobusem.

Miał ochotę zaprotestować.

– Przygotuj się do opuszczenia samochodu – powiedziała, rzuciła okiem w lusterko i skręciła w Valhallavägen. Ruch był spory. Sonya pokazała przystanek kawałek dalej.

– Linia numer jeden. Wejdz i usiądź tak daleko z tyłu, jak tylko się da.

– Mam jechać sam? – zapytał.

– Nie, ja też pojedę.

Podjechała do krawężnika.

– Teraz – powiedziała.

Hector otworzył drzwi i wysiadł. Sonya pojechała dalej.

Podszedł do wiaty. Czekala pod nią grupka ludzi. Dziwnie się czuł. Nigdy w życiu nie czekał na autobus. Karta w dłoni, mały pistolet w wewnętrznej kieszeni, przejeżdżające auta, zapach spalin w rozgrzanym letnim powietrzu. Rozejrzał się dookoła. Poczłł się samotny.

Z Jungfrugatan wyłonił się długi autobus. Na tablicy nad kierowcą świeciła się jedyńka.

Opony autobusu zaskrzypiały o krawężnik. Pojazd stanął, układ hydrauliczny opuścił podłogę i drzwi się otworzyły. Hector wsiadł razem z innymi pasażerami przez środkowe drzwi. Obserwował innych i tak jak oni przesunął kartę przed czytnikiem. Rozległo się krótkie piknięcie. Uznał, że wszystko jest w porządku.

Przeszedł na tył autobusu, podczas gdy ten zaczął włączać się do ruchu. Na samym końcu zobaczył jedno wolne miejsce. Usiadł przy oknie.

Sonya siedziała z przodu. Nie widział, jak wsiadała. Musiała wyskoczyć z auta kawałek dalej. Patrzył przez okno. Przyglądał się zielonej alei drzew. Przejeżdżającym autom. Dostrzegł volvo z braćmi Hidalgo. Zwolniło i zjechało za autobus. Z przodu zobaczył samochód, którym przed chwilą jechali. Teraz za kierownicą siedział Leevi.

Wszystko szło zgodnie z planem. Inni zajęli się nim, otoczyli go opieką. Nie zasługiwał na to. Płynął przez egzystencję jak kot o dziewięciu życiach. Zaczynały mu się kończyć, zużywał je zbyt szybko.

Na dole, koło Fältöversten, autobus znów się zatrzymał. Ludzie wysiadali i wsiadali. Przednimi drzwiami wszedł jakiś mężczyzna, który miał problem z kartą. Był starszy, sprawiał wrażenie porządnego. Kierowca pomógł mu i mężczyzna przeszedł dalej. Lewą rękę wsunął do kieszeni marynarki. Sonya wstała, ruszyła za nim i coś mu powiedziała. Wyjął dłoń z kieszeni i podniósł obie ręce odrobinę do góry, jakby chciał pokazać, że jest nieuzbrojony.

Był chyba ostatnią osobą, jaką Hector spodziewał się zobaczyć w tym

autobusie. Nigdy nie widział go na żywo. Wyglądał starzej, niż Hector się spodziewał.

Ten mężczyzna zamordował mu ojca, brata i porwał jego syna. To przez niego Hector zapadł w śpiączkę, to on ukradł mu całą organizację i majątek. To on był przyczyną całego zła... On, Ralph Hanke.

43

Praga

SAMOCHÓD MICHAŁA sunął po wybrukowanych uliczkach, utrzymując tę samą prędkość co dwie jadące z przodu karetki. Albert podskakiwał na tylnym siedzeniu to w lewo, to w prawo. Próbował trzymać się uchwyty przy drzwiach. Przez otwarte okno wiatr wpadał do środka.

Michał prowadził szybko i z wprawą. Wrzucał to niższy, to wyższy bieg. Obroty silnika to zwiększały się, to znów zmniejszały.

– Może być więcej napastników – powiedział Michał, pochylił się w stronę schowka, otworzył go, wyjął pistolet i podał Albertowi.

Albert zauważył, że na rękach miał krew. Krew Milesa i Sanny.

Sprawdził broń. Magazynek był pełny.

– W szpitalu będziemy trzymać się blisko siebie i blisko Sanny i Milesa – oznajmił Michał. – Strzelamy, jak tylko coś wyda się nam podejrzane.

Michał wyprzedził na zdecydowanie zbyt wąskiej uliczce. Wskoczył na chodnik, nacisnął klakson, a potem wrócił na jezdnię.

– Dasz radę? – zapytał Alberta.

– Tak – potwierdził Albert.

Michał spojrział we wsteczne lusterko i poszukał jego wzroku.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Tak, jestem pewien – odparł Albert z pistoletem w dłoni. – Oni żyją?

– Nie wiem – powiedział Michał. – Ale jeśli wziąć pod uwagę prędkość,

z jaką jedzie karetka, możemy mieć taką nadzieję.

Żeby się nie rozkleić, Albert spróbował skupić się na sytuacji. Wyrzał przez okno na błękitne niebo widoczne nad dachami domów. Wydawało się dzisiaj bardzo odległe, za bardzo, jak gdyby w ogóle ich nie chroniło. Nic ich nie chroniło. Miles i Sanna chyba nie żyli. Możliwe, że mama też... Czy został mu tylko Michaił?

Przemknęli ulicami Pragi i wjechali za karetką na teren szpitala.

Michaił zatrzymał auto, wyjął wózek i go rozłożył. Albert przeniósł się na niego, położył sobie pistolet na kolanach i przykrył go swetrem. Ruszyli do wejścia.

Po twarzy Alberta płynęły łzy. Michaił zobaczył to kątem oka. Albert szybko je otarł.

– Złap broń, mały – powiedział Michaił. – Ona cię pocieszy.

Sztokholm

NIEBIESKI AUTOBUS przedzierał się przez zatłoczone ulice Sztokholmu.

Hector przyjrzał się Ralphowi. Hanke był nienagannie ubrany. Koszula, garnitur. Starał się sprawiać wrażenie spokojnego i wyluzowanego. Usiadł po drugiej stronie przejścia. Ale nie był spokojny. Czuć było, że się denerwuje i jest pełen podejrzeń. Jego oczy cały czas się poruszały, jakby starał się rejestrować wszystko, co się wokół niego działo.

Sonya siedziała z pistoletem w dłoni na miejscu za nim. Gotowa zastrzelić go w każdej chwili.

– Mów – rzucił Hector niechętnie.

– Kilka dni temu dowiedziałem się, że tu jesteś. Chcieliśmy cię uwolnić, ale twoi ludzie zdążyli przed nami... To moja ciężarówka uratowała cię przy moście.

– Czego chcesz? Co tu robisz?

– Pomóż mi załatwić Don Ignacia.

– Nie jestem zainteresowany – stwierdził Hector.

Autobus wspinał się na Värtavägen. Ralph Hanke szybko spojrzał w okno za plecami Hectora.

– Jeżeli będziesz chciał odebrać to, co jest twoje, będziesz mnie potrzebował. Domyślam się, że taki jest twój zamiar.

– Najbardziej naturalną rzeczą byłoby dla mnie wyjęcie pistoletu

i strzelenie ci w głowę. I najbardziej satysfakcjonującą... Powiesz mi, dlaczego miałbym tego nie robić?

– On ma naszych synów – powiedział Hanke.

– Słucham?

– Ma też mojego syna, Christiana – wyjaśnił Hanke.

Hector czekał.

– Don Ignacio porwał mojego syna, moją prawą rękę. Przejął większą część moich interesów i kontaktów. To samo zrobił tobie.

Hector gapił się na Hankego. Udało mu się opanować i pokręcić głową. Na jego ustach pojawił się uśmiech, nieświadomy. Uśmiech zamienił się w wybuch śmiechu. Hector zanosił się śmiechem. Pochylił głowę, kciukiem i palcem wskazującym złapał nasadę nosa, ale śmiech nie dawał za wygraną.

Ralph wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Sztywny jak struna, nieswój.

Hector próbował jakoś powstrzymać kolejne fale śmiechu. Sam nie wiedział, z czego się tak śmieje. Chyba głównie z tego, że Ralph Hanke został wystrychnięty na dudka. Ale nie tylko. Bawiły go wszystkie myśli i uczucia. Został właśnie odbity podczas własnego procesu. Miał perukę i sztuczne wąsy, jak jakiś klaun. A Ralph Hanke siedział obok niego w autobusie i prosił go o pomoc. Choć w zasadzie to nie było zabawne. Możliwe, że surrealistyczne... lecz nie zabawne.

Spojrzał na Hankego. Jego uśmiech zniknął. Zastąpił go mrok, kompletny pieprzony mrok.

– Mojego syna nie ma, już nie – powiedział. – Niepotrzebnie się trudziłeś. Mam nadzieję, że Don Ignacio podetnie gardło twojemu synowi i rzuci go zwierzętom.

– Gdzie on jest? – zapytał Hanke. – Gdzie jest twój syn?

– Tam go nie ma.

– A wiesz, gdzie jest Christian? – zapytał Hanke ostrożnie.

Hector nie odpowiedział. Hanke przeciągnął palcem wskazującym po brwi.

– Don Ignacio jest naszym wspólnym wrogiem. W tej sprawie możemy współpracować – powiedział.

– Jak?

– Wyeliminujemy go z gry. Na dobre.

– A potem?

– Pozwolisz mi zabrać Christiana i wrócić do domu. Nie jestem zainteresowany organizacją Don Ignacia, możesz ją przejąć.

Hector pokręcił głową.

– Nie... – odparł.

– Ignacio nie odpuści, dopóki nie pozbędzie się nas obu, na zawsze.

Hector wzruszył ramionami. Nie miał na ten temat nic więcej do powiedzenia.

– A co myślałeś? – zapytał. – Że przyjedziesz, porozmawiasz ze mną i będzie tak, jak zechcesz?

Ralph przez chwilę się zastanawiał. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale je zamknął.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Autobus zahamował na przystanku przy Värtavägen.

Ralph Hanke wstał. Nie patrząc na Sonyę, podał jej wizytówkę.

– Będę w pobliżu, w każdym razie przez jakiś czas – oznajmił. – Jestem otwarty na propozycje.

Ralph wysiadł. Autobus włączył się do ruchu.

Hector myślał. Sonya czekała.

– Nikomu ani słowa o tym, co się stało – powiedział cicho. – Ani Aronowi, ani Leszkowi... Nikomu.

* * *

Sophie obudziła się, poderwała i uderzyła głową o blachę.

Leżała w kompletnych ciemnościach. Zorientowała się, że usta, ręce i nogi ma zaklejone taśmą. Wpatrywała się w mrok. Za nią było odrobinę jaśniej. Spojrzała przez niewielki otwór między siedzeniami. Na zewnątrz zobaczyła coś, co przypominało wielki garaż. Oświetlony, z mnóstwem żelaznych belek. Widziała dachy innych samochodów, ustawionych ciasno jeden przy drugim. Gdzieś pod nią słychać było jednostajne dudnienie. Miała wrażenie, że wolno się kołysze... Łódź... statek... prom...

Zaczęła kopać w klapę bagażnika. Kopniaki były mocne i głośne. Nie przestawała walić nogami w metal.

Nagle usłyszała gdzieś blisko męski głos.

– Nikt cię tu nie usłyszy.

Zamarła.

– Jesteśmy na pokładzie promu. Jest zamknięty i nikogo tu nie ma...

Leszek, pomyślała. Nie widziała go, ale domyśliła się, że siedzi na tylnym siedzeniu, tuż obok otworu między siedzeniami.

– Zdejmę ci teraz taśmę – powiedział. – Nie krzycz, proszę. Mruknij, że mnie rozumiesz.

Mruknęła przez taśmę.

Jego twarz pokazała się w otworze. Ich oczy na sekundę się spotkały. Odwrócił wzrok, jakby się wstydził. Oderwał taśmę i się schował.

Odetchnęła.

– Leszek?

– Nie żyjesz – powiedział. – Od pół roku. Opłakaliśmy cię...

– Jak umarłam?

– W Danii, Aron znalazł twoje ciało.

Sophie wbiła wzrok w klapę bagażnika.

– Znalazł? – zapytała.

– Kiedy przyszedł, już nie żyłaś.

– Wydaje ci się to prawdopodobne?

Nie odpowiedział.

Żałowała, że nie może spojrzeć mu w oczy, wtedy łatwiej byłoby jej zrozumieć.

Zastanawiała się, rozważała różne możliwości... Mówił szczerze? Naprawdę nie wiedział? Chyba tak... Inaczej by ją zabił.

– Aron był w Danii – zaczęła.

– Mów dalej...

– Uciekliśmy do domu Jensa. Ukryliśmy się. Aron nas namierzył. Zostaliśmy napadnięci przez policjanta, Tommy’ego Janssona, który zjawił się z jakimś pomocnikiem. W czasie tego ataku Aron wszedł do domu i dźgnął mnie nożem.

– Kto był wtedy w domu?

– W tamtej chwili tylko ja, Michaił i Lothar. Miles i Jens wyszli na zewnątrz. Próbowali podejść Tommy’ego i jego snajpera.

– Co zrobił Aron? Próbował zabrać ze sobą Lothara?

– Nie... – odparła. – Przyszedł, żeby mnie zabić, a potem zniknął.

Przez chwilę nic się nie działo.

– Leszek?

– Tak? – mruknął.

– To jest gra?

– Co masz na myśli?

– Udajesz? Udajecie? Wzięliście mnie na zakładnika, dopóki nie dotrzecie w bezpieczne miejsce? To dlatego nie zabiłeś mnie w sądzie?

Usłyszała odgłos taśmy odrywanej z rolki. Leszek pochylił się do środka, zakleił jej usta i zamknął otwór między siedzeniami.

Otoczyły ją kompletne ciemności.

Sztokholm

OBŁOKI PALONEJ GUMY uniosły się spod kół airbusa, gdy ten lądował na pokrytym betonem pasie numer trzy lotniska Arlanda. Tommy gwałtownie się obudził. Samolot zaczął hamować. Tommy wyrzał przez okno i próbował oprzytomnieć. Wrócił do niego fragment snu... Gotował z córkami. Czas i miejsce się nie zgadzały. On był stary, one małe, gotowali w aneksie kuchennym w jego wydziale na komisariacie. On był szczęśliwy i czuł ulgę, one zdawały się wystraszone i zdystansowane.

W samochodzie na parkingu Tommy wyjął telefon ze schowka i go włączył. Kilka razy rozległ się sygnał oznaczający, że dostał wiadomość. Nie przejął się tym, tylko zaczął surfować w sieci. Wszedł na strony sztokholmskich gazet. Chaos po odbiciu oskarżonego z sądu okręgowego.

Stało się to, co przewidział, że się stanie. Gazety rozdmuchały sprawę, ale nic nie miały. Na razie. Wszystko było zbyt świeże.

Jak puzzle, w których każdy kawałek pasował cholernie dobrze. To było takie łatwe i proste...

Szukał informacji o zabitych, ale niczego nie znalazł.

Zadzwoił do Kerstin.

Odebrała.

– Gdzie ty jesteś?! – wrzasnęła.

– Co się, do cholery, stało? – zapytał z udawanym niepokojem.

– Gdzie jesteś? Gdzie byłeś?

– W domu. Na czymś się przejechałem... problem z żołądkiem. Cały dzień byłem nieprzytomny.

– W domu? Człowieku, ty jesteś w domu?

– Kerstin, powiedz, co się stało.

– Odbili go. Weszli do sali sądowej, czterech ludzi. Zabrali go i tak po prostu zniknęli... Nie ma go.

– A co ze świadkiem? Z Brinkmann?

– Nie wiem, gdzie ona jest. Pewnie uciekła, jak wszyscy. Wszędzie był gaz łzawiący. Teraz to akurat najmniejszy problem. Musimy się spotkać. I lepiej żebyś miał plan, jak to wszystko rozwiązać i odwrócić ode mnie uwagę. Dziennikarze wariują...

– Ale przecież musisz wiedzieć, gdzie ona jest. Nie dzwoniła?

– Kto?

– Brinkmann!

Sekunda ciszy.

– Tommy Janssonie, ty bezwartościowy idioto! Skoncentruj się na tym, co mówię! Załatwisz to, weźmiesz wszystko na siebie, tak jak się umawialiśmy. Będziesz mnie chronił. Słyszysz, co mówię?! – ryknęła Kerstin.

Rozłączył się z babskiem.

Próbował się skupić. Jeśliby ją załatwili na miejscu, powinno już być o tym wiadomo... Może Hector zabrał ją ze sobą... a może zdążyła uciec...

Przeczytał esemesy, które dostał. Prawie same bezsensowne sprawy związane z pracą. Kilka nieodebranych połączeń. Odsłuchiwał pocztę głosową. Pierwsza wiadomość była od Lennartssona, kolegi z tego samego wydziału. Był wstrząśnięty i wzburzony.

– Eddie leży w szpitalu Söder. Ktoś go skatował. Był torturowany. Kiedy go przywieźli, prawie nie żył... Pilnujemy go na zmianę. Jestem teraz u niego.

Cholera wie, co się stało. Ale znajdziemy tego skurwiela, który mu to zrobił...
Odezwij się, jak tylko będziesz mógł.

Połączenie została przerwane.

Tommy gapił się przed siebie. Kawałki puzzli, które przed chwilą tak świetnie do siebie pasowały, zrobiły się kanciaste i nierówne. Eddie żył... możliwe, że Sophie również.

Otarł usta i odpalił silnik.

Jechał w ciszy. Żadnej muzyki. Tylko on i silnik.

* * *

Eddie otworzył oczy. Białe ściany, biały sufit. Był podłączony do wszelkiej możliwej aparatury. Lewe przedramię miał w gipsie. Nieznacznie się poruszył. Wszędzie czuł pieczenie. Ból był ostry i tak silny, że podobnego nigdy wcześniej nie doświadczył. Ciało stawiało opór i nie chciało go słuchać. Próbował leżeć zupełnie nieruchomo. Ale nic to nie zmieniało. Ból i pieczenie nie ustawały, przesywały go niczym rozżarzone żerdzie.

Dosięgnął guzika na przewodzie i kilka razy go nacisnął.

Przez minutę albo dwie nic się nie działo. Potem wielkie drzwi się otworzyły. Usłyszał szuranie paska, który miał zbierać kurz.

– Obudził się pan. Jak się pan czuje? – zapytała pielęgniarka. Miała krótkie blond włosy i błękitny strój.

– Boli – odparł Eddie i przełknął ślinę. Czuł suchość w gardle, suchość wszędzie.

Pielęgniarka pokazała mu, gdzie ma nacisnąć, żeby podać sobie leki przeciwbólowe.

– Trzy razy. Nie więcej, bo to będzie niebezpieczne. Potem trzeba odczekać godzinę.

Od razu nacisnął trzy razy.

– Doktor zaraz do pana przyjdzie – powiedziała. – Ma pan priorytet. I proszę się nie bać, pod drzwiami siedzi policjant.

Pielęgniarka wyszła. Drzwi znów zaszurały.

Pomyślał, że musi się stąd wynosić, i to jak najszybciej.

Odsunął kołdrę i podniósł szpitalną koszulę. Pod nią był nagi. Wszystkie rany zostały zszyte. Wyglądały jak tory kolejowe. Krwawe tory...

Spróbował się podnieść. Ból w okolicach brzucha od razu dał mu się we znaki. Chwycił guzik od morfiny i nacisnął cztery razy. Potem jeszcze trzy. Narkotyk dostał się do organizmu, przyniósł cudowny spokój i odsunął ostre kolce bólu. Udało mu się usiąść.

Drzwi się otworzyły.

Za nimi stał Lennartsson. Rozczochrane włosy. Zdawał się przestraszony. Był ubrany jak emeryt. Wyglądał, jakby przed chwilą karmił kaczki w parku. Krótka beżowa kurtka z kraciatą podszewką, spodnie z gabardyny, wygodne buty. Emerycki szyk, mimo że zostało mu co najmniej piętnaście lat na służbie.

– Cholera, chłopie. Znajdziemy tego skurwiela, który ci to zrobił. Obiecuję.

Najwyraźniej wyznawał zasadę, która tak naprawdę nie istniała. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego i tym podobne bzdury, które znał z telewizji. Możliwe, że Lennartsson całe życie czekał na taką okazję. Bo w wydziale kompletnie się nie liczył. Dostawał najmniej ważne sprawy, był przesadnie miły dla wszystkich, nie potrafił samodzielnie podejmować decyzji, nie miał własnych poglądów i w zawołowany sposób obgadywał innych.

– Co się stało?

– Nie teraz, Lennartsson, jestem zbyt wykończony.

– Widziałeś, kto to był?

– Było ich dwóch, mieli kominiarki... Na pewno ktoś, kogo wcześniej posłałem do paki. Potem będziemy musieli wszystko posprawdzać – powiedział Eddie.

– Jasne, chłopie. Potrzebujesz czegoś? Mam do kogoś zadzwonić?

Lennartsson zgrywał troskliwego.

– Dziękuję ci za wszystko – rzekł Eddie. – Muszę odpocząć... Nie chodzi o ciebie... doceniam, że tu jesteś.

Do niego trzeba było tak mówić, inaczej poczułby się dotknięty.

Lennartsson podniósł dłonie w górę.

– Dobrze, dobrze, rozumiem – odparł. – Najważniejsze, żebyś się z tego wylizał chłopie.

„Chłopie”, nigdy wcześniej tak do niego nie mówił.

Eddie spróbował się uśmiechnąć.

– Dziękuję – szepnął.

– Trzymamy się razem – powiedział Lennartsson i zacisnął pięść.

Eddie nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

– Lennartsson...

– Tak?

– Jeśli możesz, nie wpuszczaj do mnie nikogo przez dwie godziny. Muszę się przespać.

– Możesz na mnie liczyć. I...

Eddie czekał.

– Tommy już tu jedzie. Przed chwilą dzwonił. Nie spocznie, dopóki te świnię nie trafią do pierdła.

Lennartsson znów zacisnął pięść. Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi.

Eddie zaczął się śpieszyć jeszcze bardziej. Wstrzyknął sobie morfinę, zrobił się ospały, stanął na nogach, wyłączył wszystkie aparaty, wyciągnął z ciała kable, przewody i igły i powłókł się do szafki z lekarstwami. Przeciwbólowe, znieczulenie, kompresy, igły i nici, strzykawki... Poszukał antybiotyków. Znalazł w butelce. Wszystko zmieściło się do obszernej kieszeni w szpitalnej koszuli.

Serce biło mu szybko i słabo. Mimo morfiny ból był wszechogarniający. Spojrzał na sufit. Zobaczył płyty izolacyjne... Wszedł do łazienki, stanął na klapie toalety. Zdyszany, już wykończony. Wyciągnął rękę, tę bez gipsu, i uniósł jedną z płyt... Zajrzał. Było wystarczająco dużo miejsca, żeby mógł się tam przeczołgać. Metalowa konstrukcja, w której elektrycy przeciągnęli kable, wystarczająco szeroka, o ile uda mu się utrzymać równowagę.

Złapał jedną z belek i spróbował się podciągnąć. Ale zabrakło mu siły. Jedną ręką nie da rady.

Na korytarzu rozległy się jakieś dźwięki.

Położył na belce rękę w gipsie, złapał się drugą. Odepchnął się stopami, podciągnął. Gips pękł. Kiedy nacisnął na złamaną rękę, pociemniało mu w oczach. Ale udało mu się. Wbrew wszelkim nadziejom. Kręciło mu się w głowie i był półżywy. Zaczął się czołgać wzdłuż belki. Od czasu do czasu podnosił jakąś płytę, żeby się zorientować, gdzie jest. Widział kolejne sale. Zatrzymał się po jakichś trzydziestu metrach. Zobaczył pokój, łóżko, starszego mężczyznę, który spał na plecach w białej pościeli. Znalazł toaletę i opuścił się w dół. Wsunął się do pokoju. Ubranie mężczyzny było starannie powieszony w szafie. Dzinsy, kraciasta koszula, skórzana kamizelka i buty.

Przebrał się tak szybko, jak potrafił. Skórzana kamizelka została na wieszaku. W spodniach był portfel, a w nim osiemset koron. Eddie wyjął pieniądze, a portfel wsunął do kamizelki.

Lekarstwa wepchnął do kieszeni. Piekła go cała skóra. Większość szwów puściła. Zaczął krwawić...

Wycisnął cztery tabletki przeciwbólowe i połknął je na sucho. Ostrożnie uchylił drzwi i spojrzał w lewo. Znajdował się w innym korytarzu. W połowie długości była kwadratowa klatka schodowa i winda. Od windy dzieliły go szklane drzwi. Zerknął w prawo. Korytarz się kończył.

Eddie wyszedł z pokoju i zdrową ręką pchnął szklane drzwi. Dokładnie

w tej samej chwili rozsunęły się drzwi windy, którą miał przed sobą. Wsiadł z niej Tommy Jansson. Ruszył w stronę Eddiego. Wzrok miał wbity w ziemię, przy uchu telefon.

Eddie zawrócił na pięcie, otworzył pierwsze lepsze drzwi i się za nimi schował. Trafił do schowka na szczotki.

Usłyszał, że Tommy otworzył szklane drzwi. A potem jego głos.

– Już jestem. Który pokój?

Wydawał się poirytowany. Po chwili jego głos zamarł w oddali.

Eddie wyjrzał ostrożnie na korytarz. Zobaczył znikające plecy Tommy'ego.

Pomyślał, że to tylko kwestia czasu, zanim zamkną cały szpital i zaczną go szukać.

Podszedł do windy i nacisnął guzik. Nic się nie działo. Ruszył na schody. Nogi się pod nim ugiwały. Miał wrażenie, że w każdej chwili może stracić przytomność. Kurczowo trzymał się poręczy.

Dotarł na parter. Cały świat się kołysał. Ludzie kręcili się koło niego. Niektórzy dziwnie na niego patrzyli. Kawalek dalej było wyjście. Blisko i daleko zarazem. Chciało mu się wymiotować.

Minął drzwi wejściowe. Znalazł się na trzydziestostopniowym upale. Oślepiło go słońce. Szybko ubywało mu sił. Chciał dotrzeć do parku Tantolunden, który rysował się w oddali.

Przeszedł kładką nad torami. Wszedł do parku... Zaczął się zataczać.

Wszędzie leżeli miłośnicy słonecznych kąpiel. Eddie runął na trawę. Gapił się w błękitne niebo. Słońce prażyło. Zaczął się trząść z zimna.

Morze Bałtyckie

KIEDY PROM opuścił Sztokholm i zaczął się kierować ku szkirom, z głośników popłynęły muzyczne szlagiery.

Leszek minął parkiet i bar, kątem oka zobaczył braci Hidalgo, którzy pili na wyścigi. Aron i Leevi siedzieli kawałek dalej. Popijali kawę i mieli ich na oku.

Leszek próbował nie zwracać na siebie uwagi, pochylił głowę i przyspieszył kroku. Za późno. Aron go zobaczył i machnął na niego ręką.

– Jak poszło? – zapytał Aron.

– Nic z tego – odparł Leszek, stając przy ich stoliku.

Aron przyglądał mu się odrobinę za długo.

Leszek pokazał braci, którzy wytoczyli się na parkiet. Każdy z nich trzymał w dłoni drinka z parasolką.

– Relaksują się?

– Gdzie reszta? – zapytał Aron.

– Gdzieś na pokładzie. Powinienem pójść ich poszukać.

– Mamy dużo czasu. Usiądź na chwilę.

Leszek stał w miejscu. Spojrzał na parkiet. Bracia kleili się teraz do kobiet, które próbowały ich unikać.

– Nie, poszukam innych.

– Gdzie potem pojedziemy? – zapytał Aron.

Miał w sobie pewien rodzaj dystansu i wyniosłości. W połączeniu z tym, co Leszek właśnie usłyszał od Sophie, sprawiało to, że trudno mu się było odnaleźć w tej sytuacji.

– Nie wiem – szepnął.

– Jasne, że wiesz. Jesteś jego uchem.

W tych słowach pobrzmiwało szyderstwo. Leszek potrząsnął głową.

– Czyli żadnego celu, żadnego planu. Wsiądziemy w Helsinkach. I co dalej?

– Mamy cel. Wiesz jaki.

Aron wzruszył ramionami.

– Ja o niczym nie wiem – powiedział z goryczą.

Miał zamiar coś dodać, ale Leevi dał mu znak i pokazał parkiet. Dwóch ochroniarzy odprowadziło braci do wyjścia z baru. Stali, chwiejąc się w rytm kołysania fal.

Aron i Leevi wstali.

– Leszek, przejdź się z nami kawalek.

Powlekli się za braćmi, którzy zajrzeli do sklepu wolnocłowego po butelkę wódki. Leevi szedł za Leszkiem i Aronem. W atmosferze, mimo spokoju, czuć było groźbę.

– Jak twoim zdaniem się to sprawdza? – zapytał Aron. Pytanie zadał uprzejmym i rzeczowym tonem.

– Moim zdaniem dobrze.

– Co masz na myśli?

Bracia zeszli na niższy pokład, bez celu wałęsali się korytarzem, pociągając na zmianę z butelki.

– Udało nam się to, czego się podjęliśmy. Nikt nie został ranny ani złapany.

– Masz zupełną rację. Ale czy w tym wszystkim jest coś, o czym nie wiem?

Leszek przez cały czas czuł za plecami Leeviego.

– Co by to miało być? – zapytał.

Victor porwał jedną z gaśnic, King walił w każde drzwi. Aron się zatrzymał.

– No właśnie, co by to miało być, Leszku? – zapytał.

Ktoś otworzył, Victor prysnął pianą. Potem rzucił gaśnicą w Kinga, który się przewrócił, zerwał na nogi i zaczął gonić młodszego brata.

– Nie wiem – odparł Leszek. – Zaszliśmy tak daleko... Hector jest wolny, a przecież tego chcieliśmy, prawda?

Aron przeszył go lodowatym spojrzeniem i wolno kiwnął głową.

– Tak, to dobrze. Ale chcę wiedzieć, co się dzieje, chcę być informowany na bieżąco. Przekaż to Hectorowi. Chcę we wszystkim uczestniczyć. Nie będę stać z boku.

– Wcale nie stoisz. Wszyscy w tym uczestniczymy. Na promie nie powinniśmy być widziani razem, tyle chyba rozumiesz?

Na sekundę Aron się zapomniał.

– Nie mów do mnie w taki sposób – warknął.

Leszek przyjrzał się mu, potrząsnął głową i odszedł.

Aron patrzył za nim.

* * *

Śnieżnobiałe mewy krążyły na tle błękitnego nieba. Hector przez chwilę śledził je wzrokiem, potem zamknął oczy. Dźwięk silnika promu, delikatny zapach słonej wody, odległe pokrzykiwanie mew. Próbował czuć, odprężyć się...

– Hector?

Otworzył oczy. Zobaczył kontury Leszka.

Osłonił oczy dłonią.

– Myślałem, że nie zdążyłeś na prom – powiedział.

– Wjechałem w ostatniej chwili – odparł Leszek.

Był jakiś inny. Przygaszony.

– Jak poszło? Spotkałeś Jensa?

– Nie... – odparł i odwrócił wzrok.

– Leszek? – zapytał Hector. – Opowiedz, co się stało. Widziałeś Jensa?

Rozmawiałeś z nim?

Leszek spuścił wzrok, poskrobał butem ziemię, a potem wbił spojrzenie w Hectora.

– Ona żyje – powiedział.

– Kto?

– Sophie Brinkmann żyje – powiedział Leszek prosto z mostu.

Zapadła cisza. Na skąpanym w słońcu pokładzie. W okolicy. Na Morzu Bałtyckim. Aż po krańce wszechświata. Hector wyglądał na zatroskanego. Podrapał się po głowie. W jego oczach Leszek dostrzegął lęk. Nie z powodu tego, co słyszał, tylko dlatego, że może się przesłyszał.

– Co powiedziałaś? – zapytał i odchrząknął.

– Dobrze słyszałeś – potwierdził Leszek spokojnie.

Teraz Hector się zmienił. Drzenie, światło, rodzaj szczęścia, radość, która go rozpierała. Ale wszystko to trzymał w szachu pod maską. Gdyby Leszek go nie znał, niczego by nie zauważył. Hector siedział, patrzył na swoje kolana i promieniał. Ulga... może modlitwa... wdzięczność... Podniósł wzrok. Wyglądał, jakby serce chciało mu wyskoczyć z piersi. Wypuścił powietrze przez lekko otwarte usta.

– Opowiedz – szepnął.

Sonya nadal wyglądała na zszokowaną.

– To Sophie była w pokoju dla świadków, nie Jens.

– Co ty mówisz? – zapytała Sonya.

Leszek nie odpowiedział.

– Mamy problem – oświadczył.

Sonya i Hector czekali.

– Mówi, że w Danii to Aron pchnął ją nożem.

Hector przeniósł wzrok na dłonie, które oparł na kolanach.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

* * *

Ciemność i powolne kołysanie statku ogłupiły zmysł równowagi. Sophie koncentrowała się na rytmicznym oddychaniu, żeby nie poddać się panice.

Bagażnik się otworzył. Oślepiło ją światło. Sonya pochyliła się z nożem w dłoni. Przecięła taśmę na jej rękach i nogach, zerwała ją z ust i pomogła jej wyjść.

Hector, Leszek i Sonya stali i gapili się na nią. Sophie wygładziła ubranie, wyprostowała plecy i spojrzała na nich z odrobiną pogardy.

Hector nie odrywał od niej wzroku. Pozwoliła mu na to. Czekwała, aż dobrze się jej przyjrzy, oceni ją. Miała wrażenie, że chłonie jej widok.

– Cześć, Sophie – powiedział.

Podeszła do niego i wymierzyła mu policzek, tak mocny, że stracił równowagę. Sonya i Leszek nie zareagowali.

Hector dotknął policzka. Niemal się uśmiechnął. Jego uśmiech wyglądał na szczery. Był ujmujący... Na moment się zapomniała. Wyglądał jak ostatnio, choć trochę inaczej. Ale różnica nie wynikała z soczewek kontaktowych ani kleju błyszczącego między ustami i nosem. Nosił przebranie... Ale chodziło o coś innego. Zdawał się świecić własnym światłem, niemal błyszczał.

Sophie wzięła się w garść, spojrzała w ziemię, odsunęła od siebie uczucia, odsunęła Hectora, nie chciała, żeby wywierał na nią wpływ. Podniosła wzrok. Stał przed nią inny mężczyzna, inny Hector. Ten, którego nie udało jej się posłać do więzienia. Ten, który teraz miał całkowitą kontrolę nad jej życiem.

To było schizofreniczne uczucie.

– Co ze mną zrobicie? – zapytała.

– Cieszę się, że znów cię widzę, Sophie – odparł Hector.

Nie podobała jej się jego radość.

– Mam to gdzieś – powiedziała.

– To nie tak, jak myślisz... o ile myślisz to, co mi się wydaje.

Poczuła wściekłość.

– Na pewno nie, mogę cię o tym zapewnić.

Patowa sytuacja.

– Muszę wiedzieć dwie rzeczy – powiedział Hector innym, nieco ostrzejszym i bardziej rzeczowym tonem.

Czekała.

– Gdzie jest Lothar? I co się stało w Danii?

– Mogę ci opowiedzieć o Danii.

– Chcę znać odpowiedź na oba pytania.

– Wykluczone.

– Powiedz im to, co mnie – wtrącił Leszek. – Opowiedz o Danii.

Znów im się przyjrzała, całej trójce. Dostrzegła w nich cień niepokoju. Chcieli wiedzieć, ale jednocześnie się tego bali.

Sophie opowiedziała. O tym, jak zostali napadnięci. O tym, że Aron podkradł się do niej, wbił jej nóż, szarpał go i nim kręcił.

Twarz Hectora spowił mrok.

– A Lothar tam z wami był? – zapytał Leszek.

– Tak.

– Gdzie był Lothar, a gdzie Aron? – zapytał Hector.

Próbowała wyczytać coś z ich twarzy. Wydawali się zainteresowani... szczerzy. Wyglądało na to, że o niczym nie wiedzieli... Że o niczym nie mieli pojęcia... A może tak właśnie było? Sophie poczuła wątpliwości.

– Od Lothara dzieliły go tylko schody – powiedziała. – Lothar był na piętrze z Michailem. Michał strzelał przez okno. Lothar pomagał mu przeładowywać.

– Aron w ogóle nie próbował po niego pójść? Zabrać go ze sobą? – zapytał Hector.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – odparła.

– Ale jak ci się wydaje? – zapytał z uwagą.

– Leżałam na podłodze, wykrwawiałam się. Nie bardzo mogłam to ocenić.

– Nic nie widziałaś? Nic nie słyszałaś?

Zastanowiła się.

– Ulżyło mi, kiedy się zorientowałam, że nie idzie na górę, po Lothara.

– Co Aron tam zrobił?

– Na stole stała torba – powiedziała.

– Jaka torba? – zapytał Hector.

– Z materiałami, które zebrał jeden z policjantów prowadzących śledztwo w twojej sprawie. Nazywał się Lars Vinge. Zrozumiał, że jego szefowa gra nieczysto... Obserwował mnie, obserwował ciebie, obserwował swoją szefową. Został zamordowany.

– A torba?

– Były w niej wszystkie informacje, jakie udało mu się zebrać. O mnie, o tobie, o jego szefowej. Aron ją zabrał.

Hector spojrzał na Leszka i Sonyę.

– Aron ją zabrał? – zapytał.

Sophie pokiwała głową.

– Tak, leżałam z głową zwróconą w stronę kuchni... nie mogłam się poruszyć.

– Po powrocie Aron pokazał mi jakieś papiery i powiedział, że nie żyjesz – oznajmił Hector. – Te papiery miały być dowodem na to, że nas zdradziłaś, że

pracowałaś dla policji... Że spotkałaś się w Monachium z Ralphem Hankem.

Milczała.

– Sophie, odpowiedz na nasze pytania – poprosił Leszek.

– Nie – odparła.

Słysząc było tylko odległy szum fal, które napierały na stalowe ściany wokół nich.

– Sonya – powiedział Hector po chwili.

– Tak?

– Wybierz, proszę, numer z wizytówki, którą dał mi Ralph, i oddaj mi telefon.

– Ralph? – zdziwił się Leszek. Nie rozumiał.

Sophie też nie...

– Tak, Ralph Hanke – wyjaśnił Hector i wziął telefon.

Z głośnika rozległo się kilka sygnałów.

– Hector Guzman – powiedział Hanke po drugiej stronie.

Sophie próbowała zrozumieć, co się dzieje. Leszek też.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział Hector neutralnym tonem.

Sophie widziała, że robi to z olbrzymią niechęcią.

– Cieszę się – odparł Hanke. – A to pilne?

– Dość pilne.

– Jestem mniej więcej dwie mile morskie za waszą rufą. Wyraźnie was widzę na swoim radarze. Możemy się spotkać jutro w Helsinkach albo mogę was zabrać od razu. Co wolisz?

– Od razu – odparł Hector.

– Ile osób?

Hector rzucił okiem na Sophie.

– Cztery – powiedział.

– Lądowisko dla helikopterów leży na najwyższym pokładzie, na przedzie

za mostkiem. Trzymajcie się w pobliżu. Będziemy lecieć nisko.

Opuścili pokład dla samochodów, weszli do windy i nacisnęli guzik oznaczający najwyższe piętro.

Drzwi windy zaczęły się zamykać.

Usłyszeli szybkie kroki, do windy wsunęło się czyjeś ramię. Drzwi uprzejmie się rozsunęły.

Do środka weszła jakaś kobieta.

– Dziękuję! – powiedziała i szeroko się uśmiechnęła. Miała blond włosy i jakieś trzydzieści lat.

– Zapomniałam kosmetyczki i portfela – dodała. – Ale nie udało mi się wejść na pokład samochodowy. Był zamknięty.

Nacisnęła guzik z numerem siedem. Na tym piętrze leżały sklepy.

Nikt nic nie mówił. Kobieta spojrzała na Sophie i zrobiła wielkie oczy.

– O Boże! Sophie Brinkmann! To naprawdę ty?

Objęła Sophie. Uścisk wyszedł niezdarnie. Wyswobodziła się i zlustrowała Sophie od stóp do głów.

– Nie poznajesz mnie?

Hector i Leszek spojrzeli na siebie...

Winda zatrzymała się na poziomie siódmym, drzwi się rozsunęły. Kobieta wsunęła Sophie rękę pod ramię.

– Chodź, zapraszam na drinka – powiedziała.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Leszek złapał kobietę za rękę i wciągnął ją do windy. Sonya pokazała mały pistolet.

Drzwi się zamknęły. Winda ruszyła w górę.

– Co robimy? – zapytała Sonya.

– Poleci z nami – odparł Hector.

Na najwyższym pokładzie czuć było łagodną bryzę.

Helikopter błyszczał w promieniach słońca. Leciał nisko nad powierzchnią wody, muskając fale. Najpierw w ogóle go nie słyszeli. Po chwili dotarł do nich warkot silnika. Jak wyjąca szlifierka sunął prosto w stronę ich rufy. Podleciał do promu, gwałtownie wzbił się do góry, na jakieś pięćdziesiąt metrów, zahamował, zawisł nad pokładem, znalazł tę samą prędkość, z jaką płynął prom, dwadzieścia jeden węzłów, i z otwartymi tylnymi drzwiami opadł na lądowisko dla helikopterów.

Ruszyli do niego, kuląc się w podmuchach wiatru. Najpierw Sophie i Hector, potem Leszek z kobietą, a na końcu Sonya, która wskoczyła na miejsce obok pilota.

– Była mowa o czterech osobach – powiedział do niej pilot.

– Ale jest pięć – odparła. – Odlatuj.

Pilot zwiększył obroty silnika i maszyna została jakby wessana w górę. Wielki biały prom zniknął w dole. Helikopter zrobił obrót o dziewięćdziesiąt stopni, opuścił nos w dół, nabrał prędkości i pomknął na wysokości stu metrów.

Jedno z okien było otwarte. Wiało przez nie i szumiało. Od czasu do czasu helikopterem wstrząsały turbulencje. Sophie pochyliła się w stronę kobiety.

– Kim pani jest? – zapytała.

– Nazywam się Caroline Berger. Jestem dziennikarką.

– Co pani tutaj robi?

– Jestem tu, żeby panią chronić – powiedziała słabym głosem, zdruzgotana totalnym niepowodzeniem.

– Dziękuję – odparła Sophie i spróbowała się uśmiechnąć.

W oczach Caroline błysnął wstyd.

Było na odwrót. Ta kobieta nie będzie mogła jej w niczym pomóc. Weszła w sam środek paszczy lwa. Sophie czuła się nieswojo. To wszystko źle się skończy dla Caroline.

Helikopterem rzucało i trzęsło. Każde z nich instynktownie poszukało czegoś, czego mogło się złapać. Sophie chwyciła dłoń Hectora. Była duża i ciepła, tak jak ostatnio. Puściła ją.

* * *

Hector nie chciał puszczać dłoni Sophie. Była delikatna, uspokajała go i idealnie leżała w jego dłoni. Wspomnienia przemknęły mu przed oczami. Ich pierwsze spotkanie w szpitalu. Radość, którą w niej widział, chociaż starała się zachować dystans. Duma, którą czuł, pokazując się z nią... Świadomość, że powinni być razem. Jego świadomość... nie jej.

Spojrzał na morze. Wspomnienia zmieniły charakter. Kobieta, która obok niego siedziała, nie była już dłużej tą samą kobietą. Lekkość zniknęła. Powaga została zastąpiona przez niedostępność i nieprzystępność. Wiele wycierpiała. To cierpienie ją zmieniło, przekształciło... I była to tylko i wyłącznie jego wina.

Helikopter znów podskoczył, gdy uderzył w niego podmuch wiatru. Tym razem już nie chwyciła jego dłoni.

W dole zobaczył jacht Ralpha Hankego. Ponad pięćdziesiąt metrów długości, cztery pokłady, cały biały jak beza. Kiczowaty i fascynujący zarazem.

Helikopter zatoczył łuk nad jachtem i twardo wylądował na mikroskopijnym lądowisku na rufie.

Kiedy wysiedli, do maszyny podbiegło kilku ludzi, którzy przywiązali ją do pokładu. Wszystko zostało dobrze przymocowane, sam helikopter i jego śmigła.

Ralph Hanke wyszedł im na spotkanie. Był swobodnie ubrany w koszulę, spodnie i tenisówki. Żadnych słów powitania, żadnych uścisków dłoni. Rzucił okiem na Sophie. Nie okazał zdziwienia i nie pokazał, że ją zna.

– Na pewno chcecie wziąć prysznic i odpocząć – powiedział. – Dla każdego jest osobna kajuta.

Hector zwrócił się cicho do Leszka.

– Trzymaj Sophie i kobietę z dala od siebie, dopóki nie porozmawiam z nimi obiema – powiedział, a potem spojrzął na Hankego i dodał: – Powinniśmy zamienić parę słów.

Weszli wyżej na pokład do opalania się. Pokrywał go wypolerowany i błyszczący mahoń. Usiedli naprzeciwko siebie przy stole. Nad ich głowami powiewała biała zasłona od słońca.

Hector wsłuchiwał się w szum morza. Teraz było bliżej niż na promie. Chłupało i uderzało o plastikowy kadłub. Miał przed sobą Ralpa. Hector przyglądał mu się, próbował przejrzeć jego duszę, zrozumieć go. Nie dało się, nie potrafił do niego dotrzeć.

– Zanim zaczniemy rozmawiać o interesach – powiedział Hector. – Muszę najpierw coś wiedzieć.

Ralph czekał z dłońmi na stole. Wyglądał na zmęczonego, wyniszczonego. Skinął głową.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał.

– Chcę, żebyś był ze mną szczery – powiedział z niechęcią.

Ralph przymknął oczy. Hector mówił dalej:

– Nawet jeśli zakładam, że nie wiesz, co to jest. Proszę cię, żebyś spróbował... Od tego musimy zacząć. Jeśli dobrze pójdzie, przejdziemy do Don Ignacia, twojego syna, Kolumbii i tego, jak będzie wyglądała nasza najbliższa przyszłość.

Ralph opadł na oparcie i jeden łokieć położył na podłokietniku.

– Będę szczery – powiedział Hanke bezbarwnym głosem.

– Opowiedz mi o Sophie Brinkmann – poprosił Hector.

Prośba najwyraźniej zaskoczyła Ralpa. Przez chwilę się zastanawiał,

a potem powiedział:

– W ubiegłym roku przyjechała do Monachium. Skontaktowała się z moim sekretarzem. Wolałem nie ryzykować. Posprawdzałem, co się dało, i przedsięwziąłem wszelkie możliwe środki ostrożności. W końcu spotkaliśmy się w bezpiecznym domu w centrum.

– Co powiedziała?

– Oznajmiła, że o jej przyjeździe nikt nie wie, ani ty, ani nikt inny. I że szuka sposobu, żeby złagodzić napięcia, albo coś w tym stylu. – Ralph przyjrzał się Hectorowi. – Dlaczego to dla ciebie takie ważne? – zapytał.

– To nie ma znaczenia.

– Powinniśmy rozmawiać na równych warunkach. Jeżeli chcesz, żebym był z tobą szczery, to i ja chcę twojej szczerości.

– W tym wszystkim jest ktoś jeszcze – powiedział Hector.

Ralph czekał.

– I któreś z nich kłamie. Muszę wiedzieć które, żeby móc planować najbliższą przyszłość.

Ralph przyjrzał się swoim paznokciom, a potem powiedział:

– Gdy Sophie Brinkmann przyjechała do Monachium ubiegłej zimy, wówczas tego nie wiedziałem, ale teraz z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że mówiła prawdę. Naprawdę próbowała powstrzymać przemoc między nami.

Hector złapał palcami nasadę nosa.

– Co mówiła o mnie, o nas? – zapytał.

Ralph spróbował sobie przypomnieć.

– Pytaliśmy, gdzie jesteś. Prosimy o wszelkie możliwe informacje, o tobie i twoich najbliższych ludziach...

– I?

– Nie powiedziała nam nic.

– Nic?

– Nic, zupełnie nic. Była twarda jak kamień. Zrozumiałem, że cię nie zdradzi. A kontaktując się ze mną, wiele ryzykowała...

Hector myślał. Ralph mówił dalej:

– Myślę zatem, że to ta druga osoba cię oszukuje.

Hector się zastanawiał. Ralph przerwał jego myśli.

– O niej się mówi, o Frau Brinkmann – dodał. – Jest znana wśród twoich przeciwników, wśród moich przeciwników. Rosjanie, Chińczycy, tępi Angole... Włosi. Weź, kogo chcesz, a każdy będzie wiedział, kim jest szwedzka pielęgniarka Hectora Guzmana, Sophie Brinkmann z niepełnosprawnym synem, wdowa, która kierowała jego imperium, gdy sam zszedł pod ziemię. Historia jest zbyt dobra, żeby mogła być prawdziwa. Kilka razy zdążyła okrążyć ziemię.

Hector próbował zrozumieć, do czego Ralph zmierza.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał.

– To nie ona jest twoim problemem, to nie ona kłamie.

– Co cię to tak naprawdę obchodzi? – zapytał Hector.

Ralph wyprostował się, oparł drugi łokieć na podłokietniku i pochylił się w stronę Hectora.

– Wiem, że chcesz mnie zabić – powiedział. – Możliwe, że wkrótce to zrobisz. Ale najpierw chcę sprowadzić do domu mojego syna. Co śmieszne, zależy mi również na tym, żeby Sophie Brinkmann miała się dobrze. – Ralph odchrząknął, jakby chciał czymś przykryć te słowa. – Nie wiedziałem, że takie kobiety jak ona naprawdę istnieją. Ona jest skazana – powiedział Hanke. – Od dnia, w którym cię poznała, jest skazana. Odzyskasz swoją wielkość, Guzman, wiem to. Im potężniejszy będziesz, tym bardziej pożądanym łupem będzie ona. To ona jest twoją piętą achillesową... Ludzie zrozumieli, ile dla ciebie znaczy. Będzie ścigana, porywana, wykorzystywana do szantażowania ciebie.

Hector spojrział na otwarte morze. Mewy szybujące wysoko na niebie wydawały się za nimi podążać.

– Co chciałeś z nią zrobić? – zapytał Ralph.

– Nowa tożsamość... nowe życie...

– Znalazłem twojego syna, jego matkę, tych, których przez lata ukrywałeś – powiedział Hanke. – Do innych też dotarłem. Jeśli ktoś będzie chciał, znajdzie ją. – Wstał. – Wystarczy już o Brinkmann – stwierdził. – Jesteśmy tu nie bez powodu. Zastanów się, jak chcesz to zorganizować i czego potrzebujesz, żeby pomóc mi odbić syna. Od tego potem zaczniemy.

Hector spojrział w ślad za nim. Czy Ralph Hanke odzyskał ludzkie cechy? Musiał zaryzykować i się o tym przekonać.

– Przyjechała z nami jeszcze jedna kobieta – powiedział i Hanke się zatrzymał.

– I?

– Może trzeba ją będzie wyrzucić za burtę.

Hanke spojrział na Hectora i powiedział:

– My tu nie robimy takich rzeczy.

Zniknął w głębi jachtu. Hector próbował zrozumieć.

Sztokholm

EDDIE ZSZYŁ SIĘ SAM.

Siedział schowany pod Liljeholmsbron koło Hornstulls Strand. Szył porwane ciało w miejscach, w których szwy popękały. Połknął tabletki przeciwbólowe i wstał. Świat zawirował mu przed oczami. Brakowało mu sił. Zataczając się, ruszył w drogę. Unikał ludzi. Rozglądał się za policyjnymi wozami. Założył, że jest poszukiwany.

Przecznicę dalej, przy Hornbruksgatan, w starym budynku z czerwonej cegły mieściła się biblioteka.

Znalazł wolny komputer i zalogował się na swojego maila. Caroline wysłała kilka wiadomości... jedna po drugiej.

Eddie przeczytał je wszystkie. Tworzyły opowieść. Caroline zostawiła to, czym się zajmowała, i spróbowała się z nim skontaktować. Przysłała do jego mieszkania strażaków i ratowników medycznych, uratowała mu życie. Znalazła proces Hectora Guzmana.

Eddie czytał dalej.

Guzman został uwolniony, Sophie porwana. Caroline pojechała za nią i wsiadła na prom do Helsinek.

Potem cisza.

Eddie sprawdził godziny odjazdów i przyjazdów promów i stwierdził, że jeżeli weźmie samolot, zdąży dotrzeć do Helsinek przed Caroline.

Połknął jeszcze kilka tabletek i wstał. Ruszył w stronę kontuaru tak stabilnie, jak tylko mógł.

Bibliotekarka z prostymi włosami zawahała się, gdy zapytał, czy może pożyczyć jej komórkę. Odniósł wrażenie, że nikt nigdy wcześniej jej o to nie prosił. A już na pewno nie mężczyzna z pociętą twarzą. Wyglądało na to, że kompletnie wytrącił ją z równowagi. Nie patrząc mu w oczy, potrząsnęła głową i dalej skanowała książki, które zostały zwrócone.

Ale Eddie musiał zadzwonić...

Wziął jedną książkę ze stosu. Okładka była ponura. Autor na zdjęciu z tyłu książki wyglądał mrocznie.

Postanowił zaryzykować.

– Tylko on potrafi sprawić, że czuję się tak samotny – powiedział i podniósł książkę do góry.

Bibliotekarka spojrzała na niego i odrobinę się odprężyła.

– Tak, ale w pozytywny sposób, prawda? – zapytała.

Eddie pokiwał głową.

– W pozytywny sposób – potwierdził.

Spojrzała na książkę w jego dłoni, a potem na niego.

– A te listy z więzienia? – zapytała. Przez jej twarz przemknęła cała gama uczuć.

– Tak, fantastyczne – powiedział Eddie i odłożył książkę.

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie i rany na twarzy Eddiego nie miały już takiego znaczenia. Sięgnęła pod biurko i wyjęła z torebki komórkę.

Bingo, pomyślał Eddie.

– Proszę – szepnęła.

Uśmiechnął się z wdzięcznością, odszedł parę metrów i zadzwonił po taksówkę. Potem wybrał numer policji i przyłożył telefon do ucha.

Odezwała się telefonistka z centrali.

– Chcę rozmawiać z grupą specjalną, która pracuje nad odbiciem więźnia z sądu – powiedział.

Rozległo się kilka sygnałów. Odebrał jakiś śledczy, którego Eddie nie znał.

– Hector Guzman jest na promie do Helsinek – powiedział i się rozłączył.

Bibliotekarka uśmiechała się jak małe słońeczko i podniosła kciuk w górę, gdy oddawał jej telefon.

Wyszedł na ulicę. Podjechała taksówka. Kiedy wciskał się na tylne siedzenie, ból dał mu się we znaki.

Podał kierowcy swój adres, ale inną kłatkę.

Po kwadransie auto sunęło przez jego dzielnicę. Minęli jego kłatkę. Eddie próbował się zorientować, czy coś wyglądało inaczej. Czy Tommy kogoś tu przysłał.

Tak. Eddie zobaczył volvo. Kolega gliniarz siedział i czytał gazetę.

– Proszę podjechać jeszcze kawałek dalej – poprosił Eddie. – I skrócić w prawo.

Taksówkarz zrobił, o co go prosił. Stanęli na tyłach budynku. Eddie zapłacił skradzionymi pieniędzmi.

Bez i czeremcha pachniały. Eddie miał w ustach smak krwi i czuł, że trawi go gorączka. Znalazł okienko do piwnicy, która leżała obok pralni. Kopnął w szybę, żeby ją rozbić, i oczyścił ramię butem z odłamków. Ale nie udało mu się usunąć wszystkich. Przeciskając się przez okienko, rozciął sobie koszulę i ramię. Trysnęła krew. Siły niemal zupełnie go opuściły.

Drzwi do jego mieszkania były zasłonięte płytą pilśniową i odgradzone taśmą. Utorował sobie drogę i wszedł do środka. Słaniał się na nogach. Policyjni technicy wykonali w dużym pokoju kawał dobrej roboty. Szczątki Manny'ego zostały usunięte...

Eddie przeszedł do sypialni.

Paszport leżał w pudełku po butach na najwyższej półce w szafie... Świeża

koszula, świeże spodnie. Trudno mu się było rozebrać, ubrać jeszcze trudniej. Przejrzał zawartość lodówki i znalazł sok pomarańczowy w kartonie. W jednej z szuflad zobaczył mocną taśmę klejącą. Najlepiej, jak potrafił, posklejał połamany gips na ręce... Wyszedł do przedpokoju. W kieszeni kurtki, która wisiała na wieszaku, tkwił jego portfel. Nic więcej nie był w stanie zrobić. Zabrakło mu sił, dzięki którym działał przez ostatnią godzinę. Był osłabiony, psychicznie i fizycznie, na granicy załamania. Nie miał z czego czerpać energii. Osunął się na podłogę. Kręciło mu się w głowie. Zwymiotował. Marzył o tym, żeby się położyć, zamknąć oczy... umrzeć.

Ale nie mógł umrzeć, nie teraz.

Wypił parę łyków soku. Łyknął jeszcze kilka tabletek. Zebrał wszystkie siły i udało mu się stanąć na nogach. Z kurtką pod pachą wyszedł z mieszkania. W piwnicy podstawił sobie stołek i jakoś się wyczołgał przez rozbite okno. Złamana ręka dawała mu się we znaki.

Przed sobą miał rzadką brzezinę z pojedynczymi brzoškami. Zrobił kilka niepewnych kroków w ich stronę. Otulił się kurtką i położył na ziemi. Połykał kolejne tabletki przeciwbólne, ale nie czuł żadnej różnicy. Zaczynało się zmierzchać. Prom miał być na miejscu koło dziesiątej rano następnego dnia. Jego samolot odlatywał o wpół do siódmej rano. Zdąży przespać się jakieś cztery, pięć godzin. Przyjazne czarno-białe brzozy, które otaczały go kołem, powiedziały mu, że będą go chronić, gdy uśnie. Małe listki wypełnione chlorofilem nadawały wszystkiemu kolor. Powiał wiatr. Listki zaczęły ocierać się o siebie. Cudownie szeleściły. Mówiły do niego. Eddie zrozumiał, że wszystko było piękne. Wszystko. Bez wyjątku. Kiedy umrze, będzie mu tego brakowało.

Oczy znów mu się zamknęły. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki był wycieńczony.

Zrobiło się ciemno.

* * *

Dwie sprawy. Eddie i Sophie...

Najpierw Eddie.

Tommy stworzył grupę. Jej celem było uratowanie ich kolegi, Eddiego Bomana, prześladowanego przez drania, który go torturował i próbował zabić. Koledzy kiwali głowami, podczas gdy Tommy wciskał im kit.

– Dlaczego uciekł? Przecież byliśmy w szpitalu i go chroniliśmy? – zapytał Lennartsson.

Tommy zrobił go drugim szefem grupy – wiedział, że wtedy nic nie będzie działać, jak trzeba.

– Nie wiem. Może chodzi o szantaż?

– O kurwa – wyszeptał ten kretyn Lennartsson.

Gliniarze zebrani przy stole gotowali się z oburzenia.

– Musimy zrobić wszystko, żeby uratować Eddiego... – zaczął Tommy, ale Lennartsson mu przerwał.

Podniósł się. Jego rzadkie włosy były w nieładzie.

– Nasz kolega jest w potrzebie – zagrział i wygłosił ognistą mowę. Coś w rodzaju *I Have a Dream*...

Tommy wyszedł z pokoju. Kolej na Sophie Brinkmann...

Zszedł dwa piętra niżej. Jego kroki odbijały się echem na klatce schodowej. Kolejny korytarz. Przyśpieszył kroku. Energicznie otworzył czwarte drzwi po prawej.

Pokój konferencyjny był po skandynawsku blady. Żadnej kawy. Jedyne czerstwe drożdżówki. Kerstin, przewodniczący sądu rejonowego, ławnik, adwokat Guzmana, Nils Nilsson, ci, którzy byli na sali w czasie odbicia Guzmana, siedzieli wokół stołu i słuchali szefa grupy specjalnej, który zdawał relację z poszukiwań zbiega. Tommy znalazł sobie wolne krzesło, usiadł i zaczął gryźć paznokiec kciuka. Patrzył na blokady zaznaczone na mapie

Sztokholmu. Dzięki sprawozdaniu uzyskał dwie informacje. Guzman już opuścił miasto i nie byli go w stanie namierzyć, a Sophie Brinkmann żyła... Wszystko na to wskazywało. To mu wystarczyło.

Wypluł odgryziony kawałek paznokcia, wstał i wyszedł. Kerstin podniosła się, złapała torebkę i popędziła za nim na korytarz.

– Musimy uzgodnić zeznania – powiedziała, gdy go dogoniła. – Ta sama wersja ode mnie i od ciebie... Ludzie cały czas o coś pytają. A ty masz na siebie wziąć wszystko, tak jak obiecałeś. Co mam mówić?

Przystanął i zlustrował ją wzrokiem. Od stóp do głów. Była niespokojna.

– Że wszystko wzięło w łeb. To możesz im powiedzieć.

Ruszył dalej. Pobiegła za nim.

– Tyle to każdy rozumie. Poproszę coś bardziej treściwego.

Tommy znów się zatrzymał.

– Wszystko wzięło w łeb i Hector Guzman zapadł się pod ziemię – odparł i zaczął iść.

– Tommy! – syknęła.

Ale on nie zwracał na nią uwagi. Szedł dalej.

Nagle znów była przy nim. Podbiegła do niego i złapała go za ramię. Zrobił pół obrotu. Jej oczy były czarne jak węgiel. Syczała i pluła:

– Nigdy nie odwracaj się do mnie plecami! Nie odchodź, kiedy do ciebie mówię! Rozumiesz?

Mimo że była niższa, pochyliła się w jego stronę. Jak jakiś cholerny terier. Zero lęku przed śmiercią. Zaczął się zastanawiać, czy od razu jej nie zabić. Nie złapać za włosy, nie pociągnąć na podłogę i nie walić jej głową o posadzkę tak długo, aż pęknie.

Całą dłonią wytarł usta.

– Wybacz, Kerstin – powiedział. – Napiszę coś i prześlę ci na maila. Dostaniesz go w ciągu godziny.

Mierzyli się wzrokiem. Pieprzona tłusta wiedźma, pomyślał.

– Może tak być? – zapytał ze spokojem. Nienawiść zachował dla siebie.

Uśmiechnęła się dziwnie. Jakby usłyszała dowcip, którego nie rozumiała.

Potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

Morze Bałtyckie

SOPHIE WYBRAŁA numer na telefonie satelitarnym.

Hector wypytał Caroline Berger. Opowiedziała historię o Eddiem Bomanie i Tommym Janssonie. O tym, jak Eddie pojechał do Pragi i miał zamordować Sophie i Milesa. Że ich widział... wiedział, gdzie mieszkają...

Hector odwrócił się, spojrzął na Sophie i od razu wszystko zrozumiał. „Zadzwoń do niego”, powiedział. Miał na myśli Alberta. Leszek postarał się o telefon...

Żadnego sygnału. Telefon Alberta nadal był wyłączony. Wybrała numer Milesa. Martwa cisza.

Serce waliło jej w piersi. Numer Michaiła. Palce nie chciały jej słuchać, pomyliła się i musiała wybrać numer jeszcze raz.

Jeden sygnał...

Odebrał.

– Tu Sophie... – powiedziała i nie zdążyła dodać nic więcej.

– Tommy postrzelił Milesa i Sannę w parku Petřín. Są w szpitalu. Ja i Albert jesteśmy przy nich. Albertowi nic nie jest.

– Miles i Sanna? – zapytała.

– Źle z nimi...

– A Tommy?

– Udało mu się uciec.

– Musicie stamtąd zniknąć – powiedziała.

– Nie możemy ich zostawić.

Zrobiła wdech.

– Odezwę się – powiedziała i się rozłączyła.

Spojrzała na Leszka.

– Pomóż mi znaleźć jakiś komputer – poprosiła.

Leszek zniknął. Sophie mocno zaciskała dłonie.

Tommy Jansson...

Po kilku minutach Leszek wrócił z laptopem. Sophie zalogowała się i znalazła materiał na temat Tommy'ego, który opracowali w Pradze. Morderstwa, kradzieże... To była jedyna broń, jaką teraz miała.

Zalogowała się w chmurze, załączyła wszystkie materiały i przesłała je do szefa Tommy'ego, jego kolegów, prokuratora generalnego, prokurator Kerstin Andersson, do największych szwedzkich gazet. Do wszystkich, którzy ewentualnie mogli coś zrobić, żeby go powstrzymać.

– Albert? – zapytał Hector ostrożnie.

Spojrzała na niego. Stał kawałek dalej, w odpowiedniej odległości... Z jakiegoś powodu bał się za bardzo do niej zbliżyć.

– Nic mu nie jest, na razie – powiedziała.

– Co zrobisz?

– A co mogę zrobić?

Nie odpowiedział.

– Michaił jest z nim? – zapytał po chwili.

Sophie pokiwała głową.

– Michaił jest dobry, wie, co trzeba robić – stwierdził Hector.

– Są jeszcze dwie osoby, przyjaciele... zostali postrzeleni... Nie mogą tam zostać. Muszą zostać przewiezieni w inne miejsce. Michaił sam nie da sobie z tym rady.

Hector milczał.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała.

Przyjrzał się jej.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził. W żaden sposób.

Chciała mu wierzyć.

– Czy jesteśmy tu więźniami? Ja i Caroline? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Gdzie nas zawieziecie?

– Do Kolumbii.

– Don Ignacio? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Pomóż mi, Hector – poprosiła znowu.

– Nie mam odpowiednich środków – odparł.

– Ralph ma. Poproś go, gdy będziecie negocjować. Wiem, że to właśnie robicie... Dopilnuj, żeby Albert i Michaił zostali wywiezieni samolotem z Pragi. I żeby na pokładzie samolotu znalazł się sprzęt medyczny i lekarz, który będzie mógł się zająć dwiema osobami z ranami postrzałowymi, mężczyzną i kobietą...

Hector spojrzał na nią.

– Nie tak miałaś zamiar to załatwić, prawda? – zapytał.

Nie chciała zmieniać tematu, ale odpowiedziała:

– Nie, nie tak miało to wyglądać.

– Udało ci się doprowadzić do mojego aresztowania w Miami.

– Tak.

– Jaki był plan?

Spojrzała na Hectora. Był spokojny i opanowany. W przeciwieństwie do niej samej.

– Chodziło o ciebie i Tommy'ego Janssona – powiedziała. – Ty miałeś

trafić do więzienia, a on zniknąć... Taki był plan. Wtedy ja i Albert moglibyśmy żyć normalnie.

– Przykro mi – powiedział.

– W takim razie mi pomóż.

– Oddaj mi Lothara, Sophie. Nie chcę się z tobą targować. Ale chcę odzyskać syna. Teraz jest na to jedyny moment.

– Jak tylko Albert i inni wzbiją się w powietrze i będą bezpieczni, powiem ci, gdzie jest. Ktoś będzie mógł go zabrać i wszyscy będą mogli lecieć tam, gdzie my.

49

Sztokholm

RAPORTY Z OBSERWACJI i sprawozdania. Tommy czytał. Lennartsson stał obok i referował ustnie.

– Zarówno Wydział do Walki z Przestępczością Gospodarczą, jak i dochodzeniówka sprawdzili, co się dało. Namierzyli kartę kredytową Eddiego przy zakupie biletu na samolot do Helsinek.

Tommy czytał.

– Co dalej?

– Niestety, to wszystko. Nasi chłopcy dalej nie zajądą. Nie mogą tak szybko sprawdzać zagranicznych transakcji. Będziemy musieli poczekać kilka dni...

Drzwi się otworzyły i do środka zajrzał łysy mężczyzna.

– Tommy, do wydziału przyszedł jakiś cholernie dziwny mail... – powiedział. – Powinieneś od razu na niego spojrzeć. Przesłałem ci go na pocztę.

Drzwi się zatrzasnęły.

Tommy otworzył skrzynkę mailową. Lennartsson stał za jego plecami i czytali równocześnie. Tommy znał to wszystko zbyt dobrze. Było tam napisane, że jest mordercą, że zabił wielu swoich kolegów z pracy, kradł pieniądze.

– Co za bzdury – zaśmiał się Tommy i wstał.

Lennartsson też próbował się roześmiać, ale mu nie wyszło.

– Co za cholerne bzdury – powtórzył Tommy i spróbował prychnąć. Ale prychnięcie przyszło za późno.

– Że też im się to nigdy nie znudzi – powiedział Lennartsson, jakby cały czas dostawali podobne wiadomości.

– Tak, ludzie mają nie po kolei w głowie – westchnął Tommy.

– Taaak – pokiwał głową Lennartsson.

Chwila ciszy.

– Muszę lecieć – powiedział Tommy.

– Jasne, jasne! – krzyknął Lennartsson z ulgą.

Tommy przekręcił kluczyk i wcisnął pedał gazu w chwili, kiedy silnik startował. Kiedyś tak się właśnie odpalało. Pędził przez ulice, wymijając inne samochody. Jego telefon nie przestawał dzwonić. W końcu wyrzucił go przez okno. Trafił na korek. Włączył syrenę i wystawił koguta. Przecisnął się przez centrum i na pełnym gazie ruszył w stronę swojego szeregowca.

Wbiegł na piętro do sypialni. Przebrał się. Spodnie, koszula, marynarka. Na najwyższej półce w szafie leżała torba spakowana na wypadek ucieczki. Złapał ją, rzucił na łóżko i rozsunął zamek. Paszport na albańskie nazwisko. Tommy załatwił go sobie przez właściciela klubu nocnego i alfonsa jednocześnie, który w okolicach Zinkensdamm prowadził lokal ze striptizem, gdzie były też pokoje na godziny. Tommy nawet przypominał gościa ze zdjęcia, który nosił okulary i nie miał wąsów. Okulary leżały w torbie. Wąsy obciął w łazience nożyczkami do paznokci i zgolił na gładko maszynką. W ich miejscu skóra była blada.

Przejrzał się w lusterku. Nosił je od czasów liceum... Teraz zniknęły, jak wszystko inne.

Zszedł na dół, z komody przy schodach zabrał zdjęcie swojej rodziny i wepchnął je do torby. Zaniósł bagaż do samochodu i wrzucił go na tylne siedzenie.

Wrócił do domu i zszedł do piwnicy. Stał i gapił się na swoje biuro. Miał zamiar przepuścić wszystkie papiery przez niszczarkę... Ale segregatory były wypchane... Nie było szans, żeby zdążył. Już tu jechali... Cała cholerna kawaleria.

Ciężko westchnął. Wszedł po schodach i ruszył do garażu. Dwa dwudziestolitrowe kanistry z benzyną ważyły swoje. Wniósł je do domu. Jeden postawił w kuchni, a drugi zniósł do piwnicy. Zaczął oblewać biuro. Benzyna chlupała.

Zostawił kilka litrów i wycofując się z biura, wylewał je na podłogę, znacząc ścieżkę. Wszedł na piętro i to samo zrobił z drugim kanistrem. Oblał mieszkanie, ale zostawił kilka litrów, żeby zrobić strużkę do holu i dalej, po wyłożonej płytami ścieżce do bramy.

Przystanął. Pachniało powojnikiem, różami i... benzyną. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. W oddali słychać było mruczenie kosiarki do trawy.

Potał zapałką o draskę. Wolno opadła na strużkę benzyny koło jego nóg.

Puff.

Niebieski płomyk pomknął do domu. Pierwsza eksplozja nastąpiła w kuchni. Kilka sekund później unicestwione zostało jego biuro. Małe okienka rozleciały się na odłamki i na dworze pokazały się pióropusze ognia. Tommy czuł ciepło na twarzy.

Pokazała mu się przeszłość. Monica i dziewczynki były w kuchni wśród niebieskich płomieni. Gotowały. Ich włosy stały w płomieniach. Ale one nie zwracały na to najmniejszej uwagi... Potem zniknęły.

Ogień szybko się rozprzestrzeniał. Wkrótce płomienie ogarnęły cały szeregowiec. Jak jakieś cholerne ognisko na noc Walpurgii. Nie mógł od tego oderwać oczu.

To teraz miał przeżywać uczucie triumfu. To w tym momencie miał skończyć swoje dzieło. Sophie Brinkmann i Miles Ingmarsson mieli nie żyć.

Tommy miał posprzątać po sobie, jeszcze przez jakiś czas popracować jako gliniarz, a potem zacząć nowe życie. Przeprowadzić się do Hiszpanii...

Tymczasem musiał uciekać z podkulonym ogonem.

Rozgoryczenie przelewało się przez niego. Spłynęło z ciemienia do żołądka, tam się zatrzymało i zaczęło chlupotać. Ciężkie i niewygodne. Świadomość, że przegrał, wszystko spierniczył, schrzanił... To plus lekceważenie okazywane mu przez innych. Nikt się go nie bał. Jak gdyby go nie było, jakby nie miał najmniejszego znaczenia... Jego niska ranga...

Niska ranga?, pomyślał.

Te słowa go zabolaly. Powtórzył je w myślach.

Niska ranga.

Jego największa obawa. „Niska ranga”. Bycie na samym dole hierarchii, to, z czym konsekwentnie walczył przez całe swoje życie.

Szeregowiec. Słyszał odgłosy pożaru. Pękające szkło, topiący się plastik, łamiące się drewno.

Przywróci równowagę... Rzucił okiem na zegarek... Jeszcze przed wyjazdem z kraju. Cassandra, dziwka, dowie się, kto decyduje. U niej wszystko naprawi.

Odjechał. Zostawił za sobą szeregowiec i przeszłość. Ruszył w stronę jej mieszkania. Zgrzytał zębami. Im bliżej był, tym wyraźniej to widział. To nie ona... To nie u Cassandry odzyska należne mu miejsce...

Stanął i zaciągnął hamulec. Zawrócił i pojechał w przeciwną stronę. Na północne przedmieścia. Do Enebyberg.

Morze Bałtyckie

HECTOR SZEDŁ korytarzem w stronę stewy dziobowej. Wszystko było miękkie, ciche i luksusowe. Walczył o to, żeby trzymać się obranego kursu i nie pozwolić, żeby coś wywarło na niego wpływ. Miłość do Sophie, szczęście z powodu tego, że żyła, kontra nienawiść do Ralpha Hankego, od którego był teraz tak bardzo zależny. I zdrada Arona... Wszystko trzymał na dystans. Bo jeżeli dopuściłby do siebie którekolwiek z tych uczuć, rozpętałoby się piekło.

Ralph siedział przy biurku. Podniósł wzrok i spojrzał na niego przez okulary do czytania. Hector usiadł w fotelu.

– Możemy zacząć planować w sprawie Don Ignacia – oznajmił Hector.

Ralph rozparł się w fotelu.

– Słucham cię – powiedział.

– Nie, ty pierwszy. Co chcesz?

– Christiana, całego i zdrowego.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle.

– Nie wiem czemu, ale ci nie wierzę.

– Wiemy, że Don Ignacio tam jest. Jeżeli ma nam się udać, powinniśmy działać natychmiast.

– Jest chroniony. Na jego liście płac figuruje i policja, i wojsko – odparł

Hector.

Ralph pokręcił głową.

– Już nie. W każdym razie nie tak jak wcześniej. W ciągu ubiegłego roku wiele się zmieniło. Od dawna planuję. Rozmawiałem z tamtejszymi ludźmi, kupiłem najważniejszych. Nawet jeśli on sam o tym nie wie, nie ma już takiej ochrony jak kiedyś. Jeżeli zrobimy to teraz i tak jak trzeba, uda się nam go usunąć bez specjalnie dużych środków... Czego zatem potrzebujesz?

– Chcę, żebyś bezzwłocznie wysłał samolot do Pragi. Na jego pokładzie ma być lekarz i sprzęt medyczny, żeby można się było zająć dwiema osobami z ranami postrzałowymi. Łącznie mają nim przylecieć cztery osoby. Samolot ma mieć międzylądowanie gdzieś w Europie, a potem polecieć do Kolumbii. Tam wszyscy spotkają się z nami.

– Da się załatwić – powiedział Hanke. – Coś jeszcze?

– Chcę mieć całą organizację Don Ignacia, całą siatkę. Wszystko. Chcę odzyskać to, co mi ukradłeś. Chcę też udział w twoich interesach, w ramach karnych odsetek.

– Do zrobienia – stwierdził Hanke.

Hector zmierzył go wzrokiem.

– Dlaczego nie negocjujesz? – zapytał.

– Negocjuję.

Hector potrząsnął głową.

– Wcale nie.

Chwila milczenia.

– Dostajesz to, co chcesz – powiedział Hanke. – Ale to znaczy, że będziemy kwita. Wymazujemy wszystko. Zerujemy rachunek. Było, co było. Nie będziesz domagał się czegokolwiek ani ode mnie, ani od mojego syna. To jest nasze porozumienie.

Hector cały czas karmił w sobie marzenie o zabiciu Hankego. Znalezieniu

okazji, strzeleniu mu w głowę, nasikaniu na jego zwłoki, zakopaniu go...

– Hector?

Głos Ralpha wyrwał go z zamyślenia.

– Muszę wiedzieć, że dotrzymasz słowa – powiedział Hanke. – Inaczej w Kolumbii wszystko się spieprzy i zginiemy...

Hector przyglądał się mężczyźnie przed sobą.

– Czego ja tu nie rozumiem? – zapytał.

Hanke przez chwilę gapił się w próżnię.

– To rak – powiedział w końcu neutralnym tonem. – Kości. Mam parę miesięcy życia.

Hector wbił spojrzenie w oczy Hankego, żeby przejrzeć jego duszę.

Ralph wysunął szufladę biurka i wyjął plik papierów.

– Widzę, że mi nie wierzysz – powiedział. – Wszystko jest tutaj. Rentgen, badania... wszystko. Możesz zadzwonić do mojego lekarza. On wszystko potwierdzi.

Hector pogładził się po brodzie.

– Dobrze – powiedział, choć zrobił to nieświadomie.

Dobrze, że Ralph Hanke będzie umierał powoli? Czy dobrze, że w końcu rozumiał motywy Hankego? A może jedno i drugie?

– Uprzedź swoich ludzi, że jutro rano opuścimy tę łódź. Polecimy helikopterem na lotnisko w Helsinkach. Mam tam dwa samoloty, które na nas czekają. Polecimy do Pereiry w Kolumbii, załatwimy Don Ignacia i się rozdzielimy.

Hector wstał.

– Co mówią lekarze? – zapytał.

– O czym?

– Ile czasu ci zostało?

Ralph odwrócił wzrok i obie dłonie położył na stole.

– Dokładnie nie wiedzą...

– Ale?

Ralph podniósł wzrok.

– Wspominali, że jakieś sześć do ośmiu miesięcy.

– W porządku – powiedział Hector. – Ode mnie też dostaniesz osiem miesięcy. Jeżeli po tym czasie nadal będziesz żył, znajdę cię i zabiję.

Wyszedł z pokoju.

Morze Bałtyckie

ZADZWONIŁ LESZEK.

– Jedźcie do Kolumbii – powiedział. – My dostaniemy się tam w inny sposób.

– Gdzie jesteście? – zapytał Aron, ale Leszek zdążył się już rozłączyć.

Aron czuł się poniżony, zraniony, zdradzony, porzucony... oszukany.

– Gdzie są? – zapytał Leevi.

– Nie mam pojęcia – odparł Aron.

– Co robimy?

– Szykujemy się na walkę.

Leevi wstał, poszedł do łazienki i wrócił z nożyczkami i maszynką do golenia. Aron siedział przy małym, przymocowanym do ściany stoliku i przeglądał się w lustrze. Leevi usiadł za nim. Za oknem panowała noc. Morze Bałtyckie było ciemne i głębokie. Leevi zaczął wolno obcinać Aronowi włosy. Ich pasma upadały na podłogę. To był ich rytuał przed walką. Powtarzali go niezliczenie wiele razy. Dzięki niemu stawali się kimś innym. Spokojne ruchy Leeviego wyciszały także Arona. Leevi poruszał się delikatnie i miękko. Aron czerpał przyjemność z powolnych pociągnięć jego ręki, gdy ten golił mu głowę maszynką. Długich i ostrożnych pociągnięć. Trzymał swoją dużą ciepłą dłoń na jego karku. Kiedy skończył, objął go ramieniem od tyłu i pochylił się w stronę jego głowy. Przytulił go, uściskał. Ciepło, bliskość

i coś, co robili tylko w takich momentach. Coś, czego nikt inny nigdy im nie dał. Ale w takich chwilach, w obliczu śmierci, mogli wszystko odpuścić. Doświadczyć drugiej strony życia, ostrożnej, potrzebującej, delikatnej...

Helsinki/Londyn/Valle de Cauca

LOT DO STOLICY Finlandii był dla Eddiego prawdziwym koszmarem. Tabletki już na niego nie działały. Cały czas brakowało mu sił.

Brnął przez lotnisko w stronę cła i wyjścia. Stawiał małe kroki, żeby się nie zataczać. Ludzie go unikali. Chciał wziąć taksówkę, pojechać do portu i poczekać tam na prom, na Caroline... Przy odrobinie szczęścia uda mu się posłużyć policją, która będzie obecna na miejscu.

Siły go opuszczały. Przystanął i wsparł się na filarze. Zegarek, który miał na ręce, pokazywał, że ma co najmniej pół godziny zapasu.

Usiadł na chwilę na przymocowanej do podłogi kanapie koło pustego gate'u. Bał się położyć, żeby nie usnąć. Ale cieszył się, że może siedzieć, lekko pochylony do przodu, i zbierać siły.

Za panoramicznym oknem widział płaski krajobraz lotniska. Kołujące samoloty pasażerskie. Kawałek dalej, koło mniejszego terminalu, stały prywatne odrzutowce. Dwa były identyczne. Miały takie samo oznaczenie na ogonie, otwarte drzwi i rozłożone schodki. Kilku mężczyzn wchodziło i wychodziło. Coś pakowali.

Eddie gapił się przed siebie. Zbierał siły na to, żeby wstać i stamtąd odejść... Chciał się na moment położyć, tylko na moment...

Helikopter zaczął podchodzić do lądowania koło terminalu dla prywatnych odrzutowców. Wsiadły z niego cztery osoby. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

Helikopter szybko się wzniósł i odleciał.

Eddie zawiesił wzrok na nowo przybyłych. Jedna z kobiet... jej chód, sposób poruszania się... Bardzo charakterystyczny, wyjątkowy. Zauważył to, gdy szedł za nią przez Norrmalmstorg, wzdłuż Biblioteksgatan i do metra... Sophie Brinkmann.

Podszedł do okna i oparł na nim obie dłonie. Druga z kobiet. Blondynka, nieco niższa, jej styl... A jeden z mężczyzn, ten wyższy... to mógł być Hector Guzman...

Eddie próbował się skupić, zobaczyć szczegóły... Grupa weszła do terminalu.

Ale przecież nie mogli tu być. Powinni nadal być na morzu.

Pojawiły się wątpliwości. Był chory, umierający... Musiał mieć urojenia.

Coś mu się, do cholery, musiało przywidzieć.

Pochylił głowę i zamknął oczy. Wszystko mu wirowało. Źle słyszał, wszystko go bolało, marzył, wszystkie zapachy były jakieś dziwne. W ustach miał smak trucizny. Był podziurawiony jak jakiś cholerny szwajcarski ser. Na całym ciele miał zainfekowane rany, które piekły... do tego gorączkę. Jego myśli były ciężkie, gęste i niewyraźne, i rzadko płynęły w określonym kierunku... Teraz wszędzie widział Caroline Berger. Ale to musiało mu się wydawać.

Otworzył oczy i spojrzał w stronę terminalu. Grupka wyszła na zewnątrz. Czekają na nich dwóch mężczyzn, którzy wprowadzili ich do jednego z samolotów. Nie byli zbyt ostrożni. Schody zostały wciągnięte do środka, drzwi zamknięte.

Eddie nie mógł przestać o tym myśleć.

Piętnaście minut zajęło mu wyjście z lotniska. Kolejne dziesięć spędził w taksówce, ponieważ droga do prywatnego terminalu zataczała łuk wokół terenu lotniska i poza jego granicami.

Kiedy dotarł na miejsce, maszyny zaczęły już kołować. Na ich ogonach widniało to samo oznaczenie, Hanke GmbH. Były kawałek dalej na pasie startowym i ryczały silnikami.

Za kontuarem stała kobieta w apaszce. Eddie dowlókł się do niej. Kobieta, tak jak wszyscy inni, uśmiechnęła się z zakłopotaniem, widząc jego pokancerowaną twarz.

– Gdzie lecą te dwie maszyny? – zapytał.

– Do Kolumbii... – przeczytała z ekranu. – Pereira – dodała. – A lotnisko nazywa się... – znów rzuciła okiem na ekran. – Matecaña... Może niewłaściwie to wymawiam?

– Możliwe. Ma pani nazwiska pasażerów? – zapytał i pokazał swoją szwedzką służbową legitymację.

Pokręciła głową.

– Nie wolno mi. Mogę podać tylko cel... przykro mi.

– Mnie może pani powiedzieć – odparł i znów machnął legitymacją.

Jeszcze raz pokręciła głową.

– Nie wolno mi – powtórzyła i zacisnęła usta, jakby przygotowywała się na tortury.

Eddie zaczął surfować w internecie w swoim telefonie. Znalazł artykuł Caroline Berger. Na dole widniało jej zdjęcie. Powiększył je kciukiem i palcem wskazującym. Zrobiło się nieostre.

– Czy ta kobieta była na pokładzie? – zapytał.

– Nie wiem.

– Jasne, że pani wie. Czy ona wchodziła na pokład? Proszę mi pomóc, ona jest w niebezpieczeństwie...

Kobieta za kontuarem zaczęła się wahać.

– Ktoś podobny do niej mógł wsiąść na pokład – powiedziała wymijająco. Wydawała się zadowolona z siebie.

Po godzinie Eddie miał już zarezerwowane miejsce i opłacony bilet na dwudziestoczerogodzinny lot z Helsinek przez Londyn i Bogotę do Pereiry w Kolumbii. Pięć godzin później siedział w klasie ekonomicznej na pokładzie airbusa i czekał, aż skończy się boarding na lot do Londynu. Obok niego przechodzili pasażerowie. Siedział tuż przy przejściu i trząśł się z zimna.

W każdym rzędzie były cztery miejsca. Eddie zobaczył dwóch dobrze zbudowanych facetów i dwóch Latynosów. Weszli razem, tworzyli grupę. Eddiemu wydawało się, że rozpoznaje mężczyznę na samym przodzie. Przelotnie spojrzeli sobie w oczy. Mężczyzna pokiwał głową, jakby on też był w piekle i właśnie stamtąd wracał. Eddie widział takie spojrzenie u niektórych żołnierzy w Afganistanie. Zorientował się, że też skinął głową. Kiedy go mijali, przypomniał sobie, skąd zna tę twarz. To mógł być człowiek Hectora Guzmana, jego prawa ręka. Aron Geisler. W materiale ze śledztwa w sprawie Trasten znalazło się stare, trochę rozmazane zdjęcie. To nie przypadek, że obaj wybierali się do Bogoty. Eddie był na dobrej drodze... Ale Aron już go widział. Nie mógł mu się pokazać po raz drugi.

Na Heathrow kupił nowe ubranie. Granatowe spodnie z wieloma kieszeniami, granatową koszulę, którą ekspedientka pomogła mu pociąć, tak że zmieściła się w nią ręka z gipsem. A oprócz tego ciemną czapkę z daszkiem ze snobistycznym logo. Kompletna próżność. Źle się w niej czuł. Połknął tabletki przeciwbólowe, antybiotyk i dopłacił do klasy biznesowej. Ta zmiana kosztowała go bezwstydnie dużo. Zmienił także rezerwację na lot z Bogoty do Pereiry na późniejszy, taki, który odchodził godzinę po poprzednim. Wszystko, byle tylko znów nie wpaść na Arona Geislera.

Siedział schowany w toalecie na lotnisku, aż do ostatniego komunikatu. Wtedy wszedł na pokład airbusa A340, jako ostatni, i już w kabinie skręcił w lewo. Ani śladu Arona. Znalazł swoje miejsce, skulił się z bólu i przez całą drogę do Ameryki Południowej spał. Nic mu się nie śniło.

Niebo/Sztokholm

W PRYWATNYM ODRZUTOWCU było czternaście miejsc. Miles i Sanna leżeli na noszach na samym przodzie, blisko pilotów. Opiekowali się nimi lekarz i pielęgniarka.

Albert usnął od razu, jak tylko wsiadł, i obudził się w momencie, gdy koła samolotu dotykały lotniska w Brommie koło Sztokholmu. Wyjrzał przez małe okienko.

Dom... Sztokholm, Szwecja... Ale tylko na krótką chwilę.

Otworzyły się drzwi do kabiny i do środka weszli Jens i Lothar. Zatrzymali się przy Milesie i Sannie, którzy leżeli uśpieni. Jens zamienił kilka słów z lekarzem, a potem ruszyli dalej. Michaił wstał i przywitał się z nimi uściskiem dłoni. Jens przepchnął się obok Michaiła, pochylił i uściskał Alberta.

Lothar nagle znalazł się przed nim.

– Cześć, Lothar – powiedział Albert.

– Cześć, Albert – powiedział Lothar.

Nigdy się nie widzieli. Zbliżyli się do siebie pół roku wcześniej w Monachium, w niewoli u Ralpa Hankego. Dzieliła ich ściana. Rozmawiali przez kratkę wentylacyjną.

Lothar usiadł naprzeciwko niego.

Spojrzeli na siebie. Samolot zaczął kołować.

– Wiem, że cały czas to byłeś ty – powiedział Lothar.

– Co masz na myśli?

– Robiłeś wszystko, żeby uratować mnie... nas.

– Było nas więcej – odparł Albert. – Michaił, Sanna i Miles, mama. Ja nie robiłem nic szczególnego.

Albert oparł głowę na dłoni. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Uśmiech zaczął mu ciążyć. Zbierało mu się na płacz, ale czułby się dziwnie, płacząc na oczach Lothara. Udało mu się powstrzymać łzy. Lothar zrobił to samo, nie wiedział, co ze sobą począć.

Jens i Michaił usiedli obok nich. Maszyna zaczęła nabierać prędkości. Pędziła po pasie startowym, wzniosła się prosto w niebo i zatoczyła łuk.

– No dobra – powiedział Jens. – Nie wiemy, gdzie lecimy ani co się dzieje... Najważniejsze, że jesteśmy razem.

Uśmiechnął się nieznacznie.

Silniki pracowały nieco wolniej. Samolot pomału zwiększał wysokość.

Z kokpitu wyszedł jakiś mężczyzna. Wysoki, brodaty, w beżowym stroju.

– Posłuchajcie – powiedział po angielsku z silnym niemieckim akcentem. – Lecimy na południe, do Monachium. Tam wszyscy wysiądą, oprócz ciebie – dodał i grubym palcem wskazującym pokazał Lothara.

Albert opuścił wzrok. Chwilowy dobry nastrój zniknął.

– Nie tak było ustalone – zaprotestował Jens.

– Co za szkoda – odparł Niemiec, wracając do kokpitu.

– Lecę z nim – powiedział Jens.

– Nikt z nim nie polecie – odparł mężczyzna, odwracając się.

– Lecę z nim – powtórzył Jens. – Zadzwoń do swojego szefa i mu to powiedz.

– Bo inaczej? – zapytał mężczyzna.

– Jak tylko ten cholerny samolot wyląduje, ja i Michaił weźmiemy się za

ciebie i twojego kolegę.

Mężczyzna spojrział na Jensa, potem na Michaiła, wszedł do kokpitu i zamknął za sobą drzwi.

Albert chciał coś powiedzieć, ale nie było nic, co mógłby dodać. Siedzieli sami, bezsilni w pełnym przygnębienia milczeniu.

Jednak zapaliło się światelko w mroku, gdy Jens, niewyjaśnionym sposobem, postawił na swoim.

Trzy godziny później, na lotnisku w Monachium, wszyscy zostali wyprowadzeni. Oprócz Jensa i Lothara. Wszystko stało się tak szybko i obcesowo, że nie zdążyli się pożegnać.

Albert i Michaił zostali zaprowadzeni do czekającego samochodu. Zanim odjechali, Albert zdążył zobaczyć, jak Miles i Sanna są przenoszeni do karetki.

Niebo

ZA SOPELKAMI LODU na małej szybcie widać było granatowoczarne niebo. W kabinie samolotu szumiało. Lecieli bardzo wysoko, mieli wrażenie, że są na granicy atmosfery. Sunęli po rzadkim powietrzu, które momentami nie było w stanie unieść maszyny. Wtedy traciła oparcie, zaczynała opadać w dół, odbijała się od niewidzialnych fal, była popychana na boki przez prądy strumieniowe, przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Sophie czuła się podobnie.

Przed nią, kilka rzędów dalej, siedziała Caroline. To wszystko miało się dla niej źle skończyć. Brakowało jej kart przetargowych. Była dziennikarką, która nagle o wszystkim się dowiedziała i teraz siedziała w tym samym samolocie co Hector Guzman i Ralph Hanke. Caroline podniosła wzrok i spojrzała jej w oczy. Uśmiechała się? Tak, odrobinę... Przyjazny uśmiech, może trochę zbyt kontrolowany. Ale i tak było w nim ciepło.

Sophie zamknęła oczy. Przestała myśleć o czymkolwiek, nie miała nawet siły się bać, gdy samolot stracił oparcie i zaczął opadać, wstrząsany turbulencjami.

Skórzany fotel naprzeciwko niej zaskrzypiał. Otworzyła oczy. Zobaczyła, że to Hector w nim usiadł.

– Właśnie dostałem informację, że Lothar został odebrany i razem z Albertem leci do Kolumbii. Dziękuję ci – powiedział.

– To ja dziękuję – odparła.

Spojrzał w ciemne niebo. Widziała, że chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Siedzieli razem w milczeniu.

Sztokholm

ŻWIR ZACHRZEŚCIŁ pod kołami samochodu. Tommy ostrożnie zatrzymał auto przed willą Kerstin Andersson.

W środku nadal paliło się światło. Spojrzał przez lornetkę. W kuchni zobaczył Jacoba, jej pedałowatego męża. W kolorowym fartuszkowi wycierał blaty i sprzątał.

Tommy kierował się popędem, w ogóle nie myślał o konsekwencjach tego, co miał zamiar zrobić. Jego widzenie ograniczało się do celu, jaki obrał, przywrócenia równowagi, naprawienia wszystkiego... Odzyskania szacunku innych, wspięcia się w hierarchii.

Światło w kuchni zgasło.

Pół godziny później Tommy otworzył wytrychem drzwi do piwnicy.

Gdy wchodził po schodach, terier zaczął ujadać. Ostrożnie otworzył drzwi, złapał zwierzaka za skórę na karku, wcisnął go sobie w zgięcie łokcia i pociągnął ze wszystkich sił. Skurczysyn zapiszczał. Coś gruchnęło. Martwego psa zostawił na podłodze w kuchni.

Na parapecie grało radio. Bardzo cicho. Jakiś utwór Beethovena... albo Mozarta... a może Bacha. Tommy nie wiedział, ale melodia była znana. Dzieci uczyły się ją grać na pianinie.

Stał nieruchomo, nasłuchiwał innych odgłosów. Cisza. Zaczął się przesuwać w kierunku schodów na piętro, kiedy na górze rozległy się czyjeś

miękkie kroki.

– Piesiuniu!

To był Jacob. Mówił łagodnym, miękkim głosem. Potem rozległo się szuranie kapci na stopniach.

Tommy wycofał się do kuchni. Koło kuchenki wisiela żeliwna patelnia. Tommy ostrożnie zdjął ją z haka. Była cięższa, niż myślał.

– Mamcia chce, żeby Piesiunio spał obok niej – powiedział Jacob do martwego psa, sepleniąc jak dziecko.

Jacob wyszedł zza rogu i zamarł pół metra od Tommy'ego. Jego mózg w pierwszej chwili nie zaskoczył. Spojrzał na Tommy'ego, na patelnię w jego rękach, na martwego Piesiunia. Coś zaczęło do niego docierać. Ogarnął go bezlitosny strach.

– Nie – powiedział z dzieciennym przerażeniem w głosie, wysokim, proszącym i zrozpaczonym jednocześnie.

Zrobił niepewny krok w tył, ale patelnia już została wprawiona w ruch. Tommy machnął nią jak rakieta tenisową. Jacob zwymiotował ze strachu i w tej samej chwili patelnia walnęła w jego głowę z głuchym dzwonieniem. Wibrujący dźwięk o niskiej częstotliwości brzmiał nadal, gdy Jacob leżał już na podłodze w szlafroku, piżamie i papuciach z kraciastej flaneli, które zsunęły mu się ze stóp.

– Jacob! Wszystko w porządku?

Jej nosowy, władczy głos rozległ się na piętrze.

W radiu wciąż dudnił klasyczny kawałek. Tommy podchwycił melodię i zaczął ją nucić niskim głosem, jednocześnie wchodząc po schodach.

– Jacob?!

Tommy nucił głośniej. Werble i fanfary...

– Jacob! – krzyknęła Kerstin.

Słysząc było, że się boi. Tommy przyśpieszył kroku i nucił coraz szybciej.

Kerstin Andersson leżała na boku w małżeńskim łóżku. Na nosie miała okulary do czytania. Kołdrę podciągnęła pod brodę. Tommy beztrąsko wkroczył do pokoju, głośno nucąc. Nie miała gdzie uciec. Zerwał z niej kołdrę i położył się na niej całym swoim ciężarem. Jedną rękę położył jej na szyi. Nucił blisko jej twarzy. Podniósł się trochę, złapał majtki, które miała pod nocną koszulą, i je zerwał.

– Tommy, proszę... – zaczęła, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

Tommy nucił z większym naciskiem, zgubił melodię. Zostały same mocne dźwięki. Drugą ręką rozpiął spodnie.

Kerstin próbowała odwrócić głowę, nie czuć jego, jego oddechu i zapachów, jakie wydzielał. Czuł jej strach, strach o ostrym zapachu. Oszalał go.

Rozpiął rozporek.

– Teraz... – szepnęła jej w ucho. – Teraz, pani Andersson... stuli pani mordę i po prostu...

Coś było nie tak... Uświadomił sobie, że jest sflaczały. Całkowicie bez życia. Wybuchnął w nim gejzer niepewności. Wszystko się zatrzymało. Po prostu umarło. Nie wiedział, co robić ani gdzie się podziać. Już nic go nie chroniło. Wszystko zniknęło... Złość... Pragnienie dominowania... Rzeczywistość go oślepiła. Leżał na prokurator, która praktycznie rzecz biorąc była jego koleżanką po fachu. Co on, do cholery, robił w jej łóżku?

Trzymał dłoń na jej szyi, ale uścisk był nieco słabszy. Możliwe, że wyczuła jego wątpliwości.

– Tommy, zrobiłeś krzywdę Jacobowi?

– Tak – powiedział pustym głosem.

– Dlaczego?

Nie potrafił jej odpowiedzieć.

– Żyje?

– Tak... wydaje mi się, że tak.

– A mój pies?

– Nie – mruknął.

– Dlaczego, Tommy? – zapytała łamiącym się głosem.

Był zmęczony. Czuł, że widać to na jego twarzy. Gapił się w jej oczy, próbował coś w nich zobaczyć. Niczego nie znalazł. Zacisnął mocniej dłoń na jej gardle.

– Nie wiem...

Pociągnęła nosem.

– Możesz wstać i odejść – spróbowała.

Nie słyszał.

– Dlaczego nikt mnie nie słucha? – zapytał ochryple.

– Możesz już iść – wyszeptała.

– Czego ja nie rozumiem? Co mi umyka, Kerstin? – zapytał. W jego tonie słychać było prośbę.

– Chcę tylko zejść na dół do męża – powiedziała.

Tommy nie rozumiał.

– Przecież on jest pedziem. Dlaczego chcesz do niego iść?

– Tommy, pozwól mi do niego iść, proszę...

Zacisnął dłoń na jej gardle. Znów zobaczył strach w jej oczach. Zakwiliła. Była sztywna jak drąg, bała się, odwróciła głowę... Dłoń Tommy'ego zaciskała się coraz mocniej. Kerstin szybko zaczęło brakować powietrza. Próbowała się wyswobodzić, walczyć. Ale była zbyt słaba. Zamknął jej ręce w uścisku. Jej twarz zaczęła nabierać sinego koloru, miejscami robiła się nawet czarna. Kolejna fala oporu. Instynktownego. Broniła się ostatkiem sił. Puścił jej dłonie, wspiął się na nią i całym ciężarem oparł na jej szyi. Odbierając jej życie, cicho warczał. Nienawidził tego, co robił. I kochał to, co robił.

Okładała go rękami, lecz nie zwracał na to uwagi. Próbowwała coś powiedzieć... Zacisnął dłonie tak mocno, jak tylko potrafił.

Za jego plecami rozległy się czyjeś kroki. Po podłodze przebiegły bose nogi. Mignął mu Jacob z kuchennym nożem w dłoni. Ryknął z mieszaniną strachu i wściekłości i dźgnął go nożem w bark.

Tommy wrzasnął z bólu i puścił Kerstin. Jacob zamierzył się po raz kolejny. Tommy zwlókł się z łóżka. Nóż musiał uszkodzić coś ważnego. Jacob ruszył w jego stronę. Tommy osłonił się ramieniem. Kolejny cios. Tommy zerwał się na nogi i skulony wybiegł z pokoju. Miał zamiar wziąć jakiś nóż z kuchni, wrócić na górę i ich zadźgać. Jedno i drugie...

Drzwi do sypialni zatrzasnęły się za jego plecami. Klucz został przekręcony w zamku. Tommy przystanął, zawrócił i nacisnął kłamkę. Zamknięte. Naparł na drzwi. Były solidne. Nie wiedział, co robić. Poczował się jak głupek...

Dzwonili właśnie na policję...

Tommy zszedł po schodach. Jacob ciota przykrył zwłoki psa kuchenną ścierką. Tommy złapał ją, wyszedł na dwór, wsiadł do samochodu, wsunął ścierkę pod koszulę i przycisnął do rany na barku. Rana nie była groźna, ale bardzo krwawiła. Tak samo miała się sprawa z przedramieniem.

Ruszył na południe w stronę Nyköping i lotniska w Skavsta. Małego, beznadziejnego lotniska, na które latały tylko tanie linie, które każdy miał gdzieś.

Przeszedł odprawę z fałszywym albańskim paszportem. Starał się nie rzucać w oczy. Wybrał późny lot do London Stansted.

Siedzenia były wąskie i pokryte jakimś sztucznym tworzywem. Za oknem panowała ciemna noc. Miał przechłapanie. Ale nie pierwszy raz. W przeszłości już wielokrotnie miał całkowicie przechłapanie.

Przyniesiono kawę. Machnął na stewardesę i podniósł do góry dwa palce.

– Whisky – powiedział bezgłośnie.

Postawiła przed nim miniaturowe buteleczki. Zapłacił gotówką. Kosztowały więcej niż sam bilet.

Kiedy je otwierał, plastikowe zakrętki pięknie trzaskały, jak suche gałązki. Trzymał buteleczki w obu dłoniach i równocześnie przelewał je do kieliszka z plastiku. Kolor stanowił mieszankę brązu i złota. Golden Brown... Był utwór o takim tytule. Podniósł kieliszek. Płyn był gęsty i piękny. Zaczęła mu cieknąć ślinka... Powąchał. Miał mnóstwo skojarzeń. Nie potrafił ich sprecyzować, ale wszystkie one chciały dojść do głosu. Spróbował. Pijąc pierwszy łyk, czuł się jak wygłodzone niemowlę, które tęskniło za mlekiem z matczynej piersi. Drugi smakował inaczej. Trzeci i czwarty w ogóle. Zamówił jeszcze cztery buteleczki. Pił szybko.

Upojenie... Kurwa, ależ mu tego brakowało. Łagodne, bezpieczne upojenie, które wszystko wyciszało i rozświeślało życie, trwało całe cztery minuty. Potem się skończyło. Bezskutecznie próbował upić się do tego samego cudownego stanu.

Tyle że wszystko zamieniło się w martwe, puste nic.

Valle del Cauca

SAMOLOT WYLĄDOWAŁ na lotnisku na południe od Pereiry w Kolumbii. Kołysząc się, maszyna wyhamowała. Drzwi się otworzyły, a małe schody zostały rozłożone. Kiedy Lothar i Jens wysiedli, uderzyło w nich światło słońca, suche powietrze, kurz i rozedrgany upał. Lotnisko było zamknięte. Okna niskiej wieży kontrolnej zostały wybite. Z asfaltu wystawały kępki trawy. Ogrodzenie otaczające lotnisko tu i tam leżało na ziemi.

Czekało na nich dwóch mężczyzn. Byli uzbrojeni, mieli trzydniowy zarost i żuli liście koki. Jeden z nich nosił okulary o lustrzanych szklach, drugi miał długie, zaczesane do tyłu włosy. Chcieli być kimś. Jens i Lothar nie zaszczycili ich nawet spojrzeniem.

– Trzymajcie gęby na kłódkę – rozkazał mężczyzna w okularach na powitanie.

Odjechali.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedział Lothar, wyglądając przez okno.

– Ja też – przyznał Jens.

– Wy tam z tyłu! Nie gadać! – krzyknął mężczyzna na siedzeniu dla pasażera i wycelował w Jensa pistolet.

Jens odsunął lufę palcem, ale facet był uparty. Wycelował Jensowi w twarz, po chwili przesunął broń w stronę Lothara, a potem znowu w kierunku Jensa.

– *Hände hoch! Hands up!*

Jego kolega zatrząsał się ze śmiechu.

Minęli miasto Cartago, parę wsi. Okolica zrobiła się bezludna. Mężczyźni rozmawiali, śmiali się, wciągali kokainę i palili czerwone marlboro. Odprężyli się. Facet z pistoletem zrobił się niedbały, już w nich nie celował. Dojechali do pustego skrzyżowania. Samochód na chwilę się zatrzymał.

Jens działał szybko. Założył mężczyźnie z pistoletem ramię wokół szyi, złapał rękę, w której trzymał pistolet, wycelował w kierowcę i strzelił mu w bok głowy. Huk wystrzału rozległ się w samochodzie, krew trysnęła na potrzaskaną szybę. Mężczyzna w okularach stawiał opór, kiedy Jens próbował wycelować w niego. To była próba sił. Jens wygrał. Udało mu się wsunąć lufę pod brodę mężczyzny i wystrzelić. Kolejny huk. Okulary zsunęły mu się z nosa. W dachu samochodu zrobiła się dziura. Papieros w dłoni martwego mężczyzny wypalił dziurę w skórzanym siedzeniu. Auto zaczęło zjeżdżać z drogi.

Jens pochylił się do przodu, złapał kierownicę i zaciągnął ręczny.

– Zostań w środku – powiedział do Lothara.

Sam wysiadł, szybko wyciągnął zwłoki mężczyzny i wrzucił je do rowu.

Potem wskoczył za kierownicę i ruszył z piskiem opon.

Lothar siedział z tyłu. Milczący, zszokowany. Wszystko działo się bardzo szybko. Jens nic nie mówił, nawet nie patrzył w jego stronę, jakby wstyd z powodu tego, co zrobił, był zbyt duży.

– Znów użyli cię do szantażu... – mruknął po chwili. – Wystarczy tego dobrego... To był jedyny sposób...

– Gdzie jedziemy? – zapytał Lothar.

– Do posiadłości Don Ignacia. Nie możemy się nikomu pokazać, ale musimy być w pobliżu i patrzeć, co się dzieje... Najpierw jednak będziemy musieli postarać się o prowiant, coś do jedzenia i picia... I pomóż mi sprawdzić broń, zobacz, ile mamy jeszcze naboji – poprosił Jens i podał

Lotharowi oba pistolety. Lothar wysunął magazynek jednego z nich.

– A potem? – zapytał.

Jens rzucił okiem w tylne lusterko i na niego spojrzął.

– Nie mam pojęcia.

* * *

W Bogocie Eddie trzymał się na uboczu. Do Pereiry poleciał godzinę później.

Kiedy wyszedł przed terminal, szczęście było po jego stronie. Aron Geisler i trzech mężczyźni czekali na podstawienie wynajętego samochodu, który nie nadjeżdżał. W końcu dostali dodge'a journey. Mężczyźni wskoczyli do środka i odjechali.

Eddie ruszył do wypożyczalni samochodów. Mężczyzna w okienku pokazał dwa palce, co oznaczało dwie godziny oczekiwania. Kawałek dalej znajdował się parking. Poszedł tam. Znalazł srebrnego niezamkniętego buicka le sabre, model z lat osiemdziesiątych. Klucze, wetknięte za kłapkę przeciwsłoneczną, spadły mu na kolana. Odpalił silnik, od razu włączyło się radio. Lokalna stacja. Prezenter radiowy mówił szybko. Eddie ruszył, odjechał z parkingu i lotniska. Wcisnął gaz do dechy. Buick aż tak bardzo się nie śpieszył i długo trwało, zanim nabrał prędkości. Z autostrady były dwa zjazdy. Na wschód czy na zachód? Eddie nie miał bladego pojęcia. Wyteżał wzrok i próbował zobaczyć dodge'a. W obie strony jechał jakiś milion aut. Sprawa była beznadziejna. Szybko myślał. Na wschód jechało więcej aut, poruszały się wolno. Zjechał więc na zachód. Przynajmniej będzie miał jakąkolwiek szansę na dogonienie dodge'a. O ile gdzieś tam był...

Znalazł się na autostradzie. Buickowi powoli udało się osiągnąć sto kilometrów na godzinę, potem z mozołem dobił stu trzydziestu. Więcej nie chciał. Pachniało benzyną i spalinami. Eddie otworzył okno. Do środka wpadło ciężkie, gorące kolumbijskie powietrze. Zmieniał pasy. Prezenter nie

przestawał głędzić. Eddie nie rozumiał ani słowa.

W końcu zobaczył wypucowanego niebieskiego dodge'a. Jechał prawym pasem, trzymając się przepisów... Eddiemu ulżyło i ustawił się kilka samochodów za nim. Jazda zrobiła się monotonna. Minęli miasto o nazwie Cartago i jechali dalej na zachód. Eddie znów poczuł się nie najlepiej. Czuł w ustach smak śmierci. Przekręcił wsteczne lusterko w swoją stronę i w nie spojrział. Zmasakrowana twarz, blada jak ściana. Pod zaczerwienionymi, chorymi oczyma miał sine kręgi. Widział, że już jest martwy.

Połknął ostatnie tabletki. Nie została mu już ani jedna.

Stracił poczucie czasu. Dodge zjechał z autostrady na mniejszą drogę. Eddie musiał zachowywać dystans, żeby się nie zdradzić. Dodge wjechał w las. Eddie minął zjazd, zahamował, poczekał kilka minut, a potem zawrócił i pojechał za nim.

Dżungla była gęsta, a drogi słabe. Po jakimś czasie zobaczył, że dodge zaparkował przy jakimś szlabanie. Zjechał na skraj drogi i wysiadł. Powietrze było ciepłe, wilgotne i ciężkie. W koronach drzew nad jego głową śpiewały ptaki. Musiał się czegoś napić. Przeszukał samochód, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Zajrzał pod maskę i wyrwał pojemnik z wodą. Było w nim pół litra ciepłego płynu. Wsunął naczynie pod ramię.

Eddie rozejrzał się dookoła i znalazł drogę, którą weszli w las. Prawie niewidoczną ścieżkę, poznaczoną przypłaszczoną roślinnością. Ruszył ich śladem. Zaczął źle widzieć. Zataczał się. Serce waliło mu jak szalone...

W końcu nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął bezwładnie na ziemię. Stracił przytomność.

* * *

Gospodarstwo było położone na odludziu. Spartańskie, rustykalne, wiejskie. Otoczone soczystą zielenią dżungli. Sophie i Caroline zostały przeprowadzone

przez kilka pokoi, aż dotarły do schodów. Sophie zdążyła zauważyć, że w środku praktycznie nie było mebli, w jednym pomieszczeniu na ścianie wisiały mapy i stały w nim stosy zielonych wojskowych skrzyń. Leżała na nich nowoczesna broń szybkostrzelna.

Na piętrze obie zostały zamknięte w pokoju z zakratowanym oknem. Na jego środku stał drewniany stół i kilka krzeseł. To wszystko.

Siedziały w kącie oparte plecami o ściany.

Caroline Berger była blada.

Z parteru dobiegały różne dźwięki, głosy i kroki.

– Co mają zamiar zrobić? – zapytała Caroline.

– Zaatakują Don Ignacia – odparła Sophie.

– A potem?

– To będzie zależało od tego, kto wygra.

– My tego nie przeżyjemy, prawda? – zapytała Caroline. Próbowała nadać swojemu głosowi rzeczowe brzmienie, jakby bała się dać wyraz własnemu niepokoju.

– Wszystko będzie dobrze – odparła Sophie automatycznie.

– Co będzie dobrze? – zapytała Caroline, patrząc na nią.

– Jak tylko nadarzy się okazja, uciekaj stąd. Biegnij, ile sił – powiedziała Sophie.

– A ty?

Sophie pokręciła głową.

– Mój syn tu jedzie, czekam na niego.

– Nie jestem taka – stwierdziła Caroline.

– Jaka?

– Zawsze wierzyłam, że jestem silna, niezależna... odważna... Ale jeżeli, jak mówisz, nadarzy się okazja, nie pobiegnę.

– Dlaczego?

– Bo się nie odważę. Nie jestem taka. Nie wiem, co zrobię.

Caroline położyła się na podłodze. Na boku. Sophie zrobiła to samo. Patrzyły na siebie.

– Chcę, żeby Eddie Boman przeżył. Chcę znów go zobaczyć.

– Opowiedz o nim.

Caroline nie odrywała oczu od Sophie. Kiedy myślała o Eddiem, oczy jej się szklily.

– Na początku trudno mi go było rozszyfrować... Niewyraźny i niepewny pod maską pewności siebie. Wystraszył mnie. – Myślała. – Ale potem odniosłam wrażenie, że chce się zmienić... poprawić... stać kimś lepszym.

– I wtedy pojawił się Tommy Jansson?

– Tak, wtedy pojawił się Tommy Jansson – potwierdziła cicho.

Słuchały ciszy, która zapanowała w domu. Świat za oknem spowijały ciemności.

– Jest ktoś w twoim życiu? – zapytała Caroline.

– Nie mam na to czasu – odparła Sophie.

– To nie odpowiedź.

– Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby...

– To też nie jest odpowiedź.

Sophie powinna była się uśmiechnąć.

– Tak, chyba w moim życiu jest mężczyzna.

– Jak ma na imię?

– Jens, i nigdy nie odpuszcza.

– A chcesz tego?

– Nie, jasne, że nie.

W starym domu słyhać było ciche trzaskanie.

– Wszystko będzie dobrze, Caroline – powiedziała Sophie. – Wszystko się ułoży. Nie martw się.

– Zginiemy – szepnęła Caroline.

Sophie nic nie powiedziała. Przysunęła się do niej, wzięła jej dłoń i trzymała w swojej. Długo tak leżały. Potem, w środku ciemnej nocy, usnęły z wyczerpania.

Obudziły je jakieś dźwięki. Na zewnątrz wciąż jeszcze było ciemno. Ktoś coś wołał podniesionym głosem. Na dole panował ruch.

Sophie stanęła przy zakratowanym oknie i wyjrzała na zewnątrz. Z domku wybiegali ludzie Hankego. Byli uzbrojeni. Wskakiwali do samochodów na podwórzu. Po chwili zobaczyła Hectora, Leszka i Sonyę. Wsiedli do oddzielnego samochodu. Silniki zostały odpalone, drzwi zamknięte. Reflektory oświetliły dżunglę i drogę z wysuszonej gliny. Wszyscy odjechali. Zapanowała cisza. Próbowwała zrozumieć.

Drzwi do pokoju otworzyły się z trzaskiem. Dwóch ludzi Hankego weszło do pokoju, bez pardonowo poderwało je na nogi, wyprowadziło na dwór i pchało w stronę samochodu. Zostały wepchnięte na tylne siedzenie. Auto odjechało.

Sophie rozejrzała się dookoła. Nigdzie nikogo nie było.

– Gdzie nas wiozą? – zapytała Caroline.

Sophie nie wiedziała, ale miała przeczucie, że chodzi o coś bardzo złego.

* * *

Słońce żarzyło się na wschodzie. Jens i Lothar ostrożnie poruszali się wśród gęstej roślinności. Posiadłość Don Ignacia leżała w dolinie, siedemset metrów dalej. Chcieli podejść bliżej, znaleźć kryjówkę i punkt obserwacyjny.

Lothar pierwszy zobaczył ciało. Dwadzieścia metrów dalej leżał mężczyzna, płasko na brzuchu, tak jak upadł. Jens dał znak, żeby się zatrzymali. Przykucnęli i zaczęli nasłuchiwać, czy w pobliżu są jacyś inni ludzie. Ale było cicho i spokojnie. Podnieśli się i podeszli do ciała. Jens trzymał broń i dał

Lotharowi znak, żeby sprawdził mężczyznę.

Lothar usiadł, sprawdził puls i posłuchał, czy mężczyzna oddycha.

– Żyje – stwierdził.

– Odwróćmy go – powiedział Jens.

Zobaczyli pokancerowaną twarz. Strupy, zaschniętą krew, ropiejące rany.

Mężczyzna był blady jak ściana i miał zamknięte oczy.

– Boże – szepnął Lothar.

Jens przyjrzał się mężczyźnie.

– Wiem, kto to jest – powiedział.

– Kto? – zapytał zdziwiony Lothar.

Jens przyjrzał się zmasakrowanej twarzy mężczyzny i położył mu dłoń na czole, żeby sprawdzić, czy ma gorączkę.

– To szwedzki policjant. Nazywa się Eddie Boman... To on skontaktował się z Sophie w metrze.

– Co on tu robi?

– Dobre pytanie. Musimy go ocucić.

Posadzili Eddiego, podali mu wodę i kilka razy pokleпали po twarzy. Próbowali kilkakrotnie. Lothar wlał mu trochę wody prosto do gardła. Eddie zakaszłał i oprzytomniał. Zwymiotował. Oddychał z trudem. Spojrzał na Jensa, a potem na Lothara. Wzrok miał błędny.

– Jak się czujesz? – zapytał Jens, klepiąc go mocno w policzek.

Eddie skupił wzrok, zmrużył oczy i spojrzał na Jensa.

– Ty? – zdziwił się Eddie.

– Możesz mi powiedzieć, co tu robisz?

Eddie próbował zebrać myśli. Rozejrzał się dookoła.

– Gdzie są mężczyźni?

– Jacy mężczyźni? – zapytał Jens.

– Aron i reszta, ludzie Hectora...

– Widziałeś ich?

– Przyjechałem za nimi z lotniska. Muszą być gdzieś w pobliżu.

Ciszę poranka przerwały suche i bezduszne odgłosy wystrzałów, które rozległy się w oddali. Najpierw były to niezdecydowane salwy, jakby walczący nie potrafili się zdecydować, jak ta potyczka ma wyglądać. Potem dołączyło do nich ciężkie i agresywne terkotanie karabinów maszynowych.

* * *

Aron i Leevi leżeli na brzuchu i spoglądali w stronę pałacu Don Ignacia. Aron przez lornetkę, a Leevi przez celownik karabinu. Przed domem poruszało się zaledwie kilku ludzi, po okolicy krążyli pojedynczy strażnicy. W niektórych oknach paliło się światło. Oświetlony był również basen i potężny garaż.

Przyszedł King i usiadł za nimi.

– Co robimy? – zapytał. W jego głosie słychać było taką samą obojętność jak zawsze. Wypił ich wodę, jakby była jego.

– Zabijemy kilku ludzi – odparł Leevi.

– Pomysłowo – stwierdził King. – Słyszałem, że z kimś rozmawiałeś – dodał. – Ze swoim szefem?

– Wyjechali przed godziną. Powiedział, że uderzą ze wschodu.

– A my?

– Z tego miejsca, w którym jesteśmy – odparł Aron z lornetką przy oczach.

– Kiedy?

Aron omiótł lornetką okolicę.

– Kiedy powiem, że już.

King wypił kilka łyków wody. Ostatnim przepłukał gardło i wypluł go na ziemię między Aronem i Leevim.

– A kiedy to powiesz?

Aron liczył ludzi, sprawdzał możliwości ucieczki.

– W pierwsze starcie nie będziemy się mieszać – odparł. – Będziemy tylko obserwować.

– Twój szef chyba mówił co innego – stwierdził King i napił się jeszcze wody.

Aron nie odpowiedział.

– Gównu mnie to obchodzi, ale Victor i ja chcemy tego, co nam obiecałeś – powiedział King, beknął i się podniósł.

Rozmowę przerwała im nagła strzelanina na wschód od zabudowań. Natężenie dźwięków i liczba strzałów rosły. Widzieli rozbłyski luf. Widzieli ślady pocisków smugowych i ogień zaporowy w postaci granatów ręcznych. Widzieli odpowiedź z ogrodu, z okolic basenu, z piętra. Atakujący wycelowali w nie karabin maszynowy. Pokój na piętrze został podziurawiony jak sito, w powietrzu fruwały kawałki tynku i szkła.

Zwierzęta w klatkach się denerwowały. Zebry biegały tam i z powrotem, jedna za drugą. Dwie żyrafy stały blisko siebie. Były przerażone, nic nie rozumiały. Od czasu do czasu niezdarnie cofały się o kilka kroków. Kulejący lew chodził w kółko.

Gdzieś w pobliżu rozległ się strzał. Potem drugi. Bracia z karabinami w dłoniach urządzili sobie safari. Żyrafy padły na ziemię. Bracia głośno wiwatowali. Znowu wystrzelili. Położyli zebry i lwa. Bracia szaleli ze szczęścia.

Aron i Leevi śledzili wzrokiem personel, który uciekał do dżungli. Nawet niektórzy uzbrojeni strażnicy zdezerterowali.

– To długo nie potrwa – zawyrokował Leevi.

* * *

Hector, Leszek i Sonya strzelali ze wzgórza. Grupa Ralpha Hankego znajdowała się kawałek dalej, na ich lewej flance. Wszyscy pracowali szybko

i intensywnie.

Po kilku minutach było po wszystkim.

– Wsiadł do samochodu, jedzie w naszą stronę – powiedziała Sonya z lornetką przy oczach.

Miała na myśli Don Ignacia.

– Osłaniaj nas stąd – powiedział Hector i potykając się, zaczął zbiegać w dół. Leszek biegł tuż za nim. Dźwięk silnika narastał. Wysokie obroty, osiem cylindrów, opony roztrącały żwir.

Hector i Leszek zbiegli na sam dół i ruszyli w stronę drogi wyjazdowej.

Samochód Don Ignacia wyjechał zza zakrętu. Cadillac escalade. Światło reflektorów omiotło Leszka i Hectora. Hector stał wyprostowany, Leszek klęczał na jednym kolanie. Strzelali seriami po trzy strzały. Metodycznie. Opony, silnik, szyba. Kierowca oberwał w twarz. Samochód zjechał w krzaki po lewej stronie drogi. Z chłodnicy unosił się dym. Minęło kilka sekund. Ktoś otworzył drzwi kopniakiem. Z auta wyskoczyło dwóch mężczyzn. Zaczęli strzelać. Hector i Leszek nie pozostali im dłużni. Mężczyźni upadli na ziemię. Trzeci wyskoczył z tyłu i próbował uciekać. Sonya zrobiła z nim porządek.

Don Ignacio wyczołgał się z rozbitego auta. Upadł na ziemię, wstał i zaczął się ślizgać. Ramię miał podziurawione kulami. Fragment kości z rozbitego obojczyka sterczał spod pokrwawionej koszuli. Wydawał się nieświadomy tego, co się z nim stało. Trzymał pistolet w dłoni i patrzył nieprzytomnie na Leszka i Hectora. Potem odwrócił się w stronę swojego porzuconego zamku.

– Nikt ci nie pomoże. Jesteś sam – powiedział Hector.

Don Ignacio wymamrotał jakieś przekleństwo pod adresem Hectora. Było niejasne i pozbawione sensu, mówiło coś o kozie i matce Hectora.

Ignacio zaczął iść.

– Gdzie się wybierasz?

Zatrzymał się. Przystawił sobie pistolet do głowy. Na twarzy Don Ignacia

Ramireza malowała się mieszanina nienawiści, strachu i niepewności. Ale zamiast nacisnąć spust, ruszył w stronę willi, jak gdyby sam się wziął na zakładnika.

– Ignacio? – zawołał Hector.

Ramirez przystanął. Odwrócił się. Broń cały czas miał przy skroni.

– Co robisz?

Ignacio wyglądał na skołowanego.

– Chcę negocjować – powiedział.

– Co masz do zaoferowania?

Cisza. Ignacio odsunął broń od głowy i opuścił rękę. Rozejrzał się. Ostatnia próba przekonania się, czy nadchodzi pomoc. Ale nie nadchodziła.

– Chcę negocjować – powtórzył.

Hector spojrział w dół. W dłoni trzymał karabin maszynowy. Nagle poczuł mdłości, chciał usiąść.

Z zarośli wyłonił się Ralph Hanke. Na głowie miał kapelusz z miękkim rondem, jak gdyby urządził sobie polowanie na grubego zwierza... co poniekąd było prawdą. W dłoni trzymał zdecydowanie zbyt duży pistolet, a za sobą miał ośmiu uzbrojonych po zęby ludzi.

– Co wy wyprawiacie? – zapytał, podniósł potwora, którego trzymał w ręce, i dwa razy wystrzelił w kierunku Don Ignacia. Trafił go w zdrowe ramię i w szyję. Dwa potężne huki. Ignacio zwałił się na ziemię z dłonią na szyi. Między jego palcami tryskała krew. Zacharczał i skonał.

Ralph spojrział niewzruszony na Hectora.

– W porządku – powiedział. – Ignacia nie ma, Christian jest bezpieczny. Zadanie wykonane.

– A Lothar? – zapytał Hector.

Mężczyźni za plecami Hankego podnieśli karabiny.

– Bądźcie tak dobrzy i odłóżcie broń – powiedział Hanke. – I poproście

Sonyę Alizadeh, żeby do nas zeszła.

– Nie – powiedział Hector.

Ralph odwrócił się do swoich ludzi i głośno policzył do ośmiu, potem pokazał na siebie i rzekł:

– Dziewięć. A was jest trójka, wliczając w to Sonyę.

– Mieliśmy umowę – powiedział Hector.

– Zgadza się – potwierdził Ralph i pokazał Don Ignacia, który wciąż jeszcze krwawił. – I nam się udało, prawda?

Hector próbował ocenić sytuację. Za sobą miał Leszka. Sonya była na górze. Jeśli wybuchnie strzelanina, może przeżyje cztery sekundy.

– Gdzie jest Lothar? – zapytał.

– To bez znaczenia, bo to nie o nim masz teraz myśleć – odparł Hanke.

Hector widział, że Ralph upaja się władzą, którą w tym momencie miał. Rozkoszował się, odgrywał spektakl, był wszechmocny. Niczym przeciwieństwo osoby, którą był w autobusie w Sztokholmie i na łodzi na Morzu Bałtyckim. Hector dał się nabrać. Jak dureń.

– Poproś Sonyę, żeby tu zeszła, i odłóżcie broń. Inaczej każę moim ludziom otworzyć ogień – powiedział Ralph ze spokojem.

Hector położył broń na ziemi. Leszek zrobił to samo. Sonya zeszła ze wzgórza.

Ralph skinął głową.

– Dobrze – szepnął. Potem spojrzał na Hectora i dodał: – Rozczarowałeś mnie...

Do Ralpa podeszły cztery osoby. Hector zobaczył Sophie... Caroline i dwóch ludzi Hankego. Nie odwracając się, Hanke pokazał za siebie.

– Sophie Brinkmann – powiedział. – To jest twoja pięta achillesowa. Nie pieniądze, nie twoja rodzina, nie władza ani organizacja... To ona... Tak było od samego początku. Sam pewnie tego nie zauważyłeś... Ale ja tak. A już

zwłaszcza na morzu, gdy kupiłeś moje gadanie o niej.

Hector i Sophie spojrzeli sobie w oczy. Jego najgorsze obawy się potwierdziły.

– Pozwól jej odejść – poprosił.

Ralph odwrócił się, spojrzął na Sophie i pokręcił głową.

– Jej nic się nie stanie. Twojemu synowi, Lotharowi, też nie.

Hector wiedział, że Hanke to uwielbia. I wiedział, że to nie może się dobrze skończyć... a nawet że to skończy się cholernie źle.

– To Albert! Albert Brinkmann – powiedział Hanke.

Sophie gapiła się w ziemię.

Ralph stanął tak, żeby widzieć i Sophie, i Hectora.

– Albert Brinkmann jest u mnie w Monachium razem z Michailem Asmarowem. Wasi przyjaciele też. Są pod dobrą opieką. Włos im z głowy nie spadnie.

Hanke zrobił sztuczną pauzę i spojrzął na Sophie i Hectora. Rozkoszował się ich reakcją.

– Jest tylko jeden drobiazg. Ty, Hectorze, musisz tam przyjechać. Sam. Wtedy dokonamy wymiany. Albert wróci do mamy, a ty zostaniesz u mnie...

Ralph przyglądał się im obojgu. Jego oczy błyszczały.

Był świetny w tym, co robił, po prostu chory, pomyślał Hector... Manipulacja. Co za broń. Hector już nie potrafił z niej korzystać i przez to był podatny na zranienie. Dlatego teraz tam stał. Przez sekundę czuł się niemal za to wdzięczny. Nie z powodu całej sytuacji, ale dlatego, że nie musiał być świnią. Tylko że ta myśl szybko się ulotniła i dopadła go rzeczywistość.

Sophie... stała tam. Z opuszczoną głową, zdruzgotana. Wyprana z wszystkiego, jak gdyby zaraz miała się poddać.

Nadjechała kawalkada pięciu samochodów, które stanęły za plecami Ralpa.

– Oswój się z tą myślą. Masz na to kilka dni. Potem daj mi znać – powiedział, jakby rozmawiali o zwykłym interesie.

Samochody z Hankem i jego ludźmi odjechały.

Hector odwrócił się i ruszył do willi.

Inni zostali.

* * *

Eddie Boman budził się do życia. Jens był zdziwiony jego siłą i energią. Facet był zmasakrowany. Pocięty, podźgany, stracił dużo krwi, miał gorączkę i kilka złamań. Ale w jego wnętrzu paliła się siła. Nie do zderzenia. Eddie poruszał się tylko w jednym kierunku – do przodu. Chciał zrobić to, po co przyjechał, i nic nie mogło go powstrzymać.

Strzelanina się skończyła. Wydarzenia przybrały nowy obrót, gdy pojawiła się Sophie i Caroline, a obok nich Hector i Ralph. Potem Ralph zniknął...

Jens próbował zrozumieć. Ale nie miał czasu na refleksje. Zobaczył, że od zachodu do willi zbliża się Aron w towarzystwie trzech mężczyzn. Kogo chcieli zaatakować? Walka się skończyła... Don Ignacio nie żył, Ralph odjechał. Został tylko Hector i jego ludzie... no i Sophie oraz Caroline.

– Jak myślisz? – zapytał Jens.

Eddie spojrzał.

– Mają zamiar zaatakować, poruszają się w charakterystyczny sposób.

– Czegoś nie zrozumieli? Przegapili koniec walki?

– A my przegapiliśmy?

– Nie – odparł Jens.

– Oni też nie.

– Spisek?

– Możliwe – odparł Eddie.

– W takim razie Sophie zginie, jak tylko Aron ją zobaczy – stwierdził Jens.

Podał Eddiemu drugi pistolet i zwrócił się do Lothara.

– Zostań tutaj. Zawołamy cię, gdy będzie po wszystkim.

Jens i Eddie weszli w zarośla i ruszyli w stronę willi. Eddie poruszał się bardzo wolno. Jens wątpił, że uda mu się dotrzeć do zabudowań.

Zobaczył, jak grupa Arona zbliża się do domu i kieruje w stronę drzwi.

Dotarli z Eddiem do równego terenu, zaczęli się rozglądać za ludźmi, ale nikogo nie zobaczyli.

– Teraz – powiedział Jens i ruszył biegiem przez otwarty teren.

Dobiegł do willi i przycisnął się do ściany. Eddie szedł wolno. Był kompletnie nieosłonięty. Jeżeli komuś przyszłoby do głowy wyjrzeć przez okno, byłoby po nich. Byliby kompletnie bez szans. Dwa pistolety przeciwko karabinom maszynowym... Jens spróbował wyprzeć myśli o ich kiepskim położeniu. Eddie dotarł do willi. Ciężko dyszał, oparł się plecami o ścianę i zjechał po niej w dół.

– Dasz radę? – zapytał Jens.

Eddie nie odpowiedział. Oddychał, podniósł dłoń do góry. Jens złapał ją i pomógł stanąć mu na nogi. Weszli do willi przez drzwi od piwnicy. Ruszyli korytarzem w stronę innych drzwi. Jens ostrożnie je otworzył. Schody. W oddali głosy. Cicho weszli do góry... Nasłuchiwali. Jens otworzył kolejne drzwi. Obrzucił wzrokiem hol. Nikogo. Głosy dochodziły z pokoju po drugiej stronie korytarza. Eddie podkradł się do niego jako pierwszy, przecinając błyszczącą marmurową podłogę. Skulił się przy podwójnych drzwiach. Jens słyszał głos Arona. Rzeczowy i urażony jednocześnie. Wygłaszał jakąś cholerną przemowę. Hector odpowiadał od czasu do czasu. Słyszać było, że jest znudzony i niechętny. Jens zajrzał przez dziurkę od klucza. Dwóch mężczyzn trzymało Sophie i Caroline, przykładając im do głów pistolety. Aron stał przed nimi. Hector, Leszek i Sonya rzędem naprzeciwko niego. Czwartego członka grupy nie było widać. Rozmawiali. Ale Jens zrozumiał, że do niczego

ich to nie zaprowadzi. Mowa Arona traktowała o niesprawiedliwościach. Zaraz zacznie się rzeź. I nie potrwa długo.

Odsunął się i zrobił miejsce Eddiemu.

Eddie zajrzał i szepnął dwa słowa:

– Panie przodem.

Jens pokiwał głową.

Głosy zrobiły się podniesione. Sonya sprawiała wrażenie wzburzonej. Protestowała. Musiała zrozumieć, że zaraz zginie.

Jens położył dłoń na kłamce. Bicie serca czuł aż w gardle. Strach był wszechogarniający. Miał tylko jedną szansę, jedną jedyną. Spojrzał na pistolet. Trzy razy upewnił się, że jest odbezpieczony. Od stóp do głów aż go skręcało z nerwów.

– Pójdzie dobrze – szepnął Eddie ze spokojem. – Ja się nie zawaham. Ty też nie. Najpierw Caroline i Sophie, a potem pozostali mężczyźni z bronią... Ten czwarty chyba jest na prawo. Ja się nim zajmę. Na koniec Hector i jego paczka. Są załadowane do pełna – dodał, podnosząc broń w górę. – Strzelaj, żeby zabić... Okej?

Jens nacisnął kłamkę. Drzwi się otworzyły. Wszyscy zwrócili się w ich stronę. Jens czuł ciężar pistoletu. Strzelił w stronę Latynosa, który trzymał Sophie. Spudłował. Za jego plecami rozległy się dwa wystrzały. Broń Eddiego. Mężczyzna, który trzymał Caroline, padł na ziemię. Jens strzelił po raz drugi. Latynos odwrócił się w jego stronę i Jens trafił go w czoło. Tył jego głowy eksplodował. W pokoju rozległo się więcej wystrzałów. Kule świstały mu koło głowy. Jens zdążył zauważyć, że Eddie leży na ziemi i strzela do pokoju, który znajdował się za nimi. Czwarty mężczyzna runął na ziemię.

Aron zrobił zwrot w stronę Jensa i przycisnął karabin do ramienia. Jens strzelił trzy razy. Aron poleciał do tyłu. Dostał w klatkę piersiową i szyję. Był martwy, zanim dotknął podłogi.

Jens naliczył cztery ciała, a potem zrobił zwrot, wziął na muszkę Hectora i zaczął naciskać spust.

– Nie strzelaj! – krzyknęła Sophie, stanęła przed Hectorem i zasłoniła go własnym ciałem.

Jens potrzebował sekundy albo dwóch, żeby zrozumieć, co się dzieje. Opuścił broń. W pokoju zasnutym oparami prochu zapanowała dziwna cisza.

Caroline podbiegła do Eddiego, który leżał na ziemi. Z jego brzucha sączyła się krew.

– Nie! – zawołała Caroline. – Postrzelili cię?

Eddie potrząsnął głową.

– Nie, po prostu otworzyła mi się jakaś rana.

Objęła jego twarz obiema dłońmi.

– Eddie... Eddie... – powtarzała raz po raz.

Sytuacja uległa zmianie, gdy Sonya podbiegła do Eddiego i wzięła go na muszkę. Leszek wycelował w Jensa. Zostali rozbrojeni.

– Zamknijcie ich. Wszystkich – powiedział Hector i wyszedł z pokoju.

* * *

Strzelanina w domu ucichła tak samo szybko, jak się zaczęła.

Lothar próbował coś zobaczyć ze swojego miejsca wśród drzew. Ale nic nie widział. Żadnego ruchu, żadnych ludzi. Nic nie słyszał. Zginęli? Wszyscy? Co teraz robi? Odejdzie stąd? Wejdzie w dżunglę i co dalej?

Wyszedł na polankę i ruszył w stronę posiadłości Don Ignacia. Gdy zszedł ze wzgórza, ruszył w stronę willi. Zobaczył zwłoki mężczyzny, który leżał poskręcany na ziemi, i odwrócił wzrok. Kawałek dalej leżał kolejny. Miał twarz pozbawioną życia. Lothar przyśpieszył kroku i wbił wzrok w ziemię. Kiedy podszedł bliżej domu, podniósł wzrok. Pięćdziesiąt metrów dalej stał jakiś mężczyzna i celował do niego z karabinu. Lothar znieruchomiał, podniósł

ręce odrobinę do góry... Miał ochotę się skulić...

– Nazywasz się Lothar Tidemann? – zapytał mężczyzna po niemiecku ze wschodnioeuropejskim akcentem.

– Tak – bąknął Lothar.

Mężczyzna natychmiast opuścił broń i się odprężył.

– Nazywam się Leszek Śmiały i pracuję dla twojego taty.

– Co się stało z innymi? Z Sophie, Jensem... Eddiem? – zapytał Lothar.

– Są tutaj, mają się dobrze.

– Chcę ich zobaczyć.

– Zobaczysz. Za chwilę. Najpierw chodź, proszę, ze mną.

* * *

Hector wyszedł do włoskiego ogrodu na tyłach willi, znalazł kamienną ławkę i na niej usiadł. Małe, kwadratowe oczka wodne z szemrzącą wodą, wspaniała zieleń i porozstawiane tu i tam posągi z marmuru.

– Dobry Boże – szepnął do siebie.

Nigdy wcześniej nie wymówił tych słów. Ale teraz tak... Nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Ogród mógł należeć do klasztoru w Toskanii. Lecz znajdował się przy zamku bossa narkotykowego w Kolumbii. Tutejsza energia była zła, stanowiła kompletne przeciwieństwo tej klasztornej. To mu coś mówiło. Chciałby mieć obok siebie brata Roberta. Zadawać mu pytania, rozmawiać. Potrzebował pomocy. Ale nigdzie jej nie było...

Usłyszał zbliżające się kroki. Leszek wszedł na schody.

– Nie teraz – powiedział Hector.

– Masz gościa – odparł Leszek.

To było dziwne zdanie w tej sytuacji.

– Cześć, Hector – powiedział czyjś głos. Należał do młodego mężczyzny.

Kawałek za Leszkiem stał Lothar. Hector spojrział na swojego syna. Był wysoki jak na swój wiek.

– Jak się masz? – zapytał.

Pytanie nadeszło samo i możliwe, że nie miało większego sensu w tej sytuacji, ale Lothar i tak na nie odpowiedział:

– Nie wiem.

Hector dał mu znak dłonią.

– Podejdź, proszę, bliżej.

Lothar posłuchał i zrobił kilka kroków w jego stronę. Miał dzinsy, tenisówki i koszulkę polo. Był wyprostowany... zachowywał dystans. Hector chciał wyciągnąć dłoń, dotknąć go.

Lothar pokazał kciukiem za swoje plecy i powiedział:

– Tam leżą martwi ludzie.

Wyglądał na przestraszonego. Był opanowany, ale się bał.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytał Hector.

– Przyleciałem z Jensem... samolotem Hankego. Zabrali nas ze Sztokholmu. Resztę wysadzili w Monachium, a nas przywieźli tutaj.

– Resztę? Był wśród nich Albert Brinkmann? – zapytał Hector.

– Tak. Gdzie jest Jens? – zapytał Albert.

– Tam, w środku – powiedział Hector i pokazał głową w stronę willi.

– Sophie? Eddie? Ta kobieta, Caroline?

– Wszyscy tam są. Nic im nie jest.

– Co zrobisz z zabitymi?

– Pochowam ich.

Lothar myślał o tym, co Hector mu powiedział. Rozejrzał się dookoła. Willa górowała nad nim.

– I teraz to wszystko jest twoje? Tak to się odbywa? – zapytał.

Hector próbował wyczuć swojego syna. To było ich drugie spotkanie. Pół

roku wcześniej widział go po raz pierwszy, przez krótką chwilę, po której zostali rozdzieleni. Mimo to dobrze go zapamiętał i widział, że Lothar się zmienił. Był starszy, dojrzały. Wyższy, masywniejszy i miał dłuższe włosy. Był też mroczniejszy. Większy ciężar, większa powaga. Niejedno widział.

– Tak, chyba tak to się odbywa – potwierdził.

– Było warto? – zapytał Lothar.

Hector złapał się na moment za nasadę nosa.

– Nie da się odpowiedzieć na to pytanie – odrzekł cicho.

Lothar kiwnął głową, przez sekundę o czymś myślał, a potem spojrzał na Hectora.

– Dlaczego nie? – zapytał ze szczerością w głosie.

– Nie wiem – odparł Hector.

Lothar przyjrzał się ojcu, jak gdyby chciał wiedzieć, zrozumieć. Ale Hector zmienił temat.

– Cieszę się, że znów cię widzę – zaczął, lecz Lothar mu przerwał:

– Albert... Michaił i inni... są u Hankego w Monachium. Co z nimi będzie?

– Nic im się nie stanie.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

– Obiecujesz?

Hector nie mógł tego obiecać, ale mimo to pokiwał głową. Lothar musiał zrozumieć, że kłamie, możliwe też, że niczego innego się nie spodziewał.

– Chcę pójść do Sophie i Jensa – powiedział.

– Niedługo ich spotkasz.

– Chcę się z nimi spotkać teraz – odparł Lothar i ruszył w stronę schodów, którymi wszedł.

– Strach...

Hector zorientował się, że powiedział to głośno. Nie był w stanie tego

powstrzymać.

Lothar przystanął.

– Co powiedziałeś? – zapytał.

– Pytałeś, czy było warto...

Lothar czekał na dalszy ciąg, ale gdy nie padło żadne słowo, odwrócił się i zaczął schodzić po schodach.

– To on mną kierował – powiedział Hector. – Od zawsze. Wydaje mi się, że mógł to być właśnie on, możliwe, że...

Hector musiał przełknąć ostatnie słowo.

– W jaki sposób? – zapytał Lothar.

– Nie wiem.

– Jako ochrona?

– Tak, możliwe...

Lothar zrobił kilka kroków w górę.

– Przeciwno czemu? – zapytał.

– Nie wiem.

– Spróbuj.

Hector szukał, badał, koncentrował się. Ale nie znajdował odpowiedzi na pytanie Lothara.

– Powiedz po prostu, co ci teraz przychodzi na myśl – poprosił Lothar.

– Myślę o tobie, o nas...

– Nie potrzebuję tego... Chcę wiedzieć, zrozumieć... Tylko o to cię proszę.

Strach jest prawdopodobnie ochroną... Ale przed czym?

Słysząc było pluskanie wody.

– Przed wszystkim – odparł Hector.

– A konkretniej?

Hector się zastanowił.

– Przed biedą... gorszym położeniem – szepnął. – Przed bezradnością... –

dodał. Coś w nim drgnęło. Mówił dalej: – Przed pogardą dla samego siebie, przed głodem i pragnieniem, słabością, marnością, samotnością... ciszą, pustką... – powiedział i podniósł wzrok. – Przed wszystkim.

Lothar myślał przez chwilę, a potem skinął głową.

– Czy to jest zło? Takie podejście?

– Co masz na myśli?

– Cały ten strach i skoncentrowanie na sobie. Czy to one są źródłem całego zła?

Hector myślał.

– Możliwe. Nie wiem.

– Moja mama była dobra.

– Tak, Franka była dobra – przyznał Hector.

– Sophie i mama są podobne. Przyciąga cię to, co dobre.

– Może to być prawda... Ty też jesteś dobry, Lotharze.

– Jestem w połowie tobą, w połowie mamą. W połowie zły i w połowie dobry. Nie mówię tego przez złośliwość... Ale może tak być.

Hector poczuł ukłucie.

– Nie – powiedział. – Ty jesteś dobry. Nie martw się. Ty jesteś wyłącznie dobry... – dodał. W swoim głosie słyszał zapowiedź paniki.

– Mama zwykle powtarzała: „Nakarm dobrego wilka”.

– Zrób tak – powiedział Hector. – Zrób – powtórzył.

– A ty? Ty się zmienisz?

Hector widział w jego oczach nadzieję. Lothar liczył na to, że odpowie twierdząco. Ale on nie miał zamiaru kręcić.

– Nie... przykro mi – odparł.

Lothar oswajał się z rzeczywistością. Możliwe, że godził się z sytuacją.

– W porządku – powiedział, patrząc na Hectora. – I co teraz? Co się stanie? Co będzie z Albertem i innymi w Monachium?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Co to znaczy?

– Przykro mi, Lothar – rzekł i patrzył w ziemię, gdy Leszek brał Lothara za ramię i sprowadzał po schodach.

Zrobiło się cicho. Słyszeć było jedynie śpiew ptaków i pluskanie wody. Z kieszeni na piersi wystawało mu cygaro. Wyjął je, znalazł w kieszeni zapalniczkę, zapalił i się zaciągnął.

Myśli krążyły mu w głowie i szukały wyjścia. Były niewyraźne, pełne przemocy i śmierci, i w ostatecznym rozrachunku nie do zaakceptowania.

Cygaro miało gorzki smak. Wrzucił je do jednego z oczek wodnych. Przez sekundę syczało, a potem zgasło.

Zrób, co należy.

Słowa pojawiły się same. Miały formę czegoś, co powiedział mu w Toskanii brat Roberto... „Czasem trzeba zrobić, co należy”, tak się wyraził...

Zrób, co należy... Co to, do cholery, mogło teraz być...

Odgłos czyichś kroków przerwał mu myśli. Zobaczył Leszka.

– Musimy brać się do pracy – powiedział Leszek.

Hector poczekał kilka sekund, a potem wstał i wszedł za Leszkiem do budynku.

Osiem metrów pod willą były piwnice i korytarze. Większość pomieszczeń stanowiły mieszkania dla personelu, proste pokoje, w których cztery osoby spały na piętrowych łózkach. W innych przechowywano gotówkę, broń i kokainę. Były też schrony z zapasami prowiantu, w których można było przetrwać atak atomowy.

W samym środku płataniny korytarzy leżało centrum dowodzenia. Ściany z betonu i żadnych okien. Komputery i zaawansowane technologicznie urządzenia komunikacyjne.

Leszek przeszukał komputery i znalazł to, na czym im zależało. Wszystkie informacje o interesach Don Ignacia, jego kontaktach, wpływach i wydatkach. Podane na tacy. Wystarczyło tylko sięgnąć ręką.

Hector czytał wydrukowane dokumenty. Interesy były gigantyczne. Kwoty niewyobrażalne. Jego siatka obejmowała cały świat.

Teraz wszystko to należało do niego...

Za plecami słyszał głosy Leszka i Sonyi. Każde z nich rozmawiało przez telefon, przekazywali wiadomość. Don Ignacio zmarł nagle w wyniku choroby i jego ostatnia wola była taka, żeby to Hector Guzman przejął jego imperium. Wszyscy to rozumieli i nikt nie protestował tak długo, jak długo mogli renegecjować warunki. I renegecjowali, od czasu do czasu. Leszek i Sonya zasłaniali dłońmi telefony i przekazywali mu informacje. Hector prawie ich nie słuchał. Odwrócił plik papierów, oparł je sobie na kolanie, sięgnął po długopis i zaczął zapisywać nazwiska.

Ludzi ze Sztokholmu. Gangsterów, mętów, ludzi z półświatka. Figurantów piorących brudne pieniądze, płatnych morderców, dealerów, właścicieli klubów nocnych, alfonsów, „opiekunów” wymuszających haracze, windykatów...

Zapisał wszystkie nazwiska, jakie mógł sobie przypomnieć z lat spędzonych w mieście.

– Rozłączcie się – polecił Sonyi i Leszkowi, którzy byli w trakcie rozmów. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem. – Rozłączcie się – powtórzył.

Z wyraźnym wahaniem zrobili, co kazał, i popatrzyli na niego pytająco.

Hector się rozluźnił i opuścił ramiona.

– Dziękuję – powiedział i podał Leszkowi kartkę. – Skontaktujecie się z tymi ludźmi. Wszystkimi po kolei. Bezzwłocznie.

Leszek spojrział na kartkę i podniósł wzrok.

– To nazwiska ludzi ze Sztokholmu... Chcesz rozmawiać z nimi?

- Tak – potwierdził Hector obojętnym tonem.
- Chuligani, drobni przestępcy. Do czego oni są ci teraz potrzebni?
- Po prostu do nich zadzwońcie.
- Właśnie załatwiamy interes życia... To nie z nimi powinieneś rozmawiać.
- Leszek, zrób, co mówię. Zadzwońcie do nich.

Leszek poczekał moment, a potem odwrócił się do Sonyi, ona jednak go nie poparła. Podeszedł więc do komputera i zalogował się na jeden z prywatnych serwerów, które do nich należały. Znalazł dane kontaktowe do pierwszej osoby z listy, wybrał numer na telefonie i podał go Hectorowi.

Przez kilka minut słychać było tylko sygnały. Potem ktoś odebrał.

– Tu Hector Guzman... – powiedział. Osoba po drugiej stronie zaczęła coś mówić, ale jej przerwał. – Posłuchaj mnie... Tommy Jansson, inspektor ze Sztokholmu, który jest teraz na tapecie. Muszę go znaleźć. Pytaj, kogo możesz. Ten, kto go znajdzie albo kto pomoże mi go znaleźć, dostanie ośmiocyfrową sumę.

Potem się rozłączył. Dostał kolejny numer. Zadzwoił i powtórzył to, co przed chwilą powiedział.

Odbył piętnaście rozmów ze Sztokholmem.

Bradford

DUCHY POMORDOWANYCH i upał nie dawały mu spać.

Tommy Jansson siedział na kanapie przed telewizorem w zapyziałym mieszkaniu nad warsztatem samochodowym w Bradford, piekle dla imigrantów cztery godziny na północ od Londynu. Za oknem panowała noc. W oddali zawodziły wilkołaki. Wampiry czaiły się na słabo oświetlonych ulicach. Takie było jego ogólne wrażenie. Był zaszczuty... popadał w paranoję...

Siedział w samych majtkach, pił whisky, czytał artykuły w sieci i próbował zobaczyć to, o czym nie pisano. Czy Miles nie żył... Czy Sophie się gdzieś pokazała... A co z Eddiem Bomanem? Ale w sieci było pusto i cicho...

Miał zamiar odczekać dwa tygodnie, może trzy... Może kilka miesięcy. Cierpliwie... Potem wróci do Szwecji przez Norwegię. Miał już opracowaną trasę. Wpadnie do Sztokholmu w szale berserka i będzie niszczył. To w unicestwianiu kryła się równowaga. Nie mógł jej przywrócić w inny sposób. Nie przez kobiety, nie przez ucieczkę. Jedynym sposobem był powrót i spustoszenie.

Sophie, Miles, Eddie... Wywołał zdjęcia. Przyczepił szpilkami do ściany. Przez chwilę się w nie wpatrywał. Wyobrażał sobie, jak strzela im w głowę. Raz po raz. Wszystkim tym skurwysynom ze ściany. Krwawa łaźnia... Zgliszcza...

Dalej, przy drzwiach wyjściowych, rodzinna fotografia. Tommy, Monica, Vanessa, Emelie. Popatrzył na zdjęcie. Nic nie czuł. Wziął głęboki łyk. Whisky była tania i szorstka w smaku. Zmusił się do przełknięcia kilku decylitrów. Upił się dziwnie i nierówno. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Skulił się w pozycji embrionalnej.

Valle del Cauca

STRACIŁA POCZUCIE CZASU. To normalne, gdy człowiek jest przetrzymywany w pokoju bez okien. Równowaga psychiczna jak gdyby znika, przestaje działać. Sophie się pogubiła. Nie wiedziała, jak długo tam siedzi.

Sonya i Leszek zaglądali tylko na moment, żeby przynieść jej jedzenie. Łącznie byli u niej cztery razy. Sophie próbowała porozmawiać z Leszkiem, ale postawił tylko tacę na stoliku i szybko wyszedł. Próbowała porozmawiać z Sonyą, lecz z nią też nie udało jej się nawiązać kontaktu. To przeraziło ją jeszcze bardziej. Jak gdyby oni wiedzieli, że los Alberta jest przesądzony, i nie mieli odwagi spojrzeć jej w oczy...

Waliła w drzwi, krzyczała i wrzeszczała, ale odgłosy uderzeń i echo jej naznaczonego paniką głosu tylko podsycaly jej własny lęk. Potem wszystko wyparła i starała się skierować myśli ku czemuś innemu. Tyle że rzeczywistość nie dawała jej spokoju. Nadzieja była odległa, mała i nieprawdopodobna. Wiedziała, kim jest Ralph Hanke. A po tym, jak im zapowiedział, że Albert umrze, wiedziała też, co się stanie... Rozkoszował się władzą i tym, że robi z Hectora sprawcę, podczas gdy to on zabije jej dziecko. Bo to właśnie miał zamiar zrobić, a ona tak właśnie będzie postrzegać Hectora... I Ralph miał tego świadomość. W jego oczach widziała chory błysk.

Czuła mrowienie w palcach i rwanie w ciele i w duszy. Tak bezwzględny

i surowy był dla niej lęk. Raz po raz odgrywała w myślach przebieg wypadków, zastanawiała się, co mogła zrobić inaczej. Zawrócić w drzwiach, gdy Hector Guzman został przywieziony do szpitala w tym innym życiu, które teraz było tak odległe. Albo po prostu odmówić, gdy zaprosił ją na lunch... Albo uciec i ukryć się gdzieś na zawsze z Albertem... Powinna była zrobić to, a nie powinna robić tego... I tak w nieskończoność... Każdą sytuację, którą sobie przypominała, rozwiązałyby teraz inaczej, zachowała się w inny sposób. To w połączeniu z klaustrofobią, jaką odczuwała w pokoju, wywoływało w niej gonitwę myśli, która pomału rozbijała w niej każdą odrobinę zdrowego rozsądku. Serce jej waliło, strach rozrywał ją na strzępy. Chciała zrobić sobie krzywdę, wszystko podziurawić.

Za kilka dni drzwi do tej celi się otworzą. Nikt nic nie powie, ale ona będzie wiedziała, że Albert nie żyje.

A kiedy to się stanie, ona też umrze. Z własnej ręki. Zastanawiała się, jak to zrobić. Chciała, żeby poszło szybko, i nie chciała za bardzo się uszkodzić...

To była jedyna pozytywna rzecz, o jakiej była w stanie myśleć.

* * *

Ktoś zadzwonił do Leszka w środku nocy. Albański alfons i właściciel nocnego klubu w Sztokholmie, który przy Zinkensdamm organizował pokazy striptizu i wynajmował na godziny dziewczyny z Europy Wschodniej.

– W ubiegłym roku dałem temu pierdolonemu glinie paszport i colta – powiedział.

– Nazwisko w paszporcie? – zapytał Leszek.

Zapisał je na kartce papieru i poinformował Hectora.

Zaczęli pracować. Poruszyli niebo i ziemię. Hector korzystał ze wszystkich kanałów, jakie miał. Szukali, przekupywali policjantów i urzędników. Znajdowali fragmenty. Na północy Wielkiej Brytanii, w miasteczku, które

nazywało się Bradford. Nazwisko pojawiło się tam dwa razy. Przy wywoływaniu zdjęć i przy wniosku o prawo jazdy.

Hector wynajął dwudziestu ludzi z rosyjskiego gangu, z którym właśnie zrobił interes, i wysłał ich do Bradford. To samo zrobił z brytyjskim gangiem z Manchesteru i gangiem Chińczyków z Londynu, które rozstawił wokół miasta i kazał im pilnować dróg wyjazdowych. Przeznaczył na to niewyobrażalne sumy. Jeżeli Tommy Jansson tam był, nie miał żadnych szans.

Dwa dni później Leszek dostał na komórkę zdjęcie szwedzkiego inspektora. Pokazał je Hectorowi. Było nieostre, ale nie było wątpliwości, że to Tommy Jansson siedzi w ciemnym, podrzędnym pubie i sący piwo.

Hector spojrział na zdjęcie, a potem na Leszka.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie dziękuj mi.

– Dziękuję ci – powtórzył Hector. – Za wszystko.

Leszek spojrział na niego pytająco.

– Hector?

– Tak, Leszku?

– Coś się z tobą dzieje?

– Tak.

– Co tak?

– Mam zamiar umrzeć – odparł Hector. – I będę potrzebował twojej pomocy.

Monachium

NOCE BYŁY najgorsze. Miał za sobą trzy. Prawie nie zmrużył oka, zasypiał tylko na moment, gdy zmęczenie brało górę.

Cały czas był zamknięty w pokoju. W sypialni w willi. Okna z pancernego szkła były zasłonięte żaluzjami i nie dało się ich otworzyć. Z nikim nie miał kontaktu. Kiedy się budził, jedzenie stało na obrotowym stoliku koło łóżka. Przez pierwsze dni na coś czekał, na cokolwiek. Ale cisza, zamknięcie i brak kontaktu z kimkolwiek stopniowo go łamały. Wywołały jątrzący niepokój, który potem zamienił się w strach. Jego myśli stopniowo stawały się coraz bardziej mroczne i to, co niepojęte, zaczęło do niego docierać. Czuł, że stąd nie wyjdzie.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł starszy mężczyzna. Był ubrany w garnitur. Lewą rękę miał wsuniętą do kieszeni marynarki.

– Cześć – powiedział i usiadł przy biurku kawałek od Alberta. Uśmiechał się jak dobry wujek. Albert nie wiedział, co myśleć, ale widząc to, poczuł ulgę.

– Nazywam się Ralph Hanke. Wiesz, kim jestem.

Albert pokiwał głową.

– Masz tu wszystko, czego ci potrzeba? – zapytał Hanke.

– Tak, dziękuję – odpowiedział Albert, grzecznie, uniżenie i z wdzięcznością.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Niemal wybuchnął śmiechem.

– To dobrze.

Albertowi wróciło rozeznanie, opamiętał się i opuścił wzrok. Wstyd mu było, że zachował się tak potulnie.

– Gdzie jest Michaił? – zapytał.

– Jest bezpieczny, tu w domu, kilka pięter niżej.

Albert podniósł wzrok i spojrzał w zimne oczy Hankego.

– Już drugi raz jestem twoim więźniem.

– Zgadza się – przyznał Hanke. – Ostatnio przebywałeś w jednej z moich posiadłości pod miastem. To było zimą. Wymieniłem cię na Lothara. On został u Don Ignacio Ramireza... z Jensem. A teraz znów u mnie jesteś.

– Chcesz mnie na kogoś wymienić?

Hanke nie odpowiedział. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem zapytał:

– Znasz historię?

– Jaką historię?

– Tę – odparł Hanke i zatoczył ręką koło.

Albert milczał, więc Hanke mówił dalej:

– Kiedy to wszystko się zaczęło, Michaił pracował dla mnie. Został wysłany do Sztokholmu, żeby ostrzec Hectora Guzmana. Potrafił go. Hector wylądował w szpitalu i poznał twoją mamę.

– Wiem o tym.

– Odpowiedzieli nam. Hector wysłał do Monachium Leszka. Zainstalował bombę w aucie mojego syna. Tamtego ranka to jego dziewczyna wzięła samochód. Zginęła.

Albert słuchał.

– Potem wszystko poszło z rozpędu. Twoja mama stała się centralną postacią wydarzeń, wbrew swojej woli, ma się rozumieć... Próbowała

postępować dobrze, ale wyszło całkowicie nie tak.

Coś w tonie głosu Hankego sprawiło, że Albert znów zaczął się bać. Rodzaj oczywistości, fatalizmu. Nie chciał się bać, chciał zachować uwagę i zdrowy rozsądek. Ale mężczyzna, który siedział naprzeciwko niego, rozkoszował się całą sytuacją, tym, że on cierpiał. Jego strachem.

– A odpowiadając na twoje pytanie... – oznajmił Hanke. – Tak, miałeś zostać na kogoś wymieniony. Ale wygląda na to, że z wymiany nici. Czas niedługo dobiegnie końca – powiedział i spojrzał na zegarek.

– Na kogo chciałeś mnie wymienić? – zapytał Albert i głos mu się załamał. Odchrząknął.

Ralph gapił się na niego. Twarz mu się wydłużyła, oczy były puste. Albert pomyślał, że swoim pytaniem musiał obudzić niezadowolenie, które Hanke starał się trzymać na dystans. Jak gdyby wymiana była najlepsza... A zatrzymanie Alberta nieco gorsze.

Hanke wstał, spojrzał na niego z góry i wyduł wargi.

– W wózkach inwalidzkich jest coś żalospnego i smutnego – mruknął pod nosem. – Sam nigdy bym na nim nie wytrzymał. Jesteś silny.

Ostatnie zdanie powiedział obojętnym tonem, a potem wyszedł z pokoju. Jakby na umówiony znak, do środka wszedł inny mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz.

Miał garnitur. Pod jedną pachą niósł rolkę przezroczystej plastikowej folii, a pod drugą kamerę na statywie. Albert nie rozumiał, o co chodzi.

Mężczyzna rozłożył folię na podłodze.

– Co to jest? – zapytał Albert łamiącym się głosem.

Mężczyzna rozstawił kamerę kawałek dalej, potem wziął wózek i przesunął go na folię. Albert próbował zrozumieć. Mężczyzna stanął przy kamerze, wyregulował ostrość i naciągnął kominiarkę na głowę.

– Próbujecie mnie nastraszyć? – zapytał Albert słabym głosem.

Mężczyzna wyciągnął pistolet z tłumikiem.

Albert zrozumiał to, co jakaś część jego już zdążyła pojąć. Opuścił głowę i zaczął bezgłośnie płakać. Łzy lały się strumieniami. Kamera wszystko nagrywała.

Kiedy poczuł z tyłu głowy zimną stal, zaczął się modlić. Potem strach wziął górę. Przestał czuć cokolwiek, nie tylko nogi. Strach przed śmiercią całkowicie go sparaliżował. Wszystko stało się ciężkie i zimne. Zamknął oczy.

Ktoś zaczął walić pięścią w drzwi.

– Przerwij! Przerwij! – krzyknął jakiś mężczyzna.

Ktoś przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– Przerwij! On zadzwonił!

Mężczyzna, który stał za plecami Alberta, wyszedł z pokoju. Drzwi znów się zamknęły.

Albert nic z tego nie rozumiał. Zwymiotował... wprost na folię.

Valle del Cauca/Sztokholm

SOPHIE ZAMKNEŁA OCZY, zasnęła, obudziła się i znów je otworzyła. Potem zamknęła. I tak w kółko.

Zobaczyła, że ktoś jest w pokoju. W ciemnościach dostrzegła kontury jakiegoś mężczyzny. To był Hector. Stał i na nią patrzył.

Jej duszę przeciął lodowaty wiatr. Słyszała odległy krzyk, który dobywał się z jej wnętrza i brzmiał jak krzyk przerażonego dziecka. Była sama w maleńkiej łódce na środku morza. Spadała w ciemną przepaść. Strach osiągnął poziom szaleństwa.

Leżała w pozycji embrionalnej, kurczowo obejmując nogi.

– Nie chcę tego słyszeć – szepnęła.

Hector milczał. Przez jakiś czas stał, potem wyszedł i zostawił za sobą otwarte drzwi.

Sophie gapiała się przed siebie, nie była w stanie się ruszyć. Miała sparaliżowane ciało i duszę.

Za otwartymi drzwiami było okno. Wzeszło za nim słońce. W jego promieniach pojawił się Jens. Wziął ją na ręce i zaniósł do kuchni. Wszyscy się tam zebrali. Sophie, Jens, Lothar, Eddie i Caroline. Sonya, Leszek i Hector zniknęli. Na stole leżał list napisany granatowym tuszem. Odręcznie. Chłodny, same suche fakty. Na lotnisku w Pereirze czekał na nich wycarterowany samolot, który miał ich zabrać do Sztokholmu. Nowy akapit mówił o Tommym

Janssonie. Był w Bradford, koło Leeds w Wielkiej Brytanii. Był obserwowany. Numer telefonu do Rosjanina o imieniu Sasza.

Sophie podsunęła list Jensowi. Przeczytał i podał go Eddiemu.

– Wydaje mi się, że ta informacja jest dla ciebie – powiedział. – Ale zanim coś postanowisz, powinieneś porozmawiać z Milesem Ingmarssonem.

Eddie przeczytał, spojrzął na nich i złożył kartkę.

Opuścili willę Don Ignacia. Nie oglądali się za siebie. Wzięli samochód, pojechali do Pereiry, wsiedli na pokład samolotu i polecili w stronę Europy i Sztokholmu. Jens przez cały czas trzymał ją za rękę. Ani na chwilę jej nie puścił. Zorientowała się, że gapi się przed siebie i nic nie czuje. Wyłączyła się, była emocjonalnie sparaliżowana. Jak gdyby oczekiwanie na wieść o śmierci Alberta wyłączyło w niej wszystkie uczucia.

W środku nocy gdzieś wylądowali na tankowanie, a potem znów wzbili się w powietrze. Sophie zorientowała się, że jest w Sztokholmie, na Arlandzie. Caroline i Eddie zniknęli. Jechała do miasta z Jensem i Lotharem. Wszystko było rozmyte. W mieszkaniu Jensa położyła się na kanapie i patrzyła w próżnię. Jens przyniósł jej herbatę w starej, biało-niebieskiej spękanej filiżance. W jej głowie pojawiały się sekundowe urywki myśli. Miała skądś odebrać Alberta. Zapomniała o tym, czekał na nią. Potem coś innego... Miała go umówić do fryzjera, miał już za długie włosy... Kiedy dostanie wiadomość o jego śmierci, musi pamiętać o tym, żeby spalić jego ubrania... Musi też powiadomić szkołę... powiedzieć, że w przyszłym semestrze się nie zjawi... Rzeczywistość zaczęła się do niej dobijać. W końcu na nią spadła. Obezwładniona i przejęta rozpaczą i paniką, Sophie zaczęła się cała trząść.

Herbata w biało-niebieskiej filiżance wystygła.

61

Sztokholm

OKNO W KUCHNI Milesa Ingmarssona na Djurgården było otwarte i zablokowane haczykiem. Słysząc było samolot przelatujący po niebie i odległe krzyki z parku rozrywki Gröna Lund.

Eddie siedział przy jego stole. Miles poruszał się wolno i sztywno. Nalał wody do ekspresu i sięgnął po puszkę z kawą.

– Sanna jeszcze jest w szpitalu – powiedział. – Wróci do zdrowia, ale będzie potrzebować na to trochę czasu.

– A ty? – zapytał Eddie Milesa, który odmierzał kawę miarką i wsypywał ją do filtra.

Miles zatrzymał się w połowie ruchu i spojrzał na Eddiego.

– Mnie już chyba tak zostanie – powiedział. – Mam siłę w rękach i nogach, ale kręgosłup i ramię szwankują. Da się z tym żyć. – Miles odwrócił się do ekspresu i nabrał kolejną miarkę. – Zgubiłem się – oznajmił.

– Trzy – podpowiedział Eddie. – Miałeś nasypać czwartą.

– Dziękuję – odparł Miles i wrócił do odmierzania kawy.

– Widziałem was w Pradze – powiedział Eddie. – Ciebie i Sannę. Poszedłem za wami do mieszkania. Trzymałem cię na muszce. Miałem strzelić, ale tego nie zrobiłem.

Miles znów się do niego odwrócił. Niemal się uśmiechnął.

– Dziękuję.

– Ale Tommy tak.

Miles pstryknął włącznik ekspresu. Urządzenie zaczęło szumieć, a po chwili ciemny płyn kapał już do szklanego dzbanka.

– Tak, Tommy do mnie strzelił – powiedział Miles. Stał z założonymi rękami zwrócony do Eddiego i opierał się o blat.

Eddie pomyślał, że nadeszła ta chwila. Miles pewnie pomyślał to samo.

– Czyli Hector Guzman znalazł Tommy’ego w niecały tydzień? – zapytał Miles.

Eddie pokiwał głową.

– Imponujące – powiedział Miles. – O ile to prawda.

– Bardzo imponujące – zgodził się Eddie, patrząc na Milesa i próbując odgadnąć, o czym myśli.

– I ktoś ma go na oku, dopóki nie postanowimy, co z nim zrobić? – zapytał Miles.

Eddie znów kiwnął głową.

– Pytanie zatem, co się stanie – powiedział Miles.

– Jesteśmy policjantami, ty i ja – stwierdził Eddie.

– I wiemy, gdzie on jest – dodał Miles.

– I ciąży na nas odpowiedzialność – powiedział Eddie.

– Można powiedzieć, że ona wynika z naszej pracy – zgodził się Miles.

– Nie zawsze łatwo było... – zaczął Eddie, ale przerwał, szukał słów, nadal nie był pewien, kogo ma przed sobą. – Zanim powiem coś więcej, muszę wiedzieć jedną rzecz.

– Ja też – rzekł Miles.

– Ty pierwszy – odparł Eddie.

Miles się nie wahał.

– Czy masz chociaż cień wątpliwości co do tego, co powinniśmy zrobić?

Eddie poczuł ulgę.

– Nie – odparł. – Ani odrobiny. A ty?

Miles potrząsnął głową.

– Nie, najmniejszych wątpliwości.

– Wydaje mi się, że kawa jest gotowa – powiedział Eddie, pokazując ekspres za plecami Milesa.

61

Monachium

ALBERT OBUDZIŁ SIĘ, kiedy ktoś naciągnął mu na głowę worek z materiału i zawiązał go wokół szyi. Ktoś złapał jego ręce i zacisnął wokół nadgarstków plastikowy pasek. Wózek z nim został wyprowadzony z pokoju i zniesiony po schodach. Poczł świeże powietrze. Wstawili go do samochodu, zasunęli drzwi i samochód ruszył.

Oddychał przez materiał. Mdliło go ze strachu i przez nieprzewidywalne kołysanie auta.

Po dziesięciu minutach worek został zdjęty. Oślepiło go światło słońca. Wokół niego siedziało trzech ludzi Hankego, a za nimi Michaił. Jemu też dopiero co ściągnęli worek.

– Michaił – powiedział Albert z ulgą. – Gdzie nas zabierają?

– Nie wiem. Bądź spokojny – zamruczał Rosjanin, rozglądając się dookoła i mrużąc oczy. – Wszystko w porządku?

– Nie wiem – odparł Albert. Wyjrzał przez okno.

Mijali kolejne ulice w centrum Monachium. W mieście mijał właśnie zwykły dzień. Ludzie chodzili lekko ubrani, było ciepło.

– Przystawili mi pistolet do głowy – powiedział Albert.

– Kto?

– Jeden z ludzi Hankego.

– Tak po prostu?

– Nie. Zaplanowali to. Na podłodze była folia, ustawili kamerę, która miała wszystko nagrywać.

– I co się stało?

– Hanke mówił o wymianie, że mam być na kogoś wymieniony. Ale nic takiego się nie stało. – Albert wyjrzał przez okno. Jechali aleją, wzdłuż której stały trzypiętrowe domy. – I kiedy myślałem, że facet już naciśnie spust, ktoś zaczął walić w drzwi i krzyczeć, że ma przerwać.

Albert wyczuwał emocje, jakie przepełniały Michaiła, mimo że ten był dwa siedzenia za nim. Skoncentrowana, zajadła wściekłość.

Samochód zatrzymał się na dużym rynku, Marienplatz.

Albert i Michaił zostali wyprowadzeni na zewnątrz. Wszystko działo się bardzo szybko.

– Czekać tutaj – powiedział jeden z ludzi Hankego.

Samochód odjechał.

Michaił trzymał wózek. Swoją dużą dłońią gładził Alberta po ramieniu.

– Nie martw się, teraz jestem przy tobie – szepnął.

Rozejrzeli się dookoła. Albert nie zauważył niczego szczególnego. Czas płynął. Po chwili Michaił pochylił się nad nim i pokazał mu palcem w stronę pomnika.

Albert zmrużył oczy. Zobaczył Leszka, Sonyę i... Hectora. Stali razem. Sonya obejmowała Hectora i nie chciała go puścić. Leszek ostrożnie ją odsunął. Wtedy Hector się odwrócił i ruszył w ich stronę.

Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Szedł pewnym krokiem. Minął ich w odległości dziesięciu metrów. Pozdrowił Michaiła skinieniem głowy i uśmiechnął się do Alberta. Albert miał wrażenie, że Hector promienieje. Jak gdyby coś udało mu się osiągnąć... Możliwe, że spokój ducha...

Hector odszedł.

Sonya i Leszek nagle byli przy nich. Albert nie zauważył, kiedy nadeszli. Sonya płakała, Leszek był blady, ale opanowany.

– Chodźcie z nami – powiedział. Przeszli na lewą stronę placu, gdzie czekała na nich furgonetka z odsuniętymi drzwiami. Albert został wprowadzony po rampie. Wszystko poszło szybko. Włączyli się do ruchu.

– Czy jest tak, jak myślę? – zapytał Michaił, zwracając się do Sonyi i Leszka.

Leszek siedział za kierownicą. Szybko kiwnął głową.

– O co chodzi? – zapytał Albert.

– To była ta wymiana, o której mówiłeś – powiedział Rosjanin.

Znowu to samo. Albert rozumiał... i nie rozumiał zarazem.

Sonya się odwróciła, poszukała jego dłoni i ją ścisnęła. Była zdruzgotana. Twarz miała szarą ze smutku, a po policzkach ściekały jej duże łzy.

– Nie czuj się winny – powiedziała. – Ty nie masz z tym nic wspólnego. Teraz jesteś wolny.

A jednak czuł się winny. Przerazająco winny.

* * *

Hector postąpił zgodnie z instrukcjami, gdy przeszedł przez rynek i upewnił się, że to Albert Brinkmann siedzi na wózku. Po kilku krokach odwrócił się i zobaczył, że Sonya i Leszek podeszli do Michaiła i Alberta. Wyparł uczucie bezlitosnego osamotnienia, które go ogarnęło. Próbował zachować spokój.

Ośmiu ludzi, którzy krążyli wśród przechodniów na placu, zaczęło grawitować w jego stronę. Otaczali go niewidzialnym kręgiem, dopóki nie wsiadł do jednego z trzech czekających samochodów.

Auta włączyły się do ruchu. Hector zorientował się, że patrzy na drzewa. Nigdy wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Były w całym mieście, tworzyły aleje. Ani wysokie, ani niskie, po prostu zielone i żyjące. Otaczały jego drogę.

Jak gdyby mu się kłaniały.

Po piętnastu minutach samochody zatrzymały się przed dużą żółtą willą w ekskluzywnej dzielnicy. Biały mur, czarna brama, domofon. Wjechali na wysypaną żwirem drogę i się zatrzymali. Czarna brama zasunęła się za nimi.

Zanim wprowadzili go do środka, zdążył zobaczyć słońce i usłyszeć śpiew ptaków. W holu willi dwaj mężczyźni dokładnie go obszukali. Potem weszli na schody. Na chwilę nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Potknął się. Mężczyźni złapali go pod ręce i poprowadzili, schodek po schodku, a potem do sypialni.

Pokój był taki jak reszta domu, luksusowo urządzone kosztownymi meblami i ozdobiony dziełami sztuki. Stało w nim łóżko z baldachimem.

Podłoga była wyłożona folią. Kiedy po niej chodził, wydawała dziwny dźwięk. Drzwi za jego plecami się zamknęły, zamek kliknął. Został sam.

Pokój był zaciemniony, zasłony zaciągnięte. Jedyne źródłem światła były dwa reflektory na suficie, które świeciły prosto na niego. Zobaczył dwie kamery. Jedna na statywie kawałek dalej. Czerwona lampka pokazywała, że urządzenie pracowało. Druga była przymocowana do ściany na prawo od niego. Na pewno było ich więcej. Ralph Hanke siedział gdzieś i wszystko obserwował. Hector miał to gdzieś.

Samotność dawała mu się we znaki. Była bezlitosna. Serce zaczęło mu walić, ogarnął go lęk wynikający ze świadomości, że zaraz przestanie istnieć. Gdzie trafi i kto go tam powita?

W pokoju nie było żadnego lustra. Ale kawałek dalej wisiał na ścianie obraz przesłonięty szybą. Podeszedł do niego i spojrzał na swoje niewyraźne odbicie. Zbliżył się, to pomogło. Dotknął policzka, przyjrzał się wszystkim liniom swojej twarzy. Temu, co zawsze brał za oczywiste, swoim rysom. Wyraźnej brodzie, kształtowi ust, konturowi górnej wargi, który, jak zawsze podkreślała jego mama, przypominał kształtem łuk Amora.

Katusze. Oddychał z wysiłkiem i nierówno. Czuł się rozpaczliwie

nieszczęśliwy. Jego myśli popłynęły do Lothara... Trzymał się ich tak długo, jak tylko zdołał. Wtedy zobaczył swoje grzechy... Zobaczył je jak na filmie. Nie był w stanie ich od siebie odsunąć. Widział wszystkich, których zabił, skrzywdził... Widział konsekwencje, to, czego przez całe życie nie udawało mu się zrozumieć...

Drzwi za jego plecami się otworzyły. Ktoś wszedł do środka. Hector nie chciał wiedzieć kto. Domyślał się, że teraz pójdzie szybko. Kroki były coraz bliżej. Jego serce waliło jak szalone. Dobiegł go zapach taniej wody po goleniu, usłyszał szelest materiału. Poczł metaliczny strach, nogi się pod nim uginały. Chciał wszystko zatrzymać... Powiedzieć „stop”... Chciał wykrzyczeć wszystkie dziwne uczucia...

Za jego lewym uchem coś cicho kliknęło i w jego czaszce rozległ się huk. Poczł palący ból w głowie, który w mgnieniu oka rozprzestrzenił się po całym ciele. Człł, jak coś puszcza, uwalnia się, odczepia... Potem zobaczył blask, który otoczył wszystko. Czas i przestrzeń przestały istnieć. Ból, który dopiero co człł, zamienił się w ciepło. Nawet przyjemne. Było jak letnia mżawka, która go otuliła. Jego serce przestało bić...

Nadal znajdował się w sypialni, unosił się nad swoim martwym ciałem, które leżało na folii z dziurą z tyłu głowy. Atomy się rozluźniły i ukazały to, co było między nimi. Blask sprawił, że wszystko zrobiło się przezroczyste. Nie było ani podłogi, ani ścian, mimo że je widział.

Wszystko stało się wiecznością.

Sztokholm

ZA DUŻYM panoramicznym oknem zapadał zmierzch. Sophie patrzyła na lądujący samolot.

Zadzwoił do niej Michaił i powiedział:

– Albert wraca do domu, czuje się dobrze.

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiała sens jego słów.

– Hector zajął jego miejsce – dodał Michaił.

Nie zrozumiała.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– To, co powiedziałem. Oddał się w ręce Hankego w zamian za Alberta.

Nie mogła w to uwierzyć.

– Ja tu zostanę. Powodzenia, Sophie – powiedział Michaił Asmarow i się rozłączył.

Hector... Zobaczyła go przed oczami.

Koła samolotu dotknęły pasa i maszyna zaczęła hamować. Sophie odeszła od okna i ruszyła w stronę cła. Walczyła ze sobą, nie chciała sobie pozwolić nawet na odrobinę radości ani ulgi, dopóki go nie zobaczy, nie dotknie...

Drzwi do hali przylotów otwierały się i zamykały, gdy kolejni pasażerowie wychodzili. Biznesmeni, rodziny, pojedynczy nastolatki. Starsze pary. Niemal bała się patrzeć. Strumień ludzi, przed oczami przepływały jej obce twarze. Niektórzy rozjaśniali się, gdy dostrzegali bliskich, którzy na nich

czekali, inni spokojnie szli dalej.

I nagle go zobaczyła. Wjechał na wózku do hali przylotów. Uczucia chciały dojsć do głosu, lecz Sophie nadal się im opierała. Przyglądała się mu. Albert jeszcze jej nie widział. Próbowała ocenić, w jakim jest nastroju. Wyglądał tak jak ostatnio, w Pradze. Ale widziała, że się boi, trauma go nie opuszczała. Wyczuwała w nim coś twardego i trudnego. Wryło się to w jego rysach, w jego oczach widać było napięcie, nieświadomie rozglądał się za zagrożeniem. Albert wyglądał, jakby był gotów rzucić się na każdego, mimo że nie był w stanie tego zrobić.

Zobaczył ją. Nie rozluźnił się. Próbował się rozjaśnić, choć uśmiech nie chciał się pokazać na jego twarzy.

Długo się obejmowali, bardzo długo. Nie chciała go puścić.

– Dosyć tego dobrego – powiedział pół żartem, pół serio i się wyswobodził. – Gdzie pozostali? – zapytał.

Głaskała jego czoło, włosy. Czuła się odrobinę spokojniejsza. Dopuściła do siebie milimetr radości... Ale odkryła, że teraz, kiedy nie musiała się bać, niepokój stał się jeszcze bardziej odczuwalny. Jak gdyby wolność go wyzwoliła, sprawiła, że stał się nieokiełznany. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Jak stać, co zrobić z rękami. Jak się zachowywać, co czuć...

– Jens i Lothar są w mieszkaniu Jensa – powiedziała. – My też tam pojedziemy. Przez jakiś czas będziemy tam mieszkać.

– A Miles i Sanna?

– Oni też tu są. Sanna jeszcze w szpitalu, Miles już wypisany. Oboje czują się dobrze...

Wyglądało na to, że Alberta dopadło tysiąc różnych myśli.

– Hector nie żyje – powiedział.

Sophie kiwnęła głową.

– Lothar wie?

– Tak – szepnęła.

– Co zrobił?

– Zamknął się w pokoju.

– A potem?

– Potem wyszedł, otrzepał się i próbował zachowywać normalnie.

– Jest mu przykro?

– Tak, oczywiście, że tak. Po prostu nie wie, jak się zachować... Pewnie to przyjdzie z czasem.

– Hector się poświęcił? – zapytał.

Spojrzała na Alberta, zobaczyła w nim ukrytą rozpacz.

– Tak – powiedziała ostrożnie. – Myślę, że tak.

– Dla kogo?

– Dla Lothara, dla mnie, dla ciebie... dla siebie samego.

Albert opuścił wzrok i myślał.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

– Nie wiem – szepnął. Wpatrywał się przed siebie pustym wzrokiem. Myślał. Po chwili szybko się rozejrzał. Nie żeby zorientować się w geograficznym położeniu, tylko w sytuacji... w życiu. – Jesteśmy teraz w domu? – zapytał.

Zastanowiła się.

– Tak, jesteśmy w domu – powiedziała cicho.

Odetchnął i szepnął:

– W porządku.

Sophie chwyciła wózek i ruszyli przez halę przyłotów.

– Wyglądał niemal na zadowolonego... Mam na myśli Hectora – powiedział Albert. – Pogodzonego z tym, że zajmuje moje miejsce.

Sophie popchnęła wózek do wyjścia.

Zaczęła płakać.

* * *

Otworzyła oczy. Sufit był biały. Leżała w szerokim łóżku. Duże, grube poduszki, pościel z egipskiej bawełny. Czuła się, jakby była nieprzytomna. Poprzedniego wieczoru, kiedy wrócili do domu, pozwoliła sobie na sen. Nic jej się nie śniło. Spała długo i mocno. Teraz na zewnątrz był już nowy dzień.

Górna część okna ze szprosami była otwarta na oścież. Na ulicy ktoś trzasnął drzwiami od samochodu. Gdzieś w pobliżu gruchał gołąb. Siedział tuż za oknem. Zagruchał, zamachał skrzydłami i odleciał.

Sophie postawiła stopy na wykładzinie, która pokrywała całą podłogę. Była miękka i przyjemna w dotyku. Wstała i otuliła się szlafrokiem, który wisiał na drzwiach do garderoby.

Lothar i Jens siedzieli przy wyspie w kuchni i wypełniali jakieś papiery. Sophie usiadła obok nich, wzięła dłoń Lothara i ją trzymała.

– Co robicie? – zapytała.

– Wypełniamy dokumenty. Niemiecka szkoła przy Karlavägen przyjmie Lothara od razu.

Spojrzała Lotharowi w oczy. Delikatnie się uśmiechnął, jak zawsze starał się zachowywać właściwie i pozytywnie.

– Odpowiada ci to? – zapytała.

– Tak myślę.

– W porządku – powiedziała. – Zawsze możesz zmienić zdanie.

– Jest świeża kawa – powiedział Jens, stawiając krzyżyki w kolejnych kratkach.

Wstała i podeszła do lady.

– Gdzie jest Albert? – zapytała.

– W mieście – odparł Jens.

* * *

Albert jechał szybko w dół, w stronę Humlegården. Tam zwolnił, wjechał pod drzewa. Powietrze było ciepłe i cudowne, koła wózka pięknie cykały.

Potem wjechał w tłum przy Stureplan i ruszył w stronę Strandvägen i Nybroviken. Kupił sobie napój w puszcze. Jechał, patrzył na ludzi, wodę, na wszystko. Słońce świeciło. Wysoko na niebie szybowały i pokrzykiwały mewy. Zatrzymał się na nadbrzeżu. Kawałek dalej cumował jacht, co najmniej stuletni, smukły i wysoki. Szwedzka flaga kołysała się delikatnie na wietrze.

Wyłowił telefon z kieszeni i na niego spojrzął. Nagle zabrakło mu pewności siebie. Zaczął sam sobie tłumaczyć, dlaczego nie powinien dzwonić. Ale wiedział, że to głos tchórzostwa. Nie chciał być tchórzem. Wziął głęboki oddech i wystukał numer. Anna odebrała.

– Tu Albert – powiedział.

Chwila ciszy.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– Daleko.

– Dlaczego się nie odzywałeś?

– Nie mogłem.

– Gdzie teraz jesteś?

– W mieście.

Znów cisza.

– Chcesz się spotkać? – zapytał.

Mijały kolejne sekundy. Zaczął gorzko żałować...

– Jasne, że tak – odpowiedziała.

Bradford/Sztokholm

LOT BYŁ pełen turbulencji.

Eddie Boman i Miles Ingmarsson byli bladzi i mieli podkrążone oczy. Siedzieli i patrzyli prosto przed siebie.

Na Heathrow wynajęli samochód. Eddie prowadził. Miles siedział i się gapił. Jechali cztery godziny M1 na północ.

Bradford to była zapadła dziura. Pozostałości minionego czasu. Przemysł tekstylny, który upadł. I nigdy się nie podniósł. Domy z cegieł, bieda, smutek i bezduszość.

Spotkali się z osobą kontaktową. Rosjaninem. Miał na imię Sasza. Skóra gładka jak u niemowlęcia. Uśmiechał się, jakby szczęście ani na chwilę go nie opuszczało. Uśmiech nie znikał z jego twarzy nawet na moment. Miles i Eddie przyglądali mu się ze zdziwieniem, gdy opowiadał, jak znaleźli Tommy'ego Janssona, a potem nie spuszczaali go z oka.

– Gdzie on jest? – zapytał Miles niecierpliwie.

– Siedzi teraz na pobliskim rynku. Tu macie jego adres.

Sasza podał im odręcznie zapisaną kartkę.

– Potrzebujecie pomocy? – zapytał Sasza.

Miles i Eddie pokręcili głowami.

* * *

Tego dnia kac dawał mu się we znaki. Poprzedniego zresztą też. Ale dziura w pamięci była większa. Jedna wielka czarna pustka.

Dni wyglądały tak samo. Budził się późno, podenerwowany i zmęczony jednocześnie. Surfował w sieci, próbując znaleźć ślady na temat Milesa, Eddiego i Sophie. Potem jakoś zabijał czas aż do lunchu, kiedy to w indyjskiej restauracji oświetlonej jarzeniówkami mógł wypić kilka piw. Kolejne godziny wlekły mu się niemiłosiernie aż do siódmej, kiedy to zaglądał do pubu i zaczynał się upijać. Kilka dni temu przyprowadził ze sobą do domu jakąś dziwkę. Znow nie wyszło...

Słońce przygrzewało mu prosto w ciemię. Było gorąco jak cholera. Usiadł na małym rynku pod osłoną drzewa. Przy stole dwóch pieprzonych Pakistańczyków grało w szachy.

Miał na sobie krótkie spodenki, cienkie i luźne, które kończyły się w okolicach kolan, i podkoszulek, dziś z napisem *Party is the Pacific*, który opinał mu się na brzuchu. W mieszkaniu miał więcej takich. Wszystkie kupił w tym samym outlecie. Miały różne napisy: *University of Hawaii*, *Loose Riders*, *Downtown College* i *I Survived Springbrake 2001*. Kupował tanie ubrania. Chciał zaoszczędzić pieniądze, żeby wystarczyło mu na alkohol i czynsz.

Rozejrzał się dookoła. Nie zauważył nic szczególnego. Przed laty chwile takie jak ta prowadziły do erotycznych fantazji. To im się wtedy oddawał. Siedział, przyglądał się kobietom i wyobrażał sobie, jak je bierze na wszystkie możliwe sposoby, najlepiej od tyłu. Tyle że z takich pragnień już nic mu nie zostało.

Pakistańczycy zwrócili się w jego stronę i łamanym angielskim zaczęli mu opowiadać o jakimś ruchu, który w latach sześćdziesiątych zrobił jakiś Amerykanin. Tommy gapił się na nich, nic nie rozumiejąc. Uśmiechali się do niego. Pewnie sądzili, że skoro tam siedzi, to też interesuje się szachami. Ale

się nie interesował. Nic go nie interesowało, a już szachy najmniej. Nie odwzajemnił ich uśmiechu. Wstał i powlókł się do domu.

Opuścił rynek i minął okolicę przypominającą getto ze starymi dwu- i trzypiętrowymi domami robotniczymi.

Znalazł swoje dwupokojowe mieszkanie nad warsztatem, w którym ktoś ciągle odtwarzał nerwowy jazz z lat siedemdziesiątych. Wszedł do swojej nory, zamknął za sobą drzwi na klucz, minął zdjęcie Moniki i dziewczynek, wszedł do kuchni i jednym palcem podniósł sześciopak piwa, który miał w lodówce. Przez podłogę słyszał klekotanie jazzu i odgłos wkrętarci pneumatycznej, która całymi dniami wkręcała i wykręcała śruby.

Usiadł na kanapie, z syfiastego stolika wziął pilota i włączył telewizor. Opadł na oparcie i przycisnął sobie do czoła zimną puszkę. Telewizor zamigał i pokazał rozochoczoną publiczność i wielki ring bokserski na środku areny. To był amerykański kanał, który odbierał przez satelitę. Pokazywali wrestling.

Wielki Samończyk z bujną czupryną i wytatuowaną twarzą walczył z żyłastym chłopakiem w kraciastej koszuli bez rękawów i bandanie na głowie. Tommy zgadywał, że chłopak miał przedstawiać kierowcę ciężarówki. Koleś w bandanie udawał, że coś go boli. Biegał w kółko, wrzeszczał i trzął się histerycznie, dopóki Samończyk go nie złapał, nie podniósł nad głowę i nie przerzucił przez linki ringu. Publiczność zawyła z uciechy.

Tommy otworzył piwo. Opróżnił puszkę czterema łykami. Beknął głośno i krótko. Sięgnął przed siebie i wyswobodził z folii kolejną puszkę. Opróżnił ją pięcioma łykami. Tym razem beknienie było trochę dłuższe i spokojniejsze. Wziął trzecią puszkę, opadł na oparcie i znów beknął. Odsunął puszkę od ust i poczuł, że alkohol zaczyna działać.

Kierowca ciężarówki biegał poza ringiem. Samończyk go gonił, krzyczał i uderzał się w klatkę piersiową. Tommy kibicował kierowcy, pochodził z klasy pracującej, no i był biały...

Tak mniej więcej wyglądała ostatnia normalna myśl Tommy'ego Janssona. Na szyję opadła mu pętla o szerokości dwóch centymetrów, którą zarzucił ktoś, kto stał za jego plecami. Tommy zdążył jeszcze wsunąć dwa palce między pętlę a swoją szyję. Mężczyzna za plecami był silny, opierał się o kanapę i mocno ciągnął. Tommy był bez szans...

Nagle wyrósł przed nim Eddie Boman. Tommy gapił się na niego.

Jak, do cholery?, pomyślał.

Odgłosy telewizyjnego pojedynku, jazz i wkrętarka pneumatyczna tworzyły kakofonię dźwięków. Zaczynało brakować mu powietrza. Czuł, że chce żyć.

– Za tobą jest Miles – powiedział Eddie, który się odwrócił i zaczął się przechadzać po mieszkaniu. – Wsuwanie palców nie było zbyt mądre, Tommy. To tylko wszystko przedłuży. Będziesz się bardziej męczył.

– Jesteś cholerną, bezwartościową cipą – pisnął Tommy wysokim głosem.
– Obaj jesteście.

Sznur wrzynał mu się w palce i w szyję. Twarz napuchła. Oczy chciały mu wyskoczyć z orbit. Ale Miles i Eddie się tym nie przejmowali. Wszyscy go ignorowali, oni też. Nie sprawiali wrażenia złych, zdenerwowanych ani przepełnionych nienawiścią. Nie odezwą się do niego, nie opowiedzą mu, dlaczego się mszczą... Przyszli tylko po to, żeby go zabić... Tylko i wyłącznie po to.

– Porozmawiajmy – wysyczał Tommy. – Mam pieniądze... – spróbował.

Nie zareagowali. Eddie stał przy ścianie i przyglądał się swojemu zdjęciu, a także zdjęciu Milesa i Sophie. Odczepił je ze ściany. Nie patrzył na Tommy'ego.

Tommy coś rozumiał. W tym momencie zapaliło mu się w głowie światelko. Olśniło go. Zrozumiał to, czego wcześniej nie potrafił pojąć.

To dlatego, że był zły...

Ludzie przestali się nim przejmować, kiedy stał się zły. Kiedy wybrał nową

drogę, zaczął mordować, kiedy mu puściły wszystkie hamulce i kompletnie odjechał. To wtedy otoczenie przestało go szanować, niezależnie od tego, czy wiedzieli o tym, co robi, czy nie. Tommy stał się nikim. Im więcej złych rzeczy robił, tym mniej znaczył. Jak gdyby się zamazywał, wyparowywał... A teraz umierał jak zero. Całkowicie sam i niewidoczny. I nikogo to nie obchodziło...

Umieranie z tą świadomością było beznadziejne.

Sznur był tak napięty, że Tommy'emu przemknęło przez myśl, że Miles oderwie mu głowę i palce jednocześnie...

A gdyby postępował słusznie? Gdyby trzymał się tego, co sobie postanowił w młodości, był uczciwy, sprawiedliwy, szczerzy... Wtedy wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej... Nie siedziałby tu teraz...

Zdjęcie Moniki i dziewczynek. Obraz rozmazywał mu się przed oczami. Zmroziła go kompletna porażka, jaką poniósł, w swojej świadomości spadł kilka pięter. Było tam zimno i ciemno... Im mniej tlenu miał jego mózg, tym mocniej ogarniały go lęk i koszmarne samotność. Pochłaniała go ciemność. Zaczął przeklinać w duchu wszystko i wszystkich. Wykrzykiwał w myślach bezceństwa, tryskał nienawiścią i złością. Tyle że nikt go nie słyszał. Widział ciemność, gęstą ciemność.

I tak umarł. Nienawiść, mrok i całkowita niezdolność do czynienia dobra towarzyszyły mu, gdy spadał do piekła, ku ciemnej, pustej i samotnej wieczności.

Miles puścił sznur, głowa Tommy'ego opadła na klatkę piersiową.

Eddie i Miles przyjrzeni się zwłokom, które leżały na kanapie. Zwieszona głowa, oczy otwarte, z lewej strony brzuch wystawał spod poplamionego podkoszulka. Nogi były rozstawione pod dziwnym kątem i sięgały pod niski stolik.

– Musimy doprowadzić to do końca – powiedział Miles.

Usiadł obok Tommy'ego i pociągnął jego tułów tak, że wylądował mu na

kolanach. Eddie podał mu młotek, a sam usiadł na podłodze z obcęgami w dłoni. Pojedynek na ekranie przyjął nowy obrót. Samończyk był zmęczony i zataczał się na ringu, jakby stracił orientację. Kierowca ciężarówki nabrał nowych sił, rzucił się na przeciwnika i zrobił mu dźwignię – perfekcyjny *Boston crab*. Samończyk przeraźliwie cierpiał.

Miles przyglądał się udawanej walce, jednocześnie wybijając Tommy'emu po kolei wszystkie zęby. Zajęcie było czasochłonne i krwawe. Kilka zębów nie chciało puścić i musiał je wyciąć nożem. Eddie odcinał obcęgami końce palców. Odbijały się od podłogi. Pozbierał je, policzył, chcąc się upewnić, że ma wszystkie, i włożył do plastikowego woreczka razem z zakrwawionymi zębami.

Przenieśli ciężkie zwłoki do łazienki. Wanna była wypełniona gruboziarnistą solą. Włożyli go do środka i dopilnowali, żeby był cały przykryty.

Posprząтали duży pokój i usunęli wszystkie ślady swojej obecności. Wielki Samończyk błagał o litość.

Eddie wyjął z ramki rodzinną fotografię i podpalił ją w popielniczce. Emelie, Vanessa i Monica stopiły się razem z młodym i prawym Tommym Janssonem. Eddie dorzucił pozostałe zdjęcia. Swoje, Milesa i Sophie. Zapaliły się i zamieniły w popiół.

Samończyk wrzeszczał z bólu i bił dłońią o podłogę, gdy kierowca siedział na nim i wykręcał mu nogę. Nie powinien był tego robić. Nagle, jak spod ziemi, wyskoczył na ring rozwścieczony Apacz.

Eddie wyłączył telewizor.

Lot do domu był spokojny. Płynęli przez rozrzedzone powietrze na wysokości jedenastu tysięcy metrów. Wylądowali na Arlandzie i wzięli autobus do Sztokholmu. W holu dworca autobusowego mocno uścisnęli sobie dłonie. Spojrzeli na siebie. Eddie nie potrafił ocenić, jak się czuje. Czy to, co się

stało, było dobre, czy złe... a może takie i takie. Tym jednak razem nie wahał się między skrajnościami. Nie roztrząsał tego. Może Miles Ingmarsson uważał podobnie, bo skinął głową, jakby czytał mu w myślach.

– Czas ruszyć dalej – powiedział. Puścił dłoń Eddiego i zniknął wśród ludzi wychodzących na Vasagatan.

Eddie stał w tłumie podróżnych. Znajdował się w centralnym punkcie. Mógł pójść, gdzie chce, zrobić, co chce. Miał nieskończenie wiele możliwości, tak wiele, jak wielu ludzi go mijalo z każdej strony.

W każdym razie takie miał wrażenie. Ale uczucia i rzeczywistość nie były jednym i tym samym, wolność wyboru stanowiła ułudę. Eddie wiedział, co zrobi. Cały czas był tego pewien. Miał tylko jedno wyjście.

Zadzwoił do Caroline.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział.

Spotkali się godzinę później na Gamla Stan i ruszyli spacerem wzdłuż Storkyrkobrinken. Turyści, upał i szwedzkie flagi. Caroline trzymała go pod rękę. Podobało mu się to. Była blisko niego, nie oddaliła się.

– Byłem przekonany, że umrę... – powiedział Eddie. – Kiedy Tommy pociął mnie i zostawił... Kiedy ruszyłem za tobą do Kolumbii... Kiedy przedzierałem się przez dżunglę do Willi Don Ignacia... Kiedy strzelałem do mężczyzny, który cię trzymał... Ale nie umarłem. Śmierć nie nadeszła.

– To dobrze – rzekła cicho i mocniej ścisnęła jego ramię.

– Tak, ale to skomplikowane.

– Jak to możliwe? – zapytała niemal ze śmiechem.

– Śmierć, która, jak sądziłem, mnie czekała, miała być odpokutowaniem za zbrodnię, której się dopuściłem...

Nic nie powiedziała. Temat był aktualny od czasu ich drugiego spotkania.

– Pobiłem jednego chłopaka. On potem umarł.

Eddie nie wiedział, jak to powiedzieć, więc powiedział, jak było.

Teraz puściła jego ramię. Nadal szli obok siebie.

– Kim on był? – zapytała.

– Rickard Egnell... dwudziestolatek z Norrort. Spotkaliśmy się w parku.

On, jego koledzy i... ja.

– I nikt o tym nie wie? – zapytała.

– Tommy Jansson wiedział. To był jego hak.

– A teraz Tommy'ego już nie ma.

Eddie milczał.

– Kiedy to się stało?

– Dawno temu.

– Może powinieneś to wszystko jeszcze raz przemyśleć – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej nieznacznie.

– Od lat nic innego nie robię. Raz po raz. W każdą bezseną noc.

Nic nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w ziemię.

– Muszę się spotkać z jego rodzicami – powiedział Eddie. – Chciałbym, żebyś mi w tym pomogła. Chciałbym, żebyś ze mną pojechała, powiedziała im, że czekam w samochodzie przed ich domem i że, jeżeli chcą usłyszeć o tym, co się wtedy stało, to wszystko im opowiem. Nie mogę być tym, który zadzwoni do ich drzwi.

Caroline przystanęła. Była blada. Spojrzała na niego ze smutkiem.

– Wiesz, co to będzie oznaczało? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Wiem, co to będzie oznaczało.

Wbiła w niego spojrzenie.

– O czym myślisz? – zapytał.

Odwróciła wzrok.

– Po prostu byłam samolubna – powiedziała cicho.

Pojechali na północ. Caroline prowadziła. Na autostradzie wzięła jego

dłoń i położyła sobie na kolanach. Była ciepła i cudowna.

Eddie czekał w samochodzie, gdy Caroline dzwoniła do drzwi. Otworzył tata Rickarda. Przez chwilę stali i rozmawiali w progu, ale potem wpuścił ją do środka.

Cisza w samochodzie była dojmująca. Eddie spojrzał na swoje dłonie. Serce waliło mu niespokojnie.

Po kilku minutach Caroline otworzyła drzwi i dała mu znak ręką.

Wyjął komórkę i wybrał numer do kolegi z policji.

Nabrał powietrza.

– Tu Eddie Boman – powiedział i przyznał się do zabicia Rickarda Egnella, podał adres i poprosił, żeby byli ostrożni, kiedy po niego przyjadą.

Wysiadł z samochodu. Drzwi zamknęły się za nim z głuchym trzaskiem. Stał na ulicy. Kawałek dalej dzieci jeździły w kółko na rowerach. Kilku chłopaków grało na asfalcie w hokeja piłką tenisową. Na błękitnym niebie z chmurkami jak kawałki waty świeciło słońce. Było bezwietrznie i pięknie.

Droga do domu wyłożoną kamieniami ścieżką wydawała się nieskończenie długa. Eddie miał wrażenie, że nigdy nie dotrze do końca.

Caroline czekała w drzwiach. Nie był w stanie na nią spojrzeć. Nic nie powiedziała, nie dotknęła go, kiedy ją mijał. Zostawiła go w spokoju. Bo tego sobie życzył. I ona to rozumiała.

Eddie wszedł do dużego pokoju. Rodzice Rickarda siedzieli na kanapie. Chciał patrzeć w podłogę, unikać ich wzroku. Udało mu się to jednak przewyciężyć i spojrzał im w oczy. Wiedział, że sam, z pociętą twarzą, wygląda koszmarnie. Miał nadzieję, że jego wygląd ich nie przeraził.

– Nazywam się Eddie Boman, tamtego wieczoru natknąłem się na państwa syna w Råambshovsparken. To przeze mnie umarł.

Rodzice Rickarda siedzieli blisko siebie. W domu coś zatrzeszczało. Dzieci na ulicy coś krzyczały, może te, które grały w hokeja. Rzucił okiem na

Caroline. Dodała mu sił, choć nie wiedział, jak to zrobiła.

– Rickard nadszedł z kilkoma przyjaciółmi od strony plaży... – powiedział Eddie i odchrząknął. – Spotkaliśmy się i... wyszło, jak wyszło.

Martwa cisza.

– Kto zaczął? – tata Rickarda zadał pytanie głuchym, ale pozbawionym agresji głosem.

– To nie ma znaczenia – odparł Eddie.

– Ma – zaprotestował pan Egnell.

Eddie zmienił zdanie, chciał przecież odpowiedzieć na każde pytanie.

– Usłyszałem zaczepkę. Ale przyszedłem tam, żeby się bić. Oni też...

– On był pijany?

– Tak.

– Zły? Zdenerwowany?

Eddie się zastanowił.

– Było ich trzech, nawzajem się nakręcali. My, faceci, tak robimy, kiedy jesteśmy w grupie.

– Napijcie się herbaty? – zapytała mama Rickarda.

Eddie zauważył, że w tej zaskakującej sytuacji zapomniała, kim był. Odmówił.

– Nie, dziękuję.

Zorientowała się, co zrobiła, niemal zawstydzona. Mąż złapał jej dłoń i zatrzymał w swojej. Potem mama Rickarda zadała podstawowe pytanie:

– Dlaczego zabiłeś mojego Rickarda?

Eddie wbił wzrok w podłogę. Nie potrafił na nie odpowiedzieć.

– Przepraszam – zdołał tylko powiedzieć.

Przyjechali koledzy Eddiego, dwaj funkcjonariusze w mundurach. Kiedy zakuwali go w kajdanki, złowił spojrzenie taty Rickarda. Ojciec wstał i zanim Eddie został wyprowadzony, szybko skinął mu głową. Ten gest oznaczał

wszystko i nic. „Dziękuję, że tu przyszedłeś” i „Nigdy ci nie wybaczę”...

Eddie został zaprowadzony do radiowozu. Caroline szła blisko niego. Tylne drzwi zostały otworzone. Został odwrócony tyłem, kolega przytrzymał mu głowę i posadził go na siedzeniu pokrytym sztucznym tworzywem.

Drzwi się zamknęły. Zapanowała kompletna cisza.

Patrzył na Caroline. Kajdanki uwierały go w ręce.

Czuł się wolny.

Trzy tygodnie później

65

Berlin

PARK PRZED Starym Muzeum w Berlinie nazywa się Lustgarten. Bardziej przypomina wielki trawnik. Wzdłuż Lustgarten biegnie droga, która prowadzi do Starego Muzeum z jednej strony i do ogromnej Katedry Berlińskiej z drugiej. Droga nazywa się Am Lustgarten. Tego dnia była zamknięta w obu kierunkach, tak samo jak park i okolice muzeum. Blokady, radiowozy. Policjanci na motocyklach jeździli dookoła i kierowali ruchem, przepędzali skołowanych turystów, którzy przypadkiem trafili na ten teren.

W muzeum miała zostać otwarta nowa wystawa. Coś o antyku. Dygnitarze w postaci dwóch greckich ministrów i kilku Amerykanów. Resztę gości stanowił niemiecki establishment, najlepsi biznesmeni, politycy i stadko celebrytów. Po otwarciu miało się odbyć przyjęcie. Ralph Hanke się na nie nie wybierał.

Nie pokazywał się od śmierci Hectora. W końcu jednak musiał to zrobić. Inaczej ludzie zaczęliby się zastanawiać, co się z nim stało. Uznał, że to dobra okazja, biorąc pod uwagę policyjną obstawę. Zajrzał na uroczystość, żeby wszystko wyglądało normalnie.

Stał z większością gości w środku muzeum w okrągłym pomieszczeniu wysokim na dwa piętra, pod którego ścianami ustawiono posągi i rzeźby.

Szampan był wytrawny. Ralph Hanke rozmawiał z rzeszą polityków, biznesmenów i celebrytów. Na wszystkich patrzył z góry. Uważał całą imprezę za niesłychanie nudną, choć z jego twarzy nie schodził uśmiech.

Jego ochroniarze trzymali się w pobliżu. Hanke postarał się znaleźć na jak największej liczbie zdjęć robionych przez kilkunastu akredytowanych dziennikarzy, którzy krążyli wśród gości. Wszyscy zostali dokładnie sprawdzeni. Przez policję, władze, a nawet przez ludzi Hankego. To samo dotyczyło obsługi i pojedynczych pracowników muzeum, których wpuszczono na imprezę.

Wiedział, że to minie i paranoja się uspokoi. Zawsze tak było. Wiedział, że niepokój i myślenie o środkach bezpieczeństwa zależały tylko od niego. Nie było żadnego konkretnego zagrożenia. W każdym razie poważnego.

Podszedł do niego lekko wstawiony lokalny polityk. Nadskakiwał mu i się podlizywał. Ralph dał głową znać jednemu ze swoich ludzi. Ochroniarz powiedział coś w mankiet koszuli. Wychodzili.

Ralph Hanke siedział na tylnym siedzeniu limuzyny z przyciemnionymi szybami. Wyglądał na zewnątrz i widział, jak skręcają w prawo, w Unter den Linden. Koło nich jechał policyjny motocykl. Miał im towarzyszyć aż do Tegel, gdzie czekał samolot, który miał go zabrać z powrotem do Monachium. Przedarli się koło Bramy Brandenburskiej i wjechali w Strasse des 17. juni. Kuloodporna limuzyna przyśpieszyła. Policyjny motocykl utrzymywał tę samą prędkość. Jechał tuż za oknem Hankego. Blisko, cholernie blisko. Ralph zobaczył, że policjant trzyma coś w swojej dłoni. Przyczepił to coś siłą do jego okna. Było szare, gęste, wyglądało jak glina. Tyle zdążył pomyśleć. Przed nimi jechał jakiś samochód. Z okna po stronie pasażera wychyliła się kobieta i upuściła rozwijaną matę z gwoźdźmi pod lewe przednie koło limuzyny. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Przednia opona została przebita i strzeliła. Jednocześnie policjant ostro zahamował i został z tyłu. Ralph

otworzył usta, żeby powiedzieć coś do kierowcy, ale nie zdążył...

Opancerzona i kuloodporna limuzyna nie była w stanie jednocześnie bronić się przed przebitą oponą i ciśnieniem od eksplozji. Rzuciło nią na prawo, wjechała na ścieżkę rowerową, zderzyła się z drzewem w alejce i stanęła.

Ralph Hanke był oszołomiony. Tam, gdzie był przyczepiony ładunek, między szybą i dachem, powstała dziura.

– Halo! – zawołał do przodu. Szofer zwisał z siedzenia z głową na kierownicy. Drugi z jego ludzi siedział z wyciągniętą bronią. Twarz miał zalaną krwią i sprawiał wrażenie skołowanego. Przez dziurę w szybie wsunęła się czyjaś ręka z pistoletem. Padł strzał. Głowa ochroniarza eksplodowała.

Policjant zdjął kask.

– Hanke, szykuj się na śmierć – powiedział Leszek. Odbezpieczył dwa granaty i wrzucił je do samochodu.

Potoczyły się w stronę Hankego. Hanke złapał jeden z nich, ale nie wiedział, co z nim zrobić. Wiedział tylko, że nie powinien go trzymać. Podrzucił go w górę. Granat eksplodował na wysokości jego twarzy. Jednocześnie wybuchł drugi, który leżał mu na kolanach.

Leszek patrzył na limuzynę, która dwa razy się zatrzęsła. Siła wybuchu pozostała wewnątrz, zamknięta w chroniącym pancerzu. Straszliwa, niszczycielska.

Sonya i Michaił siedzieli w samochodzie za jego plecami. Podszedł do niego i wskoczył na tylne siedzenie. Cała trójka odjechała w stronę Tiergarten, ku mieniącemu się złotem posągowi Nike, wznoszącej się na swojej Kolumnie Zwycięstwa.

Sztokholm

JENS SIEDZIAŁ za kierownicą. Wyjeżdżali z centrum. Sophie miała otwartą szybę. Powietrze było ciepłe. Słońce wypaliło wszystkie chmury na niebie. Mimo że była już siódma, pozostało idealnie przejrzyste.

Dziwnym sposobem odzyskali zwykłe dni. Zawsze byli razem. Sophie, Jens, Lothar i Albert, jak rodzina. Teraz też. Chłopcy siedzieli z tyłu.

Miles, Sanna i Caroline odwiedzali ich, kiedy chcieli. A chcieli, i miało już tak pozostać. Stali się jednym stadem.

Eddie został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci. Miał do odsiadki siedem lat. Jeżeli będzie się dobrze sprawował, wyjdzie wcześniej. Nikt nie miał wątpliwości, że tak właśnie się stanie. Odwiedzili go, wydawał się być dobrej myśli. Caroline zaglądała do niego, kiedy tylko mogła, i Sophie czuła, że tak pozostanie aż do dnia, kiedy zostanie wypuszczony za bramy więzienia. A wtedy ona będzie tam stać i na niego czekać.

Kiedy wjechali do ogrodu Yvonne i Toma, obszczał ich Rat. Tom wyszedł im na spotkanie. Był opalony, pachniał wodą kolońską i uśmiechał się, zupełnie jakby wszystko na świecie było tak, jak powinno. Był otwarty, przyjazny i przesadnie towarzyski, nie będąc jednak płytkim. A kiedy rozmawiał z Lotharem swoim starym szkolnym niemieckim, można było boki zrywać.

Sophie weszła do kuchni i przytuliła Yvonne. Obejmowały się kilka sekund

dłużej, niż trzeba. Sophie usłyszała, że jej matka cicho westchnęła, jakby uwolniła się od bólu. Wzięła oddech, który oznaczał, że się odprężyła. Teraz za każdym razem, gdy się spotykały, robiła to samo.

– Pomóż mi z sałatką – poprosiła Yvonne, mimo że w lodówce stała już miska przykryta folią.

Siedzieli przy stole w jadalni. Drzwi na taras były otwarte. Wpadało przez nie ciepło i wieczorne odgłosy. To był zwyczajny, niedzielny obiad, drugi od ich powrotu do domu. Mieli teraz wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, jakby nic się nie wydarzyło. Ale tak nie było. Albert i Lothar byli nierozłączni... Brakowało im radości, choć może istniała nadzieja, że życie stanie się lepsze... Teraz leżała przed nimi nieznaną przyszłość. Musieli wylizać się z ran. To trochę potrwa, a niektóre z nich pewnie nigdy się nie zagoją.

Jens siedział rozparty na krześle. Ramieniem otaczał plecy Lothara. Na kolanach miał rozłożoną serwetę. Coś go rozbawiło i wybuchnął śmiechem. Tak bardzo go lubiła... Potem spojrzała na swoją mamę. Yvonne z uśmiechem słuchała czegoś, co opowiadał jej Albert. Napotkała wzrok Sophie i jej uśmiech nieco się zmienił. Zamknęła usta i odrobinę uniosła brwi. To był przyjazny uśmiech, który angażował również oczy. Wyraz twarzy Yvonne mówił coś w rodzaju: „Już po wszystkim. Dałaś sobie radę, Sophie... Już nie musisz się ukrywać”.

Sophie spojrzała na swoje kolana. Próbowała oswoić się z tym uczuciem... Teraz była wolna. Ale nie potrafiła dopuścić do siebie tego uczucia. Chciałaby, lecz nie była w stanie odrzucić tego, do czego już się przyzwyczaiła. Ciągłego zagrożenia, które miało różne oblicza. Ostrożności, ukrywania się. Taka już była, życie ją zmieniło i taka już miała pozostać... Nowa normalność. To, co złe, miało wrócić i dać się we znaki.

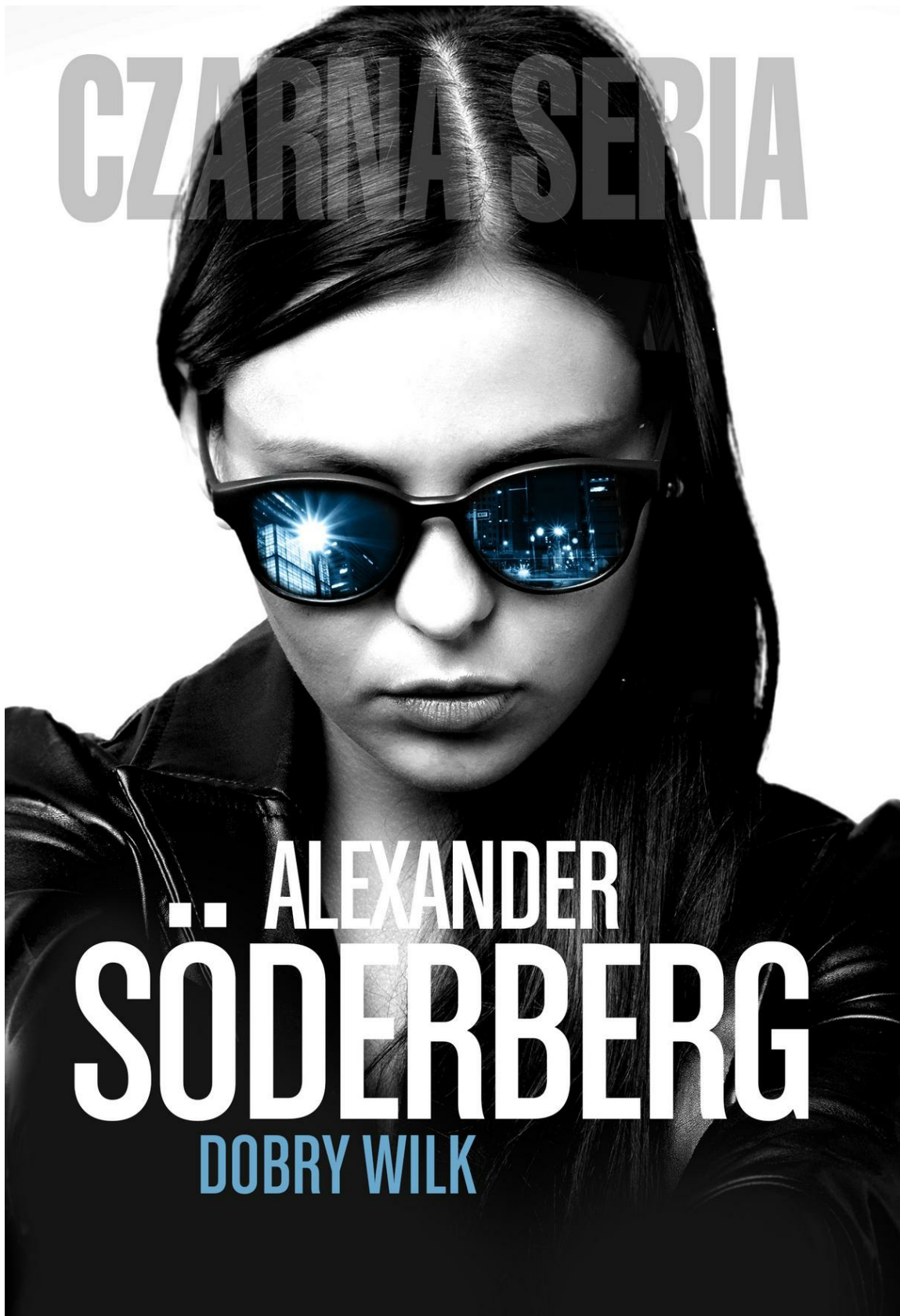
Huk.

Podskoczyła. Albert i Lothar również. Wszyscy mieli zszargane nerwy.

Przez chwilę gapili się przed siebie. Tom przeprosił i podniósł z podłogi pokrywkę garnka.

Albert spojrzał jej w oczy. I dopiero po chwili się do niej uśmiechnął.

CZARNA SERIA



.. ALEXANDER
SODERBERG
DOBRY WILK